

Terry Pratchett

Złodziej Czasu

(Thief of Time)

Przełożył Piotr W. Cholewa

Według „Drugiego Zwoju Wena Wiecznie Zaskoczonego”, Wen wyszedł z jaskini, gdzie doznał oświecenia, w światło brzasku pierwszego dnia reszty swego życia. Przez pewien czas spoglądał na wschodzące słońce, albowiem nigdy go jeszcze nie widział.

Trącił sandałem Mulisty Staw, swego ucznia śpiącego przed jaskinią, i rzekł:

– Zobaczyłem. I teraz rozumiem.

Po czym przerwał i spojrzał na coś obok Mulistego Stawu.

– Cóż to za niezwykły obiekt? – zapytał.

– Eee... Eee... To jest drzewo, mistrzu – odpowiedział Mulisty Staw, wciąż nie do końca rozbudzony. – Nie pamiętasz? Rosło tu wczoraj.

– Nie było żadnego wczoraj.

– No ale... wydaje mi się, że jednak było, mistrzu. – Mulisty Staw podniósł się z trudem. – Pamiętasz? Przybyliśmy tutaj, a ja przygotowałem ci posiłek i dostałem skórę z twojego *sklang*, bo ty jej nie chciałeś.

– Pamiętam wczoraj – oświadczył Wen w zadumie. – Ale to wspomnienie jest w mojej głowie teraz. Czy wczoraj było prawdziwe? Czy może tylko wspomnienie jest prawdziwe? Zaiste, wczoraj się nie urodziłem.

Twarz Mulistego Stawu stała się maską pełnego udręki niezrozumienia.

– Mój drogi głupi Mulisty Stawie, poznałem wszystko – wyjaśnił Wen. – Najkrócej mówiąc, nie ma przeszłości ani przyszłości. Istnieje tylko teraz. Nie ma czasu, jedynie teraźniejszość. Czekają nas wiele pracy.

Mulisty Staw dostrzegł w swym mistrzu coś niezwykłego: oczy mu błyszczały, a kiedy się poruszał, w powietrzu pojawiały się dziwne srebrzystobłękitne rozbłyski, jakby odbicia w płynnych zwierciadłach.

– Powiedziała mi wszystko – ciągnął Wen. – Wiem, że czas został stworzony dla ludzi, a nie na odwrót. Nauczyłem się go kształtować i zaginać, wiem, jak sprawić, by chwila trwała wiecznie, ponieważ to już się stało. I mogę nauczyć tych sztuk nawet ciebie, Mulisty Stawie. Słyszałem puls wszechświata. Znam odpowiedzi na wiele pytań. Zadać jakieś.

Uczeń patrzył na niego zaczerwienionymi oczami. Ranek był jeszcze zbyt wczesny, by być zwykłym wczesnym rankiem. I to było jedyne, co Mulisty Staw w obecnej chwili wiedział na pewno.

– No... co mistrz chciałby zjeść na śniadanie? – zapytał.

Wen spojrzał poprzez śnieżne połacie, nad fioletowymi górami, ku złocistemu światłu dnia kreującemu świat. I zadumał się nad pewnymi aspektami człowieczeństwa.

– Aha – powiedział. – Jedno z tych trudnych...

Aby coś istniało, musi być obserwowane.

Aby coś istniało, musi mieć pozycję w czasie i przestrzeni.

To tłumaczy, dlaczego nie da się doliczyć dziewięciu dziesiątych masy wszechświata.

Dziewięć dziesiątych masy wszechświata jest wiedzą o pozycji i kierunku wszystkiego w pozostałej jednej dziesiątej. Każdy atom ma swoją biografię, każda gwiazda swoją teczkę, każda przemiana chemiczna swój odpowiednik inspektora z notatnikiem. Nie da się tego wyrachować, tutaj bowiem prowadzona jest rachunkowość całej reszty, a nie można przecież zobaczyć własnej głowy od tyłu.

[Chyba że w bardzo małych wszechświatach.]

Dziewięć dziesiątych wszechświata to w rzeczywistości dokumentacja.

A jeśli chcecie usłyszeć opowieść, pamiętajcie, że ona się nie rozwija. Ona fałuje. Wydarzenia, które zaczynają się w różnych miejscach i różnych czasach, zmierzają wszystkie do tego małego punktu w czasoprzestrzeni, który jest momentem perfekcji.

Przypuśćmy, iż ktoś przekonał cesarza, by włożył nowe szaty z materiału tak delikatnego, że dla zwykłego oka szat wcale nie było. I przypuśćmy, że jakiś chłopczyk obwieścił ten fakt czystym, donośnym głosem...

Dostaniecie wtedy „Opowieść o cesarzu, który nie miał ubrania .

Ale gdybyście wiedzieli trochę więcej, byłyby to „Opowieść o chłopcu, który dostał zasłużone baty za niegrzeczne zachowanie wobec władcy i został zamknięty w komórcie”.

Albo „Opowieść o całym tłumie, który został otoczony przez strażę i poinformowany, że to się wcale nie wydarzyło. Jasne? Ktoś chce dyskutować?”.

Może to być również opowieść o tym, jak całe królestwo dostrzegło nagle dobrodziejstwa płynące z „nowych szat” i wzbudziło w sobie entuzjazm dla zdrowych zabaw sportowych [Na ogół z użyciem wielkich, naprawdę wielkich piłek plażowych.] W wesołej i orzeźwiającej atmosferze, które to zabawy miały z każdym rokiem więcej wyznawców, aż doprowadziły do recesji spowodowanej krachem przemysłu tradycyjnych ubrań.

Może to być nawet opowieść o wielkiej epidemii zapalenia płuc w '09.

Wszystko zależy od tego, ile wiecie.

Przypuśćmy, że przez tysiące lat obserwujecie powolne nawarstwianie się śniegu, który jest prasowany i pchany po skale, aż lodowiec ocieli się swymi górami lodowymi do morza, a potem patrzycie, jak góra lodowa dryfuje po zimnych wodach, stopniowo poznajecie jej ładunek szczęśliwych niedźwiedzi polarnych i fok, które nie mogą się doczekać nowego, wspaniałego życia na drugiej półkuli, gdzie podobno pola lodowe pełne są chrupiących pingwinów, i nagle bum! – tysiące ton nie wiadomo

jakim cudem pływającego żelaza i ekscytująca ścieżka dźwiękowa...

...chcielibyście poznać całą historię.

Ta konkretna zaczyna się od biurka.

Jest to biurko profesjonalisty. To oczywiste, że dla właściciela praca jest całym życiem. Są tu pewne... sentymentalne akcenty. Ale to takie sentymentalne akcenty, które w zimnym świecie obowiązku i rutyny dopuszcza użytkowość.

W większości znajdują się na jedynym fragmencie koloru w tym obrazie czerni i szarości. To kubek. Ktoś gdzieś chciał, by był to wesoły kubek. Znalazł się na nim niezbyt przekonujący obrazek pluszowego misia oraz napis „Dla najlepszego Dziadka na świecie”. Lekka zmiana stylu liternictwa w słowie „Dziadka” zdradzała, że pochodzi z jednego z tych straganów, które mają setki takich kubków, informujących, że są przeznaczone dla najlepszego na świecie Dziadka/Tatusia/Mamy/Babci/Wujka/Cioci/Puste.

W tej chwili w kubku znajduje się herbata z plasterkiem cytryny.

Na posępnym blacie leży również nóż do listów – w kształcie kosy – oraz kilka klepsydr.

Śmierć chwyta kubek szkieletową dłonią...

...wypił łyk, nieruchomiejąc tylko na chwilę, by raz jeszcze spojrzeć na napis, który czytał już tysiące razy. Odstawił kubek.

NO DOBRZE, powiedział tonem dzwonu pogrzebowego. POKAŻ MI.

Kolejnym elementem na biurku była mechaniczna konstrukcja. Konstrukcja to najlepsze słowo na jej określenie. Główny element stanowiły dwa dyski. Jeden ustawiono poziomo, a na nim umocowano krąg małych kwadracików czegoś, co miało się okazać dywanem. Drugi dysk stał pionowo i miał dużą liczbę ramion, z których każde podtrzymywało mały kawałek chleba z masłem. Kawałki umocowano tak, by obracały się swobodnie, kiedy obrót koła niósł je w stronę kręgu kawałków dywanu.

WYDAJE MI SIĘ, ŻE ZACZYNAM ROZUMIEĆ ZASADĘ, powiedział Śmierć.

Małutka figurka obok maszyny zaszalutowała sprężyste i rozpromieniła się, jeśli szczurza czaszka może promienieć. Wciągnęła na oczodoły parę gogli, podkasała szatę i wgramoliła się do wnętrza mechanizmu.

Śmierć nigdy nie był do końca pewien, dlaczego pozwolił Śmierci Szczurów na niezależną egzystencję. W końcu był przecież Śmiercią, a to znaczy Śmiercią wszystkiego, łącznie z wszelkiego rodzaju gryzoniami. Ale chyba każdy potrzebuje jakiejś niewielkiej części siebie, która może sobie pozwolić na – metaforycznie – bieganie nago po deszczu, [Co jest aktywnością mocno przecenianą.] myślenie myśli nie do pomyślenia, chowanie się po kątach i szpiegowanie świata, czyli robienie tego wszystkiego, co zakazane, ale zabawne.

Śmierć Szczurów wolno nacisnął na pedały. Koła zaczęły się obracać.

– Ekscytujące, prawda? – odezwał się chrapliwy głos tuż przy uchu Śmierci. Należał do Miodrzekła, kruka, który zadomowił się tutaj jako osobisty środek transportu oraz dobry kolega Śmierci Szczurów. Angażował się w to wszystko, jak zawsze podkreślał, tylko dla gałek ocznych.

Dywaniki zawirowały. Malutkie kawałki chleba uderzały w nie losowo, czasem z maślanym młaśnięciem, a czasem bez. Miodrzekł obserwował je uważnie, na wypadek gdyby gdzieś miały się pojawić gałki oczne.

Śmierć zauważyła, że sporo czasu i wysiłku poświęcono na wykonanie mechanizmu, ponownie smarującego masłem każdą powracającą kromkę. A inny, jeszcze bardziej skomplikowany, mierzył liczbę ubrudzonych masłem dywaników.

Po kilku pełnych obrotach wskaźnik relatywnego zasmarowania dywaników masłem przesunął się na 60 procent i dyski znieruchomiły.

I CO? – zapytał Śmierć. GDYBYŚ ZROBIŁ TO JESZCZE RAZ, MOGŁOBY SIĘ PRZECIEŻ OKAZAĆ...

Śmierć Szczurów przerzucił dźwignię sprzęgła i znów zaczął pedałować.

PIP, nakazał.

Śmierć posłusznie pochylił się bliżej.

Tym razem wskaźnik przesunął się zaledwie na 40 procent.

Śmierć pochylił się jeszcze bardziej.

Osiem kawałków dywanu, które zostały ubrudzone tym razem, okazało się bez wyjątku kawałkami ominiętymi podczas pierwszego testu.

Pajęczynowe koła zębate zawirowały we wnętrzu. Wysunęła się drżąca tabliczka na sprężynach, z efektem będącym wizualnym odpowiednikiem słowa „brzdęk”.

W chwilę później dwa sztuczne ognie zapłonęły niepewnie po obu stronach słowa ZŁOŚLIWOŚĆ.

Śmierć pokiwał głową. Właśnie coś takiego podejrzewał.

Przeszedł przez gabinet za biegnącym przodem Śmiercią Szczurów i zatrzymał się przed wielkim zwierciadłem. Było ciemne jak dno studni. Ramę ozdobił wzór czaszek i kości, głównie dla zachowania stylu: Śmierć nie mógłby spojrzeć sobie w oczodoły w lustrze otoczonym cherubinami i różyczkami.

Śmierć Szczurów wspiął się na ramę i z jej czubka patrzył na Śmierć wyczekująco. Miodrzekł podfrunął i przez chwilę dziobał własne odbicie, zgodnie z zasadą, że zawsze warto spróbować.

POKAŻ MI, powiedział Śmierć. POKAŻ MI... MOJE MYŚLI.

Pojawiła się szachownica, jednak była trójkątna i tak wielka, że dało się zobaczyć tylko najbliższy narożnik. Właśnie w tym miejscu tkwił świat – żółt, słone, małe orbitujące słońce i wszystko. To był świat Dysku, istniejący tuż przed totalnym

nieprawdopodobieństwem, a zatem na pograniczu. Na pograniczu granica bywa przekraczana i czasami przeciskają się do wszechświata stwory, którym chodzi o coś więcej niż tylko lepsze życie dla dzieci i cudowną przyszłość przy zbiorach owoców oraz w sektorze usług domowych.

Nad każdym z pozostałych białych i czarnych trójkątów szachownicy, aż do nieskończoności, unosił się niewielki szary kształt podobny do pustej szaty z kapturem.

Dlaczego teraz? – pomyślał Śmierć.

Poznał je. To nie były formy życia. To były... formy nieżycia. Były obserwatorami działania wszechświata, jego urzędnikami, audytorami... To oni pilnowali, żeby wszystko się kręciło i kamienie spadały.

I wierzyli, że aby obiekt istniał, musi mieć określoną pozycję w czasie i przestrzeni. Ludzkość pojawiła się zatem jako paskudny szok. Ludzkość bowiem praktycznie była elementami, które nie mają pozycji w czasie i przestrzeni – takimi jak wyobraźnia, litość, nadzieja, historia i wiara. Gdyby je odebrać, pozostałyby tylko mały, które często spadają z drzew.

Życie inteligentne było zatem anomalią. Utrudniało klasyfikację. Audytorzy tego nienawidzili. I okresowo starali się trochę uporządkować sprawy.

Rok temu astronomowie na całym Dysku ze zdumieniem obserwowali gwiazdy wirujące łagodnie na firmamencie – to żółw świata wykonał beczkę. Grubość świata nie pozwoliła im zobaczyć dlaczego, ale pradawna głowa Wielkiego A'Tuina wysunęła się i porwała z nieba asteroidę, której trafienie w Dysk oznaczałoby, że już nikt nigdy nie potrzebowałby terminarza.

Nie, świat sam potrafił się zatroszczyć o takie oczywiste zagrożenia. Więc teraz szare płaszcze preferowały bardziej subtelne i tchórzliwe potyczki dla zaspokojenia swej nieskończonej żądzy wszechświata, w którym nie wydarza się nic, co nie jest całkowicie przewidywalne.

Efekt upadania kromki posmarowaną stroną w dół był jedynie trywialnym, ale wiele mówiącym wskaźnikiem. Dowodził wzrostu ich aktywności. Zrezygnujcie, brzmiał odwieczny przekaz. Wróćcie do egzystencji grudek w oceanie. Grudki są łatwe.

Ale Śmierć dobrze wiedział, że wielka gra toczy się na wielu poziomach. I często trudno zgadnąć, kto prowadzi rozgrywkę.

KAŻDA PRZYCZYNA MA SWÓJ SKUTEK, powiedział głośno. I KAŻDY SKUTEK MA SVOJĄ PRZYCZYNE.

Skinął czaszką na Śmierć Szczurów.

POKAŻ MI, rzekł. POKAŻ MI... POCZĄTEK.

Tik

Była mroźna, zimowa noc. Ktoś dobijał się do tylnych drzwi, aż śnieg zsuwał się z dachu.

Dziewczyna, która właśnie podziwiała w lustrze swój nowy kapelusz, poprawiła i tak już głęboki dekolt sukni, by zapewnić nieco lepszą ekspozycję, na wypadek gdyby przybysz okazał się mężczyzną. Dopiero potem otworzyła drzwi.

Lodowate światło gwiazd ukazało ciemną sylwetkę. Płatki śniegu zbierały się już na płaszczu.

– Pani Ogg? – zapytał przybysz. – Akuszerka?

– Właściwie to panna – odparła dumnie. – I czarownica także, oczywiście.

Wskazała swój nowy spiczasty kapelusz. Wciąż jeszcze była na etapie noszenia go w domu.

– Musi pani natychmiast iść ze mną. To bardzo pilne.

Dziewczyna wyglądała, jakby nagle ogarnęła ją panika.

– Czy chodzi o panią Tkacz? Ale jej termin wypada dopiero za parę ty...

– Przebyłem długą drogę – oświadczył przybysz. – Mówią, że jest pani najlepsza na świecie.

– Co? Ja? Odebrałam tylko jednego! – Panna Ogg była przerażona. – Biddy Spective jest o wiele bardziej doświadczona niż ja! I stara Minnie Forthwright! Pani Tkacz miała być moim pierwszym solo, bo ma biodra jak sza...

– Proszę o wybaczenie. Nie będę dłużej zabierał pani czasu.

Przybysz wycofał się w nakrapiany śnieżnymi płatkami mrok.

– Halo! – zawołała panna Ogg. – Halo!

Ale pozostały już tylko ślady stóp na śniegu. Znikały na środku zaśnieżonej ścieżki...

Tik

Ktoś dobijał się do drzwi. Pani Ogg położyła dziecko, które siedziało jej na kolanach, wstała i odsunęła skobel. Ciemna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle letniego nocnego nieba. Jej ramiona wydawały się jakieś dziwne.

– Pani Ogg? Jest pani już mężatką?

– Tak. Drugi raz – odparła uprzejmie pani Ogg. – Jak mogę po...

– Musi pani natychmiast iść ze mną. To bardzo pilne.

– Nie wiedziałam, że ktoś ma...

– Przebyłem długą drogę – oznajmił przybysz.

Pani Ogg się zastanowiła. Było coś dziwnego w tym, jak wymawiał słowo „długą”. I teraz zauważyła, że biel na jego płaszczu to topniejący szybko śnieg. Poruszyło się mgliste wspomnienie.

– No więc tak – rzekła, ponieważ wiele się nauczyła przez ostatnie dwadzieścia lat.
– To możliwe, i zawsze staram się jak najlepiej, możesz spytać kogokolwiek. Ale nie powiedziałabym, że jestem najlepsza. Zawsze uczę się czegoś nowego. Taka już jestem.

– Och... w takim razie zjawię się w bardziej dogodnym... momencie.

– Dlaczego masz śnieg na...?

Ale, nie znikając właściwie, przybysz nie był już obecny.

Tik

Ktoś dobijał się do drzwi. Niania Ogg ostrożnie odstawiała swoją wieczorną szklaneczkę brandy i przez chwilę wpatrywała się w ścianę. Długie życie poświęcone granicznemu czarownictwu [Graniczna czarownica to taka, która pracuje na obrzeżach, w tych chwilach, kiedy zastosowanie mają warunki brzegowe – pomiędzy życiem a śmiercią, dobrem i złem lub – co najbardziej niebezpieczne – pomiędzy dzisiaj i jutro.] wyostrzyło jej zmysły, z których posiadania większość nie zdaje sobie sprawy. Coś w jej głowie zaskoczyło z kliknięciem.

W kociołku nad paleniskiem właśnie zaczynała wrzeć woda przeznaczona do butelki, która ogrzewała jej łóżko.

Niania Ogg odłożyła fajkę, wstała i otworzyła drzwi na wiosenną noc.

– Tak sobie myślę, że przebyłeś długą drogę – powiedziała, nie okazując zdziwienia.

– To prawda, pani Ogg.

– Wszyscy, którzy mnie znają, mówią mi: Nianiu.

Śnieg na płaszczu przybysza topniał i ściekał na ziemię. W tej okolicy śnieg nie padał już od miesiąca.

– To pilna sprawa, jak sądzę? – spytała, gdy w pamięci rozwijały się wspomnienia.

– Rzeczywiście.

– I teraz masz powiedzieć: musi pani natychmiast iść ze mną.

– Bo musi pani natychmiast iść.

– No więc... owszem, tak, jestem całkiem niezłą akuszerką, choć sama to mówię. Setki przyjęłam na ten świat. Nawet trolle, a to nie jest zajęcie dla osób bez doświadczenia. Znam porody w przód i w tył, a bywało, że prawie na bok. Ale zawsze jestem gotowa, żeby nauczyć się czegoś nowego. – Skromnie spuściła wzrok. – Nie powiem, że jestem najlepsza – dodała. – Choć muszę przyznać, że nikt lepszy nie

przychodzi mi na myśl.

- Musi pani ruszać natychmiast.
- Ach, muszę? Tak? – rzuciła niania Ogg.
- Tak!

Graniczna czarownica myśli szybko, ponieważ granice mogą szybko się przesuwać. I uczy się dostrzegać, kiedy tworzy się mitologia, a najlepsze, co można zrobić, to ustawić się na drodze i pędzić, by dotrzymać jej kroku.

- Wezmę tylko...
- Nie ma czasu.
- Przecież nie mogę tak po prostu wyjść...
- Już!

Niania sięgnęła za drzwi po swój porodowy tobołek, trzymany tam właśnie na takie okazje. Był pełen rzeczy, o których wiedziała, że się przydadzą, a zawierał też kilka takich, co do których modliła się, by nigdy nie były potrzebne.

- Gotowe – powiedziała.
- I wyszła.

Tik

Kiedy znowu wkroczyła do swojej kuchni, woda właśnie się zagotowała. Niania zdjęła kociołek znad paleniska.

W szklaneczce obok fotela pozostała jeszcze kropelka brandy. Niania wysuszyła ją, po czym dopełniła z butelki po brzegi.

Sięgnęła po fajkę. Jeszcze ciepłą. Pociągnęła i tytoń się rozjarzył.

Potem wyjęła coś z tobołka, w tej chwili znacznie lżejszego, i ze szklaneczką w dłoni usiadła, by się temu przyjrzeć.

- No tak... – odezwała się w końcu. – To było... bardzo niezwykle...

Tik

Śmierć patrzył, jak obraz się rozplywa. Kilka płatków śniegu, które wyfrunęły z lustra, stopniało już na podłodze, ale w powietrzu wciąż się unosił aromat fajkowego dymu.

ACH, ROZUMIEM. PORÓD W NIEZWYKŁYCH OKOLICZNOŚCIACH, ALE CZY NA TYM WŁAŚNIE POLEGA PROBLEM, CZY TEŻ TAKIE BĘDZIE ROZWIĄZANIE?

PIP, odparł Śmierć Szczurów.

ISTOTNIE, zgodził się Śmierć. CAŁKIEM MOŻLIWE, ŻE MASZ RACJE. WIEM, ŻE AKUSZERKA NIGDY MI NIE POWIE.

Śmierć Szczurów wyglądał na zdziwionego.

PIP?

Śmierć się uśmiechnął.

ŚMIERCI? PYTAJĄCEMU O ŻYCIE DZIECKA? NIE, NIE POWIE.

– Przepraszam – wtrącił kruk. – Ale jak to możliwe, że panna Ogg stała się panią Ogg? Brzmi to trochę jak te wiejskie obyczaje, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

CZAROWNICE SĄ MATRONIMICZNE, wyjaśnił Śmierć. O WIELE ŁATWIEJ IM ZMIENIAĆ MEŻÓW NIŻ NAZWISKO.

Wrócił do biurka i wysunął szufladę. Leżała w niej gruba księga oprawna w noc. Na okładce, gdzie tego typu księga mogłaby w innych okolicznościach nosić napis „Nasz ślub” albo „Album fotograficzny ACME”, litery głosiły: „Wspomnienia”.

Śmierć ostrożnie przewracał grube karty. Niektóre wspomnienia wyrwały się przy okazji, tworząc w powietrzu ulotne wizje, zanim kartka opadła, a one odlatywały i rozpyływały się w odległych, ciemnych zakamarkach pokoju. Były tam również skrawki dźwięków, śmiechu, płaczu, krzyków i z jakiegoś powodu krótki wybuch melodii granej na cymbałkach, która sprawiła, że znieruchomiał na chwilę.

Nieśmiertelny ma wiele do zapamiętania. Czasami lepiej umieścić to w miejscu, gdzie będzie bezpieczne.

W powietrzu nad biurkiem zawisło jedno pradawne wspomnienie, pożółkłe i spękane na brzegach. Ukazywało pięć postaci, cztery na koniach, jedną w rydwanie, wszystkie najwyraźniej wyjeżdżające z burzy. Konie były rozciągnięte w galopie. Wokół wiele dymu, płomieni i ogólnego rozgardiaszu.

ACH, DAWNE CZASY, mruknął Śmierć, ZANIM NASTAŁA TA MODA NA KARIERY SOLOWE.

PIP? zainteresował się Śmierć Szczurów.

O TAK, przyznał Śmierć. KIEDYŚ BYŁO NAS PIĘCIU. PIĘCIU JEŹDŹCÓW. ALE WIESZ, JAK TO BYWA. ZAWSZE WYBUCHNIE KŁÓTNIA. TWÓRCZE NIEPOROZUMIENIA, ZDEMOLOWANE POKOJE, TAKIE RZECZY. Westchnął. I SŁOWA, KTÓRE MOŻE NIE POWINNY ZOSTAĆ WYPOWIEDZIANE.

Przewrócił jeszcze kilka kartek i westchnął znowu. Jeśli ktoś potrzebuje sprzymierzeńca, a jest Śmiercią, to na kim może w pełni polegać?

Zamyślony spojrzął na kubek z pluszowym misiem.

Oczywiście, zawsze jest rodzina. Tak. Obiecał, że więcej tego nie robi, ale jakoś nigdy nie mógł zrozumieć, o co chodzi z tymi obietnicami.

Wstał i wrócił do lustra. Nie zostało już zbyt wiele czasu. Obiekty w lustrze były bliżej, niż się wydawało.

Zabrzmiął dźwięk, jakby coś się ślizgało, potem moment przeraźliwej ciszy i trzask, jakby na podłogę upadł worek kręgów.

Śmierć Szczurów drgnęła. Kruk wystartował natychmiast.

POMÓŻCIE MI WSTAĆ, PROSZĘ, odezwał się głos z mroku. A POTEM WYCZYŚĆCIE TO NIESZCZĘSNE MASŁO.

Tik

To biurko było niczym pole pełne galaktyk.

Obiekty się skrzyły. Były tu skomplikowane koła i spirale jaśniejące na tle czerni...

Jeremy zawsze lubił ten moment, kiedy zegar leżał przed nim w częściach – każde kółko zębate i sprężyna starannie ułożone na czarnym aksamicie. To było tak, jakby patrzył na Czas rozłożony, pod kontrolą, każdy jego element rozumiał...

Chciałby, żeby jego życie też tak wyglądało. Przyjemnie byłoby zredukować je do niewielkich fragmentów, rozłożyć na blacie, oczyścić i nasmarować, a potem złożyć, żeby zazębiały się i wirowały w doskonałym zgodnym rytmie. Ale czasami się zdawało, że życie Jeremy'ego zostało zmontowane przez niezbyt sprawnego rzemieślnika, który pozwolił, by pewna liczba niewielkich, lecz ważnych elementów zrobiła „ping!” w ciemne kątki pomieszczenia.

Chciałby bardziej lubić ludzi, ale jakoś nigdy sobie z nimi nie radził. Nie wiedział, co ma mówić. Gdyby życie było przyjęciem, to on nie znalazłby się nawet w kuchni. Zazdrościł tym, którzy docierali aż do kuchni. W kuchni prawdopodobnie byłyby resztki przekąsek, a także butelka czy dwie taniego wina, które ktoś przyniósł ze sobą, zapewne całkiem niezłego, jeśli tylko wyłowić z niego potopione niedopałki papierosów. W kuchni mogłaby nawet trafić się jakaś dziewczyna, choć Jeremy dobrze znał granice swojej wyobraźni.

Ale Jeremy nigdy nie dostał zaproszenia.

Za to zegary... zegary to co innego. Wiedział, dlaczego zegary tykają.

Nazywał się Jeremy Clockson i to nie był przypadek. Został członkiem Gildii Zegarmistrzów, kiedy miał zaledwie kilka dni, a wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Oznaczało, że jego życie zaczęło się w koszyku na progu. Każdy wiedział, jak to działa. Wszystkie gildie przyjmowały podrzutków zjawiających się z poranną dostawą mleka. Była to prastara forma dobroczynności, a przecież dzieci mógł spotkać los o wiele gorszy. W ten sposób sieroty otrzymywały życie, swego rodzaju wychowanie, fach, przyszłość i nazwisko. Niejedna piękna dama, mistrz rzemiosła albo miejski dygnitarz nosił wiele mówiące nazwiska, jak Ludd, Doughy, Pune czy Clockson. Otrzymali je po bohaterach swego fachu albo boskich patronach, a to zmieniało ich w

swego rodzaju rodzinę. Ci starsi pamiętali, skąd pochodzą, i na Strzeżenie Wiedźm nie żalowali darów – odzieży i pożywienia – dla rozmaitych młodszych sióstr i braci w koszyku. Nie był to system doskonały, ale jakież jest?

I tak Jeremy wyrósł na zdrowego, choć nieco dziwaczного chłopca. A jego talent w fachu niemal wynagradzał wszystkie osobiste zalety, których nie posiadał.

Zadzwonił dzwonek nad drzwiami warsztatu. Jeremy westchnął i odłożył szkło powiększające. Nie spieszył się jednak. W sklepie było wiele do oglądania... Czasami musiał nawet chrząknąć, by zwrócić uwagę klienta. Zresztą czasami musiał chrząknąć, by zwrócić uwagę własnego odbicia w lustrze przy goleniu.

Starał się być człowiekiem interesującym. Kłopot polegał na tym, że był takim człowiekiem, który – kiedy postanowi być interesującym – przede wszystkim próbuje znaleźć książkę „Jak być interesującym człowiekiem”, a potem sprawdza, czy nie prowadzą gdzieś jakichś kursów. Dziwił się, że ludzie uważają go za nudnego rozmówcę. A przecież potrafił rozmawiać o wszelkiego rodzaju zegarach. Mechanicznych, magicznych, wodnych, ogniowych, kwiatowych, świecowych, piaskowych, z kukułką, o rzadkich hershebiańskich zegarach chrząszczowych... Ale z jakiegoś powodu, zanim wyczerpał wszystkie zegary, wyczerpywał słuchaczy.

Wyszedł do sklepu i znieruchomiał.

– Och... Przepraszam, że kazałem pani czekać – powiedział.

To była kobieta. A dwa trolle zajęły stanowiska tuż za drzwiami. Ich ciemne okulary i obszerne, niedopasowane czarne garnitury przedstawiały ich jako tych, którzy przedstawiają ludzi. Kiedy jeden z nich zauważył, że Jeremy mu się przygląda, zacisnął palce, aż trzasnęły mu kości.

Kobieta była otulona ogromnym i bardzo drogim białym futrem, co mogło tłumaczyć trolle. Długie czarne włosy spływały jej kaskadą na ramiona, a twarz miała upudrowaną na kolor tak blady, że niemal w odcieniu futra. Całkiem atrakcyjna, uznał Jeremy, choć trzeba zaznaczyć, że żaden z niego arbiter. Jednak było to piękno monochromatyczne. Zastanowił się, czy ona nie jest zombi. Obecnie spora ich grupa mieszkała w mieście, a ci przewidujący rzeczywiście zabrali majątek ze sobą do grobu, więc pewnie byłoby ich stać na takie futro.

– Zegar chrząszczowy? – powiedziała, odwracając się od szklanej kopuły.

– No... tak. Hershebiański chrząszcz prawniczy ma bardzo stabilny dzienny rozkład zajęć – wyjaśnił Jeremy. – Ja, no... trzymam go tylko jako ciekawostkę.

– Jakież to... organiczne – stwierdziła kobieta. Patrzyła na niego, jakby był kolejnym gatunkiem chrząszcza. – Jesteśmy Myria LeJean. Lady Myria LeJean.

Jeremy uprzejmie wyciągnął rękę. Cierpliwi osobnicy w Gildii Zegarmistrzów zmarnowali dużo czasu, ucząc go, jak traktować ludzi, zanim w desperacji zrezygnowali z tych prób. Jednak pewne odruchy utkwiły mu w pamięci.

Jej wysokość patrzyła na tę wyciągniętą rękę. W końcu podszedł ciężko jeden z trolli.

– Lady nie podaje ręki – oświadczył donośnym szeptem. – Nie jest osobą dotykową.

– Och? – odpowiedział Jeremy.

– Ale może dość już o tym – rzekła lady LeJean, cofając się o krok. – Buduje pan zegary, a my...

Zadzwoniło w kieszeni koszuli Jeremy'ego, który wyjął stamtąd spory zegarek.

– Jeśli właśnie wybił godzinę, to się spieszy – stwierdziła kobieta.

– Eee... nie. Ale może uzna pani za dobry pomysł, żeby zasłonić rękami uszy...

Była trzecia. I wszystkie zegary uderzyły jednocześnie. Kukułki kukały, godzinowe szpilki wypadały z zegara świecowego, wodne zegary bulgotały i kołysały się, opróżniając wiadra, dzwoniły dzwony, biły gongi, grały kuranty, a hershebiański żuk prawniczy wykonał salto.

Trolle przycisnęły do uszu wielkie dłonie, ale lady LeJean stała nieruchomo z rękami wspartymi na biodrach i przechyloną w bok głową, aż ucichły ostatnie echa.

– Wszystkie dokładne, jak widzimy – rzekła.

– Słucham?

Jeremy myślał właśnie: Więc może wampir?

– Wszystkie pańskie zegary wskazują właściwy czas – odparła lady LeJean. – Jest pan bardzo stanowczy w tej kwestii, panie Jeremy?

– Zegar, który nie wskazuje właściwego czasu, jest... zły.

Chciałby, żeby już sobie poszła. Jej oczy budziły niepokój. Słyszał o ludziach z szarymi oczami, a jej oczy naprawdę były szare, jak u niewidomego... Mimo to najwyraźniej patrzyła na niego... i poprzez niego.

– Tak. Wyniknęły z tego pewne drobne kłopoty, prawda?

– Ja... nie... nie wiem, o czym pani...

– W Gildii Zegarmistrzów... Williamson nastawiał swój zegar o pięć minut do przodu... A pan...

– Teraz czuję się o wiele lepiej – oznajmił sztywno Jeremy. – Mam lekarstwo. Gildia była dla mnie bardzo dobra. A teraz proszę już iść.

– Panie Jeremy, chcemy, żeby zbudował pan dla nas zegar, który jest dokładny.

– Wszystkie moje zegary są dokładne – odparł Jeremy, wbijając wzrok w podłogę. Swoje lekarstwo miał wziąć dopiero za pięć godzin i siedemnaście minut, ale czuł, że jest mu potrzebne teraz. – I raz jeszcze muszę prosić...

– Jak dokładne są pańskie zegary?

– Poniżej sekundy na jedenaście miesięcy – poinformował natychmiast Jeremy.

– To bardzo dobra punktualność?

– Tak.

Rzeczywiście była bardzo dobra. Dlatego gildia okazała mu tyle zrozumienia. Geniuszowi zawsze pozwala się na pewną swobodę, kiedy już wyrwie mu się z rąk młotek i zmyje krew.

– Potrzebujemy lepszej dokładności.

– To niemożliwe.

– Mamy zrozumieć, że nie potrafi pan zbudować dokładniejszego zegara?

– Nie, nie potrafię. A jeśli ja nie potrafię, to nie dokona tego żaden inny zegarmistrz w mieście. Wiedziałbym, gdyby im się udało.

– Taki dumny? Jest pan pewien?

– Wiedziałbym.

Wiedziałby. Wiedziałby na pewno. Zegary świecowe czy wodne... to były zabawki, które trzymał ze względu na pewien szacunek dla tych początków mierzenia czasu. A i tak poświęcił długie tygodnie na eksperymenty z różnymi rodzajami wosku i pojemników, nim w końcu zmienił te prymitywne czasomierze w coś, według czego prawie by można regulować zegarek. Nic nie szkodzi, że nie mogły być zbyt dokładne – to proste, organiczne twory, parodie czasu. Nie działały mu na nerwy. Ale prawdziwy zegar... no cóż, to był mechanizm, przedmiot kierowany liczbami, a liczby muszą być perfekcyjne.

Znowu przechyliła głowę.

– A jak pan sprawdza tę dokładność? – zainteresowała się.

Często pytali go o to w gildii, kiedy objawił już swój talent. Wtedy też nie umiał odpowiedzieć, ponieważ takie pytanie nie miało sensu. Buduje się zegar, żeby był dokładny. Malarz portrecista maluje obraz. Jeśli jest podobny do obiektu, to stanowi dokładny portret. Jeśli zbuduje się zegar poprawnie, to będzie dokładny. Nie trzeba go sprawdzać. Po prostu się wie.

– Wiedziałbym.

– Chcemy, żeby zbudował pan zegar, który jest bardzo dokładny.

– Jak dokładny?

– Dokładny.

– Ale każdą moją konstrukcję ograniczają własności materiałów. Owszem, opracowałem pewne techniki, lecz pozostały takie kwestie, jak wibracje ruchu ulicznego, drobne zmiany temperatury... Takie rzeczy.

Lady LeJean przyglądała się teraz rzędomi grubych zegarków napędzanych przez chochliki. Wzięła jeden do ręki i otworzyła kopertę. Wewnątrz były pedały i maleńkie siodełko, ale puste i smutne.

– Nie ma chochlików?

– Trzymam te zegarki jako ciekawostki historyczne – wyjaśnił Jeremy. – Mają

dokładność ledwie kilku sekund na minutę, a na noc całkiem się zatrzymują. Mogą się przydać tylko komuś, kto sobie dokładność wyobraża jakoś „tak koło drugiej”.

Skrzywił się, wymawiając tę frazę. Miał uczucie, jakby przejechał paznokciami po tablicy.

– A co z inwarem? – zapytała lady LeJean, wciąż rozglądając się po zegarowym muzeum.

Jeremy był zaszokowany.

– Nie sądziłem, że ktoś poza gildią wie o istnieniu tego stopu. Jest bardzo kosztowny. Wart więcej złota, niż waży.

– Pieniądze nie stanowią problemu – oznajmiła lady LeJean. – Czy inwar pozwoli panu uzyskać całkowitą dokładność?

– Nie. Już teraz go używam. To prawda, że nie wpływa na niego temperatura, ale zawsze istnieją... bariery. Mniejsze i mniejsze zakłócenia stają się większymi i większymi problemami. To paradoks Xenona.

– Ach tak. To ten filozof z Efebu, który twierdził, że nie można trafić strzałą biegnącego człowieka.

– W teorii, ponieważ...

– Ale Xenon przedstawił cztery paradoksy, o ile wiem – rzekła lady LeJean. – Dotyczyły idei, że istnieje coś takiego jak najmniejsza możliwa jednostka czasu. Ale ona musi istnieć, nieprawdaż? Rozważmy teraźniejszość. Musi mieć pewną długość, ponieważ jeden jej koniec łączy się z przeszłością, a drugi z przyszłością. Gdyby nie miała długości, to nie mogłaby istnieć. Nie miałyby czasu, żeby w nim zaistnieć.

Jeremy się zakochał – całkiem nagle. Nie czuł takich emocji od dnia, kiedy zdjął tylną pokrywę z zegara w pokoju dzieciennym. Miał wtedy czternaście miesięcy.

– W takim razie mówi pani o... o słynnym tykaniu wszechświata – powiedział. – Ale żaden mechanik nie zdoła wykonać tak małych trybików...

– To zależy, co nazwiemy trybikiem. Czytał pan to?

Skinęła na jednego z trolli, który przyczłapał i rzucił na ladę podłużny pakunek.

Jeremy odwinął paczkę. Wewnątrz była niewielka książka.

– „Takie srogie bajeczki”?

– Proszę przeczytać opowieść o szklanym zegarze z Bad Schüschlein.

– Bajki dla dzieci? – zdziwił się Jeremy. – Czego mogę się z nich nauczyć?

– Kto wie? Odwiedzimy pana znowu jutro – powiedziała lady LeJean. – Aby poznać pańskie plany. A oto niewielki dowód naszego zaufania.

Troll położył na ladzie duży skórzany worek, który brzęknął głębokim, mocnym brzękiem złota. Jeremy nie poświęcił mu szczególnej uwagi. Miał całkiem sporo złota. Nawet doświadczeni zegarmistrze przychodzili kupować jego zegary. Złoto było użyteczne, ponieważ dawało mu czas, by pracować nad kolejnymi zegarami. A one

przynosiły więcej złota. Praktycznie biorąc, złoto było czymś, co zajmowało miejsce pomiędzy zegarami.

– Możemy także uzyskać dla pana duże ilości inwaru – mówiła dalej. – Będzie częścią pańskiego honorarium, choć zgadzam się, że nawet inwar nie nadaje się do pańskich celów. Panie Jeremy, oboje wiemy, że pańskim wynagrodzeniem za stworzenie pierwszego naprawdę dokładnego zegara będzie szansa na stworzenie pierwszego naprawdę dokładnego zegara. Tak?

Uśmiechnął się nerwowo.

– To by było... cudowne, gdyby okazało się możliwe – przyznał. – Naprawdę, to... byłby koniec zegarmistrzostwa.

– Tak – zgodziła się lady LeJean. – Nikt już więcej nie musiałby budować zegarów.

Tik

To biurko jest uporządkowane.

Leży na nim stos książek i linijka.

W tej chwili jest tam również zegar zrobiony z tektury.

Panna Susan sięgnęła po niego.

Inne nauczycielki w szkole znane były jako Stephanie czy Joan, ale ona dla swoich uczniów zawsze była surową panną Susan. „Surowa” to określenie, które zdawało się całkowicie opisywać pannę Susan; w swojej klasie upierała się przy tej „pannie” tak samo, jak król upiera się przy „waszej wysokości”, i właściwie z tych samych powodów.

Ubierała się na czarno, czego dyrektorka nie aprobowала, ale nic nie mogła poradzić, ponieważ – no cóż – czerń jest kolorem poważnym. Panna Susan była młoda, ale roztaczała wkoło aureę nieokreślonego wieku. Włosy – tak jasne, że aż białe, z jednym czarnym pasmem – zaczesywała w ciasny kok. Tego dyrektorka również nie aprobowала; kok sugerował Archaiczny Wizerunek Nauczania, jak twierdziła z pewnością siebie kogoś, kto potrafi wymawiać wielkie litery. Ale nie śmiała wyrażać dezaprobaty co do sposobu, w jaki panna Susan się porusza, albowiem panna Susan poruszała się jak tygrys.

Prawdę mówiąc, niezwykle trudno wyrażało się dezaprobatę dla panny Susan w jej obecności, ponieważ wtedy rzucała człowiekowi Spojrzenie. Absolutnie nie było groźne, raczej spokojne i obojętne. Ale człowiek nie chciałby znowu go zobaczyć.

Spojrzenie działało też w klasie. Weźmy na przykład pracę domową, kolejną Archaiczną Praktykę, której dyrektorka była bezskutecznie Przeciwna. Nigdy żaden

pies nie zjadł pracy domowej żadnego z uczniów panny Susan, ponieważ było w pannie Susan coś, co towarzyszyło im nawet w domu. Dlatego pies raczej przynosił im pióro i patrzył błagalnie, by skończyli odrabiać zadania. Panna Susan posiadała też chyba bezbłędny instynkt pozwalający jej wykrywać lenistwo i pracowitość. Wbrew instrukcjom dyrektorki nie pozwalała dzieciom robić tego, co lubią. Pozwalała im robić to, co sama lubiła. Okazywało się to o wiele ciekawsze dla wszystkich zainteresowanych.

Panna Susan podniosła tekturowy zegar.

– Kto mi powie, co to jest? – zapytała.

W górę podniósł się las rąk.

– Proszę, Mirando.

– To jest zegar, panno Susan.

Panna Susan się uśmiechnęła. Starannie ominęła wzrokiem rękę, którą wymachiwał w górze Vincent, wydający przy tym rozgorączkowane odgłosy „ooo, ooo, ooo, ooo”, i wybrała chłopca siedzącego za nim.

– Prawie dobrze – stwierdziła. – Słucham, Samuelu.

– To jest tektura zrobiona tak, żeby wyglądała jak zegar – powiedział chłopiec.

– Zgadza się. Zawsze starajcie się zobaczyć to, co jest naprawdę. Otóż powinnam teraz nauczyć was odczytywać z tego godziny...

Skrzywiła się z niechęcią i odrzuciła tekturowy zegar.

– Spróbujemy innego sposobu? – zapytała i pstryknęła palcami.

– Tak! – zawołała klasa chórem, po czym westchnęła: – Aach... – kiedy zniknęły ściany, podłoga i sufit, a ławki zawisły wysoko nad miastem.

O kilka stóp od nich tkwiła ogromna, popękana tarcza zegara na wieży Niewidocznego Uniwersytetu.

Dzieci szturchały się nawzajem podniecone. Fakt, że pod ich nogami znajdowało się w tej chwili trzysta stóp świeżego powietrza, najwyraźniej nie wzbudzał w nich niepokoju. Co dziwne, nie były też chyba zaskoczone. Po prostu oglądały ciekawy obiekt. Zachowywały się jak koneserzy, którzy widzieli już dużo takich ciekawostek. Bo widziało się je, kiedy się było w klasie panny Susan.

– Teraz ty, Melanio... – zaczęła panna Susan, a na jej biurku wylądował gołąb. – Duża wskazówka jest na dwunastce, gigantyczna wskazówka prawie na dziesiątce, czyli jest godzina...

Vincent natychmiast wyciągnął rękę.

– Ooo, panno Susan, ooo, ooo...

– Prawie dwunasta – wykrztusiła w końcu Melania.

– Dobrze. Ale tutaj...

Otoczenie się rozmyło. A po chwili ławki, wciąż w idealnej formacji, stanęły

twardo na bruku placu w innym mieście. Tak samo jak większa część klasy. Były tu szafki, wystawa przyrody i tablica. Ale ściany nadał się nie pojawiły.

Nikt na placu nie zwracał uwagi na przybyszów, lecz – co dziwne – nikt też nie próbował przejść przez miejsce, jakie zajmowali. Powietrze było tu cieplejsze, pachniało morzem i bagnami.

– Kto wie, gdzie jesteśmy?

– Ooo, panno Susan, ooo, ooo... – Vincent mógłby wyciągnąć rękę wyżej tylko wtedy, gdyby jego stopy oderwały się od podłoża.

– Może ty, Penelopo?

– Oj, panno Susan... – jęknął załamany Vincent.

Penelopa, która była śliczna, potulna i trochę tępa, rozejrzała się po zatłoczonym placu i z wyrazem twarzy bliskim paniki popatrzyła na białe budynki z licznymi markizami.

– Byliśmy tu w zeszłym tygodniu na geografii – odpowiedziała panna Susan. – Miasto otoczone bagnami. Nad rzeką Vieux. Sławne ze swojej kuchni. Popularne owocem morza...

Zmarszczka przecięła gładkie czoło Penelopy. Gołąb z biurka panny Susan sfrunął i dołączył do stadka gołębi poszukujących odpadków między kamieniami bruku; gruchał cicho w pidgin-gołębicim.

Świadoma, że wiele może się zdarzyć, kiedy ludzie czekają, aż Penelopa zakończy proces myślowy, panna Susan skinęła na warsztat zegarmistrza po drugiej stronie placu.

– Kto mi powie, która godzina jest tutaj, w Genoi?

– Ooo, panno Susan, ooo...

Gordon ostrożnie przyznał, że może być trzecia, ku słyszalnemu rozczarowaniu ponownie wyprostowanego Vincenta.

– Zgadza się – pochwaliła panna Susan. – A czy ktoś umie wyjaśnić, dlaczego w Genoi jest trzecia, podczas gdy w Ankh-Morpork dopiero dwunasta?

Tym razem nie było wyjścia. Gdyby ręka Vincenta wystrzeliła do góry choć trochę szybciej, przypaliłaby się od oporu powietrza.

– Tak, Vincencie?

– Ooo panno Susan prędkość światła ono leci sześćset mil na godzinę a słońce wyłania się znad Krawędzi niedaleko Genoi więc dwunasta w południe potrzebuje trzech godzin żeby do nas dotrzeć panno Susan!

Panna Susan westchnęła.

– Bardzo dobrze, Vincencie – powiedziała, wstając.

Dzieci śledziły każdy jej gest, kiedy podchodziła do Komórki z Materiałami Piśmiennymi. Okazało się, że komórka dotarła tu wraz z nimi. Co więcej, gdyby

ktokolwiek zwracał uwagę na takie rzeczy, mógłby dostrzec w powietrzu delikatne linie wyznaczające kształty ścian, okien i drzwi. Gdyby w dodatku był inteligentnym obserwatorem, powiedziałby: A zatem ta klasa w pewnym sensie nadal jest w Ankh-Morpork, ale również w Genoi, prawda? Czy to jakaś sztuczka? Czy to prawda? Czy może wyobraźnia? A może, dla tej szczególnej nauczycielki, to całkiem niewielka różnica?

Wnętrze komórki także było obecne. W tej mrocznej, pachnącej papierem głębi panna Susan trzymała... gwiazdki.

Leżały tam złote gwiazdki i srebrne gwiazdki. Jedna złota warta była trzy srebrne.

Dyrektorka ich również nie aprobowała. Twierdziła, że zachęcają do Rywalizacji. Panna Susan odparła, że o to właśnie chodzi, a dyrektorka popędziła gdzieś, zanim trafiło ją Spojrzenie.

Srebrne gwiazdki nie były wręczane często, a złote zdarzały się rzadziej niż raz na dwa tygodnie i walczone o nie odpowiednio. W tej chwili panna Susan wybrała srebrną gwiazdkę. Już niedługo prymus Vincent będzie miał całą własną galaktykę. Trzeba przyznać, że nie przejmował się, jaką gwiazdkę dostaje. Lubił ilość. Panna Susan prywatnie uznała go za Chłopca, który z Największym Prawdopodobieństwem Zostanie Pewnego Dnia Zamordowany przez Własną Żonę.

Wróciła do biurka i położyła kuszącą gwiazdkę przed sobą.

– I jeszcze jedno, ekstraspecjalne pytanie – oznajmiła z lekkim tonem złośliwości w głosie. – Czy to znaczy, że tam jest „wtedy”, kiedy tutaj jest „teraz”?

Ręka zwolniła w połowie drogi.

– Ooo... – zaczął Vincent i znieruchomiał. – Ale to przecież nie ma sensu, panno Susan...

– Pytania nie muszą mieć sensu, Vincencie – odparła panna Susan. – Ale odpowiedzi tak.

Od strony Penelopy rozległo się jakby westchnienie. Ku zaskoczeniu panny Susan, wyraz jej twarzy – która pewnego dnia z pewnością zmusi ojca do wynajęcia ochroniarzy – porzucił normalne szczęśliwe rozmarzenie i formował się do odpowiedzi. Alabastrowa ręka sunęła w górę.

Klasa patrzyła wyczekująco.

– Tak, Penelopo?

– Jest...

– Tak?

– Jest zawsze teraz, wszędzie, panno Susan...

– Właśnie tak. Brawo! Dobrze, Vincencie, masz tu srebrną gwiazdkę. A dla ciebie, Penelopo...

Panna Susan wróciła do komórki. Skłonienie Penelopy do wynurzenia się ze swej

chmury na czas dostatecznie długi, by udzielić odpowiedzi na pytanie, samo w sobie godne było gwiazdki. Ale tak głębokie filozoficzne stwierdzenie zasługiwało na złotą.

– Otwórzcie teraz zeszyty i zapiszcie to, co przed chwilą powiedziała nam Penelopa – poleciła panna Susan z satysfakcją, wracając na miejsce.

I wtedy zobaczyła, że kałamarz na jej biurku zaczyna się unosić, całkiem jak ręka Penelopy. Było to ceramiczne naczynie, które gładko wsuwało się w okrągły otwór w blacie. Teraz wysunęło się i zobaczyła, że spoczywa na uśmiechniętej czaszce Śmierci Szczurów.

Mrugnął do panny Susan jarzącym się błękitem oczodołem.

Szybkimi ruchami, nie patrząc nawet, panna Susan jedną ręką odsunęła kałamarz, a drugą sięgnęła po gruby tom baśni. Uderzyła nim w otwór tak mocno, że czarnoniebieski atrament chlapnął na bruk.

Potem uniosła blat biurka i zajrzała do środka.

Oczywiście, niczego tam nie było. Przynajmniej niczego makabrycznego...

...chyba żeby liczyć kawałek czekolady, do połowy zgryziony szczurzymi zębami, i liścik napisany ciężkim gotykiem:

Spotkamysię

podpisany dobrze znanym symbolem alfy i omegi oraz słowem

Dziadek

Susan chwyciła kartkę i zmięła ją w kulkę. Zauważyła, że trzęsie się ze złości. Jak on śmiał? I jeszcze wysłał tu szczura!

Rzuciła kulkę do kosza. Nigdy nie chybiała. Czasami kosz się przesunął, by nie chybiała.

– A teraz wybierzemy się sprawdzić, która godzina jest w Klatchu – powiedziała do czekających dzieci.

Na biurku książka otworzyła się na pewnej szczególnej stronie. Później nadejdzie czas czytania bajek... Panna Susan zastanowi się – za późno – dlaczego ta książka znalazła się na jej biurku, jeśli wcześniej nawet jej nie widziała.

A plama czarnoniebieskiego atramentu miała pozostać na bruku placu w Genoi, dopóki nie zmyje jej wieczorna ulewa.

Tik

Jakie pierwsze słowa czytają szukający oświecenia w tajemniczych, rozbrzmiewających gongami, nawiedzanych przez yeti dolinach niedaleko osi świata? Te, które widzą, kiedy zaglądną w „Życie Wena Wiecznie Zaskoczonego”.

Pierwsze pytanie, jakie zadają, brzmi:

– Dlaczego on był wiecznie zaskoczony?

I słyszą w odpowiedzi:

– Wen rozważył naturę czasu i zrozumiał, że wszechświat jest, chwila za chwilą, odtwarzany na nowo. Zrozumiał więc, że w rzeczywistości przeszłość nie istnieje, jedynie wspomnienie przeszłości. Mrugnijcie oczami, a świat, który zobaczycie, nie istniał, kiedy zamykaliście powieki. Zatem, jak stwierdził, jedynym właściwym stanem umysłu jest zaskoczenie. Jedynym właściwym stanem serca jest radość. Niebo, które widzicie, nie było jeszcze nigdy przez was oglądane. Moment absolutnej perfekcji jest teraz. Cieszcie się nim.

Pierwsze słowa, jakie przeczytał młody Lu-tze, gdy szukał zdziwienia w mrocznym, tłocznym i zalanym deszczem mieście Ankh-Morpork, brzmiały: „Pokoje do wynajęcia, ceny przystępne”. I cieszył się nimi.

Tik

Tam, gdzie kraina jest odpowiednia dla ziarna, ludzie uprawiają rolę. Znają się na dobrej glebie. Sieją zboże.

W krainie żelaza paleniska przez całą noc pokrywają niebo czerwienią. Młoty nigdy nie cichną. Ludzie wytwarzają stal.

Istnieje kraina węgla i kraina mięsa, i kraina traw. Świat pełen jest takich krain, gdzie jeden element kształtuje ziemię i ludzi. A ta okolica, w górskich dolinach wokół osi świata, gdzie śnieg nigdy nie jest zbyt odległy, jest krainą oświecenia.

Żyją tu ludzie, którzy wiedzą, że nie ma żadnej stali, jest tylko idea stali. [Nadal jednak używają widelców, a w każdym razie idei widelców. Być może, jak twierdzi filozof, nie ma żadnej łyżki, choć teza ta nasuwa pytanie, dlaczego istnieje idea zupy.] Nadają imiona nowym rzeczom i rzeczom, które nie istnieją. Poszukują esencji bytu i natury duszy. Tworzą mądrość.

Świątynie wznoszą się w każdej lodowcowej dolinie, a wiatr niesie drobinki lodu nawet w środku lata.

Są tu mnisi nasłuchujący, próbujący wykryć wśród gwaru świata słabe echa dźwięków, które wprowadziły wszechświat w ruch.

Są bracia luzu, skryta i zagadkowa sekta, wierząca, że tylko przez ostateczny luz można zrozumieć wszechświat, że czerń pasuje do wszystkiego, a chrom nigdy naprawdę nie wyjdzie z mody.

W przyprawiającej o zawrót głowy świątyni, poprzecinanej napiętymi linami, mnisi balansujący badają naprężenia świata, a potem wyruszają na długie i niebezpieczne wyprawy, by przywrócić mu równowagę. Ich dzieła można odkryć na wysokich szczytach i odległych wysepkach. Używają małych mosiężnych odważników, nie większych niż pięść. Są skuteczne. Oczywiście, że są skuteczne. Świat się jak dotąd nie przewrócił.

A w największej, najzieleniejszej, najprzestronniejszej ze wszystkich dolin, gdzie dojrzewają morele, a nawet w najgorętsze dni strumykami spływa lód, wyrasta klasztor Oi Dong, gdzie żyją waleczni mnisi zakonu Wena. Inne sekty nazywają ich mnichami historii. Niewiele wiadomo o ich działalności, choć niektórzy dostrzegli niezwykle fakt, że w ich dolinie zawsze trwa piękny wiosenny dzień, a gałązki drzew wiśniowych zawsze pokryte są kwiatami.

Plotka głosi, że mnisi mają obowiązek dopilnować, by jutro nastąpiło zgodnie z jakimś mistycznym planem stworzonym przez człowieka, który cały czas był zaskoczony.

W rzeczywistości już od pewnego czasu – a byłoby niemożliwe i wręcz śmieszne określenie, od jak dawna – prawda była bardziej niezwykła i bardziej niebezpieczna.

Obowiązkiem mnichów historii było pilnowanie, by jutro w ogóle nadeszło.

Mistrz nowicjatu spotkał się z Rinpo, głównym akolitą opata. W tych dniach stanowisko głównego akolity było bardzo ważne. W swym obecnym stanie opat wymagał troskliwej opieki, a jego okres skupienia uwagi był dość krótki. W takich okolicznościach zawsze znajdzie się ktoś chętny, by ponieść brzemię. Wszędzie są jacyś Rinpo.

– To znowu Ludd – rzekł mistrz nowicjatu.

– Och, przecież jeden nieposłuszny dzieciak nie może sprawić ci kłopotów.

– Zwykły nieposłuszny dzieciak nie. Skąd on pochodzi?

– Mistrz Soto go przysłał. Pamiętasz? Z sekcji Ankh-Morpork. Znalazł go gdzieś w mieście. Chłopak ma wrodzony talent, jak rozumiem – wyjaśnił Rinpo.

Mistrz nowicjatu był zaszokowany.

– Talent? To złośliwy złodziejaszek! Przypominam sobie, że był uczniem w Gildii Złodziei!

– I co? Dzieci czasami kradną. Wystarczy zbić je trochę i przestają. To edukacja na poziomie podstawowym.

– Aha. Ale jest pewien problem.

– Tak?

– On jest bardzo, ale to bardzo szybki. Wokół niego znikają różne rzeczy. Drobne rzeczy. Nieistotne rzeczy. Ale nawet podczas pilnej obserwacji nikt nie zauważył, kiedy je zabiera.

– Może zatem ich nie zabiera?

– Przechodzi przez pokój i różne rzeczy znikają! – oświadczył mistrz nowicjatu.

– Aż tak jest szybki? W takim razie dobrze się stało, że mistrz Soto go odkrył. Lecz po co kradnie...

– Pojawiają się później w dziwnych miejscach – przyznał mistrz nowicjatu z wyraźną niechęcią. – Jestem pewien, że robi to dla psoty.

Zefirek dmuchnął przez taras zapachem kwiatów wiśni.

– Jestem przyzwyczajony do nieposłuszeństwa – oświadczył mistrz nowicjatu. – Nowicjusze często tacy bywają. Ale on jest również opieszły.

– Opieszły?

– Zjawia się na lekcje spóźniony.

– Jak uczeń może być opieszły tutaj?

– Pan Ludd chyba się nie przejmuje. Pan Ludd wydaje się myśleć, że może robić, co chce. Jest także... bystry.

Akolita pokiwał głową. No tak, bystry. To słowo miało w dolinie bardzo szczególne znaczenie. Bystry chłopiec uważał, że wie więcej od swoich nauczycieli. Odszczekiwał. Wtrącał się. Bystry chłopiec był gorszy od głupiego.

– Nie akceptuje dyscypliny?

– Wczoraj – rzekł mistrz nowicjatu – kiedy zabrałem klasę na zajęcia z teorii temporalnej w Sali Kamiennej, gapił się w ścianę. Widziałem, że nie uważa. Ale kiedy wywołałem go i kazałem odpowiedzieć na pytanie, jakie napisałem kredą na tablicy, wiedząc, że nie potrafi, on odpowiedział. Natychmiast. I poprawnie.

– Mówiłeś przecież, że jest bystry.

Mistrz nowicjatu był wyraźnie zakłopotany.

– Tylko że... to nie było właściwe pytanie. Wcześniej prowadziłem zajęcia z agentami terenowymi Piątego Djimu i zostawiłem na tablicy część ich testu. To był wyjątkowo skomplikowany problem przestrzeni fazowej, z uwzględnieniem rezydualnych wibracji harmoniczných w n -historiach. Żaden z agentów nie rozwiązał go poprawnie. Szczerze mówiąc, nawet ja musiałem zajrzeć do odpowiedzi.

– Zakładam więc, że ukarałeś go za brak odpowiedzi na właściwe pytanie?

– Oczywiście. Ale takie zachowanie zakłóca porządek. Cały czas mam wrażenie, że on nie jest w pełni obecny. Nigdy nie uważa, zawsze zna odpowiedzi i nigdy nie potrafi wytłumaczyć, skąd je zna. Nie możemy bez przerwy go karać. Daje zły przykład innym uczniom. Nie da się wyedukować tak bystrego chłopca.

Akolita w zadumie obserwował stado białych gołębic krążących nad dachem klasztoru.

– Nie możemy go teraz odesłać – stwierdził w końcu. – Soto widział, jak wykonuje Pozycję Kojota! W ten sposób go odkrył! Wyobrażasz sobie? Bez żadnego szkolenia!

I czy potrafisz sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby ktoś z takimi umiejętnościami biegał po świecie bez żadnej kontroli? Dzięki losowi, że Soto był czujny.

– Ale przez niego chłopak teraz jest moim problemem. On zakłóca spokój.

Rinpo westchnął. Mistrz nowicjatu był dobrym i odpowiedzialnym człowiekiem, wiedział o tym, ale wiele czasu już minęło od dnia, kiedy wędrował poza doliną. Tacy ludzie jak Soto każdy dzień swego życia spędzali w świecie czasu. Uczyli się elastyczności, ponieważ jeśli ktoś tam był sztywny, to był martwy. Tacy ludzie jak Soto... Zaraz, to całkiem niezły pomysł..

Spojrzał na kraniec tarasu, gdzie dwóch służących zmiatało płatki kwiatów wiśni.

– Dostrzegam harmonijne rozwiązanie – rzekł.

– Tak?

– Chłopiec tak niezwykle utalentowany jak Ludd potrzebuje mistrza, a nie dyscypliny klasowej.

– Możliwe, ale...

Mistrz nowicjatu podążył wzrokiem za spojrzeniem Rinpo.

– Och... – powiedział.

I uśmiechnął się w sposób nie do końca miły. Uśmiech zawierał pewien element wyczekiwania, sugestię, że może różne kłopoty czekają kogoś, kto – jego zdaniem – dobrze na nie zasłużył.

– Pewne imię przychodzi mi na myśl... – powiedział Rinpo.

– Mnie również – zgodził się mistrz nowicjatu.

– Imię, które słyszałem zbyt często – ciągnął Rinpo.

– Przypuszczam, że albo on złamie chłopaka, albo chłopak jego złamie, albo, co zawsze możliwe, złamią się nawzajem...

– A zatem, w dialekcie świata, zawsze będziemy górą.

– Ale czy opat się zgodzi? – zastanowił się mistrz nowicjatu, szukając słabych punktów w tym świetnym planie. – Zawsze żywił pewien irytujący szacunek dla... sprzątacza.

– Opat jest człowiekiem łagodnym i dobrotliwym, ale w tej chwili cierpi na dolegliwości związane z zębami, a w dodatku nie chodzi zbyt sprawnie – odparł Rinpo. – A mamy trudny czas. Jestem pewien, że z przyjemnością przychyli się do naszej wspólnej rekomendacji. Cóż, praktycznie to przecież drobna sprawa dotycząca zwykłej, codziennej działalności.

I w ten sposób zdecydowała się przyszłość.

Nie byli złymi ludźmi. Od setek lat ciężko pracowali dla dobra doliny. Ale możliwe, że po pewnym czasie u takich ludzi pojawiają się pewne groźne przyzwyczajenia myślowe. Jedno z nich mówi, że o ile każde ważne przedsięwzięcie

wymaga starannej organizacji, to właśnie organizacja wymaga zorganizowania, nie przedsięwzięcie. A inne – że spokój zawsze jest czymś pożądanym.

Tik

Na nocnej szafce stał rząd budzików. Jeremy ich nie potrzebował, ponieważ budził się, kiedy chciał. Stały tam w celu kontroli. Ustawiał je na siódmą, a potem budził się o 6.59 i sprawdzał, czy odzywają się na czas.

Wieczorem położył się wcześniej, z kubkiem wody i „Takimi srogimi bajeczkami”.

Nigdy nie interesowały go takie historie, w żadnym wieku, i nigdy nie zrozumiał kluczowych założeń. Nigdy nie przeczytał tekstu literackiego do końca. Pamiętał, że jako małego chłopca naprawdę zezłościł go wierszyk „Choć myszka bardzo się stara, nie może przegonić zegara” w poszarpanej książce dziecięcych rymowanek, ponieważ zegar na obrazku zupełnie nie pasował do epoki.

Próbował czytać „Takie srogie bajeczki”. Miały tytuły w stylu: Jak zła królowa tańczyła w rozpalonych do czerwoności trzewieczkach” albo „Staruszka w piekarniku”. I w żadnej z nich nie wspomniano o żadnym zegarze dowolnego rodzaju. Autorzy chyba sobie postanowili umyślnie je pomijać.

Dopiero w „Szklanym zegarze z Bad Schüschlein” występował zegar. W pewnym sensie. I był... dziwny. Niegodziwy człowiek – czytelnicy wiedzieli, że jest niegodziwy, ponieważ było to napisane czarno na białym – zbudował zegar ze szkła, w którym uwięził Czas, ale nie udało mu się, ponieważ jednej części zegara – sprężyny – nie mógł zrobić ze szkła i ta sprężyna pękła od naprężenia. Czas wyrwała się na wolność, a ów człowiek w jednej sekundzie postarzał się o dziesięć tysięcy lat, rozsypał się w pył i – co Jeremy'ego wcale nie zdziwiło – nikt go już więcej nie widział. Opowieść kończyła się morałem: „Wielkie przedsięwzięcia zależą od drobnych szczegółów”. Jeremy nie rozumiał, czemu nie równie dobrym: „Nieładnie jest więzić nieistniejące kobiety w zegarach” albo „Udałoby się ze szklaną sprężyną”.

Ale nawet dla niedoświadczonego oka Jeremy'ego w całej tej historii coś wyraźnie nie pasowało. Wydawało się, że autor usiłuje jakoś wytłumaczyć coś, co zobaczył albo usłyszał i nie zrozumiał. W dodatku – ha! – choć akcja rozgrywała się przed setkami lat, kiedy nawet w Überwaldzie istniały tylko naturalne zegary z kukułkami, ilustrator narysował wąski zegar szafkowy – taki typ nie istniał jeszcze piętnaście lat temu. Głupota pewnych osób była doprawdy przerażająca. Można by się śmiać, gdyby nie było to takie tragiczne.

Jeremy odłożył książkę i przez resztę wieczoru zajął się drobnym projektem dla gildii. Płacili mu hojnie, pod warunkiem że nigdy nie zjawi się tam osobiście.

Następnie odłożył pracę na nocną szafkę, obok budzików. Zdmuchnął świecę. Zasnął. I śnił.

Szklany zegar tykał. Stał na środku drewnianej podłogi warsztatu, otoczony srebrzystym blaskiem. Jeremy obszedł go dookoła, a może to zegar zawirował łagodnie wokół niego.

Był wyższy niż człowiek. W przezroczystej obudowie połyskiwały niczym gwiazdy czerwone i niebieskie światełka. Powietrze pachniało kwasem.

Po chwili Jeremy zanurkował do wnętrza obiektu, krystalicznego obiektu, sunąc przez warstwy szkła i kwarcu. Przesuwały się obok, ich gładkie powierzchnie zmieniały się w ściany wysokie na setki mil, on zaś wciąż spadał między blokami, które stawały się szorstkie, ziarniste...

...pełne dziur. Błękitne i czerwone światło jaśniało również tutaj i przelewało się wokół.

Dopiero teraz zabrzmiał dźwięk. Dochodził z ciemności przed nim – powolny, śmiesznie znajomy rytm, puls wzmocniony milion razy...

...ts-zumm... ts-zumm...

...każde uderzenie powolniejsze niż góry i większe niż światy, ciemne i krwistoczerwone. Usłyszał jeszcze kilka, po czym wyhamował i zaczął wznosić się z powrotem przez padające światło, aż jasność z przodu stała się pokojem.

Musiał wszystko zapamiętać! Było takie oczywiste, kiedy już to zobaczył! Takie proste! Takie łatwe! Widział każdą część, widział, jak się ze sobą łączą, jak są wykonane.

A potem obraz zaczął się rozwiewać.

Oczywiście, to przecież tylko sen. Powiedział tak sobie i to go pocieszyło. Ale musiał przyznać, że z tym konkretnym snem zadał sobie sporo trudu. Na przykład kubek herbaty parował na blacie obok, a głosy za drzwiami...

Słyszał pukanie. Zastanowił się, czy sen dobiegnie końca, kiedy drzwi się otworzą, a potem drzwi zniknęły, a stukanie trwało nadal. Dobiegało z dołu.

Była 6.47. Jeremy zerknął na budziki, by się upewnić, że chodzą prawidłowo, potem narzucił szlafrok i zbiegł po schodach. Uchylił frontowe drzwi. Nikogo za nimi nie było.

– Nie... Tutaj niżej, szefie.

Ktoś niżej okazał się krasnoludem.

– Niejaki Clockson? – zapytał.

– Tak.

Przez szczelinę zostały wciśnięte jakieś papiery.

– Podpisać tam, gdzie jest napisane „Tu podpisać”. Dziękuję. Dobra, chłopcy...

Za nim dwa trolle przechyliły ręczny wózek. Duża drewniana skrzynia huknęła o bruk.

– Co to jest? – zapytał Jeremy.

– Przesyłka ekspresowa – wyjaśnił krasnolud i odebrał papiery. – Aż z Überwaldu. Musiała kogoś nieźle szarpnąć. Patrz pan na te wszystkie stemple i nalepki.

– Możecie ją wnieść...? – zaczął Jeremy, ale wózek już się oddalał z wesołym brzękiem i dzwonieniem kruchych przesyłek.

Zaczęło padać. Jeremy przyjrzał się skrzyni. Była z pewnością zaadresowana do niego, równym, okrągłym pismem, a zaraz wyżej widniała pieczęć z dwugłowym nietoperzem Überwaldu. Nie znalazł żadnych innych oznaczeń, z wyjątkiem napisu na samym dole:

Tę stronę do góry

A potem skrzynia zaczęła kłąć. Słowa dobiegały stłumione i w obcym języku, ale wszystkie przekleństwa mają pewną międzynarodową zawartość.

– Halo? – odezwał się Jeremy.

Skrzynia zakołysała się i wylądowała na boku przy akompaniamencie dodatkowych przekleństw.

Ze środka dobiegło łomotanie, głośniejsze przekleństwa i skrzynia znowu chwiejnie stanęła w pionie, z domniemaną górą w górze.

Kawałek deski się odsunął i na ulicę z brzękiem upadł łom. Głos, który niedawno przeklinał, powiedział:

– Jefli pan będzie łafkaw...

Jeremy wsunął łom w dogodnie wyglądającą szczelinę i pociągnął.

Skrzynia się rozpadła. Jeremy upuścił łom. Wewnątrz była... jakaś istota.

– Nie rozumiem – powiedziała, strzepując z siebie kawałki opakowania. – Ofiem niefczęfnych dni bez problemów, aż ci idioci pomylili fię na famym progu. – Skinął Jeremy'emu głową. – Dzień dobry jafnie panu. Jak fądzę, mam przyjemnofć z panem Jeremym?

– Tak, ale...

– Mam na imię Igor, fir. To moje referencje.

Ręka sugerująca katastrofę w tartaku, pokryta licznymi szwami, podała Jeremy'emu plik papierów. Odkoczył odruchowo, ale zaraz się zawstydził i wziął je.

– Myślę, że to jakieś nieporozumienie – oświadczył.

– Nie, żadne nieporozumienie – zapewnił Igor, spośród szczątków skrzyni wyciągając torbę. – Potrzebuje pan afyfntenta. A jefli chodzi o afyfntentów, nie można trafić lepiej niż z Igorem. Wfyfcy to wiedzą. Czy moglibyfmy zejfc z defczu, fir? Kolana mi rdzewieją.

– Ja wcale nie potrzebuję asys... – zaczął Jeremy, ale to przecież nie była prawda.

Nie potrafił tylko utrzymać asystenta. Wszyscy odchodzili po tygodniu.

– Dzień dobry! – odezwał się wesoły głos.

Następny wózek stanął przed drzwiami. Ten lśnił higieniczną bielą, był pełen baniek z mlekiem i miał wymalowane na burcie „Ronald Socha, Mleczarz”. Jeremy z roztargnieniem spojrzał na promiennego pana Sochę trzymającego w obu dłoniach po butelce mleka.

– Pół kwarty, jak zwykle. I może drugie, skoro ma pan gościa?

– No... Tak, dziękuję.

– A jogurt, szefie, jest w tym tygodniu doskonały – dodał zachęcająco pan Socha.

– Nie, raczej nie, panie Socha.

– Potrzebne może jajka, śmietana, masło, maślanka albo ser?

– Właściwie nie, panie Socha.

– Wedle życzenia – rzekł niespieszony pan Socha. – W takim razie do jutra.

– No... tak – rzucił Jeremy, gdy wózek ruszył w dalszą drogę.

Pan Socha był przyjacielem, co w ograniczonym słowniku towarzyskim Jeremy'ego oznaczało kogoś, do kogo się odzywa raz czy dwa razy w tygodniu. Akceptował mleczarza, ponieważ zjawiał się regularnie i był punktualny – butelki z mlekiem trafiały przed drzwi z wybiciem siódmej.

– No to, tego... do widzenia – dodał jeszcze Jeremy.

Zwrócił się do Igora.

– Skąd wiedziałeś, że potrzebuję... – zaczął.

Ale dziwny przybysz zniknął już za drzwiami, a rozgorączkowany Jeremy dogonił go dopiero w warsztacie.

– O tak, bardzo tu ładnie – stwierdził Igor, który rozglądał się z miną konesera. – To chyba mikrotokarka Turnbull Mk3, prawda? Widziałem taką w ich katalogu. Bardzo, bardzo ład...

– Nikogo nie prosiłem o asystenta – oświadczył Jeremy. – Kto cię przysłał?

– To my Igory, fir.

– Tak, to już wiem. Ale nie...

– Nie, fir. „To my Igory”, fir. Organizacja, fir.

– Jaka organizacja?

– Biuro zatrudnienia, fir. Widzi pan, chodzi o to... Często Igor znajdzie fię między jednym a drugim panem, choć bez żadnej fwojej winy, rozumie pan. Z drugiej ftrony...

– ...Masz dwa kciuki – szepnął Jeremy, który właśnie to zauważył i nie mógł się powstrzymać. – Dwa na każdej dłoni!

– A tak, fir, to bardzo poręczne. – Igor nawet nie spojrzał. – Z drugiej ftrony nie brakuje ofób chcących zatrudnić Igora. No więc moja ciotka Igorina prowadzi ekfkluzywną agencję...

- Tylko dla Igorów?
 - Och, jeft naf całkiem fporo, fir. Jeftefmy wielką rodziną.
- Igor wręczył Jeremy'emu wizytówkę.
Jeremy przeczytał:

To my Igory

„Podamy rękę, gdy trzeba”

Stary Rathaus
Bad Schüschlein
s-mail: Takjafniepanie Überwald

Jeremy patrzył na adres semaforowy. Jego typowa ignorancja dotycząca wszystkiego, co nie ma związku z zegarami, tutaj się nie stosowała. Zainteresował się transkontynentalnym systemem semaforowym, kiedy usłyszał, że wykorzystuje liczne mechanizmy zegarowe, by przyspieszyć przepływ wiadomości. Czyli można wysłać list sekarem, żeby wynająć Igora? No, to przynajmniej wyjaśniało tempo.

- Rathaus – powiedział. – To oznacza coś w rodzaju budynku rady miejskiej, tak?
- Normalnie tak, fir... Normalnie – zapewnił uspokajająco Igor.
- Naprawdę macie w Überwaldzie adresy semaforowe?
- O tak. Jeftefmy gotowi, by uchwycić przyfłocć obiema rękami.
- I czterema kciukami?
- Tak, fir. Potrafimy chwytać jak nikt.
- I wysłałeś się tutaj pocztą?
- Oczywiście, fir. My, Igory, jesteśmy przyzwyczajeni do niewygód.

Jeremy spojrział na dokumenty, które Igor mu wręczył, i jego uwagę zwróciło nazwisko.

Papier na samym wierzchu był podpisany. Przynajmniej w pewnym sensie. Była na nim wiadomość wypisana dużymi, kanciastymi literami, równymi jak w druku, a pod spodem nazwisko.

BĘDZIE PRZYDATNY

LEJEAN

Przypomnił sobie.

– Ach, lady LeJean za tym stoi... To ona ci do mnie przysła?

– W iftocie, fir.

Wyczuwajc, e Igor oczekuje od niego czego wicej, Jeremy zaczął ostentacyjnie przegldać reszt papierów, które okazały si referencjami. Niektóre spisano czym, co – móg mieć tak nadzieję – byo zaschniętym brunatnym atramentem, jedn za pomoc kredki, a kilka byo przypalonych na brzegach. Wszystkie za okazały si do przesady pochwalne. Po chwili jednak wród sygnatariuszy dao si zauwayć pewn tendencj.

– Tu si podpisał Szalony Doktor Scoop.

– Och, on si włafciwie nie nazywa Falony, fir. To by raczej taki przydomek.

– To znaczy, e by szalony?

– Kto to wie, fir – odpar filozoficznie Igor.

– A Obakany Baron Haha? Jako Powód Rezygnacji wpisano, e zosta zmiadzony przez poncy wiatrak.

– Wzito go za kogof innego, fir.

– Naprawd?

– Tak, fir. Jak rozumiem, tłum uzna go omykowo za Wrzefczcego Doktora Berferka.

– Aha. No tak. – Jeremy zerknł w papiery. – Dla kórego równie pracowae, jak widz.

– Tak, fir.

– I kótry zmar od zakaenia krwi?

– Tak, fir. Fpowodowanego brudnymi widami.

– A... Nipsie Palownik?

– Ehm... Uwierzy pan, fir, e prowadzi budk z kebabami?

– Tak?

– Choć niezbyt konwencjonalnie, fir.

– Chcesz powiedzieć, e te by szalecem?

– No cż... Mia swoje drobne dziwactwa, muf przyznać, ale Igor nigdy nie ofdza fwojego pana czy pani, fir. Taki jet Kodekf Igorów – tłumaczy cierpliwie Igor. – Fmiefny byby to fwiat, gdybymy wfyfcy byli do fiebie podobni.

Jeremy nie mia pojecia, co powinien teraz zrobić. Nigdy sobie nie radzi w rozmowach z ludmi, a ta obecna – poza spotkaniem z lady LeJean i sporem z panem Soch na temat niechcianego sera – bya najdusz konwersacj, jak prowadzi przez ostatni rok. Dlatego e trudno byo uznać Igora za pasujcego do kategorii „ludzie”.

Do tej chwili definicja ludzi według Jeremy'ego nie obejmowała nikogo, kto ma więcej szwów niż damska torebka.

– Nie jestem pewien, czy mam dla ciebie pracę – powiedział. – Dostałem nowe zlecenie, ale nie wiem jeszcze... A zresztą nie jestem szalony!

– To nie jeft obowiązkowe, fir.

– Mam nawet dokument, który stwierdza, że nie jestem, rozumiesz...

– Brawo, fir.

– Niewielu ludzi zdobyło coś takiego!

– Fczera prawda, fir.

– I biorę lekarstwo, wiesz?

– Bardzo łufnie, fir – pochwalił Igor. – Może pójdę teraz i przygotuję fniadanie? Tymczafem pan fię ubierze... jafnie panie.

Jeremy otulił się wilgotnym szlafrokiem.

– Zaraz wracam – rzucił i pobiegł na górę.

Igor zbadał wzrokiem stojaki na narzędzia. Nie było na nich ani drobinki kurzu. Pilniki, młotki i szczypce leżały ułożone według rozmiarów, a przedmioty na blacie zostały wyrównane z geometryczną precyzją.

Wysunął szufladę. Śrubki leżały w równiutkich rzędach.

Rozejrzał się po ścianach. Były nagie, jeśli nie liczyć szafek z zegarami. To zaskakujące – nawet Zaśliniony Doktor Vibes miał na ścianie kalendarz, który dodawał nieco koloru. Owszem, był to kalendarz Kąpieli Kwasowych, Krępowania i S-ki w Ugli, a dodany kolor był na ogół czerwony, jednak kalendarz dowodził przynajmniej świadomości istnienia świata poza czterema ścianami.

Igor był zdziwiony. Nigdy jeszcze nie pracował dla osoby całkowicie normalnej. Owszem, był asystentem pewnej liczby.... no, świat nazywał ich szaleńcami, jak również kilku... zwykłych osób, w takim sensie, że pozwalali sobie tylko na drobne i towarzysko akceptowalne szaleństwa, ale nie pamiętał, by kiedykolwiek zatrudniała go osoba absolutnie normalna.

To oczywiste, rozumował, że jeśli wtykanie sobie śrubek do nosa jest szaleństwem, numerowanie ich i trzymanie starannie poukładanych w pudełkach to normalność, będąca przeciwieństwem...

Aha... Nie, prawda?

Uśmiechnął się. Zaczynał się tu czuć jak w domu.

Tik

Lu-tze, sprzątaczu, przebywał w swym Ogrodzie Pięciu Niespodzianek i starannie

uprawiał swoje góry. Miotła stała oparta o żywopłot.

Ponad nim wyrastał nad świątynnymi ogrodami wielki posąg Wena Wiecznie Zaskoczonego, siedzącego z szeroko otwartymi oczami i twarzą zamarłą w permanentnym wyrazie... tak, przyjemnego zaskoczenia.

Jako hobby góry interesują zwykle ludzi, o których w normalnych okolicznościach mówi się, że mają dużo czasu. Lu-tze w ogóle nie miał czasu. Czas był czymś, co zwykle zdarzało się innym; Lu-tze miał do niego taki stosunek, jak mieszkający na wybrzeżu do oceanu: jest tam, jest wielki, czasami można zanurzyć w nim palec, ale trudno stale w nim żyć. Poza tym zawsze marszczy się od tego skóra.

W tej chwili, w nieskończonej, wiecznie odtwarzanej chwili spokojnej, zalanej słońcem dolinki Lu-tze majstrował przy zwierciadłach, łopatkach, rezonatorach morficznych i jeszcze dziwniejszych urządzeniach niezbędnych, by ograniczyć wysokość gór do najwyżej sześciu cali.

Drzewa wiśni były obsypane kwiatami. Tutaj kwitły zawsze. Gdzieś na tyłach świątyni zadzwieczał gong. Stado białych gołębi wzniosło się do lotu z dachu klasztoru.

Cień padł na górę.

Lu-tze obejrzał się na osobę, która weszła do ogrodu. Niedbale wykonał gest symbolizujący posłuszeństwo wobec zirytowanego z wyglądu chłopca w szatach nowicjusza.

– Tak, panie? – zapytał.

– Szukam tego, którego nazywają Lu-tze – odparł chłopiec. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby istniał.

– Uzyskałem lodowiec – oświadczył Lu-tze, nie zważając na jego słowa. – Wreszcie. Widzisz, panie? Ma ledwie cal długości, ale już rzeźbi własną dolinę. Wspaniały, prawda?

– Tak, tak, bardzo ładny – przyznał chłopiec z uprzejmości dla służącego. – Czy to jest ogród Lu-tze?

– Chodzi ci, panie, o Lu-tze, który jest znany ze swoich gór bonsai?

Nowicjusz spojrział na rząd tac, a potem na pomarszczonego, uśmiechniętego staruszka.

– Ty jesteś Lu-tze? Ale przecież jesteś tylko sprzątaczem! Widziałem, jak zamiatasz sale sypialne! Widziałem, jak ludzie cię kopią!

Lu-tze, na pozór nie słuchając, podniósł tacę średnicy około stopy, na której dymił niewielki stożek popiołu.

– Co o tym myślisz, panie? – zapytał. – Wulkaniczna. I demonicznie trudna do uzyskania, przepraszam za swój klatchiański. Nowicjusz zbliżył się o krok, pochylił i spojrział prosto w oczy sprzątacza.

Lu-tze nieczęsto bywał zakłopotany, ale był w tej chwili.

– Jesteś Lu-tze?

– Tak, chłopcze. Jestem Lu-tze.

Nowicjusz odetchnął głęboko i wyciągnął przed siebie chudą rękę. Trzymał w niej niewielki zwój.

– Od opata... eee, czcigodny.

Zwój drżał lekko w nerwowej dłoni.

– Zwykle nazywają mnie po prostu Lu-tze, chłopcze. Dopóki nie poznają mnie lepiej, niektórzy wołają na mnie „Zejdź mi z drogi”. – Lu-tze starannie spakował swoje narzędzia. – Nigdy nie byłem specjalnie czcigodny, chyba że w przypadku poważnych błędów w pisowni.

Rozejrzał się między tacami, szukając miniaturowego szpadla, którego używał do prac lodowcowych. Nigdzie go nie zauważył. A przecież odłożył go gdzieś tutaj przed chwilą...

Nowicjusz obserwował go z wyrazem szacunku zmieszanego ze szczątkową podejrzliwością. Reputacja takich osób jak Lu-tze zatacza szerokie kręgi. Był to człowiek, który... no, który zrobił właściwie wszystko, jeśli wierzyć plotkom. Ale nie wyglądał na takiego. Wyglądał na niskiego łyszego staruszka z rzadką brodą i lekkim, przyjaznym uśmiechem.

Aby jakoś uspokoić młodego człowieka, Lu-tze poklepał go po ramieniu.

– Przekonajmy się, czego chce opat – powiedział. – Aha... Jest tu napisane, że masz mnie do niego zaprowadzić.

Twarz nowicjusza stężała w wyrazie paniki.

– Co? Jak mógłbym to zrobić? Nowicjuszom nie wolno wchodzić do Wewnętrznej Świątyni!

– Naprawdę? W takim razie to ja cię zabiorę, żebyś mnie doprowadził na spotkanie z opatem.

– Wolno ci wchodzić do Wewnętrznej Świątyni? – zdumiał się chłopiec i natychmiast zasłonił usta dłonią. – Ale jesteś tylko sprzą... Oj!

– Zgadza się. Nawet nie prawdziwym mnichem, a co dopiero dongiem – odparł wesoło sprzątacze. – Zadziwiające, nieprawdaż?

– Ale ludzie mówią o tobie, jakbyś stał równie wysoko co opat!

– Och nie, skąd! Absolutnie nie jestem taki świątobliwy. Nigdy naprawdę nie mogłem pojąć całej tej kosmicznej harmonii.

– Przecież dokonałeś niezwykłych...

– Nie twierdzę, że nie jestem dobry w tym, co robię. – Lu-tze ruszył przed siebie z miotłą na ramieniu. – Po prostu mało świątobliwy. Idziemy?

– Eee... Lu-tze... – odezwał się nowicjusz, kiedy szli ścieżką wyłożoną prastarymi

kamieniami.

– Słucham.

– Dlaczego ten ogród nazywa się Ogrodem Pięciu Niespodzianek?

– Jak brzmiało twoje imię w świecie, pochoptny młody człowieku? – zapytał Lu-tze.

– Nowobram. Nowobram Ludd, czci...

Lu-tze ostrzegawczo uniósł palec.

– Tak?

– To znaczy: sprzątaczu.

– Ludd, tak? Chłopak z Ankh-Morpork?

– Tak, sprzątaczu. – Zniechęcony nagle ton sugerował, że chłopiec wie, co zaraz usłyszy.

– Wychowany przez Gildię Złodziei? Jeden z chłopaków Ludda?

Chłopiec, zwany kiedyś Nowobramem, spojrzał starcowi prosto w oczy. I kiedy odpowiedział, mówił śpiewnym tonem kogoś, kto już zbyt wiele razy słyszał te same pytania.

– Tak, sprzątaczu. Tak, byłem podrzutkiem. Tak, nazywają nas chłopakami i dziewczynami Ludda na pamiątkę jednego z założycieli gildii. Tak, to moje przybrane nazwisko. Tak, to było dobre życie i czasami żałuję, że nie mogę do niego wrócić.

Zdawało się, że Lu-tze tego nie słucha.

– Kto cię tu przysłał?

– Odkrył mnie mnich Soto. Uznał, że mam talent.

– Marco? Ten, który ma wszystkie włosy?

– Właśnie. A myślałem, że reguła nakazuje wszystkim mnichom golić głowy.

– Och, Soto twierdzi, że jest całkiem łysy, ale pod włosami – odparł Lu-tze. – Mówi, że włosy to oddzielna istota, która tylko przypadkiem żyje na jego głowie. Gdy wygłosił tę tezę, bardzo szybko wysłano go na placówkę terenową. Ale ciężko pracuje, trzeba mu to przyznać. I jest bardzo serdeczny, pod warunkiem że nie dotykasz jego włosów. Jest w tym pewna ważna lekcja: nie przetrwasz w terenie, przestrzegając wszystkich reguł, w tym również tych dotyczących procesów myślowych. A jakie imię ci nadano, kiedy do nas trafiłeś?

– Lobsang, o czci... ehm, sprzątaczu.

– Lobsang Ludd?

– No... tak, sprzątaczu.

– Zadziwiające. A więc, Lobsangu Luddzie, próbowałeś zliczyć moje niespodzianki, tak? Każdy to robi. Niespodzianka jest naturą Czasu, a pięć jest liczbą Niespodzianki.

– Tak, sprzątaczu. Znalazłem mostek, który przechyla się i zrzuca idącego do

sadzawki z karpami...

– Dobrze. Dobrze.

– ...i znalazłem rzeźbę motyla z brązu, który macha skrzydełkami, kiedy na niego chuchnąć...

– To druga.

– ...i te małe stokrotki, które w zaskakujący sposób obsypują człowieka trującym pyłkiem...

– A tak. Wielu uważa to za wyjątkowo zaskakujące.

– I wydaje mi się, że czwartą niespodzianką jest jodłujący patyczak.

– Świetnie – rozpromienił się Lu-tze. – Robi wrażenie, prawda?

– Ale nie mogę znaleźć piątej.

– Naprawdę? Daj mi znać, kiedy ci się uda.

Lobsang Ludd zastanawiał się nad tym, idąc za sprzątaczem.

– Ogród Pięciu Niespodzianek to próba – stwierdził w końcu.

– O tak. Jest nią prawie wszystko.

Lobsang skinął głową. Przypominało to Ogród Czterech Żywiołów. Każdy nowicjusz znajdował symbole trzech: w sadzawce, pod kamieniem, wymalowany na latawcu – ale nikt z kolegów Lobsanga nie odszukał Ognia. Zdawało się, że nigdzie w ogrodzie go nie ma.

Po jakimś czasie Lobsang zaczął rozumować tak: w rzeczywistości istnieje pięć żywiołów – tak ich uczono. Cztery tworzyły wszechświat, a piąty – Niespodzianka – pozwalała, by ten wszechświat wciąż się zdarzał. Nikt nie twierdził, że żywioły w ogrodzie są wszystkie materialne, a zatem czwartym może być Niespodzianka polegająca na tym, że nie ma tam Ognia. Poza tym ogień rzadko występuje w ogrodach, natomiast pozostałe znaki były istotnie w swoim żywiole. Udał się więc do piekarni, otworzył jeden z pieców i tam, rozpalony do czerwoności pod bochenkami, tkwił Ogień.

– W takim razie... Sądzę, że piątą niespodzianką jest to, że nie ma piątej niespodzianki – powiedział.

– Nieźle, ale nie dostaniesz cylindrycznego przedmiotu, który dymi – odparł Lu-tze. – I czy nie jest napisane: „Och, taki jesteś ostry, że kiedyś sam się pokaleczysz”?

– Jeszcze nie wyczytałem tego w świętych tekstach, sprzątaczu – przyznał niepewnie Lobsang.

– Nie, zapewne nie.

Opuścili słaby słoneczny blask i wkroczyli w głęboki chłód świątyni. Szli przez starożytne sale i w dół, po wyciętych w skale stopniach. Towarzyszył im odgłos dalekiego śpiewu. Lu-tze, który nie był człowiekiem świątobliwym, a zatem potrafił myśleć niezbyt świątobliwe myśli, zastanawiał się niekiedy, czy mnisi w chórze

rzeczywiście śpiewają coś konkretnego, czy tylko powtarzają „aachaachachach”. Przy tych echach trudno było to stwierdzić.

Skręcił z głównego korytarza i sięgnął do uchwytych wielkich wrót pokrytych czerwoną laką. Potem obejrzał się na Lobsanga, który stał jak skamieniały o kilka sążni za nim.

– Idziesz?

– Przecież nawet dongom nie wolno tam wchodzić! – przypomniał Lobsang. – Trzeba być przynajmniej tingiem Trzeciego Djimu!

– Tak, zgadza się. To skrót. Chodź, strasznie tu wieje.

Z najwyższą niechęcią, w każdej chwili oczekując oburzonego krzyku władzy, Lobsang powłókł się za sprzątaczem.

A przecież to tylko sprzątacze! Jeden z tych, którzy zamiatają podłogi, piorą szaty i czyszczą wygodki! Nikt go nie uprzedził! Nowicjusze słuchali o Lu-tze już od pierwszego dnia – jak wyruszył do niektórych najbardziej splątanych węzłów czasu i rozplatał je, jak bezustannie odskakiwał przed wydarzeniami pędzącymi po skrzyżowaniach historii, jak jednym słowem potrafił odchylić czas i wykorzystał to, by rozwinąć najbardziej subtelne sztuki walki...

...a szedł przed nim chudy staruszek, tak generycznie tutejszy, że mógłby pochodzić z dowolnego miejsca na świecie, w szacie, która kiedyś była biała, zanim ją pokryły plamy i łaty, i w sandałach naprawianych sznurkiem. Oraz z przyjaznym uśmiechem, całkiem jakby przez cały czas oczekiwał, że wydarzy się coś zabawnego. I bez żadnego pasa, tylko z kolejnym sznurkiem, którym przewiązywał szatę. A przecież niektórzy nowicjusze już w pierwszym roku osiągnęli poziom szarego donga!

W dojo pilnie ćwiczyli starsi mnisi. Lobsang musiał odskoczyć przed dwójką walczących, którzy przemknęli obok wśród migotania rąk i nóg, gdy każdy szukał luki w obronie przeciwnika, każdy zestrugiwał czas na cieńsze i cieńsze pasy...

– Hej! Sprzątaczu!

Lobsang rozejrzał się, ale okrzyk był skierowany do Lu-tze. Młody ting, sądząc z jego świeżego pasa całkiem niedawno promowany do Trzeciego Djimu, szedł w stronę staruszka. Twarz miał czerwoną ze złości.

– Po co tutaj przyszedłeś, czyścicielu brudu? To zakazane!

Uśmiezek Lu-tze nie drgnął nawet. Starzec sięgnął pod szatę i wyjął niewielki mieszek.

– Tędy bliżej – wyjaśnił. A gdy ting stanął obok, wznosząc się nad nim groźnie, zaczął zwijać papierosa. – I wszędzie jest pełno brudu. Muszę poważnie porozmawiać z tym, który zmiata tutaj podłogi.

– Jak śmiesz głosić te obelgi! – wrzasnął mnich. – Wracaj do kuchni, sprzątaczu!

Skulony za Lu-tze Lobsang uświadomił sobie, że całe dojo znieruchomiało, by

obserwować konflikt. Kilku mnichów szeptało coś do siebie nawzajem. Człowiek w brązowej szacie mistrza dojo patrzył obojętnie ze swego krzesła, wspierając brodę na dłoni.

Z niezwykłą, cierpliwą i doprowadzającą do szału delikatnością, niczym samuraj układający kwiaty, Lu-tze wyrównał ścinki tytoniu na papierosowej bibułce.

– Nie, raczej wyjdę tamtymi drzwiami, jeśli ci to nie przeszkadza – oświadczył.

– To zuchwalstwo! Jesteś zatem gotów do walki, nieprzyjacielu kurzu?

Mnich odskoczył i uniósł ręce do Pozycji Dorsza. Zawirował i trafił ciężkim kopniakiem w ciężki skórzany worek treningowy, uderzając tak mocno, że zerwał łańcuch. Potem znów stanął przed Lu-tze z rękami ułożonymi w Ataku Węża.

– Ai! Shao! Hai-iii... – zaczął.

Mistrz dojo wstał.

– Stać! – zawołał. – Czy nie chcesz poznać imienia człowieka, którego za chwilę zniszczysz?

Mnich zachował pozycję, patrząc gniewnie na Lu-tze.

– Nie muszę znać imienia sprzątacza – oświadczył.

Lu-tze zwinął papierosa w cienki rulonik i mrugnął do wojowniczego mnicha, co tylko mocniej roznieciło jego gniew.

– Zawsze mądrze jest znać imię sprzątacza, chłopcze – rzekł mistrz dojo. – A moje pytanie nie było skierowane do ciebie.

Tik

Jeremy patrzył na swoje prześcieradło.

Było pokryte notatkami. Jego notatkami.

Biegły przez całą poduszkę i dalej na ścianę. Były też szkice wyryte głęboko w tynku.

Ołówek znalazł pod łóżkiem. Naostrzył go nawet. Przez sen zatemperował ołówek! I sądząc na oko, pisał i rysował przez długie godziny. Próbował zanotować sen.

Wraz ze spisana po jednej stronie kołdry listą części.

Wszystko miało głęboki sens, gdy to oglądał – jak młotek, kij albo wychwyt grawitacyjny Wheelbrighta. Było jak spotkanie ze starym przyjacielem. A teraz... Wpatrywał się w nabazgrane linie. Pisał tak szybko, że pomijał interpunkcję, a także niektóre litery. Ale dostrzegał w tych słowach sens.

Słyszał o takich zdarzeniach. Wielkie wynalazki czasami rzeczywiście brały się ze snów czy marzeń na jawie. Czy Hepzibah Whitlow nie wpadł na pomysł

regulowanego wahadła w rezultacie swojej pracy na stanowisku miejskiego kata? Czy Wilframe Balderton nie powtarzał zawsze, że wizja wychwyty typu „rybi ogon” nawiedziła go, kiedy przejadł się homarem?

Tak, we śnie wszystko było oczywiste. Za dnia wymagało trochę więcej pracy.

W małej kuchni za warsztatem brzęknęły talerze. Jeremy zbiegł po schodach, ciągnąc za sobą prześcieradło.

– Zwykle jadam... – zaczął.

– Tofta, jafnie panie. – Igor odwrócił się od piecyka. – Lekko brązowego, jak przypuszczam.

– Skąd wiesz?

– Igor uczy fię ftuki przewidywania, jafnie panie – wyjaśnił Igor. – Cóż to za wfpaniała mała kuchnia, jafnie panie. Nigdy jefcze nie widziałem fuflady oznaczonej „Łyżki”, która zawiera wewnątrz łyżki.

– Czy potrafisz jakoś pracować ze szkłem, Igorze? – spytał Jeremy, pomijając milczeniem ostatnią uwagę.

– Nie, jafnie panie – odparł Igor, smarując grzanekę masłem.

– Nie?

– Nie pracować, jafnie panie. Ze fkłem potrafię zrobić wfytko. Wielu moich pracodawców wymagało... fpecjalnych aparatów, trudnych do zdobycia gdziekolwiek. Czego by pan fobie życzył, jafnie panie?

– Jak byś się wziął za budowę czegoś takiego? – Jeremy rozłożył prześcieradło na stole.

Tost wypadł Igorowi spomiędzy palców o czarnych paznokciach.

– Coś nie w porządku? – zdziwił się Jeremy.

– Miałem wrażenie, że ktof przefedł po moim grobie – odparł Igor, ciągle wstrząśnięty.

– Ehm... Ty chyba nigdy naprawdę nie miałeś grobu, prawda?

– To takie powiedzenie, tylko takie powiedzenie – zapewnił urażony Igor.

– Te notatki dotyczą pomysłu, który... który miałem na budowę zegara...

– Fklany zegar... Tak, znam go. Mój dziadek Igor pomagał zbudować pierwfy.

– Pierwszy? Przecież to tylko bajka dla dzieci! Przyśnił mi się i...

– Dziadek Igor zawfe powtarzał, że było w tym cof bardzo dziwnego – oświadczył Igor. – Ta ekfplozja i w ogóle.

– On eksplodował? Z powodu metalowej sprężyny?

– Właściwie to nie dokładnie eksplodował, jafnie panie. Ekfplozje to dla naf, Igorów, zwykła rzecz. Ale to było... bardzo dziwne. Choć dziwność to dla naf też zwykła rzecz.

– Chcesz mi powiedzieć, że on naprawdę istniał?

Igor wydawał się trochę zakłopotany.

– Tak – powiedział. – Ale z drugiej strony... nie.

– Rzeczy albo istnieją, albo nie – oznajmił Jeremy. – Jestem w tej kwestii całkiem pewny. Biorę lekarstwo.

– On iftniał – wyjaśnił Igor. – A potem, kiedy już zaiftniał, to nigdy go nie było. Tak mi mówił dziadek, a budował zegar tymi rękami!

Jeremy spojrzał w dół. Dopiero teraz, kiedy się lepiej przyjrzał, zauważył wyraźne blizny wokół nadgarstków Igora.

– W nafej rodzinie naprawdę wierzymy w dziedziczenie – powiedział Igor, dostrzegając jego spojrzenie.

– Przekazywane z rąk do rąk, hahaha – rzekł Jeremy. Zastanowił się, gdzie jest jego lekarstwo.

– Bardzo zabawne, jafnie panie. Ale dziadek Igor zawfe powtarzał, że potem wfyftko to było... jak fen.

– Sen?

– Warftat wyglądał inaczej. Brakowało w nim zegara. Obłąkany doktor Wingle, który w owym czafie był jego panem, w ogóle nie pracował nad fłanym zegarem, ale nad odzyfkiwaniem fłonecznego fwiatła z pomarańczy. Wfyftko było inne, i to było od zawfe. Jakby to fię nigdy nie ftało.

– Ale ten zegar pojawił się w bajkach dla dzieci!

– Rzeczywifcie, jafnie panie. Bardzo dziwna fprawa.

Jeremy zapatrzył się na brzemienne w notatki prześcieradło. Dokładny zegar. Nic więcej. Zegar, który sprawi, że inne zegary będą zbędne, jak powiedziała lady LeJean. Zbudowanie takiego zegara zagwarantuje zegarmistrzowi miejsce w historii pomiaru czasu. Owszem, opowieść mówiła o Czasie, która została uwięziona w zegarze, ale Jeremy'ego wcale nie interesowały Rzeczy Wymyślone. Zresztą zegar przecież tylko mierzył. Odległość nie wpłatywała się w taśmę mierniczą. Zegar nie robi nic prócz liczenia zębów na kółku zębatym. Albo... w świetle...

Światło z ząbkami. Widział je we śnie. Światło niejako coś jasnego na niebie, ale jako pobudzona linia, sunąca w górę i w dół niczym fala.

– Czy potrafiłbyś... zbudować coś takiego? – zapytał.

Igor raz jeszcze przyjrzał się rysunkom.

– Tak. – Kiwnął głową. Po czym wskazał kilka dużych szklanych pojemników wokół szkicu kolumny centralnej. – I wiem, czym one fą – dodał.

– W moim ś... Wyobrażałem sobie, że musują – powiedział Jeremy.

– Bardzo, bardzo tajemna wiedza, te naczynia – ciągnął Igor, starannie ignorując wypowiedź Jeremy'ego. – Czy można tu doftać miedziane pręty, jafnie panie?

– W Ankh-Morpork? Bez trudu.

– A cynk?
– Całe mnóstwo, owszem.
– Kwaf fiarkowy?
– Na gąsiory, tak.
– Mufiałem umrzeć i trafić do nieba – westchnął Igor. – Niech jafnie pan mnie umiefci w pobliżu miedzi, cynku i kwafu – rzekł. – A wtedy ifkry polecą...

Tik

– Moje imię – rzekł Lu-tze, wspierając się na miotle, gdy gniewny ting wzniósł rękę – brzmi Lu-tze.

Dojo ucichło. Atakujący zamilkł w połowie okrzyku.

– Ai! Hai-gng! Gnh? Ożeżoszlagoszlaaaa...

Nie poruszył się, ale sprawiał wrażenie, jakby zapadł się w siebie, osunął z pozycji bojowej do rodzaju przerażonego, błagalnego przykucnięcia.

Lu-tze pochylił się i potarł zapalną o jego nieprotestujący podbródek.

– A jak ty masz na imię, chłopcze? – spytał, zapalając zmiętego papierosa.

– Jego imię to Muł, Lu-tze. – Mistrz dojo pochylił się i wymierzył nieruchomemu tingowi kopniaka. – No cóż, Muł, znasz zasady. Zmierz się z człowiekiem, którego wyzwałeś, albo oddaj pas.

Postać przez chwilę trwała w całkowitym bezruchu, a potem ostrożnie, ruchami wykonywanymi niemal teatralnie tak, by nikogo nie urazić, zaczął gmerać przy pasie.

– Nie, nie, naprawdę nie trzeba – zapewnił łagodnie Lu-tze. – To było dobre wyzwanie. Porządne „Ai!” i całkiem przyzwoite „Hai-iii”. Tak sędzę. Ogólnie niezły bojowy bełkot, jaki teraz nieczęsto już można usłyszeć. I nie chcielibyśmy, żeby w takiej chwili opadły mu spodnie, prawda? – Pociągnął nosem i dodał: – Zwłaszcza w takiej chwili.

Poklepał skulonego tinga po ramieniu.

– Pamiętaj tylko regułę, którą nauczyciel przekazał wam pierwszego dnia. Prawda? I... Czemu nie pójdziesz się oczyścić? Znaczący, niektórzy z nas muszą tu sprzątać.

Potem odwrócił się i skinął mistrzowi dojo.

– A skoro już tu jestem, mistrzu, chciałbym pokazać młodemu Lobsangowi Aparat Kapryśnych Kul.

Mistrz dojo skłonił się nisko.

– Jest twój, sprzątaczu Lu-tze.

Kiedy Lobsang podążył za idącym spokojnie Lu-tze, usłyszał mistrza dojo, który – jak wszyscy nauczyciele – nigdy nie przepuszczał okazji, by wtłoczyć uczniom do

głów jakąś lekcję.

– Dojo! – zawołał mistrz. – Jak brzmi Pierwsza Zasada?

Nawet skulony agresor wymamrotał odpowiedź wraz z chórem:

– Nie działaj pochopnie, kiedy stajesz naprzeciw łysych, pomarszczonych i uśmiechniętych staruszków!

– To dobra zasada, ta Pierwsza Zasada – stwierdził Lu-tze, prowadząc Lobsanga do sąsiedniego pomieszczenia. – Spotkałem wielu, którzy mogliby się do niej stosować dla własnej korzyści.

Zatrzymał się i nie patrząc na Lobsanga Ludda, wyciągnął rękę.

– Bardzo proszę, zwróć ten mały szpadelek, który mi ukradłeś.

– Przecież nawet się do ciebie nie zbliżyłem, mistrzu!

Uśmiech Lu-tze nawet nie drgnął.

– Aha. No tak. To prawda. Proszę o wybaczenie. Paplanie starego człowieka. Czyż nie jest napisane: „Własnej głowy bym zapomniał, gdyby nie była przytwierdzona”? Idźmy dalej.

Podłoga w sali była drewniana, ale ściany wysokie i wyłożone matami. Tu i tam dało się zauważyć czerwonobrazowe plamy.

– Ehm... Mamy jeden taki w dojo nowicjuszy, sprzątaczu – oznajmił Lobsang.

– Ale w tamtych kule zrobione są z miękkiej skóry, tak? – Starzec podszedł do wysokiego drewnianego sześcianu. Rząd otworów biegł wzdłuż ściany skierowanej ku sali. – I lecą dość wolno, o ile pamiętam.

– No... tak – przyznał Lobsang.

Sprzątaczu pociągnął bardzo dużą dźwignię. Gdzieś w dole metal zgrzytnął o metal, a potem zaszumiała gwałtownie woda. Powietrze zaczęło świszcząć w spojeniach skrzyni.

– Te są drewniane – poinformował spokojnie Lu-tze. – Złap którąś.

Coś musnęło ucho Lobsanga, a maty za nim zadygotały, gdy kula wbiła się w nie głęboko, a potem upadła na podłogę.

– Może odrobinę wolniej... – mruknął Lu-tze i przekręcił gałkę.

Po piętnastu przepuszczonych kulach Lobsang chwycił kolejną na brzuch. Lu-tze westchnął i pchnął dźwignię z powrotem.

– Brawo – rzekł.

– Sprzątaczu, nie jestem przyzwyczajony... – zaczął chłopak, wstając z podłogi.

– Och, wiedziałem, że nie złapiesz kuli – oświadczył Lu-tze. – Nawet nasz gwałtowny przyjaciel z dojo przy tej prędkości żadnej by nie złapał.

– Ale powiedziałeś przecież, że je spowolniłeś!

– Tylko tyle, żeby cię nie zabiły. To próba, rozumiesz. Wszystko jest próbą. Chodźmy, mój chłopcze. Nie możemy pozwolić, żeby opat na nas czekał.

I Lu-tze pomaszerował dalej, ciągnąc za sobą smużkę tytoniowego dymu.

Idąc za nim, Lobsang stawał się coraz bardziej nerwowy. To rzeczywiście Lu-tze, dojo wykazało to jasno. Zresztą wiedział i tak. Popatrzył na okrągłą twarz spoglądającą przyjaźnie na rozgniewanego wojownika – i wiedział. Ale... zwykły sprzątaczu? Żadnych insygniów? Statusu? Chociaż nie, status był oczywisty – mistrz dojo nawet przed opatem nie mógłby pokłonić się niżej. Mimo to...

A teraz szedł za tym starcem korytarzami, gdzie nawet mnichom nie wolno było wchodzić pod karą śmierci. Wcześniej czy później z pewnością czekają go kłopoty.

– Sprzątaczu, naprawdę uważam, że powinienem wrócić do swoich kuchennych obowiązków... – zaczął.

– A tak. Prace kuchenne – rzekł Lu-tze. – Mają cię nauczyć cnoty posłuszeństwa oraz ciężkiej pracy, zgadza się?

– Tak, sprzątaczu.

– I to działa?

– O tak.

– Naprawdę?

– No więc... nie.

– Muszę ci wyznać, że nie są tym wszystkim, za co się je uważa – powiedział Lu-tze. – Podczas gdy to, co mamy tutaj mój chłopcze... – Przeszedł pod bramą. – To jest edukacja.

Była to największa hala, jaką Lobsang w życiu widział. Strumienie światła padały od góry z przeszklonych otworów w sklepieniu. A niżej, mająca ponad pięćdziesiąt sążni średnicy i doglądana przez starszych mnichów, którzy przechodzili nad nią po delikatnych linowych pomostach, leżała...

Lobsang słyszał już o mandali.

Wyglądała, jakby ktoś wziął całe tony kolorowego piasku i cisnął na podłogę w wielkim wirze barwnego chaosu. Ale porządek walczył w tym chaosie o przetrwanie, wznosząc się, opadając i rozprzestrzeniając. Miliony wirujących przypadkowo ziarenek piasku tworzyło czasem jakiś fragment wzoru, który replikował się i rozbiegał po całym kole, odbijał i zlewał z innymi wzorami, aż w końcu rozpływał w ogólnym szumie. Zdarzało się to raz po raz i zmieniało mandalę w bezgłośną, ale gwałtowną wojnę kolorów.

Lu-tze wstąpił na niepewny z wyglądu mostek z desek i lin.

– I jak? – zapytał. – Co o tym myślisz?

Lobsang odetchnął głęboko. Czuł, że gdyby spadł z mostka, runąłby w rozkołysane kolory i nigdy, nigdy nie uderzył o podłogę. Zamrugnął i potarł czoło.

– Jest... zła – powiedział.

– Naprawdę? – zdziwił się Lu-tze. – Niewielu mówi coś takiego za pierwszym

razem. Używają raczej takich słów jak „cudowna”.

– Niedobrze się porusza!

– Co?

Lobsang chwycił się linowej poręczy.

– Te wzory... – zaczął.

– Historia się powtarza – wyjaśnił Lu-tze. – Zawsze tam są.

– Nie, one... – Lobsang usiłował ogarnąć wszystko. Widział wzory pod wzorami, zamaskowane jako elementy chaosu. – Chodzi mi... o te inne wzory...

Osunął się do przodu.

Powietrze było chłodne, świat wirował, a grunt pędził mu na spotkanie.

Zatrzymał się w odległości kilku cali.

Powietrze wokół skwierczało, jakby było delikatnie podsmażane.

– Nowobram Ludd?

– Lu-tze? – odpowiedział. – Mandala jest...

Gdzie się podziały kolory? Dlaczego powietrze było wilgotne i pachniało miastem?

Widmowe wspomnienia się rozplynęły. A znikając, mówiły: Jak możemy być wspomnieniami, kiedy dopiero mamy się zdarzyć? Z pewnością pamiętasz, jak wspiąłeś się na sam dach Gildii Piekarzy i odkryłeś, że ktoś obluzował wszystkie kamienie wieńczące mur, ponieważ to się właśnie zdarzyło...

Ostatnie konające wspomnienie rzuciło jeszcze: Zaraz, przecież minęły już miesiące!

– Nie, nie jesteśmy Lu-tze, tajemniczy spadający chłopcze – usłyszał znowu ten sam głos. – Możesz się odwrócić?

Nowobram z wielkim trudem zdołał poruszyć głową. Miał wrażenie, że tkwi w gęstym powietrzu.

Potężnie zbudowany młody człowiek w brudnej żółtej szacie siedział o kilka stóp od niego na odwróconej skrzynce. Wyglądałby całkiem jak mnich, gdyby nie włosy. Jego włosy wydawały się osobnym organizmem. Powiedzieć, że są czarne i spięte w kucyk, to stracić okazję użycia słowa „słoniowe”. To były włosy mające osobowość.

– Zwykle nazywam się Soto – oświadczył człowiek pod włosami. – Marco Soto. Nie będę się starał zapamiętać twojego imienia, dopóki się nie dowiemy, czy przeżyjesz, prawda? Powiedz mi zatem, czy rozważałeś kiedyś radości, jakie niesie życie duchowe?

– W tej chwili? Oczywiście! – zapewnił.. Nowobram. Tak przecież mam na imię, pomyślał. Ale dlaczego pamiętam Lobsanga? – Właśnie się zastanawiałem nad możliwością zmiany zawodu.

– Rozsądny wybór kariery – pochwalił Soto.

– Czy to jakieś czary?

Nowobram spróbował się poruszyć, ale wisiał tylko, obracając się powoli w powietrzu tuż nad wyczekującym gruntem.

– Niezupełnie. Jak się wydaje, przekształciłeś czas.

– Ja? A jak to zrobiłem?

– Nie wiesz?

– Nie.

– No, no, posłuchajcie tylko – rzekł Soto, jakby zwracał się do bliskich towarzyszy. – Prawdopodobnie zużywają pełny czas wirowy prokrastynatora, by nie dopuścić, aby twoja drobna sztuczka spowodowała niewypowiedziane szkody dla całego świata, a ty nie wiesz, jak to zrobiłeś?

– Nie.

– W takim razie wyszkolimy cię. To dobre życie i oferuje znakomite perspektywy. W każdym razie... – dodał, pociągając nosem – lepsze niż te, które masz w tej chwili.

Nowobram z wysiłkiem próbował przekręcić głowę dalej.

– Wyszkolić mnie w czym, tak dokładnie?

Soto westchnął.

– Wciąż zadajesz pytania, mały. Idziesz ze mną czy nie?

– Jak...?

– Posłuchaj. To, co ci proponuję, to okazja życia. Rozumiesz?

– A dlaczego to okazja życia, panie Soto?

– Nie, źle mnie zrozumiałeś. Ja, to znaczy Marco Soto, składam tobie, to znaczy Nowobramowi Luddowi, propozycję życia. Chodzi o to, że będziesz miał życie. A to więcej, niż ci pozostanie za krótką chwilę.

Nowobram się zawahał. Wyczuwał lekkie mrowienie w całym ciele. W pewnym sensie nadal spadał. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie, ale wiedza ta była równie realna jak kamienie bruku tuż pod nim. Jeśli dokona błędnego wyboru, ten upadek będzie kontynuowany. Do tej chwili był całkiem łatwy. Dopiero ostatnie kilka cali okaże się śmiertelnie trudne.

– Muszę przyznać, że nie podoba mi się, jak obecnie płynie moje życie – zapewnił.

– Może dobrze będzie nadać mu nowy kierunek.

– Słusznie.

Mężczyzna z owłosioną głową wyjął spod szaty jakiś aparat. Przypominał złożone liczydło, ale kiedy je otworzył, niektóre części zniknęły w rozbłyskach światła – jakby przeniosły się tam, gdzie były niewidoczne.

– Co pan robi?

– Wiesz, co to jest energia kinetyczna?

– Nie.

– To coś, czego w tej chwili masz o wiele za dużo. – Palce Soto zatańczyły na koralikach, znikając czasem i pojawiając się znowu. – Przypuszczam, że ważysz około stu dziesięciu funtów, prawda?

Schował niewielkie urządzenie i podszedł do stojącego opodal wozu. Zrobił coś, czego Nowobram nie widział, a potem wrócił.

– Za kilka sekund dokończysz swój upadek – oznajmił. Sięgnął pod chłopca i położył coś na bruku. – Staraj się uznać to za początek nowego życia.

Nowobram upadł. Uderzył o grunt. Powietrze rozbłysło fioletem, a wyładowany wóz po drugiej stronie ulicy podskoczył na stopę w górę i runął ciężko. Jedno koło odpadło i potoczyło się gdzieś.

Soto pochylił się i uściśnął bezwładną dłoń chłopca.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Jakies sińce?

– Trochę zabolalo – odparł oszołomiony Nowobram.

– Może jesteś trochę cięższy, niż na to wyglądasz. Pozwól... – Soto chwycił Nowobrama pod pachy i zaczął ciągnąć w mgłę.

– Czy mógłbym pójść i...?

– Nie.

– Ale gildia...

– W gildii już nie istniejesz.

– To bez sensu. Przecież jestem zapisany w ich rejestrach.

– Nie, nie jesteś. Zajmiemy się tym.

– Jak? Nie możecie zmienić historii!

– Założymy się?

– Do kogo przystąpiłem?

– Należymy do najtajniejszego związku, jaki możesz sobie wyobrazić.

– Naprawdę? A kim jesteście?

– Mnichami historii.

– Co? Nigdy o was nie słyszałem!

– Sam widzisz, jacy jesteśmy dobrzy.

Rzeczywiście byli tacy dobrzy.

A potem czas napłynął z powrotem.

I wróciła teraźniejszość.

– Dobrze się czujesz, chłopcze?

Lobsang otworzył oczy. Miał wrażenie, że ktoś próbuje wyrwać mu rękę ze stawu.

Spojrzał wzdłuż tej ręki na Lu-tze, który leżał płasko na rozkołysanym mostku i go trzymał.

– Co się stało?

– Myślę, że to podniecenie, mój chłopcze. Albo zawrót głowy. Ale nie patrz teraz w dół.

Z dołu dobiegał głośny szum, jakby brzęczenie roju bardzo rozzłoszczonych pszczoł. Lobsang odruchowo zaczął odwracać głowę.

– Powiedziałem: nie patrz w dół! Uspokój się...

Lu-tze wstał na nogi. Uniósł Lobsanga na wyciągniętej ręce, jakby chłopiec był piórkiem, aż jego sandały znalazły się nad deskami mostku. Poniżej mnisi biegali po pomostach i krzyczeli.

– A teraz zamknij oczy... Nie patrz w dół! Poprowadzę cię na drugi koniec, dobrze?

– Ja, tego... Przypomniałem sobie... jak byłem w mieście i Soto mnie znalazł... Pamiętałem... – mówił słabym głosem Lobsang, drepcząc za sprzątaczem.

– Można się było spodziewać. W tych okolicznościach...

– Ale pamiętam, że kiedy tam byłem, pamiętałem też, że byłem tutaj. I o mandali!

– Czyż nie jest zapisane w świętych tekstach „Wiele się dzieje rzeczy, moim zdaniem, o których nie mamy pojęcia”?

– Ja... na tę sentencję też jeszcze nie trafiłem, sprzątaczu – powiedział Lobsang.

Czuł wokół siebie chłodniejsze powietrze, co sugerowało, że dotarli do skalnego tunelu po drugiej stronie hali.

– Smutne, ale w pismach, jakie tu mają, prawdopodobnie jej nie znajdziesz – odparł Lu-tze. – Aha, i możesz już otworzyć oczy.

Szli dalej. Lobsang pocierał głowę, by stłumić niezwykłość własnych myśli.

Za nimi wściekle wiry na kręgu barw, które koncentrowały się wokół punktu, gdzie spadłby Lobsang, stopniowo uspokoiły się i zabiły.

Według „Pierwszego Zwoju Wena Wiecznie Zaskoczonego”, Wen i Mulisty Staw dotarli do zielonej kotliny między wysokimi górami. I powiedział wtedy Wen:

– Oto miejsce. Tutaj stanie świątynia poświęcona zwijaniu i rozwijaniu czasu. Widzę ją.

– Ja nie widzę, mistrzu – odparł Mulisty Staw.

– Jest tam – rzekł Wen.

Wskazał palcem i jego ręka zniknęła.

– Ach! – zawołał Mulisty Staw. – Tam...

Z drzew rosnących dziko między strumykami spłynęło na głowę Wena kilka płatków kwiatu wiśni.

– A ten idealny dzień trwać będzie wiecznie – rzekł Wen. – Powietrze jest

rześkie, słońce świeci jasno, lód spływa strumieniami. Każdy dzień w tej dolinie będzie tym doskonałym dniem.

– Może się trochę znudzić, mistrzu – zauważył Mulisty Staw.

– To dlatego że nie potrafisz jeszcze radzić sobie z czasem – odparł Wen. – Ale nauczę cię używać czasu tak samo, jak używasz płaszcza: nosisz, gdy to konieczne, a odrzucasz, kiedy nie potrzebujesz.

– Czy będę musiał go prać? – zapytał Mulisty Staw.

Wen przyjrzał mu się z uwagą.

– To było albo bardzo skomplikowane przemyślenie z twojej strony, Mulisty Stawie, albo usiłowałeś rozciągnąć metaforę w raczej głupawym kierunku. Jak sądzisz, która to z dwóch możliwości?

Mulisty Staw spuścił głowę. Potem spojrzał w niebo. A jeszcze później zwrócił się do Wena.

– Myślę, że jestem głupi, mistrzu.

– Dobrze – przyznał Wen. – I szczęśliwie się składa, że w tej chwili jesteś moim uczniem. Albowiem jeśli potrafię ciebie nauczyć, Mulisty Stawie, to potrafię nauczyć każdego.

Mulisty Staw skłonił głowę z wyraźną ulgą.

– To dla mnie wielki zaszczyt, mistrzu.

– Istnieje też druga część mego planu – oznajmił Wen.

– Ach... – rzekł Mulisty Staw z miną, o której sądził, że wygląda z nią mądrze, choć w rzeczywistości wyglądał raczej jak ktoś, kto przypomina sobie bolesne ruchy jelit. – Plan mający drugą część, mistrzu, zawsze jest dobrym planem.

– Znajdź mi piasek we wszystkich barwach oraz płaską skałę. Pokażę ci sposób, by prądy czasu uczynić widzialnymi.

– Aha. Dobrze.

– Jest również trzecia część mego planu.

– Trzecia część, tak?

– Mogę nauczyć kilku utalentowanych, jak kontrolować swój czas, spowalniać go i przyspieszać, magazynować i kierować niby wodę w tych strumieniach. Ale obawiam się, że większość ludzi nie pozwoli sobie na zyskanie takich umiejętności. Będziemy musieli zbudować... urządzenia zbierające i uwalniające czas tam, gdzie wystąpi potrzeba, ponieważ postęp ludzkości nie jest możliwy, gdy ludzie niesieni są jak liście w nurcie strumienia. Ludzie muszą mieć możliwość marnowania czasu, zyskiwania na czasie, tracenia czasu i grania na czas. To będzie nasze główne zadanie.

Mulisty Staw wykrzywił twarz z wysiłku zrozumienia. Potem wolno podniósł rękę.

Wen westchnął.

– Chcesz zapytać, co się stało z płaszczem, tak?

Mulisty Staw przytaknął.

– Zapomnij o płaszczu, mój uczniu. Płaszcz nie jest ważny. Pamiętaj tylko, że jesteś czystą kartką papieru, na której będę pisał... – Wen uniósł dłoń, gdy Mulisty Staw otworzył usta. – To tylko metafora, kolejna metafora. A teraz przygotuj jakiś obiad.

– Metaforycznie czy realnie, mistrzu?

– Tak i tak.

Stadko białych ptaków poderwało się spomiędzy drzew i zatoczyło krąg na niebie, nim odleciało w głąb doliny.

– Będą tu gołębie – rzekł Wen, gdy Mulisty Staw odszedł rozpalać ogień. – Każdego dnia będą tu gołębie.

Lu-tze zostawił nowicjusza w przedpokoju. Tych, którzy go nie lubili, pewnie by zaskoczyło, że poświęcił chwilę na poprawienie swej szaty, a dopiero potem wszedł na audiencję u opata. Jednak Lu-tze dbał o ludzi, nawet jeśli nie dbał o reguły. Zgasił też papierosa i wetknął niedopałek za ucho. Znał opata już prawie sześćset lat i szanował go. Niewielu było takich, których Lu-tze szanował. Większość mogła liczyć tylko na tolerancję.

Na ogół stosunki sprzątacza z ludźmi układały się odwrotnie proporcjonalnie do ich lokalnej ważności; prawdą była również podobna teza o stosunkach przeciwnych. Najstarsi mnisi... no cóż, wśród ludzi tak oświeconych nie mogą się zdarzyć złe myśli, ale trzeba przyznać, że widok Lu-tze spacerującego beczelnie po świątyni nieraz splamił tę czy tamtą karmę. Dla myślicieli pewnego rodzaju sprzątacze byli osobistą obrazą – wraz ze swym brakiem formalnej edukacji czy oficjalnego statusu, jego głupią i nieważną Drogą i jego niewiarygodnymi sukcesami. Dlatego zaskakujące było, że opat go lubił, jako że wśród mieszkańców doliny nie było nikogo bardziej się różniącego od sprzątacza – nikogo tak uczonego, tak niepraktycznego i tak delikatnego. Ale przecież naturą wszechświata jest niespodzianka.

Lu-tze skinął młodszym akolitom, którzy otworzyli mu wielkie, zdobione laską wrota.

– Jak się dziś czuje jego świątobliwość? – zapytał.

– Żeby wciąż sprawiają mu kłopoty, o Lu-tze, ale zachowuje ciągłość i właśnie w bardzo zadowalającym stylu zrobił swoje pierwsze kroki.

– A tak, rzeczywiście, chyba słyszałem gongi.

Grupa mnichów zebrała się pośrodku sali. Rozstąpili się, gdy Lu-tze zbliżył się do kojca. Niestety, kojec był niezbędny. Opat nigdy nie opanował sztuki kołowego

starzenia, musiał zatem osiągać długowieczność metodą bardziej tradycyjną, poprzez seryjną reinkarnację.

– Ach, sprzątaczu – wymamrotał, niezręcznie odrzucając na bok żółtą piłkę. Ucieszył się wyrażnie. – Jak twoje góry? *Ciem siaściecko, ciem siaściecko!*

– Udało mi się uzyskać wulkanizm, wasza wielbność. To bardzo zachęcający efekt.

– I czy zdrowie trwale ci dopisuje? – upewnił się opat, pulchną rączką uderzając drewnianą żyrafą o pręty kojca.

– Tak, wasza świątobliwość. Dobrze widzieć, że wasza świątobliwość znów stanął na nogi.

– Na razie to tylko kilka kroków, niestety *ciuciu siaściecko, ciem siaściecko*. Na nieszczęście młode ciała podejmują własne decyzje *SIĄŚTEĆKO!*

– Wysłałeś mi wiadomość, wasza wielbność. Mówiła „Podдай go próbie”.

– I co sądzisz o naszym *ciem siaściecko, ciem siaściecko, ciem siaściecko JUŚ!* młodym Lobsangu Luddzie? – Akolita podszedł szybko z tacą sucharków. – Przy okazji, masz ochotę na sucharka? – zaproponował opat. – *Siaściecko cacy!*

– Nie, wasza wielbność, mam już wszystkie zęby.

– Ludd to zagadka, nieprawdaż? Jego nauczyciele *siaściecko cacy, mmm, siaściecko* mówili, że jest bardzo utalentowany, ale jakby nie całkiem tutaj. Ty jednak nigdy go nie spotkałeś, nie znasz jego historii i dlatego *mmm, siaściecko* chętnie wysłucham twojej bezstronnej opinii *mmm, SIĄŚTEĆKO*.

– Jest więcej niż szybki, wasza wielbność – rzekł Lu-tze. – Mam wrażenie, że zaczyna reagować na zdarzenia, zanim jeszcze się zdarzą.

– Jak ktokolwiek mógłby to stwierdzić? *Ciem misia, ciem misia, ciem, ciem MISIA!*

– Postawiłem go przed Aparatem Kapryśnych Kul w dojo starszych. Przesuwał się w stronę właściwego otworu na ułamek sekundy przed wyrzuceniem kuli.

– Czyżby jakaś *gluglu* telepatia?

– Gdyby prosty mechanizm posiadał własny umysł, to sądzę, że mielibyśmy poważne kłopoty. – Lu-tze nabrał tchu. – A w pomieszczeniu mandali zobaczył wzorce w chaosie.

– Pozwoliłeś neoficie zobaczyć mandalę?! – przeraził się główny akolita Rinpo.

– Jeśli chcesz sprawdzić, czy ktoś potrafi pływać, wepchnij go do rzeki – odparł Lu-tze, wzruszając ramionami. – Czy istnieje inny sposób?

– Ale spojrzeć na nią bez odpowiedniego przeszkolenia...

– Zobaczył wzory. I zareagował na mandalę.

Lu-tze nie dodał: a mandala zareagowała na niego. Musiał się nad tym zastanowić. Kiedy człowiek spogląda w otchłań, otchłań nie powinna do niego machać.

– To jest jednak *misiomisiomisioplpla* absolutnie zakazane. – Opat niezgrabnie pogrzebał wśród zabawek i wybrał duży drewniany klocek z wyrysowanym wesołym niebieskim słoniem. Rzucił klockiem w Rinpo. – Czasami pozwalasz sobie na zbyt wiele, sprzątaczu *pać sonik!*

Sprawność opata w rozpoznawaniu zwierząt wzbudziła lekkie oklaski akolitów.

– Zobaczył wzory. Wie, co się dzieje. Tyle że jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, co wie – oświadczył z uporem Lu-tze. – A w pierwszych sekundach naszego spotkania ukradł mi pewien niewielki, ale wartościowy przedmiot. Wciąż się zastanawiam, jak to zrobił. Czy naprawdę może być aż tak szybki bez treningu? Kim jest ten chłopak?

Tik

Kim jest ta dziewczyna?

Madame Frou, dyrektorka Akademii Frou i pionierka Frourowskiej Metody Nauki Poprzez Zabawę, często się nad tym zastanawiała, kiedy musiała przeprowadzać rozmowy z panną Susan. Oczywiście, dziewczyna była jej pracownicą, ale... no cóż, madame Frou niezbyt dobrze radziła sobie z dyscypliną. Może właśnie dlatego stworzyła metodę, która żadnej dyscypliny nie wymagała. Zwykle polegała na przemawianiu do ludzi radosnym głosem, dopóki nie ustępowali z czystego zakłopotania jej zachowaniem.

Wydawało się, że panna Susan niczym nie jest zakłopotana.

– Wezwałam cię, Susan, z powodu... no, powód jest taki... – Madame Frou umilkła.

– Były skargi? – zapytała panna Susan.

– E, nie, no... Chociaż panna Smith mówiła, że dzieci po twoich lekcjach są trochę, no... niespokojne. Ich umiejętność czytania, jak twierdzi, wydaje się dość nieszczęśliwie rozwinięta...

– Panna Smith uważa, że dobra książka mówi o chłopcu i jego psie, jak biegają za dużą czerwoną piłką. Moje dzieci nauczyły się, że należy oczekiwać fabuły. Nic dziwnego, że są niecierpliwe. Obecnie czytamy „Takie srogie bajeczki”.

– To dość nieuprzejma wypowiedź, Susan.

– Nie, madame. To bardzo grzeczna wypowiedź. Byłabym nieuprzejma, gdybym powiedziała, że w piekle jest specjalny krąg przeznaczony dla takich nauczycielek jak panna Smith.

– Przecież to okro... – Madame Frou przerwała i zaczęła od początku. – W ogóle nie powinnaś ich jeszcze uczyć czytać – warknęła gniewnie.

Ale było to warknięcie śpiącego ślepego szczeniaczka. Madame Froust skuliła się w fotelu, kiedy Susan uniosła głowę. Ta dziewczyna miała przerażającą umiejętność poświęcania rozmówcy pełnej uwagi. Trzeba by być lepszą osobą niż madame Froust, żeby przetrwać taką koncentrację. Zdawało się, że Susan bada duszę i stawia małe czerwone kółka wokół tych fragmentów, które jej się nie podobają. Kiedy panna Susan patrzyła na człowieka, to jakby wystawiała mu ocenę.

– Chcę powiedzieć – wymamrotała dyrektorka – że dzieciństwo to czas zabawy i...

– Nauki – dokończyła panna Susan.

– Nauki poprzez zabawę – uzupełniła madame Froust, z wdzięcznością wkraczając na znajome terytorium. – Przecież kociaki i szczenięta...

– ...wyrastają na koty i psy, które są jeszcze mniej interesujące. Podczas gdy dzieci powinny wyrosnąć na ludzi dojrzałych.

Madame Froust westchnęła. W żaden sposób nie posuwała się naprzód. Zawsze tak było. Wiedziała, że jest bezsilna. Wieści o panie Susan szybko się rozchodziły. Zmartwieni rodzice, którzy skierowali się ku Nauce Poprzez Zabawę, ponieważ zwątpili, czy uda się skłonić potomstwo do Nauki Poprzez Zwracanie Uwagi Na To, Co Ktoś Mówi, odkrywali, że dzieci wracają do domu trochę spokojniejsze, trochę bardziej zamyślane i ze stosem pracy domowej, którą – co niezwykle – odrabiały bez przypominania i nawet pies im pomagał. I wracały z opowieściami o panie Susan.

Panna Susan mówiła wszystkimi językami. Panna Susan wiedziała wszystko o wszystkim. Panna Susan miała wspaniałe pomysły na szkolne wycieczki...

...a to było szczególnie dziwne, ponieważ – o ile madame Froust wiedziała – żadnej oficjalnie nie zorganizowano. Kiedy mijała drzwi klasy Susan, nieodmiennie dobiegała zza nich pełna skupienia cisza. To ją irytowało. Przypominało te ponure czasy, kiedy dzieci były Musztrowane w klasach stanowiących prawdziwe Izby Tortur Dla Młodych Umysłów. Ale inni nauczyciele opowiadali, że słysząc stamtąd jakieś dźwięki. Niekiedy był to cichy szum fal albo dżungli. A raz, panna Froust mogłaby przysiąc, gdyby należała do osób skłonnych do przysięgania, że kiedy przechodziła, za drzwiami odbywała się prawdziwa bitwa. Często się to zdarzało przy Nauce Poprzez Zabawę, jednak tym razem dodatek trąb, świst strzał i wrzaski rannych wydawały się pewną przesadą.

Gwałtownie otworzyła drzwi i poczuła, jak coś przemknęło jej nad głową. Panna Susan na krześle czytała książkę, a przed nią półkolem, ze skrzyżowanymi nogami siedziały dzieci, ciche i zasłuchane. Był to taki właśnie staroświecki obrazek, jakiego madame Froust nienawidziła: jak gdyby te dzieci modliły się przed jakimś Ołtarzem Wiedzy.

Nikt nie powiedział ani słowa. Wszystkie patrzące na nią dzieci oraz panna Susan w uprzejmy sposób dawały do zrozumienia, że czekają, aż dyrektorka wyjdzie.

Odskoczyła na korytarz, drzwi się za nią zatrzasnęły. Dopiero wtedy zauważyła długą, prymitywną strzałę, wciąż wibrującą w przeciwległej ścianie.

Madame Froust spojrzała na drzwi pokryte znajomą zieloną farbą, a potem znów na strzałę...

...która zniknęła.

Przeniosła do klasy panny Susan Jasona. To było okrutne, ale madame Froust uznała, że teraz toczy się między nimi niewypowiedziana wojna.

Gdyby dzieci były bronią, Jason byłby zakazany przez międzynarodowe konwencje. Miał czułych rodziców i okres skupienia uwagi rzędu minus kilku sekund, chyba że chodziło o pomysłowe okrucieństwo wobec małych futrzastych zwierzątek, kiedy to potrafił wykazać się sporą cierpliwością. Jason kopał, bił, gryzł i pluł. Jego obrazki śmiertelnie przerażały pannę Smith, która zwykle o każdym dziecku potrafiła powiedzieć coś miłego. Stanowczo należał do chłopców o szczególnych wymaganiach. W opinii pokoju nauczycielskiego najpierw wymagał egzorcyzmu.

Madame Froust pochyliła się, by podsłuchiwać przez dziurkę od klucza. Usłyszała pierwszy dzienny napad szału Jasona, a potem ciszę. Nie zrozumiała, co powiedziała panna Susan.

Kiedy pół godziny później znalazła pretekst, by zajrzeć do sali, Jason pomagał dwóm małym dziewczynkom wycinać królika z tektury.

Jego rodzice mówili potem, że są zaskoczeni przemianą, choć, jak się zdaje, zasypiał teraz jedynie przy zapalonym świetle.

Madame Froust próbowała kiedyś wypytywać swoją najnowszą nauczycielkę. Znakomite referencje owszem, są przydatne, ale w końcu była to jej pracownica. Kłopot polegał na tym, jak się przekonała, że Susan potrafiła tak odpowiadać, by madame Froust odchodziła całkiem usatysfakcjonowana. Dopiero później, w gabinecie, uświadamiała sobie, że nie uzyskała ani jednej dokładnej odpowiedzi. Jednak wtedy było już za późno.

I rzeczywiście było za późno, gdyż szkoła zyskała nagle listę oczekujących. Rodzice walczyli o to, by zapisać dzieci do klasy panny Susan. A co do historii, jakie opowiadały w domu... Cóż, wszyscy przecież wiedzą, że dzieci mają bujną wyobraźnię, prawda?

Hm, ale to wypracowanie Richendy Higgs... Madame Froust sięgnęła po okulary – była zbyt próżna, by nosić je przez cały czas, zwykle więc wisiały na sznureczku na szyi – i raz jeszcze je przeczytała. W całości wyglądało tak:

Człowiek z samych kości pszyedł i rozmawiał z nami i wcale nie był straszny i miał wielkiego białego konia. Mogliśmy poklepać konia. On opowiadał nam ciekawe rzeczy i żeby uważać jak, pszechodzimy przez ulicę.

Madame Frouf podała kartkę Susan siedzącej po drugiej stronie biurka. Dziewczyna przeczytała z uwagą. Wyjęła czerwony ołówek, zaznaczyła kilka błędów i oddała wypracowanie dyrektorce.

– I jak? – spytała madame Frouf.

– Owszem, nie radzi sobie z interpunkcją. Ale niekiedy już sobie przypomina, że po „p” pisze się zwykle „rz”.

– A... o co chodzi z tym wielkim białym koniem w klasie? – wykrztusiła w końcu madame Frouf.

Panna Susan spojrzała na nią z politowaniem.

– Czy ktokolwiek zdołałby wprowadzić konia do klasy? Tam są przecież dwa ciągi schodów.

Tym razem panna Frouf postanowiła, że nie da się zbić z tropu. Sięgnęła po następne krótkie wypracowanie.

Dzisiaj mówił do nas pan Slumph, który jest strachem, ale teraz jest już grzeczny. Powiedział nam, co robić z tymi drugimi. Można założyć sobie koc na gowę, ale lepiej założyć go na gowę strachowi i on wtedy myśli że nie istnieje i jest zniknięty. I opowiadał nam historie o ludziach, co na nich wyskakiwał. I powiedział, że jak panna Susan nas teraz uczy, to myśli że żadne strachy nie przyjdą nam do domu, bo żaden strach nie chce żeby panna Susan go znalazła.

– Strachy, Susan?

– Ależ te dzieci mają wyobraźnię – odparła Susan z powagą.

– Czyżbyś wprowadzała dzieci w zjawiska okultyzmu? – spytała podejrzliwie madame Frouf. Doskonale zdawała sobie sprawę, że takie rzeczy bardzo niepokoją rodziców.

– O tak.

– Co? Dlaczego?

– Żeby potem nie doznały wstrząsu – wyjaśniła spokojnie panna Susan.

– Ale pani Robertson mówiła mi, że jej Emma chodziła po całym domu i szukała potworów w szafach. Do tej pory zawsze się ich bała!

– Miała kij?

– Miała miecz swojego ojca!

– Bardzo rozsądnie.

– Posłuchaj mnie, Susan... Chyba rozumiem, co chcesz osiągnąć – powiedziała madame Frouf, chociaż wcale nie rozumiała. – Ale rodzice nie pochwalają takich rzeczy.

– Owszem – zgodziła się Susan. – Wydaje mi się czasem, że ludzie powinni zdawać porządną egzamin, zanim będą mogli zostać rodzicami. To znaczy nie tylko praktyczny.

– Mimo wszystko musimy szanować ich opinie – oświadczyła madame Frou, choć bez przekonania, gdyż niekiedy miała takie samo zdanie.

Była też ta sprawa z wywiadówką. Madame czuła zbyt wielkie napięcie, by obserwować, co robi jej najmłodsza nauczycielka. Wiedziała tylko, że panna Susan siedzi i rozmawia cicho z kolejnymi parami rodziców – aż tu nagle matka Jasona złapała swoje krzesło i wygoniła ojca Jasona z sali. Następnego dnia dostarczono do szkoły wielki bukiet kwiatów dla Susan od matki Jasona i jeszcze większy od ojca Jasona.

Sporo par odchodziło od biurka panny Susan ze zmartwionymi, znękanymi minami. Ale kiedy nadszedł czas, by wnieść opłaty za kolejny rok, madame Frou nie widziała jeszcze, by ktoś tak chętnie wysyłał pieniądze.

I jeszcze coś. Madame Frou, dyrektorka, która musiała się martwić o reputację, koszty i chesne, od czasu do czasu słyszała daleki głos panny Frou, która była całkiem niezłą, choć dość nieśmiałą nauczycielką, a teraz gwizdała i biła Susan brawo.

Susan zrobiła zatroskaną minę.

– Czy nie jest pani zadowolona z mojej pracy?

Madame Frou znalazła się w pułapce. Nie, nie była zadowolona, ale z całkiem niewłaściwych powodów. I w miarę trwania tej rozmowy docierało do niej, że nie ośmieli się zwolnić panny Susan. Co gorsze, nie może pozwolić jej odejść z własnej woli. Gdyby panna Susan założyła szkołę i wiadomość o tym by się rozniosła, Akademia Nauki Poprzez Zabawę straciłaby uczniów, a co ważniejsze – wpłaty.

– No oczywiście, że... nie, skąd... pod wieloma względami... – zaczęła i uświadomiła sobie, że panna Susan spogląda gdzieś poza nią.

Był tam... madame Frou usiłowała włożyć okulary i odkryła, że sznureczek wplątał się w guziki bluzki. Popatrzyła na półkę nad kominkiem i próbowała zorientować się w rozmazanych plamach.

– Ależ... to wygląda jak biały szczur w małej czarnej pelerynie – powiedziała. – I chodzi na tylnych łapkach! Widzisz go?

– Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób szczur mógłby nosić pelerynę – odparła panna Susan.

Po czym westchnęła i pstryknęła palcami, choć pstrykanie nie było takie istotne. Czas się zatrzymał.

A w każdym razie zatrzymał się dla wszystkich oprócz panny Susan.

I dla szczura na półce nad kominkiem.

W rzeczywistości był to szkielet szczura, choć nie przeszkadzało mu to w próbach

kradzieży cukierków ze słoja madame Frouf, przeznaczonych dla Grzecznych Dzieci.

Susan podeszła i chwyciła go za kołnierz małej szaty.

PIP? – powiedział Śmierć Szczurów.

– Tak myślałam, że to ty! – warknęła Susan. – Jak śmiesz znowu tu przychodzić? Myślałam, że wczoraj jasno dałam do zrozumienia, co o tym myślę. I niech ci się nie wydaje, że cię nie zauważyłam, kiedy w zeszłym miesiącu przyszedłeś po Henryka Chomika! Wiesz, jak trudno uczyć geografii, kiedy się widzi, jak ktoś kopniakami wyrzuca kupki z kołowrotka?

SNH, SNH, SNH, zachichotał szczur.

– I jesz cukierka! Wyrzuc go natychmiast do kosza!

Susan rzuciła szczura na biurko, przed chwilowo znieruchomiła madame Frouf. Zawahała się.

Zwykle starała się nie pamiętać o takich sprawach, ale bywały chwile, kiedy człowiek po prostu musiał zaakceptować, kim jest.

Otworzyła dolną szufladę biurka, by sprawdzić poziom zawartości w butelce będącej tarczą i pocieszycielem madame Frouf w cudownym świecie edukacji. Z satysfakcją stwierdziła, że dyrektorka ostatnio trochę przyhamowała. Większość ludzi ma pewne sposoby wypełnienia szczeliny pomiędzy percepcją a rzeczywistością, a w tych okolicznościach bywają w końcu rzeczy o wiele gorsze niż gin.

Poświęciła też chwilę na przejrzenie osobistych papierów madame. Trzeba to o Susan powiedzieć: nie przyszło jej nawet do głowy, że jest w tym cokolwiek niewłaściwego, choć doskonale rozumiała, że zapewne jest to niewłaściwe dla osób niebędących Susan Sto Helit. Papiery leżały zamknięte w całkiem dobrym sejfie, który kompetentnemu złodziejowi zajęłoby co najmniej dwadzieścia minut. Fakt, że drzwiczki otworzyły się od jej dotknięcia, sugerował, że działają tu specjalne prawa.

Żadne drzwi nie były zamknięte przed panną Susan. To cecha rodzinna. Pewne geny przekazuje się poprzez ducha.

Kiedy zorientowała się już w bieżących sprawach szkoły – głównie by pokazać szczurowi, że nie jest kimś, kogo można wezwać natychmiast i bez uprzedzenia – wstała.

– No dobrze – powiedziała. – Będziesz mnie tak nachodził, co? Bez przerwy, znowu i znowu.

Śmierć Szczurów przyjrzał się jej, przechylając czaszkę na bok.

PIP, powiedział uprzejmym tonem.

– No owszem, tak, lubię go – przyznała. – W pewnym sensie. Ale przecież, no wiesz, to nie jest właściwe. Do czego mnie potrzebuje? Jest Śmiercią! Nie jest całkiem bezsilny! A ja jestem tylko człowiekiem!

Szczur pisnął znowu, zeskoczył na podłogę i wybiegł przez zamknięte drzwi. Po

chwili pojawił się znowu i skinął na nią.

– Dobrze – mruknęła Susan do siebie. – Niech będzie: w większości człowiekiem.

Tik

I kim jest ten Lu-tze?

Wcześniej czy później każdy z nowicjuszy musiał sobie zadać to dość skomplikowane pytanie. Czasami mijały lata, nim odkrywali, że mały człowieczek, który zmiata ich podłogi i bez słowa skargi wywozi zawartość szamba, a od czasu do czasu cytuje jakieś obce, cudzoziemskie powiedzonka, jest tym legendarnym bohaterem, o którym mówiono, że pewnego dnia go spotkają. A kiedy stawali przed nim, najbardziej inteligentni z nich stawali twarzą w twarz ze sobą.

Sprzątacze pochodzili w większości z wiosek w dolinie. Należeli do personelu klasztoru, ale nie mieli żadnego statusu. Wykonywali wszystkie uciążliwe i nisko cenione prace. Byli... sylwetkami w tle: przycinali drzewa wiśniowe, myli podłogi, czyścili sadzawki z karpiami i zawsze zmiatali. Nie mieli imion. To znaczy, jak domyślał się inteligentny nowicjusz, musieli mieć imiona, jakieś określenia, poprzez które byli rozpoznawalni wśród innych sprzątaczy. Ale na terenie świątyni nikt nie używał ich imion, tylko poleceń. Nikt nie wiedział, gdzie odchodzili na noc. Byli po prostu sprzątacami. Tak samo jak Lu-tze.

Pewnego dnia grupka starszych nowicjuszy dla żartu rozbiła kopniakami małą kapliczkę, którą Lu-tze miał obok swej maty do spania.

Następnego ranka żaden sprzątac nie zjawił się do pracy. Zostali w swoich chatkach, za zaryglowanymi drzwiami. Po zbadaniu sprawy opat – który wtedy znów miał pięćdziesiąt lat – przywołał trzech nowicjuszy do swego pokoju. Stały tam trzy miotły oparte o ścianę.

Opat przemówił tymi słowami:

– Czy wiecie, że straszliwa bitwa pięciu miast nie wybuchła, ponieważ posłaniec dotarł tam na czas?

Wiedzieli. Uczyli się tego na początkowym etapie szkolenia. I skłonili się nerwowo, ponieważ w końcu był to opat.

– Wiecie zatem, że gdy koń posłańca zgubił podkowę, posłaniec ów dostrzegł człowieka, który siedł obok drogi, dźwigał przenośne palenisko i pchał na taczkach kowadło?

Wiedzieli.

– I wiecie, że tym człowiekiem był Lu-tze?

Wiedzieli to również.

– Z pewnością wiecie też, że Janda Trapp, wielki mistrz *okidoki*, *taro-fu* i *chang-fu*, uległ tylko jednemu człowiekowi?

Wiedzieli.

– I wiecie, że tym człowiekiem był Lu-tze?

Wiedzieli.

– Pamiętacie tę małą kapliczkę, którą rozbiliście zeszłej nocy?

Pamiętali.

– Wiecie, że miała właściciela?

Zapadła cisza. A potem najbystrzejszy z nowicjuszy spojrzał na opata ze zgrozą, przełknął ślinę, chwycił jedną z trzech mioteł i wyszedł.

Dwaj pozostali byli umysłowo bardziej ociężali i musieli wysłuchać historii aż do końca.

Wtedy jeden z nich powiedział:

– Ale to była tylko kapliczka sprzątacza!

– Weźmiecie te miotły i będziecie zamiatać – rzekł opat. – Będziecie zamiatać codziennie, będziecie zamiatać aż do dnia, kiedy odszukacie Lu-tze i odważycie się powiedzieć: „Sprzątaczu, to ja przewróciłem i rozbiłem twoją kapliczkę, a teraz z pokorą udam się z tobą do dojo Dziesiątego Djimu, aby poznać Właściwą Drogę”. Dopiero wtedy, o ile nadal będziecie w stanie, możecie wrócić do swoich studiów.

[Opowieść rozwijała się dalej: Nowicjusz, który protestował, że to przecież tylko kapliczka sprzątacza, uciekł ze świątyni. Student, który nic nie powiedział, pozostał sprzątaczem do końca swych dni. Natomiast student, który dostrzegł nieuniknioną formę opowieści, po długich miesiącach pracowitego zamykania poszedł do Lu-tze, uklęknął i poprosił o wskazanie mu Właściwej Drogi. Na co sprzątacza zaprowadził go do dojo Dziesiątego Djimu ze straszliwymi wielostrzowymi maszynami walczącymi i przerażającymi, zębatymi narzędziami walki, takimi jak *clong-clong* czy *uppsi*. Opowieść mówi, że sprzątacza otworzył szafę w głębi dojo, wyjął z niej miotłę i tak rzekł: Jedną ręką tutaj, a drugą tutaj. Rozumiesz? Ludzie nigdy nie łapią jak trzeba. Stosuj długie, równe pociągnięcia i pozwól, żeby miotła wykonywała większą część pracy. Nigdy nie próbuj zamieść wielkiego stosu, bo w efekcie będziesz musiał każde ziarno kurzu zamiatać dwukrotnie. Używaj szufelki rozsądnie i pamiętaj: małą zmiotką w kątach”.]

Starsi mnisi czasem narzekali, ale zawsze znalazł się ktoś, kto tłumaczył:

– Pamiętajcie, że Droga Lu-tze nie jest naszą Drogą. Pamiętajcie, że nauczył się wszystkiego, zamiatając samotnie, podczas gdy studenci są edukowani. Pamiętajcie, że bywał wszędzie i wiele dokonał. Może jest trochę... dziwny, ale pamiętajcie, że wszedł do cytadeli pełnej uzbrojonych żołnierzy i pułapek, a mimo to dopilnował, by pasza Muntabu zadławił się niewinną ością. Żaden mnich nie potrafi lepiej niż Lu-tze znaleźć Czasu i Miejsca.

Ci, którzy nie wiedzieli, mogli pytać:

– Jakaż to Droga daje mu taką moc?

Na co słyszeli:

– To Droga panny Marietty Cosmopilite, ulica Quirmowa 3, Ankh-Morpork, Pokoje do Wynajęcia, Ceny Przystępne. Nie, my też tego nie rozumiemy. Najwyraźniej jakiś subscendentalny bełkot.

Tik

Oparty na miotle Lu-tze słuchał starszych mnichów. Słuchanie było sztuką, którą rozwijał od lat. Przekonał się bowiem, że jeśli ktoś słucha dostatecznie pilnie i długo, ludzie w końcu powiedzą mu więcej, niż sądzą, że sami wiedzieli.

– Soto jest dobrym agentem terenowym – oświadczył w końcu. – Trochę dziwnym, ale dobrym.

– Upadek objawił się nawet na mandali – rzekł Rinpo. – Chłopiec nie znał żadnej odpowiedniej akcji. Soto twierdzi, że zrobił wszystko odruchowo. Jak mówi, wydawało mu się, że jeszcze w życiu nie widział, by ktoś był tak bliski zera jak ten chłopak. Dopiero po godzinie wsadził go na powóz zmierzający w stronę gór. Potem musiał poświęcić pełne trzy dni, by wykonać Zamknięcie Kwiatu w Gildii Złodziei, gdzie chłopca podobno podrzucono jako niemowlę.

– Zamknięcie się udało?

– Upoważniliśmy go do użycia czasu roboczego dwóch prokrastynatorów. Może kilka osób zachowa jakieś mgliste wspomnienia, ale gildia jest duża i zapracowana.

– Żadnych braci ani siostr. Żadnej miłości rodziców. Jedynie bractwo złodziei – westchnął smutno Lu-tze.

– Był jednak bardzo dobrym złodziejem.

– Nie wątpię. Ile ma lat?

– Wydaje się, że szesnaście albo siedemnaście.

– A więc za stary, żeby go uczyć.

Starsi mnisi wymienili znaczące spojrzenia.

– Niczego nie możemy go nauczyć – rzekł mistrz nowicjuszy. – On...

Lu-tze uniósł pomarszczoną dłoń.

– Pozwólcie, że zgadnę. On już to wie?

– Całkiem jakbyśmy mówili coś, co tylko na chwilę wypadło mu z pamięci – potwierdził Rinpo. – A potem się nudzi i denerwuje. Moim zdaniem nie do końca jest z nami.

Lu-tze poskrobał swą splątana bródkę.

– Tajemniczy chłopak – stwierdził w zadumie. – Naturalny talent.

– I pytamy samych siebie *ciem noćniciek, noćniciek, kaku* dlaczego teraz, dlaczego w tym czasie – wtrącił opat, gryząc nogę drewnianego jaka.

– Ach, czyż nie jest powiedziane: „Na Wszystko jest właściwy Czas i Miejsce”? – spytał Lu-tze. – Zresztą, wielce szanowni panowie, uczycie studentów już od setek lat. Ja jestem tylko sprzątaczem. – Z roztargnieniem uniósł rękę w chwili, gdy jak wyfrunął z niezgrabnych palców opata, i chwycił zabawkę w powietrzu.

– Lu-tze – odezwał się mistrz nowicjuszy. – Najkrócej mówiąc, nie byliśmy w stanie cię uczyć. Pamiętasz?

– Ale potem odnalazłem swą Drogę.

– Czy zechcesz go szkolić? – zapytał opat. – Chłopak powinien *mmm brmmm* odnaleźć sam siebie.

– Czyż nie jest napisane: „Mam tylko jedną parę rąk”?

Rinpo zerknął na mistrza nowicjuszy.

– Nie wiem – przyznał. – Żaden z nas nigdy nie widział tekstów, które cytujesz.

Wciąż zadumany, jakby jego myśli błądziły gdzie indziej, Lu-tze rzekł:

– To może być wyłącznie tu i teraz. Jest bowiem napisane: „Nigdy nie pada, ale leje”.

Rinpo zrobił zdumioną minę, ale natychmiast spłynęło na niego oświecenie.

– Dzbanek – oświadczył, zadowolony z siebie. – Nie pada, ale leje!

Lu-tze ze smutkiem pokręcił głową.

– A odgłos klaskania jedną ręką to „kia” – powiedział. – Dobrze więc, wasza świątobliwość. Pomogę mu odnaleźć Drogę. Czy coś jeszcze, wielebni?

Tik

Lobsang wstał, gdy Lu-tze wrócił do przedpokoju. Uczynił to z wahaniem, jakby zakłopotany, że okazuje szacunek.

– No dobra, zasady są takie – rzekł Lu-tze, przechodząc obok niego. – Po pierwsze, nie nazywasz mnie mistrzem, a ja nie nadaję ci imienia od jakiegoś nieszczęsnego owada. Dyscyplinowanie ciebie nie jest moim zadaniem, ale twoim. Jest bowiem napisane: „Nie pozwolę sobie na takie rzeczy”. Rób, co ci powiem, a wszystko będzie w porządku. Jasne?

– Co? Chcesz mnie przyjąć na ucznia? – upewnił się Lobsang, biegnąc, by dotrzymać mu kroku.

– Nie, nie chcę cię na ucznia, nie w moim wieku, ale zostaniesz nim, więc lepiej obaj spróbujmy jakoś to sobie poukładać.

– I nauczysz mnie wszystkiego?

– Pierwsze słyszę o „wszystkim”. Wiesz, nie znam się specjalnie na mineralogii sądowej. Ale owszem, nauczę cię wszystkiego, co wiem, a ta wiedza może być dla

ciebie użyteczna.

- Kiedy?
- Robi się późno...
- Jutro o świcie?
- Och, raczej przed świtem. Obudzę cię.

Tik

W pewnej odległości od akademii madame Froust, na ulicy Ezoterycznej, znajdowała się pewna liczba klubów dla dżentelmenów. Stanowczo nazbyt cyniczne byłoby stwierdzenie, że termin „dżentelmen” oznacza po prostu kogoś, kogo stać na pięćset dolarów rocznie; musieli przecież uzyskać aprobatę innych dżentelmenów, których stać było na taką samą sumę.

I niespecjalnie lubili towarzystwo dam. Co nie oznacza, że byli tym rodzajem dżentelmenów, którzy mieli własne, lepiej urządzone kluby w innej części miasta, gdzie na ogół znacznie więcej się działo. Ci dżentelmeni należeli do ludzi z klasą, którzy – ogólnie rzecz biorąc – od wczesnego dzieciństwa byli dręczeni przez kobiety. Ich życiem kierowały niańki, guwernantki, matrony, matki i żony, a po czterech czy pięciu dziesięcioleciach takiego traktowania przeciętny dobrze wychowany dżentelmen rezygnował i możliwie grzecznie wynosił się do jednego z tych klubów, gdzie mógł przespać całe popołudnie w skórzanym fotelu, z rozpiętym górnym guzikiem spodni. [Jednym z powodów było klubowe wyżywienie. W swoim klubie dżentelmen mógł znaleźć takie dania, do jakich przyzwyczał się w szkole, na przykład pudding z rodzynkami, roladę z dżemem czy budyń. To żony jedzą witaminy.]

Najbardziej ekskluzywnym z tych klubów był Fidgett i funkcjonował tak: Susan nie musiała stawać się niewidzialna, ponieważ wiedziała, że członkowie Fidgetta po prostu jej nie zobaczą albo nie uwierzą, że istnieje, nawet gdyby zobaczyli. Kobietom nie wolno było wchodzić do klubu – chyba że zgodnie z Regułą 34b, która niechętnie zezwalała żeńskim członkom rodziny lub szacownym zamężnym damom po trzydziestce być zapraszany na herbatkę do Zielonego Gabinetu pomiędzy godziną 15.15 a 16.30, pod warunkiem że cały czas będzie obecna przynajmniej jedna osoba z personelu. Reguła obowiązywała tak długo, że członkowie interpretowali tę porę jako jedyne siedemdziesiąt pięć minut dnia, kiedy kobietom zezwala się na istnienie. Zatem kobiety widziane w klubie w dowolnej innej porze musiały być wytworem wyobraźni.

W przypadku Susan, w jej dość surowym nauczycielskim kostiumie i zapinanych bucikach – które jakoś zdawały się mieć wyższe obcasy, gdy stawiała się wnuczką Śmierci – mogło to być prawdą.

Obcasy stukały o marmurową posadzkę, kiedy zmierzała do biblioteki.

Nie mogła zrozumieć, czemu Śmierć zaczął tutaj bywać. Oczywiście, miał wiele cech prawdziwego dżentelmena. Mieszkał we własnej posiadłości za miastem (w dalekiej, posępnej okolicy); był niezawodnie punktualny; był uprzejmy dla wszystkich, z którymi się spotykał (a wcześniej czy później spotykał się z każdym); ubierał się elegancko, choć poważnie; umiał się zachować w każdym towarzystwie, a także był dobrym jeźdźcem.

Jedno tylko nie do końca pasowało. Fakt, że był też Posępnym Żniwiarzem.

Większość wyściełanych foteli w bibliotece zajmowali zadowoleni stołownicy, drzemący z przyjemnością pod namiotami egzemplarzy „Pulsu Ankh-Morpork”. Susan rozejrzała się i odszukała azetę, spod której wystawała dolna część czarnej szaty i para kościstych stóp. Była też oparta o fotel kosa.

Susan podniosła azetę.

DZIEŃ DOBRY, powiedział Śmierć. JADŁAŚ JUŻ LUNCH? DZIŚ MIELIŚMY ROLADĘ Z DŻEMEM.

– Dlaczego to robisz, dziadku? Przecież nie sypiasz.

ODPOCZYWAM W TEN SPOSÓB. U CIEBIE WSZYSTKO W PORZĄDKU?

– Było, dopóki nie zjawił się szczur.

TWOJA KARIERA SIĘ ROZWIJA? WIESZ, ŻE TROSZCZĘ SIĘ O CIEBIE.

– Dziękuję – odparła krótko Susan. – Wyjaśnij mi, po co...

CZY KRÓTKA ROZMOWA CI ZASZKODZI?

Susan westchnęła. Wiedziała, jaki jest powód tego zachowania – i nie była to radosna myśl. Była raczej mała, smutna i chwiejna, a mówiła tyle: Oboje nie mają na świecie nikogo prócz siebie nawzajem. I tyle. Taka myśl szłochała w chusteczkę do nosa, ale była prawdziwa.

Pewnie, Śmierć miał swojego kamerdynera Alberta, no i oczywiście był też Śmierć Szczurów, jeśli można go uznać za towarzystwo.

Jeśli chodzi o Susan...

Cóż, była w części nieśmiertelna, i to właściwie tyle. Widziała rzeczywistość, która istniała naprawdę. [Co jest o wiele trudniejsze od widzenia rzeczywistości, której naprawdę nie ma. To potrafi każdy.] Mogła wkładać i zdejmować czas niby płaszcz. Reguły, obejmujące wszystkich pozostałych, takie jak grawitacja, do niej stosowały się tylko wtedy, kiedy im pozwalała. I choćby człowiek bardzo się starał, takie cechy zwykle przeszkadzają w związkach. Trudno nawiązywać bliski kontakt z ludźmi, kiedy jakaś mała część umysłu widzi ich tylko jako chwilowe zbiory atomów, których za kilkadziesiąt lat już tu nie będzie.

I tam właśnie spotykała się z małą częścią umysłu Śmierci, który odkrył, że trudno nawiązywać kontakty z ludźmi, kiedy myśli się o nich jak o rzeczywistych.

Nie przeżyła nawet dnia, w którym nie martwiłaby się swoim niezwykłym pochodzeniem. A potem zwykle się zastanawiała, jak by to było: wędrować przez świat bez ciągłej świadomości skał pod nogami i gwiazd nad głową, mieć tylko pięć zmysłów, być prawie ślepą i niemal głuchą...

DZIECI SĄ ZDROWE? PODOBAŁY MI SIĘ NARYSOWANE PRZEZ NIE MOJE PORTRETY.

– Tak, zdrowe. Co u Alberta?

WSZYSTKO W PORZĄDKU.

...i tak naprawdę nie prowadzić swobodnych rozmów. W wielkim, poważnym wszechświecie nie ma miejsca na swobodne rozmowy.

ŚWIAT WKRÓTCE SIĘ SKOŃCZY.

No, to jest poważna rozmowa.

– Kiedy?

W PRZYSZŁĄ ŚRODĘ.

– Dlaczego?

AUDYTORZY WRÓCILI, wyjaśnił Śmierć.

– Te paskudne małe stwory?

TAK.

– Nienawidzę ich.

JA OCZYWIŚCIE NIE ŻYWIĘ ŻADNYCH EMOCJI, rzekł Śmierć z twarzą tak nieruchomą, jak tylko czaszka potrafi.

– Co tym razem planują?

NIE MAM POJĘCIA.

– Myślałam, że pamiętasz przyszłość!

TAK, ALE COŚ SIĘ ZMIENIŁO. PO ŚRODZIE NIE MA JUŻ ŻADNEJ PRZYSZŁOŚCI.

– Przecież musi coś być, choćby same ruiny!

NIE. PO GODZINIE PIERWSZEJ W PRZYSZŁĄ ŚRODĘ NIE MA JUŻ NIC. TYLKO GODZINA PIERWSZA W PRZYSZŁĄ ŚRODĘ, JUŻ NA ZAWSZE. NIKT NIE BĘDZIE ŻYŁ, NIKT NIE UMRZE. TYLE TERAZ WIDZĘ. PRZYSZŁOŚĆ SIĘ ZMIENIŁA. ROZUMIESZ?

– A co to ma wspólnego ze mną? – Susan wiedziała, że dla każdej innej osoby byłoby to głupie pytanie.

WYDAWAŁOBY SIĘ, ŻE KONIEC ŚWIATA DOTYCZY KAŻDEGO, PRAWDA?

– Wiesz, o co mi chodzi!

JAK SĄDZĘ, MA TO JAKIŚ ZWIĄZEK Z NATURĄ CZASU, KTÓRY JEST ZARÓWNO NIEŚMIERTELNY, JAK I LUDZKI. POJAWIŁY SIĘ... SWEGO RODZAJU

ZMARSZCZKI.

– Oni chcą coś zrobić z Czasem? Myślałam, że tego im nie wolno.

IM NIE, ALE LUDZIE MOGĄ. KIEDYŚ JUŻ TO SIĘ STAŁO.

– Nikt nie byłby tak głupi...

Susan urwała. Oczywiście, że ktoś byłby tak głupi. Niektórzy ludzie robią cokolwiek, żeby tylko sprawdzić, czy zrobienie tego jest możliwe. Gdyby w jakiejś grocie umieścić duży przełącznik z tabliczką: „Przełącznik Końca Świata! NIE DOTYKAĆ”, farba na niej nie zdążyłaby nawet wyschnąć.

Pomyślała jeszcze chwilę. Śmierć przyglądał się jej w skupieniu.

Potem powiedziała:

– To zabawne, ale jest taka książka, którą czytam mojej klasie. Pewnego dnia znalazłam ją na biurku. Nazywa się „Takie srogi bajeczki”...

ACH, RADOSNE OPOWIASTKI DLA NAJMŁODSZYCH, rzekł Śmierć bez cienia ironii.

– ...które w większości mówią o złych ludziach ginących w straszny sposób. Dzieciom całkiem odpowiada ta koncepcja. Jakoś ich nie martwi.

Śmierć milczał.

– Z wyjątkiem „Szklanego zegara z Bad Schüschlein” – dokończyła Susan, obserwując jego czaszkę. – Ta bajka wzbudziła w nich niepokój, mimo że ma coś w rodzaju szczęśliwego zakończenia.

MOŻE DLATEGO ŻE OPOWIEŚĆ JEST PRAWDZIWA.

Susan zbyt długo знаła już Śmierć, by protestować.

– Chyba rozumiem – powiedziała. – Dopilnowałeś, żeby ta książka się tam znalazła.

TAK. RZECZ JASNA, TE BZDURY O PIĘKNYM KSIĘCIU I RÓŻNYCH TAKICH SĄ W OCZYWISTY SPOSÓB DODANE. NATURALNIE, TO NIE AUDYTORZY WYNALEŻLI ZEGAR. BYŁ DZIEŁEM SZALEŃCA. ALE ŚWIETNIE POTRAFIĄ SIĘ ADAPTOWAĆ. NIE UMIEJĄ TWORZYĆ, LECZ UMIEJĄ SIĘ DOSTOSOWAĆ. I ZEGAR JEST ODTWARZANY.

– Czy czas naprawdę stanął?

ZOSTAŁ UWIEŻIONY. TYLKO NA CHWILĘ, ALE REZULTATY TEGO WCIAŻ NAS OTACZAJĄ. HISTORIA ROZSYPAŁA SIĘ I ROZPADŁA. PRZESZŁOŚCI NIE BYŁY JUŻ POWIĄZANE Z PRZYSZŁOŚCIAMI. MNISI HISTORII MUSIELI WSZYSTKO ODBUDOWAĆ PRAKTYCZNIE OD ZERA.

Susan nie traciła czasu na wygłaszanie opinii typu „To niemożliwe”. Tak mówią tylko ludzie, którzy wierzą, że żyją w realnym świecie.

– Musiało im to zabrać sporo... czasu.

CZAS, OCZYWIŚCIE, NIE BYŁ TU PROBLEMEM. ONI KORZYSTAJĄ Z

PEWNEJ FORMY LAT, OPARTYCH NA CZĘSTOTLIWOŚCI LUDZKIEGO PULSU, I TAKICH LAT POTRZEBOWALI OKOŁO PIĘCIUSET.

– Ale jeśli historia się rozpadła, to skąd wzięli...

Śmierć złożył palce w piramidkę.

MYŚL TEMPORALNIE, SUSAN. SĄDZĘ, ŻE PODKRADLI NIECO CZASU Z JAKIEJŚ WCZEŚNIEJSZEJ ERY ŚWIATA, GDZIE I TAK SIĘ MARNOWAŁ. NA MASY GADÓW. W KOŃCU CZYM JEST CZAS DLA WIELKIEJ JASZCZURKI? TE PROKRASTYNATORY, JAKICH UŻYWAJĄ MNISI... WSPANIAŁE URZĄDZENIA. POTRAFIĄ MAGAZYNOWAĆ CZAS, PRZESUWAĆ GO, ROZCIĄGAĆ... CAŁKIEM POMYSŁOWE. A KIEDY TO SIĘ STAŁO? TO PYTANIE TAKŻE NIE MA SENSU. GDY BUTELKA SIĘ ROZTRZASKA, CZY MA ZNACZENIE, W KTÓRYM MIEJSCU SZKŁO ZOSTAŁO UDERZONE? W KAŻDYM RAZIE ODPRYSKI TEGO ZDARZENIA NIE ISTNIEJĄ JUŻ W ODBUDOWANEJ HISTORII.

– Zaraz, zaraz. Jak można zabrać kawałek, no... jakiegoś dawnego wieku i doszyć go do współczesnego? Czy nikt nie zauważy, że... – Susan zawahała się przez moment. – No, że ludzie noszą nieodpowiednie pancerze, budynki są nie takie, jak być powinny, i że trwa jakaś wojna, która wydarzyła się przed wiekami?

WEDŁUG MOICH OBSERWACJI, SUSAN, WE WŁASNYCH GŁOWACH AŻ ZBYT WIELU LUDZI SPĘDZA MNÓSTWO CZASU W SAMYM ŚRODKU WOJEN, KTÓRE WYDARZYŁY SIĘ PRZED WIEKAMI.

– Bardzo filozoficzne, ale chodziło mi o to...

NIE POWINNAŚ MYLIĆ ZAWARTOŚCI Z OPAKOWANIEM. Śmierć westchnął. JESTEŚ W WIĘKSZEJ CZĘŚCI CZŁOWIEKIEM. NAJWYRAŹNIEJ POTRZEBUJESZ LEKCJI POKAZOWEJ. CHODŹMY.

Wstał i ruszył przez hol do jadalni. Wciąż siedziało tam kilku spóźnionych stołowników, znieruchomiałych przy pracy, z serwetkami wciśniętymi pod brody, w szczęśliwej węglowodanowej atmosferze.

Śmierć podszedł do stołu nakrytego już do kolacji i chwycił za róg obrusa.

CZAS JEST OBRUSEM, POWIEDZIAŁ. SZTUĆCE I TALERZE TO WYDARZENIA, JAKIE MAJĄ MIEJSCE W CZASIE...

Zabrzmiał werbel. Susan spojrzała w dół. Śmierć Szczurów usadowił się przed nimi z małą perkusją.

OBSERWUJ.

Śmierć szarpnął za obrus. Zabrzęczały sztucce, nastąpił moment niepewności w kwestii wazonu z kwiatami, ale prawie wszystkie nakrycia pozostały na swoich miejscach.

– Rozumiem – powiedziała Susan.

STÓŁ NADAL POZOSTAJE NAKRYTY, ALE OBRUS MOŻNA WYKORZYSTAĆ DO INNEGO POSIŁKU.

– Przewróciłeś solniczkę.

TECHNIKA NIE JEST DOSKONAŁA.

– A na obrusie są plamy z poprzednich posiłków, dziadku.

Śmierć się rozpromienił.

OTÓŻ TO, powiedział. JAK NA METAFORY, TA JEST DOŚĆ UDANA, NIE SĄDZISZ?

– Ludzie by zauważyli!

DOPRAWDY? LUDZIE SĄ NAJMNIJ SPOSTRZEGAWCZYMISTOTAMI WE WSZECHŚWIECIE. OCH, JEST SPORO ANOMALII, OCZYWIŚCIE – TROCHĘ ROZSYPAŃ SOLI. ALE HISTORYCY JAKOŚ JE WYTŁUMACZĄ. ONI TAKŻE SĄ BARDZO UŻYTECZNI W TEJ KWESTII.

Susan wiedziała, że istnieje coś, co nazywa się Prawami. Nie były spisane, w ten sam sposób, w jaki nie są spisane góry. Były bardziej fundamentalne niż zwykłe zjawiska mechaniczne, takie jak grawitacja. Audytorzy mogli nienawidzić chaosu spowodowanego powstaniem życia, ale Prawa nie pozwalały im nic zrobić. Rozwój ludzkości musieli potraktować jak dar losu – wreszcie pojawił się gatunek, który można przekonać, by sam sobie strzelił w stopę.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz – powiedziała.

WSZYSTKIEGO, DO CZEGO JESTEŚ ZDOLNA, odparł Śmierć. JA, ZGODNIE ZE ZWYCZAJEM I PRAKTYKĄ, MAM CHWIŁOWO INNE OBOWIĄZKI.

– Takie jak...?

WAŻNE SPRAWY.

– Tak bardzo ważne, że nie możesz mi ich zdradzić?

TAK BARDZO WAŻNE, ŻE NIE ZAMIERZAM CI ICH ZDRADZIĆ. ALE TWOJE INTUICJE SĄ CENNE. MASZ TAKI SPOSÓB MYŚLENIA, JAKI MOŻE SIĘ PRZYDAĆ. MOŻESZ PÓJŚĆ TAM, GDZIE JA NIE MOGĘ. JA TYLKO WIDZIAŁEM PRZYSZŁOŚĆ, TY POTRAFISZ JĄ ZMIENIAĆ.

– Gdzie odbudowują ten zegar?

NIE WIEM. DOBRZE, ŻE CHOĆ TYLE UDAŁO MI SIĘ WYDEDUKOWAĆ. TA SPRAWA JEST PRZED MNĄ ZAKRYTA CHMURAMI.

– Dlaczego?

PONIEWAŻ SPRAWY ZOSTAŁY UKRYTE. Śmierć wydawał się zakłopotany. UCZESTNICZY W NICH KTOŚ... KTO NIE JEST MI PODDANY.

– Nieśmiertelny?

KTOŚ PODDANY... KOMUŚ INNEMU.

– Będziesz musiał wyrażać się o wiele jaśniej.

SUSAN... WIESZ, ŻE ADOPTOWAŁEM I WYCHOWAŁEM TWOJĄ MATKĘ, A POTEM ZNALAZŁEM DLA NIEJ ODPOWIEDNIEGO MĘŻA.

– Tak, tak – burknęła Susan. – Jak mogłabym zapomnieć? Przecież codziennie patrzę w lustro.

TO... TO DLA MNIE TRUDNE. CHODZI O TO, ŻE NIE JA JEDYNY PODJĄŁEM TAKIE DZIAŁANIA. CZEMU JESTEŚ TAKA ZDZIWIONA? CZY NIE WIADOMO POWSZECHNIE, ŻE BOGOWIE CAŁY CZAS TO ROBIĄ?

– Bogowie tak, ale nie tacy jak ty!

TACY JAK JA SĄ JEDNAK JAK LUDZIE...

Susan zrobiła coś niezwykłego: zaczęła słuchać. Nie jest to łatwe dla nauczycielki.

SUSAN, MUSISZ WIEDZIEĆ, ŻE CI, KTÓRZY SĄ... POZA CZŁOWIECZEŃSTWEM...

– Wcale nie jestem poza człowieczeństwem – przerwała ostro. – Mam tylko kilka... dodatkowych zdolności.

NIE MÓWIŁEM O TOBIE, NATURALNIE. CHODZIŁO MI O INNYCH, KTÓRZY NIE SĄ LUDŹMI, A JEDNAK NALEŻĄ DO LUDZKIEGO WSZECHŚWIATA: WOJNA, PRZEZNACZENIE, ZARAŻA I RESZTA Z NAS – LUDZIE WYOBRAŻAJĄ NAS SOBIE W LUDZKICH POSTACIACH I DLATEGO NA RÓŻNE SPOSOBY PRZEJMUJEMY PEWNE ASPEKTY CZŁOWIECZEŃSTWA. NIE MOŻE BYĆ INACZEJ. NAWET SAM KSZTAŁT CIAŁA WYMUSZA NA NASZYCH UMYSŁACH PEWIEN SPOSÓB OBSERWOWANIA ŚWIATA. PRZEJMUJEMY LUDZKIE CECHY: CIEKAWOŚĆ, GNIEW, NIEPOKÓJ...

– To dość podstawowa wiedza, dziadku.

TAK. WIESZ ZATEM, ŻE NIEKTÓRZY Z NAS... INTERESUJĄ SIĘ LUDZKOŚCIĄ.

– Wiem. Jestem jednym z rezultatów tego zainteresowania.

TAK. EEE... A NIEKTÓRZY Z NAS... PRZEJAWIAJĄ ZAINTERESOWANIE, KTÓRE JEST BARDZIEJ...

– Interesujące?

...OSOBISTE. SŁYSZAŁAŚ PEWNIE, JAK OPOWIADAŁEM O... PERSONIFIKACJI CZASU...

– Niewiele mi o niej mówiłeś. Wspominałeś chyba, że mieszka w szklanym pałacu.

Susan czuła delikatną, wstydliwą, ale dziwnie wyraźną satysfakcję z obserwacji zakłopotania Śmierci. Wyglądał jak ktoś, kto jest zmuszony do ujawnienia szkieletu w szafie.

TAK. EEE... ZAKOCHAŁA SIĘ W CZŁOWIEKU.

– Jakież to musiał być romantik – stwierdziła Susan, wyraźnie wymawiając „i”.

Zachowywała się po dziecinnemu złośliwie, zdawała sobie z tego sprawę, ale życie wnuczki Śmierci nie jest łatwe i czasami ogarniała ją przemożna chęć zirytowania kogoś.

OCH... KALAMBUR, CZYLI GRA SŁÓW, rzekł Śmierć ze znużeniem. CHOCIAŻ PODEJRZEWAM, ŻE STARASZ SIĘ PO PROSTU BYĆ NIEZNOŚNA.

– Wiesz, tak często się zdarzało w starożytności. Poeci stale zakochiwali się w świetle księżycy, hiacyntach czy czymś jeszcze, a boginie bez przerwy...

ALE TO BYŁO NAPRAWDĘ, przerwał jej Śmierć.

– Jak bardzo naprawdę masz na myśli?

CZAS MIAŁA SYNA.

– Jak mogła...

CZAS MIAŁA SYNA. KOGOŚ W ZASADZIE ŚMIERTELNEGO. KOGOŚ TAKIEGO JAK TY.

Tik

Raz w tygodniu odwiedzał Jeremy'ego ktoś z Gildii Zegarmistrzów. Nie była to w żadnym razie wizyta oficjalna – i tak często trzeba było dostarczyć jakieś zlecenie albo odebrać wykonaną pracę, ponieważ cokolwiek by o nim mówić, chłopak był geniuszem, jeśli idzie o zegary.

Nieoficjalnie – wizyty były też delikatną metodą sprawdzenia, czy młody człowiek bierze swoje lekarstwo i czy nie jest zauważalnie obłąkany.

Zegarmistrze doskonale zdawali sobie sprawę, że ze skomplikowanego mechanizmu ludzkiego mózgu może od czasu do czasu wypaść jakaś śrubka. Członkowie gildii byli zwykle ludźmi skrupulatnymi, wciąż zajętymi pogonią za niehumaną dokładnością, a to miało swoje skutki. Mogło sprawiać kłopoty. Sprężyny to nie jedyna rzecz, która się nakręca. Komitet gildii składał się w większej części z ludzi łagodnych i pełnych zrozumienia. Nie należeli do osób spodziewających się podstępów.

Doktor Hopkins, sekretarz gildii, zdziwił się, kiedy drzwi do pracowni Jeremy'ego otworzył mu człowiek, który wyglądał, jakby przeżył bardzo poważny wypadek.

– Chciałbym się zobaczyć z panem Jeremym – rzekł.

– Tak, profę pana. Jafnie pan jeft u fiebie.

– A pan...?

– Jeftem Igor, profę pana. Pan Jeremy był tak łafkawy, że mnie przyjął.

– Pracuje pan dla niego? – Doktor Hopkins zmierzył Igora wzrokiem.

– Tak, profę pana.

– Hm... Stał pan za blisko jakiejś niebezpiecznej maszyny?

– Nie, profę pana. Jeft w warftacie, profę pana.

– Panie Igorze – odezwał się Hopkins, kiedy został wprowadzony do wnętrza. – Wie pan, że pan Jeremy musi przyjmować lekarstwo?

– Tak, profę pana. Często o tym wfpomina.

– A... w jakim jest stanie...?

– Dofkonałym, profę pana. Pełen entuzjazmu do pracy. Oczy mu się fkrzą i fterczy ogon.

– Fterczy ogon... – powtórzył doktor Hopkins słabym głosem. – Hm... pan Jeremy zwykle nie miewa służących. Obawiam się, że ostatniemu asystentowi rzucił w głowę zegarem.

– Doprawdy, profę pana?

– Panu niczym w głowę nie rzucił, prawda?

– Nie, profę pana. Zachowuje fię całkiem normalnie – zapewnił Igor, człowiek o czterech kciukach i ze szwami dookoła szyi. Otworzył drzwi warsztatu. – Doktor Hopkinf, panie Jeremy. Przygotuję herbatę.

Jeremy siedział wyprostowany sztywno przy stole. Oczy mu błyszczały.

– Ach, doktorze – powiedział. – Jak to miło, że mnie pan odwiedził.

Doktor Hopkins zbadał wzrokiem pomieszczenie.

Zauważył zmiany. Na sztalugach stał teraz przyniesiony skądś spory kawał ściany z drewna i tynku, pokryty ołówkowymi szkicami. Błaty, zwykle zastawione zegarami na różnych etapach składania, zasypyane były bryłami kryształu i płytkami szkła. Unosił się ostry zapach kwasu.

– Mhm... coś nowego? – zainteresował się doktor Hopkins.

– Tak, doktorze. Badam właściwości pewnych supergęstych kryształów.

Doktor Hopkins odetchnął z ulgą.

– Ach, geologia! Wspaniałe hobby! Tak się cieszę. Nie można przecież bez przerwy myśleć tylko o zegarach – dodał jowialnie, z odrobiną nadziei.

Jeremy zmarszczył czoło, jakby ukryty za nim mózg usiłował przyjąć jakąś obcą koncepcję.

– Tak – przyznał w końcu. – Czy wie pan, doktorze, że oktiran miedzi wibruje dokładnie dwa miliony czterysta tysięcy siedemdziesiąt osiem razy na sekundę?

– Tak dużo? Coś podobnego.

– Istotnie. A światło padające przez naturalny pryzmat oktiwialnego kwarcu rozszczepia się tylko na trzy kolory.

– Fascynujące – przyznał doktor Hopkins, myśląc, że mogłoby być gorzej. – Hm... czy mi się wydaje, czy w powietrzu jest... dość ostry zapach?

– Kanalizacja – wyjaśnił Jeremy. – Oczyszczamy ją. Kwasem. Po to właśnie potrzebny nam kwas. Do czyszczenia kanalizacji.

– Kanalizacja, tak? – Doktor Hopkins zamrugał. W świetle kanalizacji czuł się raczej nieswojo.

Rozległy się trzaski, a pod drzwiami kuchni zamigotało niebieskie światło.

– Pański, mhm... człowiek, Igor – powiedział doktor Hopkins. – Stara się?

– Tak, doktorze, dziękuję. Jest z Überwaldu, wie pan.

– Och, bardzo... wielki ten Überwald. Bardzo wielki kraj. – Była to jedna z dwóch rzeczy, które wiedział o Überwaldzie. Chrząknął nerwowo i wspomniął o tej drugiej: – Słyszałem, że tamtejsi mieszkańcy są trochę dziwni.

– Igor zapewnia, że nigdy nie miał do czynienia z takimi osobami – oznajmił spokojnie Jeremy.

– Dobrze. Dobrze. Bardzo dobrze. – Nieruchomy uśmiech Jeremy'ego zaczynał doktora niepokoić. – Wydaje się, że ma bardzo dużo, mm... szwów i blizn.

– Owszem, to kulturowe.

– Kulturowe, tak? – Hopkinsowi wyraźnie ulżyło.

Był człowiekiem, który w każdym starał się dostrzec najlepsze cechy. Jednak życie w mieście bardzo się skomplikowało od czasów, kiedy był małym chłopcem, przy tych wszystkich krasnoludach, trollach, golemach, a nawet zombi. Nie był pewien, czy podoba mu się wszystko, co się ostatnio dzieje, ale wiele z tego było najwyraźniej „kulturowe”, a przeciw czemuś takiemu nie można protestować. Więc nie protestował. Słowo „kulturowe” tak jakby rozwiązywało problemy, tłumaczyło, że naprawdę wcale nie istnieją.

Światło pod drzwiami zgasło. Po chwili wszedł Igor, niosąc na tacy dwie filiżanki herbaty.

To była dobra herbata, doktor Hopkins musiał to przyznać. Jednak od oparów kwasu łzały mu oczy.

– A więc jak, mhm, idzie praca nad nowymi tablicami nawigacyjnymi? – zapytał.

– Imbirowe ciasteczko, profę pana? – zaproponował Igor.

– Co? A tak, chętnie... Och, bardzo dobre.

– Niech pan weźmie dwa, profę pana.

– Dziękuję. – Mówiąc, doktor Hopkins rozsypywał okruszki. – Tablice nawigacyjne... – powtórzył.

– Obawiam się, że nie dokonałem znaczących postępów – odparł Jeremy. – Byłem zajęty właściwościami kryształów.

– Aha. Tak. No tak, mówiłeś. Cóż, oczywiście będziemy wdzięczni za każdą chwilę, którą będziesz mógł im poświęcić. I jeśli wolno stwierdzić, dobrze widzieć cię zainteresowanego czymś nowym. Zbytne skupienie na jednym temacie, mhm, sprzyja

złym humorom mózgu.

– Mam lekarstwo – przypomniał Jeremy.

– Tak, oczywiście. A ponieważ akurat przechodziłem dziś obok apteki... – Doktor Hopkins wyjął z kieszeni dużą, owiniętą papierem butelkę.

– Dziękuję panu. – Jeremy wskazał półkę za sobą. – Jak pan widzi, już mi się kończy.

– Tak sobie właśnie pomyślałem, że to możliwe – rzekł doktor Hopkins, jak gdyby poziom lekarstwa w butelce na półce u Jeremy'ego nie był czymś, na co zegarmistrze zwracali baczną uwagę. – No, chyba już pójdę. Dobrze się złożyło z tymi kryształami. Kiedy byłem chłopcem, lubiłem zbierać motyle. Wspaniała rzecz takie hobby. Wystarczył mi słoik z eterem i siatka, a byłem radosny jak szczygiełek.

Jeremy się uśmiechnął. W tym uśmiechu było coś szklistego.

Doktor Hopkins wypił resztkę herbaty i odstawił filiżankę na spodek.

– A teraz naprawdę muszę już iść – wymamrotał. – Tyle jeszcze do zrobienia... I nie chciałbym przeszkadzać ci w pracy. Kryształy, tak? Wspaniałe są. Piękne.

– Piękne? – Jeremy zawahał się, jakby usiłował rozwiązać jakiś drobny problem. – A tak. Gra światła.

– Migoczą – dodał doktor Hopkins.

Kiedy dotarł do drzwi na ulicę, czekał tam Igor. Skinął mu głową.

– Mhm... Jest pan pewien co do lekarstwa? – zapytał cicho.

– Abсолютnie, profę pana. Dwa razy dziennie widzę, jak nalewa pełną łyżeczkę.

– To dobrze. On może być... no, czasami nie potrafi postępować z ludźmi.

– Tak, profę pana?

– Bardzo, hm, bardzo pedantyczny, jeśli idzie o dokładność...

– Tak jeft, profę pana.

– ...co się chwali, naturalnie. Wspaniała rzecz, taka dokładność – oświadczył doktor Hopkins i pociągnął nosem. – Do pewnych granic, oczywiście. No cóż, miłego dnia.

– Do widzenia, profę pana.

Kiedy Igor wrócił do warsztatu, Jeremy ostrożnie nalewał na łyżeczkę niebieskie lekarstwo. Gdy łyżeczka była już całkiem napełniona, wylał ją do zlewu. – Oni mnie sprawdzają – powiedział. – Myślą, że tego nie widzę.

– Jeftem pewien, że to z życzliwofci, jafnie panie.

– Obawiam się, że kiedy biorę lekarstwo, nie potrafię tak dobrze myśleć. Właściwie wydaje mi się, że bez niego wszystko idzie mi o wiele lepiej. Nie sądzisz? Ono mnie spowalnia.

Igor szukał ucieczki w milczeniu. W jego opinii sporo największych wynalazków świata zostało dokonanych przez ludzi, których według powszechnie uznanych norm

uważano za szaleńców. Zawsze powtarzał, że szaleństwo zależy od punktu widzenia, a jeśli ten punkt znalazł się wewnątrz białizny właściciela, wszystko było w porządku.

Jednakże młody pan Jeremy zaczynał go martwić. Nigdy się nie śmiał, a Igor lubił dobry, maniackalny śmiech. Takemu śmiechowi można było wierzyć.

Odkąd Jeremy zrezygnował z lekarstwa, był bardziej skoncentrowany. Wcale nie zaczął bełkotać ani nie wykrzykiwać w stylu „Szalony! Mówili, że jestem szalony! Ale ja im wszystkim pokażę! Hahahahaha!”, choć Igor na to właśnie liczył.

No i jeszcze ten uśmiech... Igor niełatwo dawał się wystraszyć, w przeciwnym razie nie mógłby patrzeć w lustro, ale zaczynał odczuwać pewien niepokój.

– Przy czym to...? – mruknął Jeremy. – A tak. Pomóż mi.

Razem odsunęli stół na bok. Pod nim syczało kilkanaście wielkich słojów.

– Za mało mocy – stwierdził Igor. – Poza tym nie uftawilifmy jefcze lufter.

Jeremy zdjął materiał z urządzenia stojącego na pulpicie. Szkło i kryształ zamigotały, a tu i tam zamigotały bardzo dziwnie. Zauważył wczoraj – w stanie klarowności, jaka powracała teraz, kiedy dwa razy dziennie starannie wylewał do zlewu łyżeczkę lekarstwa – że niektóre kąty jakoś nie pasują. Wstawiony na miejsce jeden z kryształów całkiem zniknął, choć najwyraźniej wciąż tam był, bo Jeremy widział odbijające się od niego światło.

– I ciągle mamy w nim za dużo metalu, jafnie panie – poskarżył się Igor. – Oftatnim razem wfyftko rozleciało fię od fprężyny.

– Znajdziemy sposób – odparł Jeremy.

– Te błyfkawice włafnej roboty nigdy nie fą takie dobre jak prawdziwe.

– Dostatecznie dobre, żeby przetestować zasadę.

– Przeteftować zafadę, przeteftować zafadę... – burczał Igor. – Przeprafam, jafnie panie, ale my, Igory, nie „teftujemy zafad”. Przywiąż do ftołu i przepufć folidną błyfkawice, to nafa dewiza. Tak fię cokolwiek teftuje.

– Wydajesz się zdenerwowany, Igorze.

– Bardzo mi przykro, jafnie panie. Klimat tak na mnie działa. Jeftem przyzwyczajony do regularnych burz z piorunami.

– Słyszałem, że są ludzie, którzy naprawdę ożywają dopiero w czasie burzy – rzucił Jeremy, starannie ustawiając kryształ pod właściwym kątem.

– Ach, to było, kiedy pracowałem dla barona Finkelfteina – oznajmił Igor.

Jeremy odstepił. Oczywiście, to jeszcze nie był zegar. Wciąż pozostało wiele pracy (ale widział go przed sobą, kiedy tylko zamknął oczy). Ty był zaledwie szkic, by sprawdzić, czy podąża właściwą ścieżką.

Podążał właściwą ścieżką. Wiedział to.

Tik

Susan wróciła po zastygłych w bezruchu ulicach, usiadła w gabinecie madame Frou i zanurzyła się znowu w strumieniu czasu.

Nigdy nie mogła pojąć, jak to działa. Ale działało. Czas nie zatrzymywał się dla reszty świata i nie zatrzymywał się dla niej – po prostu wchodziła w jakiś rodzaj pętli czasowej, a wtedy wszystko trwało dokładnie w takim samym niezmiennym stanie, dopóki nie skończyła tego, co miała do zrobienia. Była to kolejna z odziedziczonych rodzinnych zdolności. Najlepiej funkcjonowała, kiedy człowiek w ogóle o tym nie myślał, jak podczas chodzenia po linie. Zresztą w tej chwili Susan miała inne zmartwienia.

Madame Frou odwróciła wzrok od bezszczurzej teraz półki nad kominkiem.

– Och, chyba gdzieś zniknął.

– To prawdopodobnie złudzenie optyczne, madame – uspokoiła ją Susan.

Ktoś w zasadzie śmiertelny. Taki jak ja, myślała.

– Tak, oczywiście.

Madame Frou zdołała w końcu włożyć okulary, mimo że sznureczek wciąż był zaczepiony o guzik. Oznaczało to, że zacumowała się do własnej piersi, ale raczej demony ją porwą, niż spróbuje teraz coś z tym zrobić. Susan potrafiłaby nawet lodowiec wyprowadzić z równowagi. Wystarczało, że siedziała spokojnie, wyglądając na uprzejmą i skupioną.

– Po co konkretnie mnie pani wezwwała, madame? – odezwała się. – Chodzi o to, że zostawiłam uczniów zajętych algebrą. Będą niespokojni, kiedy skończą.

– Algebra? – zdumiała się madame Frou, z konieczności spoglądając na własne łono, czego nikt inny jeszcze nigdy nie robił. – Przecież jest o wiele za trudna dla siedmiolatków!

– Owszem, ale nie powiedziałam im o tym i jak dotąd tego nie odkryły – odparła Susan. Nadszedł czas, by pchnąć sprawę do przodu. – Przypuszczam, że chciała mnie pani widzieć w sprawie mojego listu...

Madame Frou zrobiła zdumioną minę.

– Jaki... – zaczęła.

Susan westchnęła i pstryknęła palcami.

Obeszła biurko, otworzyła szufladę obok nieruchomej madame Frou, wyjęła kartkę papieru i przez dłuższą chwilę starannie pisała list. Odczekała, aż wyschnie atrament, trochę pomieła papier, żeby wyglądał na nieco stary, a następnie wsunęła go tuż pod szczytem stosu pism obok madame Frou. Wystawał akurat na tyle, żeby łatwo dawał się zauważyć.

Wróciła na miejsce. I znowu pstryknęła palcami.

– ...ego listu? – dokończyła madame Frouf. A potem spojrzała na biurko. – Och...

To było okrutne i Susan zdawała sobie z tego sprawę. Ale chociaż madame Frouf w żadnym razie nie była złą kobietą i była dobra dla dzieci, niekiedy się zdarzało, że bywała głupia. A Susan nie miała czasu na głupotę.

– Tak, prosiłam o kilka dni wolnego – wyjaśniła. – Niestety, bardzo pilne sprawy rodzinne. Oczywiście przygotowałam pracę dla dzieci, żeby miały co robić na lekcjach.

Madame Frouf się zawahała. Na to Susan też nie miała czasu. Pstryknęła palcami.

– NA BOGÓW, TO PRAWDZIWA ULGA – powiedziała głosem, którego drgania sięgały aż do podświadomości. – MUSIMY JĄ POWSTRZYMAĆ, BO WKRÓTCE SKOŃCZĄ NAM SIĘ RZECZY, KTÓRYCH MOŻEMY UCZYĆ! ONA KAŻDEGO DNIA DOKONUJE NIEWIELKICH CUDÓW I ZASŁUŻYŁA NA PODWYŻKĘ.

Potem oparła się wygodnie, znów pstryknęła i patrzyła, jak słowa zapadają we frontowe części mózgu madame Frouf, która w skupieniu poruszała wargami.

– No cóż, naturalnie – wymamrotała w końcu. – Pracowałeś tak ciężko... i... i... – Nie wszystkie cele zdoła osiągnąć nawet głos pradowej komendy, i jednym z nich jest wydostanie dodatkowych pieniędzy od szefa szkoły, więc dokończyła: – Któregoś dnia będziemy musieli pomyśleć, czy nie podwyższyć ci trochę pensji.

Susan wróciła do klasy i jeszcze przez parę godzin dokonywała niewielkich cudów, jak usunięcie kleju z włosów Richendy, opróżnienie z siusiu butów Billy'ego oraz zabranie klasy na krótką wycieczkę na kontynent Czteriksów.

Kiedy rodzice przyszli odebrać swe pociechy po lekcjach, wszystkie dzieci machały wyrysowanymi kredkami obrazkami kangurów. Susan miała tylko nadzieję, że czerwony pył na ich butach – czerwone błoto w przypadku Billy'ego, którego wyczucie czasu wcale się nie poprawiło – pozostanie niezauważony. Prawdopodobnie tak. Klub Fidgetta to nie jedyne miejsce, gdzie dorośli nie widzą tego, co przecież nie może być prawdą.

W końcu usiadła za biurkiem.

W pustej klasie jest coś przyjemnego. Oczywiście, jak wyjaśni każdy nauczyciel, jedną z przyjemnych cech jest ta, że nie ma w niej żadnych dzieci, a w szczególności żadnego Jasona.

Ale ławki i półki wokół sali prezentowały dowody dobrze wykorzystanego czasu. Obrazki na ścianach zdradzały poprawne stosowanie perspektywy i koloru. Dzieci zbudowały z kartonowych pudeł białego konia naturalnych rozmiarów – przy okazji nauczyły się dużo o koniach, a Susan odkryła niezwykłą spostrzegawczość Jasona. Musiała mu odebrać kartonową rurkę, tłumacząc, że to grzeczny koń.

Miała za sobą pracowity dzień. Podniosła blat biurka i wyjęła „Takie srogie bajeczki”. Przemieściły się jakieś papiery i odsłoniły niewielkie złocisto-czarne

pudełko.

Był to skromny prezent od rodziców Vincenta.

Codziennie musiała przez to przechodzić. Przecież Higgs & Meakins nawet nie robią dobrych czekoladek. Tylko masło, cukier i...

Pogrzebała wewnątrz, wśród smętnych resztek brązowego papieru, i wyjęła czekoladkę. Od nikogo przecież nie można wymagać, żeby nie zjadł tylko jednej jedynej czekoladki.

Włożyła ją do ust.

Do licha, do licha, do licha, do licha! To był nugat! Jedyna czekoladka na dzisiaj, a w środku przekłety sztuczny przekłety różowo-biały przekłety słodki nugat!

Nie można od nikogo wymagać, by uznał, że coś takiego się liczy. [To prawda. Czekoladka, której człowiek nie miał ochoty zjeść, nie liczy się jako czekoladka. To odkrycie pochodzi z tej samej dziedziny fizyki kulinarnej co ta, która wykazała, że jedzenie skonsumowane nie przy stole nie zawiera żadnych kalorii.]
Ma prawo do następnej...

Nauczycielska część umysłu – ta mająca oczy z tyłu głowy – dostrzegła jakiś ruch. Susan odwróciła się błyskawicznie.

– Żadnego biegania z kosami!

Śmierć Szczurów wyhamował trucht przez stolik z wystawą przyrody i rzucił jej zawstydzone spojrzenie.

PIP?

– I żadnego zaglądania do Komórki z Materiałami Piśmiennymi – dodała odruchowo Susan i zatrzasnęła blat.

PIP!

– Owszem, chciałeś. Słyszałam, jak o tym myślisz.

Można było sobie poradzić ze Śmiercią Szczurów. Należało wyobrażać go sobie jako bardzo małego Jasona.

Komórka z Materiałami Piśmiennymi! Była jednym z wielkich pól bitewnych w historii klasy – tak jak i sala zabaw. Jednak panowanie w sali zabaw zwykle rozwiązywało się samo, bez interwencji Susan, która musiała tylko mieć w pogotowiu maść, chusteczkę do nosa i łagodne współczucie dla przegranych. Za to Komórka z Materiałami Piśmiennymi była terenem wojny na wyniszczenie. Zawierała słoiki farbek w proszku, ryzy papieru i pudełka kredek oraz obiekty bardziej specyficzne, jak choćby zapasowa para majtek dla Billy'ego, który naprawdę się starał. Leżały tam również Nożyczki, zgodnie z regułami klasy traktowane jak Broń Totalnej Zagłady, oraz naturalnie pudełka z gwiazdkami. Do komórki wolno było zaglądać jedynie Susan i – zwykle – Vincentowi. Mimo że Susan podejmowała wszelkie próby, poza zwykłym oszukiwaniem, chłopczyk był oficjalnie „najlepszy we wszystkim” i codziennie zdobywał bezcenny przywilej otwierania Komórki z Materiałami

Piśmiennymi, wyjmowania z niej ołówków i rozdawania kolegom. Dla reszty klasy, a szczególnie Jasona, Komórka z Materiałami Piśmiennymi stanowiła jakąś mistyczną, magiczną domenę, do której należało wkraczać przy każdej okazji.

Susan uznała, że kiedy człowiek posiada już umiejętność obrony Komórki z Materiałami Piśmiennymi, przechytrzenia Jasona i utrzymywania przy życiu klasowego zwierzaka – przynajmniej do końca roku szkolnego – to opanował połowę sztuki nauczania.

Podpisała dziennik, podlała smętne kwiatki na parapecie okna i zerwała kilka świeżych liści z ligustrowego żywopłotu – dla patyczaków, które były następcami Henryka Chomika (wybranymi głównie dlatego, że trudno rozpoznać, czy zdechły). Sprzątnęła kilka zapomnianych kredek i rozejrzała się po sali, po małych stolikach i krzeselkach. Czasami martwiło ją to, że prawie każdy, kogo dobrze zna, ma najwyżej trzy stopy wzrostu.

W takich chwilach jak obecna nigdy nie była pewna, czy ufa dziadkowi. Wszystko to miało związek z Regulami. Nie mógł się wtrącać, ale znał przecież jej słabości. Potrafił ją nakreślić i posłać w świat...

Ktoś taki jak ja... Tak, umiał ją zainteresować.

Ktoś taki jak ja... Nagle na świecie pojawia się jakiś niebezpieczny zegar i równie nagle dowiaduję się, że istnieje ktoś taki jak ja.

Taki jak ja... Tylko że nie taki. Ja przynajmniej znałam swoich rodziców.

Słuchała opowieści Śmierci o wysokiej, smagłej kobiecie wędrującej z komnaty do komnaty w zamku ze szkła, szlochającej nad dzieckiem, które urodziła i które oglądała codziennie, ale nie mogła go dotknąć...

Od czego w ogóle mam zacząć?

Tik

Lobsang wiele się nauczył. Nauczył się, że każdy pokój ma co najmniej cztery kąty. Nauczył się, że sprzątacze zaczynają pracę, kiedy niebo jest dostatecznie jasne, by widzieć kurz, i kończą z zachodem słońca.

Jako mistrz, Lu-tze był raczej łagodny. Zawsze uprzejmie wskazywał miejsca, których Lobsang nie sprzątnął należycie.

Po początkowej irytacji i drwinach byłych kolegów Lobsang odkrył, że praca ma pewien urok. Dni przepływały mu pod miotłą...

...aż raz, z niemal słyszalnym kliknięciem w mózgu, postanowił, że już dość. Dokończył swój odcinek korytarza i odszukał Lu-tze, w zadumie popychającego miotłę wzdłuż tarasu.

- Sprzątaczu...
- Tak, chłopcze?
- Co próbujesz mi powiedzieć?
- Słucham?
- Nie spodziewałem się, że zostanę... sprzątaczem! Ty jesteś Lu-tze! Myślałem, że zostanę uczniem... no, uczniem bohatera!
- Tak myślałeś? – Lu-tze poskrobał się po brodzie. – Ojej. Niech to. Tak, widzę, na czym polega problem. Mogłeś mnie uprzedzić. Dlaczego nic nie mówiłeś? Nie zajmuję się już takimi rzeczami.
- Nie?
- Całe to majstrowanie przy historii, bieganie po świecie, zaczepianie różnych ludzi... Nie, już nie. Szczerze ci wyznam, że nigdy nie byłem całkiem pewien, czy powinniśmy to robić. Nie, sprzątanie całkiem mi wystarcza. W zamiecionej do czysta podłódze jest coś takiego... prawdziwego.
- To jakaś próba? – zapytał chłodno Lobsang.
- O tak.
- Wiem, jak się to odbywa. Mistrz każe uczniowi wykonywać różne prymitywne prace, a potem nagle okazuje się, że w rzeczywistości uczeń poznawał prawdy o wielkiej wartości... Tylko nie wydaje mi się, żebym teraz cokolwiek poznawał, oprócz tego, że ludzie są często niechłujni i bezmyślni.
- Przyznasz, że nie jest to bezwartościowa lekcja – odparł Lu-tze. – Czyż nie jest bowiem napisane: „Ciężka praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła”?
- Gdzie to jest napisane, Lu-tze? – zapytał Lobsang, głęboko zdesperowany.
- Sprzątacze się rozpromienił.
- Aha. Być może, uczeń gotów jest do nauki. Czy jest tak, że nie chcesz poznawać Drogi Sprzątacza, a chciałbyś za to poznać Drogę pani Cosmopolite?
- Czyją?
- Dobrze zmiataliśmy. Wyjdźmy teraz do ogrodów. Czyż nie jest bowiem napisane „Dobrze ci zrobi, jeśli wyjdiesz czasem na świeże powietrze”?
- A jest napisane? – Lobsang wciąż był oszołomiony.
- Lu-tze wyjął z kieszeni mały, obszarpany notes.
- Tutaj jest – zapewnił. – Ja wiem najlepiej.

Tik

Lu-tze cierpliwie ustawiał małe lusterko, by bardziej korzystnie skierować światło słońca na jedną z gór bonsai. Nucił coś przy tym pod nosem.

Lobsang siedział na kamieniach ze skrzyżowanymi nogami, w skupieniu przewracając poźółkle kartki prastarego notesu, na którym wypisano wyblakłym atramentem „Droga pani Cosmopillite”.

– I co? – zainteresował się Lu-tze.

– Droga zawiera odpowiedzi na wszystkie pytania, prawda?

– Tak.

– W takim razie... – Lobsang wskazał małego wulkan. – Dlaczego to działa? Stoi na talerzyku!

Lu-tze zapatrzył się w przestrzeń i bezgłośnie poruszył wargami.

– Strona siedemdziesiąta szósta, jak sądzę – powiedział.

Lobsang otworzył we wskazanym miejscu.

– „Dlatego” – przeczytał.

– Dobra odpowiedź – uznał Lu-tze, pędzłem z wielbłądziej sierści delikatnie pieszcząc miniaturową grań.

– Po prostu „Dlatego”, sprzątaczu? Bez żadnych powodów?

– Powody? Jakie powody może mieć góra? A kiedy przybędzie ci lat, przekonasz się, że większość odpowiedzi sprowadza się w końcu do „Dlatego”.

Lobsang milczał. Księga Drogi sprawiała mu problemy. Chciałby powiedzieć coś takiego: Lu-tze, to wygląda jak spis powiedzonek starszej pani. To takie rzeczy, które mówią starsze panie. Co to za *koan*: „Nie zagoi się, jeśli będziesz rozdrapywał”, Jedz jarzyny, to będziesz silniejszy” albo „Cierpliwością i pracą ludzie się bogacą”? Takie mądrości wypisują na strzeżeniowiedźmowych kartkach!

– Naprawdę? – spytał Lu-tze, wciąż na pozór zajęty swoją górą.

– Nic nie mówiłem.

– Och. Wydawało mi się, że powiedziałeś. Tęsknisz za Ankh-Morpork?

– Tak. Tam nie musiałem zamiatać podłóg.

– Byłeś dobrym złodziejem?

– Byłem fantastycznym złodziejem.

Wietrzyk dmuchnął aromatem kwiatów wiśni. Choć raz, pomyślał Lu-tze, przyjemnie byłoby zebrać wiśnie.

– Byłem kiedyś w Ankh-Morpork – oświadczył. Wyprostował się i przeszedł do następnej góry. – Widziałeś tych przybyszów, jacy tu docierają?

– Tak. Wszyscy się z nich śmieją.

– Naprawdę? – Lu-tze uniósł brwi. – Choć przebyli tysiące mil w poszukiwaniu prawdy?

– Ale czy Wen nie powiedział, że jeśli prawda jest gdziekolwiek, to jest wszędzie?

– Brawo. Widzę, że czegoś się jednak nauczyłeś. No więc któregoś dnia zacząłem odnosić wrażenie, jakby wszyscy inni uznali, że mądrość można znaleźć jedynie

gdzieś bardzo daleko. I wyruszyłem do Ankh-Morpork. Oni wszyscy przychodzili do nas, więc wydawało się to uczciwe.

– Szukałeś oświecenia?

– Nie. Człowiek mądry nie szuka oświecenia, ale na nie czeka. Póki więc czekałem, przyszło mi do głowy, że szukanie zdziwienia może się okazać zabawniejsze. W końcu oświecenie zaczyna się tam, gdzie kończy się zdziwienie. I znalazłem owo zdziwienie. A także pewien rodzaj oświecenia. Na przykład nie minęło jeszcze pięć minut mojego tam pobytu, kiedy jacyś ludzie w zaułku próbowali oświecić mnie w kwestii zbędności rzeczy materialnych, jakie posiadałem. Udzielili mi ważnej lekcji na temat śmieszności wszelkiego majątku.

– Ale czemu do Ankh-Morpork? – nie mógł zrozumieć Lobsang.

– Zajrzyj na tył książki – poradził mu Lu-tze.

Był tam wciśnięty połówki, rozsypujący się kawałek papieru. Chłopiec go rozłożył.

– To kartka z almanachu – zauważył. – Jest tam bardzo popularny.

– Tak. Pewien poszukiwacz mądrości zostawił go tutaj.

– Na tej kartce są tylko fazy księżyca.

– Po drugiej stronie.

Lobsang odwrócił kartkę.

– To reklama Ankhmorporskiej Gildii Kupców. „W Ankh-Morpork znajdziesz wszystko!” – Popatrzył na uśmiechniętego Lu-tze. – I... i pomyślałeś, że...

– Och, jestem stary, prosty i łatwowierny – odparł sprzątac. – Ty jesteś młody i skomplikowany. Czy Wen nie dostrzegał znaków w zawirowaniach owsianki w swojej miseczce albo w kluczach ptaków? A to było wprost napisane. Owszem, stada ptaków bywają bardzo złożone, ale tutaj miałem wyraźne słowa. I po całym życiu poszukiwań zobaczyłem wreszcie początek Drogi. Mojej Drogi.

– Więc ruszyłeś aż do Ankh-Morpork... – szepnął słabym głosem Lobsang.

– I znalazłem się na ulicy Quirmowej z chłodnym umysłem, ale z pustymi kieszeniami – potwierdził sprzątac, uśmiechając się z rozczeniem do wspomnień. – Zauważyłem w oknie tabliczkę „Pokoje do wynajęcia”. Zapukałem i tak poznałem panią Cosmopilite. A kiedy zawahałem się, nie będąc pewien języka, powiedziała: „Nie mam całego dnia, wie pan...”. Niemal co do słowa jedna z sentencji Wena! Natychmiast zrozumiałem, że znalazłem to, czego szukałem! Całe dnie zmywałem naczynia w jadalni, dostając za to dwadzieścia pensów dziennie i wszystkie resztki, jakie potrafiłem zabrać, a wieczorami pomagałem pani Cosmopilite sprzątać dom i słuchałem, co mówi. Była naturalnym talentem w zamykaniu, miała dobre, rytmiczne ruchy oraz niezgłębione zasoby mądrości. Nie minęły nawet dwa dni, a wypowiedziała do mnie niemal te same słowa, których użył Wen, kiedy zrozumiał

prawdziwą naturę Czasu! Poprosiłem o obniżkę czynszu, ponieważ naturalnie nie sypiałem w łóżku, a ona odpowiedziała: „Nie urodziłam się wczoraj, panie Tze”. Zadziwiające! Przecież nie mogła widzieć Świętych Tekstów!

Oblicze Lobsanga przypominało starannie nakreślony rysunek.

– „Nie urodziłam się wczoraj”? – powtórzył.

– No tak, oczywiście, jako nowicjusz nie doszedłeś jeszcze tak daleko – odparł Lu-tze. – Stało się to, kiedy zasnął w jaskini i we śnie zobaczył przed sobą Czas. Czas pokazała mu, że wszechświat odtwarza się z sekundy na sekundę, bez końca, a przeszłość jest jedynie wspomnieniem. Wen wyszedł z jaskini na prawdziwie nowy świat i rzekł wtedy: „Wczoraj się nie urodziłem”!

– No tak, ale...

– Ach, pani Cosmopilite... – Lu-tze oczy zamglily się ze wzruszenia. – Jak ta kobieta dbała o czystość! Gdyby ona była tutaj sprzątaczką, nikomu nie byłoby wolno chodzić po podłodze! A jej dom! Taki niezwykły! Prawdziwy pałac! Świeża pościel co drugi tydzień! No i kuchnia... Za samo skosztowanie jej Fasolki w Sosie Pomidorowym na Grzance człowiek oddałby pełny cykl wszechświata!

– Uhm... – mruknął Lobsang.

– Zostałem tam przez trzy miesiące i zamiatałem jej dom, jak wypada uczniowi. Potem wróciłem tutaj, jasno widząc przed sobą Drogę.

– A te, no... te historie o tobie?

– Och, wszystkie są prawdziwe. No, większość. Trochę przesadzone, ale na ogół prawdziwe.

– A ta z cytadelą w Muntabie, paszą i rybią ością?

– O tak.

– Jak się tam dostałeś, gdy sześciu wyszkolonych i uzbrojonych mężczyzn nie zdołało nawet...?

– Jestem małym człowiekiem i noszę miotłę – wyjaśnił z prostotą Lu-tze. – W każdym domu jest jakiś bałagan, który wymaga sprzątnięcia. Jakie zagrożenie stanowi człowiek z miotłą?

– Co? I to wszystko?

– Cóż, reszta to tylko sprawa kuchni. Pasza nie był dobrym człowiekiem, lecz był prawdziwym łakomczuchem. I uwielbiał zapiekankę z rybą.

– Żadnych sztuk walki?

– To zawsze ostatnia deska ratunku. Historia wymaga pasterzy, nie rzeźników.

– Czy znasz *okidoki*?

– To tylko masa króliczych podskoków.

– *Shiitake*?

– Gdybym chciał wbijać palce w gorący piasek, wyjechałbym nad morze.

- *Upsidazi?*
- Marnowanie dobrych cegieł.
- *No kando?*
- Sam to wymyśliłeś.
- *Tung-pi?*
- Gniewna aranżacja kwiatów.
- *Dejd-fu?*

To wzbudziło reakcję. Lu-tze uniósł brwi.

– *Dejd-fu?* Więc słyszałeś te plotki? Ha! Żaden z tutejszych mnichów nie zna *dejd-fu* – zapewnił. – Gdyby poznał, szybko bym się o tym dowiedział. Posłuchaj, chłopcze, agresja jest ucieczką agresywnych. W większości trudnych sytuacji wystarcza miotła.

– Tylko w większości, tak? – mruknął Lobsang, nie próbując ukrywać sarkazmu.

– Ach, rozumiem. Czy chciałbyś zmierzyć się ze mną w dojo? Jest taka bardzo stara prawda: kiedy uczeń zdoła pokonać mistrza, nic więcej mistrz nie może mu powiedzieć, gdyż nauka dobiegła końca. Czy chcesz się uczyć?

– Aha! Wiedziałem, że jest coś, czego mogę się nauczyć!

Lu-tze wstał.

– Dlaczego ty? – powiedział. – Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz? „Na wszystko jest właściwy czas i miejsce”. Dlaczego właśnie ten czas i to miejsce? Jeśli mam cię zabrać do dojo, zwrócisz, co mi ukradłeś. Już!

Spojrzał na tekowy stolik, przy którym zajmował się górami.

Mała łopatka leżała na blacie.

Na ziemię spłynęło kilka płatków kwiatów wiśni.

– Rozumiem – rzekł sprzątac. – Jesteś aż tak szybki? Nic nie widziałem.

Lobsang nie odpowiedział.

– To rzecz drobna i bez wartości. Wyjaśnij, proszę, dlaczego ją zabrałeś.

– Żeby sprawdzić, czy potrafię. Nudziłem się.

– Ach... Przekonamy się więc, czy zdołamy uczynić twoje życie ciekawszym. Nic dziwnego, że się nudzisz, skoro potrafisz już tak kroić czas.

Lu-tze obracał w dłoniach mały szpadelek.

– Bardzo szybki – powiedział. Pochylił się i zdmuchnął z maleńkiego lodowca płatki kwiatu. – Kroisz czas szybko jak Dziesiąty Djim. A przecież dotąd prawie nie ćwiczyłeś. Musiałeś być wybitnym złodziejem! Teraz... ojej, muszę zmierzyć się z tobą w dojo...

– Nie ma potrzeby! – zapewnił Lobsang, ponieważ teraz Lu-tze wydawał się przestraszony i poniżony, a także z jakiegoś powodu mniejszy i kruchy.

– Nalegam – upierał się starzec. – Załatwmy to od razu. Jest bowiem napisane

„Nie masz chwili nad terażniejszą”, co dowodzi najgłębszego zrozumienia u pani Cosmopilite.

Westchnął i spojrzał na gigantyczny posąg Wena.

– Popatrz na niego – rzekł. – Niezły był gość, co? Kompletnie zachwycony wszechświatem. Zobaczył przeszłość i przyszłość jak jedną żywą osobę i napisał „Księgę Historii”, żeby wyjaśnić, jak opowieść powinna się toczyć. Nie możemy sobie nawet wyobrazić, co widziały te oczy. I przez całe życie nigdy nie podniósł ręki na żadnego człowieka.

– Posłuchaj, ja wcale nie chcę...

– A przyjrzałeś się innym posągom? – zapytał Lu-tze, jakby całkiem zapomniał o dojo.

Lobsang odruchowo podążył wzrokiem za spojrzeniem sprzątacza. Na kamiennej platformie biegnącej wzdłuż całych ogrodów stały setki mniejszych posągów, w większości wyrzeźbionych z drewna. Wszystkie pomalowano na krzykliwe kolory. Ponad doliną spoglądały stwory mające więcej oczu niż nóg, więcej ogonów niż zębów, monstrualne połączenia ryby, mątwy, tygrysa i pasternaku, istoty złożone razem, jak gdyby stwórca wszechświata wysypał skrzynkę części zamiennych i przypadkowo je posklejał, a pomalowane na różowo, pomarańczowo, fioletowo i złoto.

– Och, *dhlang*... – zaczął Lobsang.

– Demony? To tylko jedno z ich określeń – oświadczył sprzątacze. – Opat nazywa ich Wrogami Umysłu. Wen napisał cały zwój na ich temat. I stwierdził, że tamten jest najgorszy.

Wskazał niewielką szarą postać w kapturze. Wyglądała jakby nie na miejscu wśród festiwalu oszalałych kończyn.

– Nie wydaje się niebezpieczny – zauważył Lobsang. – Słuchaj, sprzątaczu, nie chcę...

– Potrafi być bardzo niebezpieczne... to, co nie wygląda na niebezpieczne. I jest tym bardziej niebezpieczne, bo na niebezpieczne nie wygląda. Jest bowiem napisane „Nie będziesz sądził książki po okładce”.

– Lu-tze, ja naprawdę nie chcę z tobą walczyć...

– Och, twoi wykładowcy powiedzą, że dyscyplina sztuk walki pozwala na krojenie czasu. To prawda – mówił Lu-tze, jakby nie słuchał. – Ale tak samo jest z zamiataniem, jak może się przekonałeś. Zawsze szukaj momentu doskonałości, mówił Wen. Tyle że ludzie najchętniej wykorzystują ten moment, by kopać innych ludzi w tył głowy.

– Przecież to nie było wyzwanie, chciałem tylko, żebyś mi pokazał...

– I pokażę. Chodźmy. Zawarłem układ. Muszę go dotrzymać, choć stary ze mnie

głupiec.

Najbliższe okazało się dojo Dziesiątego Djimu. Było puste – tylko dwóch mnichów, którzy rozmywając się w oczach, tańczyli po matach i zwijali wokół siebie czas.

Lobsang wiedział, że Lu-tze ma rację. Czas jest zasobem. Można się nauczyć, jak przyspieszać lub spowalniać jego bieg. Mnich może bez trudu przejść wśród tłumu, a przy tym porusza się tak szybko, by nikt go nie zauważył. Albo potrafi stanąć bez ruchu na kilka sekund i patrzeć, jak słońce i księżyc ścigają się po migoczącym niebie. Może w ciągu minuty medytować przez cały dzień. Tutaj, w dolinie, dzień trwał wiecznie. Kwiaty nigdy nie zmieniały się w wiśnie.

Kiedy zamgleni walczący zauważyli Lu-tze, zmienili się w parę zakłopotanych mnichów. Skłonili się obaj.

– Proszę o użyczenie dojo na krótki czas, w którym mój uczeń zademonstruje mi szaleństwa wieku starczego – odezwał się sprzątac.

– Naprawdę nie chodziło mi... – zaczął Lobsang, ale Lu-tze szturchnął go pod żebro.

Mnisi spojrzeli na starca nerwowo.

– Należy do ciebie, Lu-tze – zapewnił jeden z nich.

Wyszli spieszenie, potykając się niemal o własne nogi, kiedy się oglądali.

– Nauczać w tym miejscu powinniśmy czasu i panowania nad nim – rzekł Lu-tze, spoglądając za nimi. – Sztuki walki służą tylko pomocą. Nie są niczym więcej. A przynajmniej taki był ich cel. Nawet w zewnętrznym świecie, podczas walki, dobrze wyszkolony człowiek dostrzega, jak elastyczny może być czas. Tutaj możemy to wykorzystać. Możemy ścieśniać czas. Rozciągać czas. Zatrzymywać chwilę. Wybijanie pięścią czyichś nerek przez nos to tylko niemądry efekt uboczny.

Lu-tze zdjął ze stojaka ostry jak brzytwa miecz *pika* i wręczył zaszokowanemu chłopakowi.

– Widziałeś już taki? Nie są właściwie przeznaczone dla nowicjuszy, lecz ty zdradzasz wielki talent.

– Tak, sprzątaczu, ale...

– Wiesz, jak go używać?

– Dobrze sobie radziłem z ćwiczebnymi, ale one są zrobione...

– Weź go zatem i zaatakuj mnie.

Z góry dobiegło szuranie. Lobsang uniósł wzrok i zobaczył mnichów wbiegających do galerii obserwacyjnej nad dojo. Wśród nich było też wielu bardzo starych. W małym światku wieści szybko się rozchodzą.

– Zasada Druga nakazuje nigdy nie odmawiać broni – rzekł Lu-tze. Cofnął się o kilka kroków. – Kiedy tylko będziesz gotów, chłopcze.

Lobsang niepewnie ścisnął rękojeść wygiętego miecza.

– I co? – rzucił Lu-tze.

– Nie mogę tak...

– Czy to dojo Dziesiątego Djimu? Och, coś takiego, chyba rzeczywiście! To znaczy, że nie obowiązują tu żadne reguły, prawda? Dowolna broń, dowolna strategia... wszystko jest dozwolone. Rozumiesz? Może jesteś głupi?

– Ale przecież nie mogę kogoś zabić tylko dlatego, że mnie o to prosi!

– Czemu nie? Gdzie się podziały twoje dobre maniery?

– Ale...

– Trzymasz śmiertcionośną broń. Przed sobą masz nieuzbrojonego człowieka stojącego w pozie uległości! Czyżbyś był wystraszony?

– Tak!

– Dobrze. To Trzecia Zasada – pochwalił Lu-tze. – Widzisz, jak dużo już się nauczyłeś? Starłem ci z twarzy ten uśmieszek, co? No dobrze, odłóż ten miecz na stojak i weź... Tak, weź kij *dakka*. Najgorsze, co możesz nim zrobić, to poobijać moje stare kości.

– Wolałbym, żebyś miał na sobie ubranie ochronne...

– Taki jesteś dobry w walce kijem?

– Jestem bardzo szybki...

– Więc jeśli natychmiast nie zaczniesz walczyć, wyrwę ci ten kij i połamię na głowie – ostrzegł starzec i odstał jeszcze o krok. – Gotów? Jediną obroną jest skuteczny atak. Tak słyszałem.

Lobsang pochylił kij w niepewnym salucie.

Lu-tze skrzyżował ręce na piersi i – gdy Lobsang tanecznym krokiem ruszył ku niemu – zamknął oczy i uśmiechnął się.

Lobsang znów wzniósł kij.

I zawahał się.

Druga Zasada, Trzecia Zasada... Jaka była ta Pierwsza?

Zawsze pamiętaj Pierwszą Zasadę...

– Lu-tze!

Pierwszy akolita opata stanął zdyszany w drzwiach. Nerwowo machał ręką.

Lu-tze otworzył jedno oko, później drugie, a potem mrugnął do Lobsanga.

– Niewiele brakowało, co? – mruknął. Odwrócił się do akolity. – Słucham, szacowny.

– Musisz przybyć natychmiast! I wszyscy mnisi, którzy mają zezwolenie na wyprawę do świata! Do mandali! Szybko!

Na galerii zaczął się ruch. Kilku mnichów przeciskało się przez tłum widzów.

– Ach, podniecenie....

Lu-tze wyjął kij z osłabłych dłoni Lobsanga i odłożył na stojak. Sala szybko pustoszała. Wokół całego Oi Dongu gorączkowo rozbrzmiewały gongi.

– Co się dzieje? – zapytał Lobsang, kiedy wybiegł ostatni z mnichów.

– Przypuszczam, że wkrótce zostaniemy poinformowani. – Lu-tze zaczął skrecać papierosa.

– Czy nie powinniśmy się spieszyć?

W oddali już ucichł stukot sandałów.

– Chyba nic się nie pali – odparł spokojnie Lu-tze. – A jeśli chwilę odczekamy, to kiedy dotrzemy na miejsce, wszyscy przestaną już krzyczeć i może zaczną mówić z sensem. Chodźmy Ścieżką Zegarową. O tej porze dnia klomby są wyjątkowo piękne.

– Ale... ale...

– Jest napisane: „Musisz nauczyć się chodzić, zanim zaczniesz biegać” – oświadczył sprzątac i zarzucił sobie miotłę na ramię.

– Znowu pani Cosmopilite?

– Niezwykła kobieta. I odkurzała jak wszystkie demony.

Ścieżka Zegarowa wiała się od głównego zespołu budynków przez tarasy ogrodów i dobiegała do szerszej alei, która prowadziła do tunelu w ścianie urwiska. Nowicjusze zawsze pytali, dlaczego nazywa się Ścieżką Zegarową, skoro nigdzie nie ma nawet śladu zegara.

Odezwały się kolejne gongi, ale listowie tłumiło dźwięk ich uderzeń. Lobsang słyszał tupot stóp biegnących po głównej alei. Tu, w dole, kolibry przemykały od kwiatu do kwiatu, nieświadome ogólnego zamieszania.

– Ciekawe, która jest godzina – rzucił Lu-tze.

Wszystko jest próbą. Lobsang rozejrzył się uważnie.

– Piętnaście po dziewiątej – oznajmił.

– Tak? A skąd o tym wiesz?

– Polne nagietki już się otworzyły, czerwone macierzanki piaskowe się otwierają, fioletowe powoje się zamknęły, a żółte kozibrody się zamykają.

– Całkiem sam rozpracowałeś kwiatowy zegar?

– Tak. To przecież łatwe.

– Doprawdy? A która jest godzina, kiedy otwiera się biała wodna lilia?

– Szósta rano.

– Przyszedłeś popatrzeć?

– Tak. Ty sadziłeś kwiaty w tym ogrodzie, prawda?

– To jedno z moich skromnych... dzieł.

– Jest piękny.

– Niezbyt dokładny we wczesnych godzinach. Niewiele jest rozkwitających nocą roślin, które dobrze się tutaj przyjmują. Otwierają kwiaty dla ciem, rozumiesz...

– Tak właśnie czas chciałby być mierzony – stwierdził Lobsang.

– Naprawdę? Oczywiście nie jestem ekspertem. – Lu-tze zdusił papierosa i wsadził niedopałek za ucho. – Chodźmy. Może wszyscy przestali już się kłócić. Dasz radę przejść znowu przez Salę Mandali?

– Tak, nic mi nie będzie. Ja tylko... zapomniałem o tym, to wszystko.

– Naprawdę? I w dodatku nigdy wcześniej jej nie widziałeś... Ale czas wyczynia z nami dziwne sztuczki. Ja sam kiedyś... – Lu-tze urwał i przyjrzał się uczniowi. – Dobrze się czujesz? – zapytał niespokojnie. – Bardzo zbladłeś.

Lobsang skrzywił się i pokręcił głową.

– Poczułem coś dziwnego. – Skinął ręką w ogólnym kierunku nizin rozrzuconych w niebiesko-szarych deseniach na horyzoncie. – Stamtąd...

Szklany zegar. Wielki szklany dom, a tutaj, gdzie nie powinno go być, zegar ze szkła. Właściwie był tylko odrobinę; pojawiał się jako migotliwe linie w powietrzu, jak gdyby dało się pochwycić odbłask światła na lśniącej powierzchni – bez samej powierzchni.

Wszystko tu było przezroczyste – delikatne krzesła, stoliki, wazony z kwiatami. I teraz uświadomił sobie, że szkło nie jest odpowiednim określeniem. Kryształ byłby lepszym. Albo lód – taki cienki lód bez żadnej skazy, jaki pojawia się czasem po ostrych przymrozkach. Wszystkie przedmioty ukazywały jedynie swe krawędzie.

Poprzez dalekie ściany dostrzegał schody. Powyżej, poniżej i ze wszystkich stron szklane pokoje ciągnęły się w nieskończoność.

A jednak wszystko to wydawało się znajome. Czuł się jak w domu.

Dźwięk wypełniał szklane pomieszczenia. Przeptywał w czystych, ostrych nutach, jak ton wydawany przez mokry palec przesuwany po brzegu kieliszka. Był także ruch – mgielka w powietrzu poza przejrzystymi ścianami, przesuwająca się, falująca i... obserwująca go...

– Jak coś mogło tu dotrzeć stamtąd? I co to znaczy „dziwnego”? – dopytywał się Lu-tze.

Lobsang zamrugnął. Raczej „tutaj” było dziwnie, w tym miejscu, w sztywnym i szorstkim świecie...

A potem wrażenie rozwiało się i przeminęło.

– Po prostu dziwnego. Tylko przez chwilę – wymamrotał.

Czuł wilgoć na policzku. Dotknął jej palcami.

– To przez to zjeżdżałe masło jaka, które dodają do herbaty. Zawsze im to powtarzam – narzekał Lu-tze. – Pani Cosmopolite nigdy... A to było niezwykle – dodał, unosząc głowę.

– Co? Co takiego? – spytał Lobsang, patrząc tępo na mokre czubki palców, a potem na bezchmurne niebo.

– Prokrastynator wchodzący na zbyt wysokie obroty. – Lu-tze zmienił pozycję. –

Nie czujesz?

– Niczego nie słyszę!

– Nie: czy słyszysz, ale: czy czujesz. Przechodzi przez sandały. Oj, teraz następny... i jeszcze jeden... i znowu. Naprawdę nic nie wyczuwasz? Ten to... stary sześćdziesiąty szósty, nigdy go porządnie nie wyważyli. Usłyszysz je za chwilę... Na bogów! Popatrz, na kwiaty!

Lobsang spojrzał do tyłu.

Przypołudniki otwierały się, a polne mieczyki zamykały.

– Wyciek czasowy – stwierdził Lu-tze. – Posłuchaj! Teraz już je słyszysz, prawda? Zrzucają czas losowo! Chodźmy!

Według „Drugiego zwoju Wena Wiecznie Zaskoczonego”, Wen Wiecznie Zaskoczony wypiłował pierwszy prokrastynator z pnia drzewa *wamwam*, wyrył na nim pewne symbole, umocował trzpień z brązu i przywołał swego ucznia, **Mulisty Staw**.

– Bardzo ładny, mistrzu – oświadczył **Mulisty Staw**. – To młynek modlitewny, tak?

– Nie, nic aż tak skomplikowanego – odparł Wen. – On tylko magazynuje i przesuwa czas.

– To proste, tak?

– A teraz go wypróbuję – rzekł Wen.

I ręką przekręcił prokrastynator o pół obrotu.

– Bardzo ładny, mistrzu – oświadczył **Mulisty Staw**. – To młynek modlitewny, tak?

– Nie, nic aż tak skomplikowanego – odparł Wen. – On tylko magazynuje i przesuwa czas.

– To proste, tak?

– A teraz go wypróbuję – rzekł Wen.

Przekręcił go trochę mniej.

– To proste, tak?

– A teraz go wypróbuję – rzekł Wen.

Tym razem przesuwał go delikatnie tam i z powrotem.

– To pro-pro-pro... to proste-ste, tak tak tak proste, tak?

– Wypróbowałem go – oznajmił Wen.

– I działa, mistrzu?

– Chyba tak. – Wen wstał. – Daj mi sznur, którego używasz do noszenia drewna na opał. I... pestkę którejś z wiśni, co to je zerwałeś wczoraj.

Owinał wystrzępiony sznur wokół walca i rzucił pestkę na kawałek błotnistego

gruntu. Mulisty Staw odskoczył na bok.

– Widzisz te góry? – spytał Wen i pociągnął za sznur.

Walec zawirował w równowadze, brzęcząc cicho.

– O tak, mistrzu – potwierdził posłusznie Mulisty Staw.

Nie było tu nic oprócz gór – tak wielu, że czasem trudno było je zauważyć, bo wszystko przesłaniały.

– Ile czasu potrzebuje skała? – rzekł Wen. – Albo głębokie morze? Przesuniemy go... – ustawił lewą dłoń tuż ponad wirującym walcem – ...tam, gdzie bardziej się przyda.

Popatrzył na pestkę wiśni. Bezgłośnie poruszył wargami, jak gdyby rozwiązywał skomplikowaną łamigłówkę. Potem wskazał pestkę prawą ręką.

– Odsuń się – uprzedził i delikatnie dotknął palcem walca.

Nie zabrzmiał żaden dźwięk prócz trzasku odpychanego na bok powietrza i syku pary nad błotem.

Wen spojrzał na koronę nowego drzewa i uśmiechnął się.

– Mówilem, żebyś się odsunął – rzekł.

– Ja, tego, no... Może zejść na dół, dobrze? – odpowiedział mu głos spośród obsypanych kwieciami gałęzi.

– Ale ostrożnie!

Mulisty Staw runął na ziemię w deszczu płatków.

– Zawsze będą tu kwitły wiśnie – oznajmił Wen.

Lu-tze podwinął szatę i pobiegł ścieżką. Lobsang ruszył za nim. Wysoki pisk zdawał się dochodzić ze skał... Sprzątaczkę zakręcił przy sadzawce z karpiami, której powierzchnia burzyła się teraz w niezwykle fale, i pognął cienistą dróżką wzdłuż strumienia. Czerwone ibisy zrywały się do lotu...

Stał nagle i rzucił się płasko na kamienne płyty.

– Padnij!

Ale Lobsang już upadał. Usłyszał, jak coś z głośnym jękiem przelatuje mu nad głową. Obejrzał się i zobaczył, że ostatni ibis wiruje w powietrzu, otoczony aureolą bladoniebieskiego światła. Ptak zaskrzeczał i zniknął z głośnym puknięciem.

Chociaż nie zniknął całkowicie. Przez kilka sekund tą samą trajektorią mknęło jajo, które po chwili roztrzaskało się na kamieniach.

– Losowy czas! Chodź, szybciej! – krzyknął Lu-tze.

Poderwał się na nogi i podbiegł do ozdobnej kraty w ścianie urwiska. Z zaskakującą siłą wyrwał ją ze skały.

– Trochę trzeba zeskoczyć, ale nic ci się nie stanie, jeśli się przetoczysz przy lądowaniu – powiedział, wsuwając się do otworu.

– Dokąd on prowadzi?
– Do prokrastynatorów, oczywiście!
– Ale nowicjuszom nie wolno tam wchodzić pod karą śmierci!
– To zabawny zbieg okoliczności – odparł sprzątac, opuszczając się niżej, aż zawisł na czubkach palców. – Ponieważ śmierć to właśnie to, co cię czeka tutaj, jeśli zostaniesz.

I opadł w ciemność. Po chwili z głębi dobiegło nieoświecone przekleństwo.

Lobsang wsunął się do otworu, zawisł na palcach, spadł i przetoczył się, kiedy uderzył nogami o podłogę.

– Brawo – pochwalił go z mroku Lu-tze. – W razie wątpliwości wybieraj życie. Tędy!

Tunel dobiegał do szerokiego korytarza. Hałas był tutaj przeraźliwy. Coś mechanicznego cierpiało w agonii.

Zabrzmiął huk, a w chwilę później gwar.

Zza zakrętu wybiegło kilkudziesięciu mnichów, którzy oprócz tradycyjnych szat nosili też hełmy korkowe. Większość krzyczała. Kilku rozsądniejszych oszczędzało tchu, by szybciej biec. Lu-tze pochwycił jednego, który usiłował się wyrwać.

– Puść mnie!

– Co się dzieje?

– Lepiej uciekaj stąd, zanim wszystkie się posypią!

Mnich uwolnił się i pognął za towarzyszami.

Lu-tze schylił się, podniósł korkowy hełm i z powagą wręczył go Lobsangowi.

– Bezpieczeństwo i higiena pracy – powiedział. – Bardzo ważne.

– Będzie mnie chronić? – zdziwił się Lobsang, wciskając hełm.

– Właściwie nie. Ale gdyby znaleźli twoją głowę, może być rozpoznawalna. Kiedy dostaniemy się do hali, niczego nie dotykaj.

Lobsang spodziewał się jakiejś wysoko sklepionej i wspaniałej budowli. Ludzie mówili o Hali Prokrastynatorów, jakby była ogromną katedrą. Tymczasem przy końcu tunelu były tylko opary błękitnego dymu. Dopiero kiedy oczy przyzwyczyły się do zamglonego półmroku, zauważył najbliższy walec.

Była to szeroka kamienna kolumna mająca jakieś sześć łokci średnicy i dwanaście wysokości. Wirowała tak szybko, że wydawała się rozsmazana. Wokół w powietrzu migotały odpryski srebrzysto-błękitnego światła.

– Widzisz? Dokonują zrzutu! Tam! Szybciej!

Biegąc za Lu-tze, Lobsang odkrył, że są tu setki... nie, tysiące walców. Niektóre sięgały aż do stropu jaskini.

Wciąż byli tu mnisi. Biegali tam i z powrotem z wiadrami wody ze studni; błyskawicznie zmieniała się w parę, kiedy wylewali ją na dymiące kamienne łóżyska u

podstawy walców.

– Głupcy – mruknął sprzątacze. Po czym przyłożył do ust zwinięte dłonie. – Gdzie jest nadzorca?!! – wrzasnął.

Lobsang wskazał brzeg zbudowanego przy ścianie drewnianego podestu. Leżał tam gnijący korkowy hełm i para bardzo starych sandałów. Między nimi wyrastał stosik szarego pyłu.

– Biedak – westchnął Lu-tze. – Wygląda to na pełne pięćdziesiąt tysięcy lat w jednym uderzeniu. – Popatrzył gniewnie na rozbieganych mnichów. – Może uspokoić się wszyscy i podejdziecie tutaj? Nie będę drugi raz powtarzał!

Kilku strzepnęło z rzęs krople potu i potruchtalo do podestu, z ulgą przyjmując coś, co przypominało rozkaz. Za nimi wyły prokrastynatory.

– No dobrze, posłuchajcie mnie teraz! To po prostu przepiękie kaskadowe. Wszyscy o takich słyszeliście. Poradzimy sobie! Musimy tylko połączyć krzyżowo przyszłości i przeszłości, najpierw te najszybsze...

– Biedny pan Shoblang już tego próbował – wtrącił jeden z mnichów, wskazując smętny stosik.

– W takim razie trzeba utworzyć dwa zespoły... – Lu-tze urwał. – Nie, nie mamy czasu! Załatwimy to na wycucie, przez podeszwy stóp, jak dawniej. Jeden człowiek na wirnik, tylko niech walnie w belkę, kiedy powiem! Gotowi? Wywołam numery!

Wspiął się na podest i zbadał wzrokiem tablicę pokrytą drewnianymi szpulkami. Nad każdą unosił się czerwony albo niebieski nimb.

– Cóż za bałagan – powiedział. – Cóż za bałagan...

– Co one znaczą? – chciał wiedzieć Lobsang.

Lu-tze unosił dłonie nad tablicą.

– No dobra. Te czerwone odwijają czas i go przyspieszają. Te zabarwione niebiesko zwijają czas i go spowalniają. Jaskrawość koloru zależy od tego, jak szybko to robią. Tyle że teraz wszystkie wirują swobodnie, bo przepięcie je zerwało. Rozumiesz?

– Zerwało z czego?

– Z obciążenia. Ze świata. Widzisz tam, u góry?

Wskazał dwa długie stelaże biegnące wzdłuż całej jaskini. Każdy podtrzymywał rząd obrotowych przesłon, w jednej linii niebieskie, w drugiej czerwone.

– Im więcej przesłon pokazuje kolor, tym więcej czasu się zwija albo rozwija?

– Świetnie, chłopcze. I musimy to równoważyć. Załatwimy to w ten sposób, że sprzęgamy wirniki parami, tak że zwijają i rozwijają się nawzajem. Kasują się. Biedaczysko Shoblang próbował włączyć je z powrotem w cykl roboczy, jak podejrzewam. Ale to niemożliwe przy kaskadzie. Trzeba odczekać, aż wszystko padnie, a potem ratować co się da, kiedy jest już cicho i spokojnie. – Przyjrzał się

szpulkom, a potem szeregom mnichów. – Do roboty. Ty... sto dwudziesty siódmy do siedemnastego, potem czterdziesty piąty do osiemdziesiątego dziewiątego. Ruszaj. A ty... pięćset dziewięćdziesiąty szósty do... niech popatrzę... tak, do czterysta drugiego...

– Siedemset dziewięćdziesiąty! – wykrzyknął Lobsang, wskazując szpulkę.

– Co takiego?

– Siedemset dziewięćdziesiąty!

– Nie bądź głupi. On ciągle jeszcze rozwija, chłopcze. Czterysta drugi to ten, o który nam chodzi. O tutaj.

– Siedemset dziewięćdziesiąty zaraz będzie znowu związał czas!

– Ciągle jest ostro niebieski.

– Zacznie związać. Wiem. Ponieważ... – Nowicjusz przesunął palec nad rzędami szpułek, znieruchomiał na chwilę, po czym wskazał jedną po przeciwnej stronie tablicy. – Dopasowuje prędkość do tego.

Lu-tze przyjrzał się uważnie.

– Zostało napisane „A bodaj ci nóżka spuchła” – powiedział. – Formują naturalną inwersję. – Zerknął na Lobsanga. – Nie jesteś przypadkiem czyjąś reinkarnacją? To często się tu zdarza.

– Nie wydaje mi się. Po prostu... to oczywiste.

– Jeszcze przed chwilą nic o tym nie wiedziałeś!

– Tak, tak. Ale kiedy się je zobaczy... to oczywiste.

– Ach tak? Oczywiste? W takim razie tablica jest twoja, cudowne dziecko! – Lu-tze odstąpił.

– Moja? Ale ja...

– Bierz się do roboty! To rozkaz!

Wokół Lobsanga zajaśniała na moment sugestia błękitnego światła. Lu-tze zastanowił się, ile czasu chłopak związał wokół siebie w ciągu tej sekundy. Z pewnością dosyć, żeby się zastanowić.

A potem wywołał pół tuzina par liczb. Lu-tze zwrócił się do mnichów.

– Ale z życiem, chłopcy! Pan Lobsang rządzi tablicą! Wy uważajcie na łożyska!

– On jest nowicjuszem... – zaczął któryś z mnichów, urwał i cofnął się, widząc minę Lu-tze. – Już dobrze, sprzątaczu. Już dobrze...

Po chwili rozległy się stuki zaskakujących na miejsca zworników. Lobsang wywołał kolejne pary liczb.

Kiedy mnisi pobiegli do dołów tłuszczowych po smar, Lu-tze przyjrzał się najbliższej kolumnie. Wciąż kręciła się szybko, ale był pewien, że widzi już rzeźbienia.

Lobsang znów przebiegł wzrokiem po tablicy, popatrzył na dudniące walce, a

potem na rzędy przesłoni.

Te wiadomości nigdzie nie były zapisane. Lu-tze wiedział o tym. Tego nie dało się uczyć w klasie, choć próbowali. Dobry operator wirnika wchłaniał umiejętności przez podeszwy stóp – mimo całej teorii, jaką ostatnio wykładali. Uczył się wyczuwać prądy, widzieć prokrastynatory jako spływy albo fontanny czasu. Stary Shoblang był tak dobry, że potrafił ściągnąć kilka godzin zmarnowanego czasu z klasy pełnej znudzonych uczniów, którzy niczego nawet nie zauważali, a potem zrzucić je do warsztatu w pełnym rozruchu o tysiąc mil dalej, czysto i gładko.

A ta sztuczka z jabłkiem, którą powtarzał, by rozbawić uczniów... Kładł je na kolumnie obok nich, a potem przerzucał w nie czas z którejś z mniejszych szpul. W jednej chwili stawało się kępą niskich, cienkich drzewek, które rozsypywały się w pył. „I was to czeka, jeśli popełnicie błąd”, mawiał.

Raz jeszcze zerknął na stos szarego pyłu pod rozpadającym się hełmem korkowym. Cóż, może tak właśnie chciałby odejść...

Zgrzyt udręczonego kamienia kazał mu unieść wzrok.

– Polewajcie te łożyska, lenie! – huknął, biegnąc wzdłuż szeregu walców. – Uważać na szyny! Ręce z daleka od wypustów! Dobrze idzie!

Biegnąc, cały czas obserwował kolumny. Nie wirowały już przypadkowo. Teraz miały cel.

– Chyba wygrywasz, chłopcze! – zawołał do niewysokiej postaci na podeście.

– Tak, ale nie mogę tego zrównoważyć! Mam za dużo nawiniętego czasu i nie mam gdzie go zrzucić!

– Ile?

– Prawie czterdzieści lat!

Lu-tze zerknął na przesłony. Czterdzieści lat wyglądało na poprawną ocenę, ale przecież...

– Ile?

– Czterdzieści! Przykro mi! Nie ma nic, co mogłoby je przejąć.

– Żaden problem! Wykradnij je! Podziel zakresy! Zawsze możemy je potem wyciągnąć! Zrób zrzut!

– Gdzie?

– Poszukaj jakiegoś dużego kawałka morza! – Sprzątaczkę wskazał wymalowaną na ścianie prymitywną mapę świata. – Wiesz, jak się to... Czy widzisz, jak im nadać odpowiedni moment i kierunek?

I znowu powietrze zbłękitniało.

– Tak! Chyba tak!

– Owszem, tak właśnie przypuszczałem! No to jak tylko będziesz gotów...

Lu-tze pokręcił głową. Czterdzieści lat? Chłopak martwił się o czterdzieści lat?

Czterdzieści lat to nic! Zdarzało się, że początkujący operatorzy robili zrzuty po pięćdziesiąt tysięcy lat. Kluczową cechą morza było to, że pozostawiało wielkie i mokre. Pewno, może jacyś rybacy zaczęli wyciągać w sieciach dziwne, wąsate ryby, które dotąd widywali tylko jako skamieliny, ale kto by się przejmował, co spotyka bandę dorszy?

Dźwięk się zmienił.

– Co robisz?

– Znalazłem miejsce na numerze 422! Może przyjąć jeszcze czterdzieści lat! Nie warto marnować czasu! Odciągam je... teraz!

Znów zmienił się ton.

– Mam je! Na pewno trafiłem!

Niektóre z wielkich walców zwalniały już i stawały. Oszołomiony Lu-tze nie nadążał wzrokiem za tempem, w jakim Lobsang przesuwiał po tablicy zatyczki. Przesłony pod sklepieniem zatrzaskiwały się kolejno, pokazując zamiast koloru poczerniałe ze starości drewno.

Przecież nikt nie może być tak dokładny...

– Odchylenie rzędu miesięcy, chłopcze! Miesiące! – zawołał. – Tak trzymać! A niech mnie, zjechałeś do dni! Dni! Uważaj na mnie!

Sprzątacze ruszyli biegiem na drugi koniec hali, gdzie pracowały mniejsze prokrastynatory. Czas był tu regulowany precyzyjnie, na walcach z kredy, drewna i innych mniej wytrzymałych materiałów. Ku jego zdumieniu niektóre także już zwalniały.

Pognał przejściem między wysokimi na kilka stóp kolumnami z dębu. Ale nawet prokrastynatory mogące zwijać czas w godzinach i minutach cichły kolejno.

Coś zgrzytnęło.

Ostatni niewielki kredowy walec na końcu rzędu zagrzechotał na łożysku niby upuszczona na podłogę pokrywka.

Lu-tze zbliżył się do niego, patrząc czujnie, z uniesioną w górę ręką. Teraz słyszeć było tylko cichy zgrzyt i pojedyncze trzaski stygnących łożysk.

– Już prawie! – zawołał Lu-tze. – Zwalnia... czekaj jeszcze, czekaj... chwilę...

Kredowy prokrastynator, nie większy od szpulki bawełny, zwolnił jeszcze... zakręcił się... stanął.

Na stelażach zatrzasnęły się dwie ostatnie przesłony.

Lu-tze opuścił rękę.

– Teraz! Odciać tablicę! Nikt niczego nie dotyka!

Przez chwilę w hali panowała absolutna cisza. Mnisi patrzeli, wstrzymując oddech.

To była właśnie pozaczasowa chwila idealnej równowagi.

Tik

W tej pozaczasowej chwili duch pana Shoblanga, dla którego cała scena wydawała się zamglona i niewyraźna, jakby oglądana przez warstwę gazy, powiedział:

– To zwyczajnie niemożliwe! Widziałeś coś takiego?

CO WIDZIAŁEM? – odezwała się stojąca obok mroczna postać.

– Och! – Shoblang obejrzał się i stwierdził z nagłą pewnością w głosie: – Jesteś Śmierć, tak?

TAK. PRZEPRASZAM ZA SPÓŹNIENIE. BYŁEM ZAJĘTY.

Duch, znany wcześniej jako Shoblang, spojrział na stos pyłu, resztki doczesnej powłoki, w której mieszkał przez ostatnie sześćset lat.

– Ja też byłem – stwierdził. I szturchnął Śmierć pod żebra.

PRZEPRASZAM?

– Powiedziałem, że byłem. Bum, bum.

NIE CAŁKIEM...

– Eee... Byłem. Już nie jestem. Znaczą: nie żyję.

Śmierć kiwnął głową.

ACH, ROZUMIEM. TYLKO TO „BUM, BUM” MNIE ZMYLIŁO.

– To miało pokazać, że chodzi o żart.

NO TAK. WIDZĘ, ŻE TO MOGŁO BYĆ KONIECZNE. JEDNAKŻE, PANIE SHOBLANG, WPRAWDZIE BYŁ PAN, ALE I JEST PAN. A JEST PAN ZBYT WCZEŚNIE. BUM, BUM.

– Słucham?

ZGINAŁ PAN PRZED SWOIM WŁAŚCIWYM CZASEM.

– No tak. Też tak uważam.

DOMYŚLA SIC PAN DLACZEGO? TO BARDZO NIEZWYKŁE.

– Wiem tylko, że wirniki nagle oszalały, a ja musiałem dostać ładunkiem, kiedy jeden z nich rozkręcił się powyżej progu szybkości. Ale co powiesz na tego dzieciaka? Przyjrzyj się tylko, jak te łobuzy tańczą mu pod rękami! Chciałbym móc go szkolić! Co ja wygaduję? To on mógłby udzielić mi paru lekcji!

Śmierć rozejrzał się zdziwiony.

KOGO PAN MA NA MYŚLI?

– Ten chłopak na podeście. Widzisz?

NIE. OBAWIAM SIĘ, ŻE NIE WIDZĘ TAM NIKOGO.

– Co? Przecież jest tutaj! Wyraźny jak nos na twojej... Przepraszam, oczywiście nie na twojej twarzy...

WIDZĘ PORUSZAJĄCE SIĘ KOLOROWE ZATYCZKI.

– A jak myślisz, kto nimi porusza? Przecież jesteś Śmierć, nie? Myślałem, że

widzisz każdego!

Śmierć przyglądał się tańczącym szpulkom.

KAŻDEGO... KOGO POWINIENEM WIDZIEĆ, rzekł. Wciąż patrzył w skupieniu.

– Ehem... – odezwał się Shoblang.

A TAK. NA CZYM SKOŃCZYLIŚMY?

– Słuchaj, skoro jestem byłym za wcześnie, to może mógłbyś...

WSZYSTKO, CO ZASZŁO, POZOSTAJE ZASZŁE.

– Co to za filozofia?

JEDYNA, KTÓRA DZIAŁA. Śmierć wyjął klepsydrę. JAK WIDZĘ, ZE WZGLĘDU NA TEN PROBLEM PAŃSKA REINKARNACJA NASTĄPI DOPIERO ZA SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ LAT. MA PAN GDZIE SIĘ ZATRZYMAĆ?

– Zatrzymać? Przecież jestem martwy! To nie tak, że zatrzasnęły mi się drzwi do mieszkania! – zawołał Shoblang, który zaczynał się już rozwiewać.

MOŻE UDA SIĘ PANA PRZESUNĄĆ DO WCZEŚNIEJSZYCH NARODZIN?

Shoblang zniknął.

W pozaczasowej chwili Śmierć odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na halę walców...

Tik

Kredowy walec znów się zakręcił, zgrzytając cicho.

Jeden po drugim ruszyły dębowe prokrastynatory, przejmując rosnące obciążenie. Tym razem nie było słychać pisku łożysk. Wirowały dostojnie, jak podstarzałe baleriny, w tę i w tamtą stronę, łagodząc naprężenia, kiedy miliony ludzkich istot zwijały wokół siebie czas. Trzaski brzmiały jak na herbacianym kliprze opływającym Przylądek Gniewu.

Potem stęknęły wielkie kamienne walce, wychwytyjąc czas, z którym mniejsze nie mogły sobie poradzić. Pod trzeszczeniem słychać było teraz głuchy turkot, jednak wciąż był delikatny, kontrolowany...

Lu-tze powoli opuścił rękę i wyprostował się.

– Eleganckie, płynne przyłączenie – pochwalił. – Dobrze się wszyscy spisaliście.

Odwrócił się do oszołomionych, zdyszanych mnichów i skinieniem wezwał do siebie najstarszego. Wyjął pomięty niedopałek ze stałego miejsca za uchem.

– No więc, Rambucie Handisidesie, co tu się twoim zdaniem wydarzyło?

– No... Mieliśmy przepięcie, które rozwalilo...

– Nie, nie. Potem. – Lu-tze zapalił zapalnik o podeszwę sandała. – Widzisz, bo mnie osobiście nie wydaje się, żebyście, chłopaki, biegali w kółko jak kurczaki bez głów, a jakiś nowicjusz wszedł na platformę i wykonał najgładsze, najśłodsze podjęcie, jakie w życiu widziałem. To nie mogło się zdarzyć, bo takie rzeczy się nie zdarzają! Mam rację?

Mnisi z hali prokrastynatorów nie należeli do najznakomitszych analityków politycznych świątyni. Ich praca polegała na doglądaniu, smarowaniu, rozkładaniu i montowaniu oraz wykonywaniu poleceń człowieka na podeście. Rambut Handisides zmarszczył brwi.

Lu-tze westchnął.

– Widzisz, moim zdaniem zdarzyło się to, że wy, chłopcy, wzniesliście się na wyżyny, prawda, aż ja i ten młody człowiek oczy otwieraliśmy z podziwu, widząc praktyczne umiejętności, jakie wszyscy demonstrowaliście. Sam opat będzie pod wrażeniem i zapluje się z radości. Przy kolacji możecie szukać dodatkowych *momos* w waszej *thugpa*, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Handisides wciągnął to wszystko na swój psychiczny maszt, który przesłał modlitwę do nieba. Mnich zaczął się uśmiechać.

– Jednakże – podjął Lu-tze, podchodząc bliżej i zniżając głos – wkrótce zapewne znowu tu zajrzę. Tu się przyda porządne zamykanie... I jeśli nie zastanę was, chłopcy, bardzo zapracowanych, w ciągu tygodnia ty i ja stoczmy... rozmowę.

Uśmiech znikł.

– Tak, sprzątaczu.

– I niech ktoś zmiecie pana Shoblanga.

– Tak, sprzątaczu.

– No to się dogadaliśmy. Ja i ten młody Lobsang już pójdziemy. Bardzo się przyczyniliście do jego edukacji.

Wziął za rękę niestawiającego oporu Lobsanga i poprowadził go wzdłuż długiego szeregu obracających się, szumiących prokrastynatorów. Całun błękitnego dymu wciąż wisiał pod wysokim sklepieniem.

– Zaiste jest napisane: „Mógłbyś mnie piórkiem powalić” – mruknął, kiedy wspinali się nachylonym korytarzem. – Zauważyłeś tę inwersję, zanim się zaczęła. Przerzuciłaby nas do przyszłego tygodnia. Co najmniej.

– Przepraszam, sprzątaczu.

– Przepraszasz? Nie masz za co przepraszać. Nie wiem, kim naprawdę jesteś, synu. Jesteś za szybki. Czujesz się tutaj jak kaczką w wodzie. Nie musisz uczyć się tego, na co inni poświęcają lata. Stary Shoblang, niech zreinkarnuje się w jakimś miłym i ciepłym miejscu, nawet on nie potrafił zrównoważyć obciążenia co do sekundy. Sekundy! Na całym nieszczęsnym świecie! – Zadrżał. – Udzielę ci wskazówki: nie

zdradzaj się z tym. Ludzie czasem dziwnie reagują na takie rzeczy.

– Tak, sprzątaczu.

– I jeszcze jedno. – Lu-tze prowadził chłopca drogą do światła. – Co się właściwie stało akurat na moment przed wyrwaniem prokrastynatorów? Poczujesz coś?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że... jakby przez chwilę wszystko było nie tak.

– Zdarzyło ci się już coś takiego?

– Nie-e... To było trochę podobne do tego, co czułem przy mandali.

– Cóż... nie rozmawiaj z nikim na ten temat. Większość tych ważniaków dzisiaj nie wie nawet, jak działają te wirniki. Nikt już się nimi nie przejmuje. Nikt nie zauważa czegoś, co funkcjonuje dobrze. Oczywiście, za dawnych czasów nie zostałbyś nawet mnichem, póki byś nie przepracował w hali sześciu miesięcy, smarując, czyszcząc i nosząc narzędzia. I tak było lepiej! Dzisiaj stale tylko mówią o nauce posłuszeństwa i kosmicznej harmonii. No więc kiedyś uczyłeś się ich w hali. Uczyłeś się, że jeśli nie odskoczysz, kiedy ktoś wrzaśnie „Zrzut!”, dostaniesz parę lat tam, gdzie zaboli. I że nie ma wspanialszej harmonii niż ta, kiedy wszystkie wirniki równo się obracają.

Korytarz doprowadził ich do głównego kompleksu budynków świątyni. Ludzie wciąż jeszcze biegali niespokojnie, kiedy obaj skierowali się do mandali.

– Jesteś pewien, że możesz znowu na nią popatrzeć? – upewnił się Lu-tze.

– Tak, sprzątaczu.

– No dobrze. Sam wiesz najlepiej.

Balkony nad salą pełne były mnichów, ale dzięki uprzejmemu, aczkolwiek stanowczemu użyciu miotły Lu-tze przedostał się do pierwszych rzędów. Starsi mnisi zebrali się na samym brzegu.

Zauważył go Rinpo.

– Ach, sprzątaczu – powiedział. – Czyżby jakiś kurz cię zatrzymał?

– Wirniki się wyrwały i przeszły w nadobroty – mruknął Lu-tze.

– Tak, ale przecież otrzymałeś wezwanie opata – przypomniał z wyrzutem akolita.

– Był taki czas, kiedy każdy z nas popędziłby do hali, gdyby uderzyły gongi.

– Tak, ale...

– *BRRRRbrrrrrbrrrr* – odezwał się opat niesiony przez akolitę w chuście na plecach. Miał na głowie haftowaną spiczastą czapeczkę. – Lu-tze zawsze bardzo cenił praktyczne podejście *BRRbrr*. – Dmuchnął bąbelkami mleka w ucho akolity. – Cieszę się, że problem został rozwiązany, Lu-tze.

Sprzątaczu pokłonił się, a opat zaczął lekko tłuc akolitę po głowie drewnianym misiem.

– Historia się powtarza, Lu-tze. *Dum, dum BBBRRRR...*

– Szklany zegar? – upewnił się Lu-tze.

Starsi mnisi aż syknęli.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – zdumiał się główny akolita. – Nie odtworzyliśmy jeszcze mandali.

– Napisane jest „Czuję to w mojej wodzie”. Poza tym to był jedyny przypadek, kiedy szpule tak oszalały. Wyrwały się wszystkie. Ześlizg czasowy. Ktoś znowu buduje szklany zegar.

– Przecież to niemożliwe – oświadczył akolita. – Usunęliśmy wszelkie ślady...

– Ha! Napisane jest: „Nie jestem zielony jak szczypiorek czy kapusta” – burknął Lu-tze. – Czegoś takiego nie da się zlikwidować! Przesącza się z powrotem. Opowieści. Sny. Rysunki naskalne. Cokolwiek...

Lobsang spojrział w dół, na podłogę, gdzie była mandala. Mnisi tłoczyli się wokół kilku wysokich walców po drugiej stronie sali. Wyglądały jak prokrastynatory, ale obracał się powoli tylko jeden, całkiem mały. Pozostałe stały w bezruchu, ukazując masę symboli wyrzeźbionych na powierzchni od szczytu do podstawy.

Przechowywanie wzorów...

Myśl pojawiła się w jego głowie. To tam zapamiętuje się wzory mandali, by dało się je odtworzyć. Dzisiejsze wzory na tym małym walcu, przechowywanie długoterminowe na wielkich.

Poniżej mandala zafalowała; po powierzchni sunęły plamy kolorów i strzępy wzorów. Któryś z oddalonych mnichów krzyknął coś i mały walec znieruchomiał.

Toczące się ziarenka piasku zamarły.

– Tak wyglądała dwadzieścia minut temu – wyjaśnił Rinpo. – Widzicie tę niebieskobiłą kropkę, o tam? Potem się rozlała...

– Wiem, co widzę – przerwał mu posępnie Lu-tze. – Człowieku, byłem tu, kiedy to się stało poprzednio! Wasza świętobliwość, niech przepuszczą starą sekwencję szklanego zegara! Nie mamy zbyt wiele czasu!

– Naprawdę uważam, że... – zaczął akolita, ale przerwał mu cios gumowego klocka.

– *Ciem nocnik ciem* jeśli Lu-tze ma rację, to nie możemy tracić czasu, panowie. A jeśli się myli, to mamy rezerwę czasową, czyż nie? *Nocnik już ciem zajaz!*

– Dziękuję – powiedział sprzątac. Złożył dłonie przy ustach. – Oi! Wy tam! Walek drugi, czwarty *bhing*, około dziewiętnastego *gupa!* I z życiem!

– Z całym szacunkiem muszę zaprotestować, wasza świętobliwość – nie ustępował akolita. – Ćwiczyliśmy na takie właśnie sytuacje zagrożenia...

– Tak, znam procedury ćwiczebne na wypadek zagrożenia – oświadczył Lu-tze. – I zawsze w nich czegoś brakuje.

– To śmieszne! Podejmujemy wszelkie starania...

– Zawsze opuszczacie to nieszczęsne zagrożenie. – Lu-tze odwrócił się twarzą do oczekujących robotników. – Gotowe? Dobrze! Rzućcie to na podłogę, ale już! Inaczej

będę zmuszony tam zejść! A nie chcę być zmuszany do zejścia!

Ludzie przy walcach wzięli się do pracy. Nowy wzór zastąpił ten pod balkonem. Linie i kolory znajdowały się w innych miejscach, ale niebieskobiały krążek zajmował środek.

– Macie – rzekł Lu-tze. – To było dziesięć dni przed uderzeniem zegara.

Mnisi zamilkli.

Lu-tze uśmiechnął się ponuro.

– A dziesięć dni później...

– Czas się zatrzymał – dokończył Lobsang.

– Można i tak to ująć – zgodził się Lu-tze. Poczerwieniał.

Jeden z mnichów położył mu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze, sprzątaczu – powiedział uspokajająco. – Wiemy, że nie mogłeś tam dotrzeć na czas.

– Docieranie na czas jest podobno tym, co robimy – odparł Lu-tze. – Byłem już prawie przy tych nieszczęsnych drzwiach, Charlie. Za wiele zamków, za mało czasu...

Za nim mandala powróciła do powolnego odmierzania teraźniejszości.

– To nie była twoja wina – zapewnił mnich.

Lu-tze strząsnął jego dłoń, odwrócił się i nad ramieniem głównego akolity spojrzał na opata.

– Proszę o zgodę na wytropienie go natychmiast, świętobliwy. – Stuknął się palcem w nos. – Złapałem jego zapach! Tyle lat czekałem na okazję! I tym razem nie zawiodę!

Wśród ciszy opat wydmuchał mleczną bańkę.

– To będzie znowu w Überwaldzie – stwierdził Lu-tze. W jego głosie zabrzmiał błagalny ton. – Tam właśnie majstrują przy elektryce. Znam każdą piędź tego kraju! Daj mi paru ludzi, a przetniemy tę sprawę, zanim wypączkuje.

– *Bababababa...* To wymaga przedyskutowania, Lu-tze, ale dziękujemy ci za tę propozycję *bababababa* – odparł opat. – Rinpo, niech wszyscy *bdum, bdum, bdum* starsi mnisi terenowi stawiają się w Komnacie Ciszy za pięć *bababa* minut. Czy wirniki pracują *bdum, bdum* harmonijnie?

Jeden z mnichów uniósł wzrok znad zwoju, który mu podano.

– Tak się wydaje, wasza świętobliwość.

– Przekażcie moje gratulacje dla operatora tablicy *CIUCIU!*

– Ale Shoblang nie żyje – mruknął Lu-tze.

Opat przestał wypuszczać bąbelki.

– Smutna wiadomość. Jak rozumiem, był twoim przyjacielem.

– To nie powinno się wydarzyć – powiedział sprzątaczu. – Nie powinno.

– Uspokój się, Lu-tze. Wkrótce z tobą porozmawiam. *Ciaštečko!*

Główny akolita, ponaglony uderzeniem gumową małąką w ucho, odszedł pośpiesznie.

Tłum zaczął się przersedzać, gdy mnisi wracali do swoich obowiązków. Wkrótce Lu-tze i Lobsang zostali sami. Patrzyli z góry na mandalę.

Lu-tze odchrząknął.

– Widzisz te szpule na końcu? – zapytał. – Mała rejestruje wzory każdego dnia, a potem wszystko, co ciekawe, magazynowane jest w tych wielkich.

– Właśnie sobie przedpomniałem, że to powiesz.

– Dobre słowo. Całkiem dobre. Masz talent. – Lu-tze zniżył głos. – Ktoś nas obserwuje?

Lobsang rozejrzał się wokół.

– Kilka osób jeszcze zostało.

Lu-tze znowu zaczął mówić głośniej.

– Uczyli cię o Wielkim Krachu?

– Słyszałem tylko plotki, sprzątaczu.

– Tak, plotek nie brakowało. „Dzień, w którym czas zamarł” i takie rzeczy. – Lu-tze westchnął. – Wiesz, większość tego, czego cię nauczono, to kłamstwa. Czasami, kiedy poznasz całą prawdę naraz, nie możesz jej zrozumieć. Znałeś chyba dobrze Ankh-Morpork, co? Byłeś kiedyś w operze?

– Tylko na ćwiczeniach z kradzieży kieszonkowych, sprzątaczu.

– A zastanowiłeś się kiedyś nad tym? Zauważyłeś ten mały teatr po drugiej stronie ulicy? Nazywa się Disk, o ile pamiętam.

– O tak! Kupowaliśmy najtańsze bilety, siadaliśmy na ziemi i rzucaliśmy orzeszki na scenę.

– I nie skłoniło cię to do myślenia? Wielki gmach opery, cały w pluszach i złoceniach, wielkie orkiestry, a obok stoi mały teatrzyk kryty strzechą, z gołego drewna, bez siedzeń, i jeden gość gra na rożku dla akompaniamentu?

Lobsang wzruszył ramionami.

– Właściwie nie. Tak po prostu jest.

Lu-tze niemal się uśmiechnął.

– Bardzo elastyczne są te ludzkie umysły. Zadziwiające, jak potrafią się rozciągnąć, by coś dopasować. Wykonaliśmy tam niezłą robotę...

– Lu-tze?

Jeden z młodszych akolitów czekał z szacunkiem.

– Opat przyjmie cię teraz – oznajmił.

– To dobrze. – Sprzątaczu szturchnął Lobsanga i szepnął: – Ruszamy do Ankh-Morpork, mały.

– Co? Mówiłeś przecież, że chcesz, by cię wysłano...

Lu-tze mrugnął porozumiewawczo.

– Ponieważ jest napisane: „Ci, którzy proszą, nie dostają”, rozumiesz. Istnieje wiele lepszych sposobów zduszenia *dangdang* niż nadzianie go na *pling*, mój chłopcze.

– Istnieje?

– O tak, jeśli masz dosyć *pling*. A teraz spotkamy się z opatem, co? Jest chyba jego pora karmienia. Na szczęście przyjmuje już stale pokarmy, skończył z mamką. To było takie krępujące dla niego i tej młodej damy, naprawdę, człowiek nie wiedział, gdzie oczy podziać, i on też nie. Wiesz, psychicznie ma dziewięćset lat...

– To na pewno jest bardzo mądry.

– Całkiem mądry, całkiem mądry. Ale wiek niekoniecznie idzie w parze z mądrością. Już dawno to zauważyłem – oświadczył Lu-tze, kiedy zbliżali się do komnat opata. – Niektórzy ludzie po prostu stają się głupi z większym autorytetem. Nie jego świętobliwość, oczywiście.

Opat siedział w swoim krzeselku i właśnie chlapnął łyżką pożywnej papki. Główny akolita uśmiechał się jak człowiek, którego stanowisko zależy od tego, czy potrafi się zachwycać, że przecier pasternakowo-agrestowy ścieka mu z czoła.

Lobsangowi przyszło do głowy, nie po raz pierwszy, że ataki opata na tego człowieka nie są czysto przypadkowe. Akolita w istocie był osobnikiem budzącym delikatną niechęć, a u każdego zdrowo myślącego budził trudne do opanowania pragnienie wylania mu jakiejś mazi na głowę i uderzenia go gumowym jakim. Opat był już dostatecznie stary, by słuchać głosu swego wewnętrznego dziecka.

– Wasza świętobliwość mnie wzywał. – Lu-tze skłonił się z szacunkiem.

Opat wylał swoją miseczkę na szatę akolity.

– *Uahahahhhaha* ach tak, Lu-tze. Ile masz lat?

– Osiemset, wasza świętobliwość. To żaden wiek.

– A jednak wiele czasu spędziłeś w świecie. Jak rozumiem, planowałeś się wycofać i zająć pielęgnacją swych ogrodów.

– Tak, ale...

– Ale – opat uśmiechnął się anielsko – jak stary rumak bojowy wołasz „ihaha”, słysząc granie trąb.

– Nie wydaje mi się – odparł sprzątac. – W trąbach nie ma nic zabawnego.

– Chodziło mi o to, że tęsknisz, by znowu wyjść w pole. Ale od wielu lat pomagasz w szkoleniu agentów terenowych, prawda? Tych osobników?

Pod ścianą siedziało kilku krzepkich, muskularnych mężczyzn. Byli wyekwipowani do drogi, ubrani w luźne czarne kostiumy i mieli przytroczone na plecach zwinięte maty do spania. Nieśmiało skinęli głowami Lu-tze. Ponad maskami zasłaniającymi dolne części twarzy ich oczy spoglądały z zakłopotaniem.

– Robiłem, co mogłem – przyznał Lu-tze. – Oczywiście szkolili ich inni. Ja tylko starałem się naprawić szkody. Nie uczyłem ich, jak być ninjami. – Szturchnął Lobsanga. – To słowo, mój uczniu, oznacza po agatejsku „Puszczony Wiatr” – dodał scenicznym szeptem.

– Sugeruję, żeby wysłać ich natychmiast *BACH!* – Opat walnął łyżeczką w krzeselko. – To jest rozkaz, Lu-tze. Jesteś legendą, ale byłeś nią już od bardzo dawna. Dlaczego nie zaufać przyszłości? *Ciuciu!*

– Rozumiem – zgodził się zasmucony Lu-tze. – No cóż, kiedyś musiało się to stać. Dziękuję za troskę, wasza świętobliwość.

– *Brrm, brrm...* Lu-tze, znam cię już bardzo długo. Nie zbliżysz się nawet na sto mil do Überwaldu. Tak?

– Absolutnie, wasza świętobliwość.

– To rozkaz!

– Rozumiem, oczywiście.

– Zdarzało ci się *bababa* działać wbrew rozkazom. W Omni, jeśli dobrze pamiętam.

– Była to decyzja taktyczna, podjęta przez człowieka na miejscu akcji, wasza świętobliwość. Pewna interpretacja twojego rozkazu.

– Chodzi ci o to, że udałeś się tam, gdzie wyraźnie zakazałem ci się udawać, i zrobiłeś to, czego absolutnie ci zabroniłem robić?

– Tak, wasza świętobliwość. Czasami aby podnieść huśtawkę, trzeba nacisnąć na jej drugi koniec. Kiedy zrobiłem to, czego nie należało robić, w miejscu, gdzie nie powinno mnie być, osiągnąłem to, czego należało dokonać w miejscu, gdzie powinno się to zdarzyć.

Opat rzucił sprzątaczkowi długie, surowe spojrzenie – które tak dobrze wychodzą dzieciom.

– Lu-tze, nie wolno ci *nmnmnbuubuu* ruszać do Überwaldu ani nigdzie w pobliże Überwaldu, rozumiesz?

– Naturalnie, wasza świętobliwość. Masz rację, oczywiście. Ale czy mogę w swym starczym zdziecinnieniu podążać inną ścieżką, ścieżką mądrości raczej niż przemocy? Chcę pokazać temu młodemu człowiekowi... Drogę.

Mnisi parsknęli śmiechem.

– Drogę Praczeki? – zadrwił Rinpo.

– Pani Cosmopilite jest krawcową – sprostował chłodno Lu-tze.

– Której mądrość leży w takich powiedzonkach jak: „Nie zagoi się, jeśli będziesz rozdrapywał”. – Rinpo mrugnął na innych mnichów.

– Nic się nie goi, kiedy się to rozdrapuje – oświadczył Lu-tze, a jego chłód był teraz niczym jezioro spokoju. – Może to być nieciekawa i prosta Droga, ale choć

skromna i niegodna, jest moją Drogą. – Zwrócił się do opata. – Tak właśnie kiedyś bywało, wasza świątobliwość. Pamiętasz? Mistrz i uczeń wyruszają w świat, gdzie uczeń może uzyskać praktyczne instrukcje poprzez przekazy i przykłady, a potem uczeń odnajduje swoją własną Drogę, a na końcu tej Drogi...

– ...odnajduje siebie *bdum* – dokończył opat.

– Najpierw odnajduje nauczyciela – poprawił Lu-tze.

– Ma szczęście, że to ty *bdum*, *bdum* będziesz jego nauczycielem.

– Świątobliwy mężu, w naturze Dróg leży to, że nikt nie jest pewien, kim może być nauczyciel. Ja mogę tylko wskazać mu ścieżkę.

– Która będzie prowadziła w stronę miasta – dodał opat.

– Tak – przyznał Lu-tze. – Ankh-Morpork zaś leży bardzo daleko od Überwaldu. Nie chcesz mnie wysłać do Überwaldu, gdyż jestem już starym człowiekiem. Zatem, proszę z całym należnym szacunkiem, spełnij kaprys starego człowieka.

– Nie mam wyboru, kiedy tak to ujmujesz – rzekł opat.

– Wasza świątobliwość... – wtrącił Rinpo, który czuł, że on ma wybór.

Łyżeczka znów uderzyła o tacę.

– Lu-tze jest osobą godną najwyższego szacunku! – zawołał opat. – Ufam mu bezwarunkowo, na pewno postąpi właściwie. Chciałbym tylko *blum*, *blum* wierzyć, że robi to *blum*, *blum*, czego chcę. Zakazałem mu odwiedzać Überwald. Czy chcesz teraz, żebym zakazał mu nie odwiedzać Überwaldu? *CIUCIU!* Powiedziałem! A teraz zechcecie panowie być tak uprzejmi i opuścić ten pokój? Mam pilną sprawę do załatwienia.

Lu-tze pokłonił się i chwycił Lobsanga za ramię.

– Idziemy, chłopcze – szepnął. – Znikajmy stąd, zanim ktokolwiek to rozgryzie!

Po drodze minęli młodszego akolitę niosącego nieduży nocnik pomalowany w puszyste króliczki.

– Niełatwa sprawa taka reinkarnacja – stwierdził Lu-tze, biegnąc korytarzem. – A teraz musimy wydostać się stąd, zanim ktoś zacznie kombinować. Łap swój śpiwór i matę!

– Przecież nikt nie ośmieli się sprzeciwić poleceniom opata, prawda? – upewnił się chłopak, kiedy z poślizgiem minęli zakręt.

– Ha! Za dziesięć minut położą go spać, a jeśli po obudzeniu dostanie nową zabawkę, może tak się zająć wbijaniem kwadratowych zielonych kołków w czerwone okrągłe otwory, że całkiem zapomni, co mówił – stwierdził Lu-tze. – To polityka, mój mały. Zbyt wielu idiotów zacznie tłumaczyć, że są pewni, co opat miał na myśli. Biegnij teraz, spotkamy się za minutę w Ogrodzie Pięciu Niespodzianek.

Kiedy Lobsang dotarł na miejsce, Lu-tze starannie przywiązywał do bambusowej ramy jedną z gór bonsai. Zaciągnął ostatni węzeł i wsunął ją do worka, który zarzucił

na ramię.

– Nie uszkodzi się? – spytał Lobsang.

– To przecież góra. Jak można ją uszkodzić? – Lu-tze chwycił miotłę. – Zanim pójdziemy, pogadamy z moim starym przyjacielem. Może weźmiemy od niego parę rzeczy.

– Ale co się dzieje, sprzątaczu? – chciał wiedzieć Lobsang, ruszając za starcem.

– Widzisz, chłopcze, to jest tak. Ja i opat, i jeszcze ten gość, do którego się wybieramy, znamy się już od bardzo dawna. Ale sytuacja jest teraz inna. Opat nie może zwyczajnie powiedzieć: „Lu-tze, stary draniu, to ty podsunąłeś wszystkim myśl o Überwaldzie, ale widzę, że wpadłeś na coś ważnego, więc idź i podążaj za własnym nosem”.

– Myślałem, że on jest tu najwyższym władcą!

– Otóż to! Bardzo trudno jest cokolwiek załatwić, kiedy jest się najwyższym władcą. Za wielu ludzi stoi na drodze i wszystko paprze. A w ten sposób nowe chłopaki będą miały trochę zabawy, biegając po Überwaldzie i wrzeszcząc „Hail!”, natomiast my, mój chłopcze, skierujemy się do Ankh-Morpork. Opat wie o tym. Prawie.

– A skąd ty wiesz, że nowy zegar powstaje w Ankh-Morpork? – dopytywał się Lobsang, skręcając za Lu-tze na porośniętą mchem, zapuszczoną ścieżkę prowadzącą przez gąszcze rododendronów do murów klasztoru.

– Wiem. Powiem ci szczerze, gdyby ktoś kiedyś wyciągnął korek z dna wszechświata, łańcuszek prowadziłby do Ankh-Morpork i jakiegoś typu mówiącego: „Chciałem tylko zobaczyć, co się stanie”. Wszystkie drogi prowadzą do Ankh-Morpork.

– Wydawało mi się, że wszystkie drogi prowadzą z Ankh-Morpork.

– Ale nie ta, którą pójdziemy. No, jesteśmy na miejscu.

Lu-tze zastukał do drzwi dużej, choć prymitywnej szopy zbudowanej bezpośrednio przy murze. W tej samej chwili wewnątrz nastąpiła eksplozja i ktoś, a raczej – Lobsang poprawił się w myślach – połowa kogoś, koziołkując, wyleciała bardzo szybko przez nieoszkłone okno i z kruszącą kości siłą uderzyła o ścieżkę. Dopiero kiedy przestała się toczyć, zobaczył, że to drewniany manekin w mniszej szacie.

– Qu się bawi, jak widzę – stwierdził Lu-tze.

Nie odsunął się, kiedy manekin przeleciał mu koło ucha.

Drzwi odskoczyły na bok i wyjrzał przez nie podniecony, pulchny stary mnich.

– Widzieliście to? Widzieliście? A to była tylko jedna łyżeczka! – Skinął im głową. – O, witaj, Lu-tze. Spodziewałem się ciebie. Przygotowałem kilka drobiazgów.

– Jakich drobiazgów? – zdziwił się Lobsang.

– Co to za chłopak?

– To niewyszkolone dziecko nosi imię Lobsang – przedstawił ucznia Lu-tze, rozglądając się po wnętrzu szopy. Na kamiennej podłodze zauważył dymiący krąg, a wokół pasma poczerńiałego piasku. – Nowe zabawki, Qu?

– Wybuchowa mandala – wyjaśnił Qu radośnie. – Wystarczy szczypta specjalnego piasku na prostym wzorze, w dowolnym miejscu, a pierwszy nieprzyjaciel, który na nią nadeprze... bang! Natychmiastowa karma. Nie dotykaj tego!

Lu-tze wyciągnął rękę i wyrwał z ciekawych dłoni Lobsanga żebraczą miseczkę, którą chłopak właśnie podniósł ze stołu.

– Pamiętaj o Pierwszej Zasadzie – powiedział i cisnął miseczkę przez izbę.

Kiedy zawirowała, wysunęły się ukryte ostrza i miseczka wbiła się w ścianę.

– To przecież obciąłoby człowiekowi głowę! – zawołał Lobsang.

I wtedy usłyszeli ciche tykanie.

– ...trzy, cztery, pięć... – odliczył Qu. – Padnij!

Lu-tze pchnął Lobsanga na podłogę na moment przed eksplozją miseczki. Ostre odłamki metalu przemknęły im nad głowami.

– Dołożyłem małe co nieco, odkąd ostatni raz ją oglądałeś – wyjaśnił z dumą Qu, gdy już się podnieśli. – Urządzenie o bardzo wszechstronnym zastosowaniu. Plus, oczywiście, można ją wykorzystać do jedzenia ryżu. A to widziałeś?

Sięgnął po bębenek modlitewny. Lu-tze i Lobsang równocześnie cofnęli się o krok.

Qu zakręcił bębniem kilka razy, a obciążony powróż zaterkotał po bokach.

– Powróż można błyskawicznie odłączyć, otrzymując poręczną garotę. Sam bębenek także można zdjąć... o tak... odsłaniając ten oto użyteczny sztylet.

– Plus, oczywiście, można go wykorzystać do wznoszenia modłów – zauważył Lobsang.

– Słuszne spostrzeżenie – pochwalił go Qu. – Bystry chłopak. Modlitwa zawsze jest użyteczna w trudnej sytuacji. Od jakiegoś czasu pracuję nad bardzo obiecującą mantrą zawierającą tony akustyczne, dość szczególnie działające na system ner...

– Chyba nic z tego nie będzie nam potrzebne, Qu – przerwał mu Lu-tze.

Qu westchnął.

– Przynajmniej pozwól nam przerobić twoją miotłę na tajną broń. Pokazywałem ci plany...

– To jest tajna broń – odparł sprzątac. – To miotła.

– A co powiesz na te nowe jaki, które teraz hodujemy? Od dotyku uzdy ich rogi...

– Chcemy dostać szpule, Qu.

Mnich nagle jakby się zawstydził.

– Szpule? Jakie szpule?

Lu-tze przeszedł przez salę i przycisnął dłoń do fragmentu ściany, która odsunęła się na bok.

– Te szpule, Qu. I nie zagaduj mnie, nie mamy czasu.

Lobsang zobaczył coś, co bardzo przypominało dwa małe prokrastynatory w przykręconych do desek metalowych ramach. Do każdej deski przymocowano uprząż.

– Nie mówiłeś jeszcze o nich opatowi, prawda? – spytał Lu-tze, zdejmując z haka jeden z aparatów. – Kazałby ci przestać. Wiesz o tym.

– Nie sądziłem, że ktokolwiek o nich wie – mruknął Qu. – Skąd ty...

Lu-tze uśmiechnął się dobrotliwie.

– Nikt nie zauważa sprzątacza – wyjaśnił.

– Wciąż jeszcze są na etapie eksperymentu! – tłumaczył Qu bliski paniki. – Oczywiście zamierzałem powiedzieć o nich opatowi, ale czekałem, aż będę miał coś do pokazania! A byłoby straszne, gdyby wpadły w niepowołane ręce.

– Dopilnujemy zatem, by tak się nie stało – zapewnił Lu-tze, oglądając uprząż. – Jak są napędzane?

– Obciążniki i zapadki okazały się zbyt zawodne. Obawiam się, że musiałem wykorzystać nakręcane mechanizmy zegarowe.

Lu-tze zeszytywniał i spojrzał badawczo na mnicha.

– Zegarowe?

– Tylko jako źródło ruchu, jako siłę napędową. Nic więcej! – protestował Qu. – Naprawdę nie miałem innego wyboru!

– Teraz już za późno, muszą nam wystarczyć. – Lu-tze zdjął z haka drugą deskę i podał ją Lobsangowi. – Trzymaj, chłopcze. Wystarczy owinać kawałkiem worka, a będzie wyglądać jak tobołek wędrowca.

– Co to jest? – zdziwił się chłopiec.

Qu westchnął.

– To przenośne prokrastynatory. Proszę, postarajcie się ich nie zepsuć.

– A po co nam będą potrzebne?

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiał się przekonać – odrzekł Lu-tze. – Dziękujemy, Qu.

– Na pewno nie wolicie raczej bomb czasowych? – zaproponował Qu z nadzieją w głosie. – Wystarczy rzucić taką na podłogę, a czas zwolni na...

– Dzięki, ale nie.

– Inni mnisi wyruszyli w pełni wyposażeni.

– Ale my podróżujemy z minimalnym bagażem – oświadczył stanowczo Lu-tze. – Wyjdziemy tylnymi drzwiami, dobrze?

Tylne drzwi prowadziły na wąską ścieżkę, a ona do furki w murze. Rozczłonkowane drewniane manekiny i czarne plamy na kamieniach dowodziły, że Qu i jego asystenci często tu zaglądali. A dalej była kolejna ścieżka wzdłuż jednego z lodowatych strumyków.

– Qu ma dobre chęci – powiedział Lu-tze, idąc szybko. – Ale gdyby go słuchać, człowiek brzęczałby przy każdym kroku i wybuchał, kiedy usiadzie.

Lobsang biegł, by dotrzymać mu kroku.

– Droga piechotą do Ankh-Morpork zajmie nam całe tygodnie, sprzątaczu!

– Wykroimy sobie przejście. – Lu-tze zatrzymał się i odwrócił. – Myślisz, że sobie poradzisz?

– Robiłem to setki razy – zapewnił go Lobsang.

– Owszem, w Oi Dong. Ale w dolinie są wszelkiego rodzaju osłony i zabezpieczenia. Och, nie wiedziałeś o tym? Krojenie w Oi Dong jest łatwe, mój chłopcze. Tutaj to co innego. Powietrze usiłuje zagrozić drogę. Popełnisz błąd, a staje się jak skała. Musisz kształtować wokół siebie warstwę, żeby przemieszczać się niczym ryba przez wodę. Wiesz, jak to robić?

– Uczyliśmy się trochę teorii, ale...

– Soto mówił, że w mieście zatrzymałeś wokół siebie czas. Nazywa się to Pozycją Kojota. Bardzo trudna do wykonania, a nie sądzę, żeby was tego uczyli w Gildii Żłodzi, co?

– Myślę, że miałem szczęście, sprzątaczu.

– Dobrze. I tak trzymaj. Mamy mnóstwo czasu, żebyś to przećwiczył, zanim przekroczymy granicę śniegu. Naucz się, zanim pójdziesz po trawie, albo pożegnaj się ze stopami.

Nazywali to krojeniem czasu...

Istnieje sposób gry na pewnych instrumentach muzycznych, zwany oddechem kołowym. Stworzono go, by pozwolić ludziom grać na didgeridoo albo dudach tak, by nie implodować i nie dać się wessać do rury. Krojenie czasu jest całkiem podobne, tyle że czas zastępuje powietrze. No i jest o wiele cichsze. Wyszkolony mnich potrafi rozciągnąć sekundę do ponad godziny...

Ale to nie wystarcza. Mnich poruszałby się wtedy w sztywnym świecie. Musi się nauczyć widzieć przy echu światła i słyszeć ducha dźwięku, pozwalać czasowi przesączać się do najbliższego wszechświata. Nie jest to trudne, kiedy już człowiek nabierze pewności. Krojony świat wygląda prawie jak normalny, z wyjątkiem kolorów...

To było jak chodzenie wśród zachodów słońca, choć słońce stało wysoko na niebie i ledwie się poruszało. Świat przed nimi nabrał odcienia fioletu, a z tyłu – kiedy Lobsang się obejrzał – przypominał barwą starą krew. I był pusty. A najgorsza, jak uświadomił sobie chłopak, okazała się cisza. Niby rozbrzmiewał jakiś dźwięk, tak jakby niskie skwierczenie, ale na granicy słyszalności. Kroki były dziwnie przytłumione, a ich odgłos docierał do uszu niezsynchronizowany z poruszeniami stóp.

Dotarli do granic doliny i opuścili nieskończoną wiosnę, przechodząc do rzeczywistego świata śniegów. Chłód objął Lobsanga, poruszając się wolno niczym nóż sadysty.

Lu-tze szedł przodem, jak gdyby całkiem nieczuły.

Oczywiście, tak mówiła jedna z historii o nim. Lu-tze, jak opowiadano, potrafił iść całe mile przy takiej pogodzie, że same chmury zamarzały i roztrzaskiwały się, spadając z nieba. Zimno nie miało na niego wpływu, jak twierdzono.

A jednak...

W tych historiach Lu-tze bywał większy, silniejszy... nie był chudym, niskim i łysym staruszką, który woli unikać walki.

– Sprzątaczu!

Lu-tze zatrzymał się i odwrócił. Jego kontur rozmył się na moment, kiedy Lobsang wywijał się z czasu. Kolory wróciły do świata, a zimno, choć utraciło moc świdra, wciąż kąsało mocno.

– Tak, chłopcze?

– Zamierzasz mnie uczyć, prawda?

– O ile zostało jeszcze coś, czego nie wiesz, cudzie natury – rzekł oschle Lu-tze. – Kroisz dobrze, to widzę.

– Nie wiem, jak możesz wytrzymać ten mróz!

– Ach, nie znasz tego sekretu?

– Taką siłę daje ci Droga pani Cosmopilite?

Lu-tze podwinął szatę i zatańczył na śniegu, odsłaniając swe chude nogi okryte grubymi, żółtawymi rurami.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – powiedział. – Wciąż jeszcze mi przysyła te podwójnie dziergane kalesony, jedwab od wewnątrz, potem trzy warstwy wełny, wzmacniane kliny i wygodne kłapy. Bardzo rozsądna cena sześć dolarów za parę, ponieważ jestem starym klientem. Jest bowiem napisane: „Ubieraj się ciepło, bo przeziębisz się na śmierć”.

– Więc to tylko sztuczka?

Lu-tze zdziwił się wyraźnie.

– Co?

– No, to wszystko są sztuczki, prawda? Wszyscy uważają cię za wielkiego bohatera, a... ty nie walczysz. Oni myślą, że posiadasz wszelkie odmiany tajemnej wiedzy, ale to... to tylko... oszukiwanie ludzi! Tak? Nawet opata? Miałem nadzieję, że nauczysz mnie... tego, co warto jest poznać...

– Mam jej adres, jeśli o to ci chodzi. Możesz powołać się na mnie... No tak, widzę, że nie o tym myślałeś, prawda?

– Nie chcę być niewdzięczny, tylko że myślałem...

– Myślałeś, że powinienem wykorzystywać tajemne moce, które posiadałem po długim życiu poświęconym zdobywaniu wiedzy, tylko po to, żeby nie marzły mi nogi?

– No...

– Deprecjonować święte nauki dla dobra moich kolan? Tak uważasz?

– Jeśli tak to ujmujesz...

I wtedy coś kazało Lobsangowi spojrzeć w dół.

Sam stał w sześciocalowej warstwie śniegu. Ale Lu-tze wcale nie. Jego sandały tkwiły w dwóch kałużach. Lód topniał wokół palców... jego różowych, ciepłych palców.

– Palce u nóg to całkiem inna sprawa – oświadczył sprzątacze. – Pani Cosmopillite jest prawdziwą czarodziejką, jeśli chodzi o kalesony, ale nie potrafi zrobić porządnej skarpety.

Lobsang uniósł głowę i zobaczył, że sprzątacze mruga do niego porozumiewawczo.

– Zawsze pamiętaj o Pierwszej Zasadzie... – Lu-tze poklepał wstrząśniętego chłopca po ramieniu. – Ale dobrze sobie radzisz – pochwalił. – Usiądźmy gdzieś spokojnie i napijmy się herbaty.

Wskazał kilka skał, które gwarantowały jakąś osłonę od wiatru. Śnieg zbierał się pod nimi w wielkich białych kopcach.

– Lu-tze...

– Słucham cię, chłopcze.

– Mam pytanie. Czy możesz odpowiedzieć na nie wprost?

– Spróbuję, oczywiście.

– Co się tu dzieje, u demona?

Lu-tze zmiotł śnieg z kamienia.

– No tak... – rzekł. – Jedno z tych trudnych...

Tik

Igor musiał to przyznać: jeśli chodzi o dokonywanie dziwnych rzeczy, człowiek normalny wygrywał z szaleńcem jedną ręką.

Przyzwyczajony był do panów, którzy – mimo wykonywania wspaniałych stójek na rękach na krawędzi krzywej psychicznej katastrofy – nie potrafili bez mapy wciągnąć własnych spodni. Jak wszystkie Igory, nauczył się z nimi pracować. Prawdę mówiąc, nie było to takie trudne (choć niekiedy wymagało pracy na cementarnej wachcie). Kiedy już wprowadziło się ich w rutynę, można było się zająć własną robotą, a oni nie przeszkadzali, dopóki nie trzeba było wystawić piorunochronu.

Z Jeremym wyglądało to całkiem inaczej. Naprawdę był człowiekiem, według

którego można regulować zegarek. Igor nigdy jeszcze nie widział tak zorganizowanego życia, tak ograniczonego, tak wyliczonego. Zaczął myśleć o swoim panu jak o tiktaktorze.

Jeden z wcześniejszych panów Igora zbudował kiedyś tiktaktora, całego z dźwigni, kółek zębatych, korb i przekładni. Ten stwór zamiast mózgu miał długą taśmę z dziurkami, zamiast serca – wielką sprężynę. Jeśli tylko wszystko w kuchni było bardzo starannie ułożone, potrafił zamieść podłogę i zrobić filiżankę znośnej herbaty. Jeśli wszystko nie było starannie ułożone, brzęczący, tykający stwór zdierał tynk ze ścian i robił filiżankę wściekłego kota.

Potem jego pan wpadł na pomysł, żeby ożywić stwora, aby sam mógł sobie dziurkować taśmę i nakręcać sprężynę. Igor, który dokładnie wiedział, kiedy wykonywać instrukcje co do słowa, wieczorem przed naprawdę porządną burzą posłusznie zmontował klasyczny zestaw wysuwanego w górę stołu i piorunochronu. Nie widział jednak, co się stało, kiedy błyskawica trafiła mechanizm. Nie – uciekał wtedy ile sił w nogach i był już w połowie drogi ze wzgórza do wioski, niosąc w torbie cały swój majątek. Mimo to rozżarzone do białości kółko zębate zawarczało mu nad głową i wbiło się w pień drzewa.

Lojalność wobec pana jest bardzo ważna, ustępuje jednak przed lojalnością wobec igorstwa.

Igor niezbyt lubił zegar. Jako człowiek towarzyski wołał istoty, które krwawią. A kiedy zegar się rozrastał, z wieloma częściami, które wydawały się nie do końca znajdować w tym świecie, Jeremy stawał się coraz bardziej zaabsorbowany, a Igor czuł coraz większe napięcie. Wyraźnie działo się tu coś nowego, a chociaż Igory zawsze chętnie uczyły się czegoś nowego, to przecież istniały pewne granice. Igory nie wierzyły w zakazaną wiedzę ani w „To, czego Człowiek nie Powinien Poznawać”, jednak oczywiście pewnych spraw człowiek nie powinien poznawać, na przykład jakie to uczucie, kiedy każda cząsteczka ciała wysysana jest przez bardzo mały otwór. A to właśnie wydawało się jedną z opcji dostępnych w najbliższej przyszłości.

Była też lady LeJean. Igor dostawał dreszczy na jej widok, a nie należał do ludzi skłonnych do najlżejszych choćby dreszczyków. Lady LeJean nie była zombi i nie była wampirem, ponieważ nie pachniała jak żadne z nich. Nie pachniała jak cokolwiek. Doświadczenie mówiło Igorowi, że wszystko pachnie jak coś.

I jeszcze jedna sprawa...

– Jej ftopy nie dotykają ziemi, jafnie panie – powiedział.

– Oczywiście, że dotykają – odparł Jeremy, przecierając rękawem fragment mechanizmu. – Będzie tu znowu za minutę i siedemnaście sekund i jestem przekonany, że jej stopy będą dotykać ziemi.

– Och, czaferm dotykają, jafnie panie. – Igor westchnął. – Ale profę ją obferwować,

kiedy idzie w górę albo w dół. Nie opanowała tego całkiem jak należy. Można niemal zobaczyć cienie na schodach.

– Wschodach?

– Na ftopniach, jafnie panie.

Igor westchnął. Sepalenie sprawiało czasem kłopoty. Prawdę mówiąc, Igor mógłby z łatwością wyleczyć tę wadę wymowy, ale stanowiła ona ważną cechę igorstwa. Równie dobrze mógłby przestać utykać.

– Idź i stań przy drzwiach – polecił Jeremy. – Unoszenie się w powietrzu nikogo nie czyni złym człowiekiem.

Igor wzruszył ramionami. Miał wrażenie, że w ogóle nie czyni to człowiekiem. W dodatku trochę się martwił, gdyż Jeremy ubrał się chyba dziś rano z większą niż zwykle starannością.

Uznał, że w tych okolicznościach lepiej nie poruszać tematu swego zatrudnienia. Próbował jednak rozgryźć tę kwestię. Czy został zatrudniony, zanim lady LeJean zaangażowała Jeremy'ego do realizacji swego zlecenia? No cóż, to by wskazywało, że znała się na ludziach. Ale jego zatrudniła osobiście w Bad Schüschlein. A on tego samego dnia wysłał się dyliżansem pocztowym. Po czym okazało się, że lady LeJean odwiedziła Jeremy'ego także tego samego dnia.

Jedno tylko pokonuje odległość między Überwaldem i Ankh-Morpork szybciej od dyliżansu pocztowego – magia. Chyba że ktoś wynalazł metodę podróży semaforami. Lady LeJean nie wyglądała na czarownicę.

Zegary w sklepie odezwały się kanonadą dźwięków, sygnalizując mijanie siódmej, kiedy Igor otworzył drzwi. Zawsze Wypada [Nie „Wypada” skądkolwiek. Po prostu „Wypada”. Są rzeczy, które się Robi, i takie, których się Nie Robi. A rzeczy, które się Robi, Wypada robić Igorom.] uprzedzić stukanie. To kolejna reguła kodeksu Igorów.

Szarpnął za klamkę.

– Dwie półkwatki, szanowny panie, czyściutkie i świeże – rzekł pan Socha, wręczając mu butelki. – A taki dzień jak dzisiaj wręcz woła o świeżą śmietanę, prawda?

Igor spojrzał na niego niechętnie, ale wziął butelki.

– Wolę, kiedy już zielenieje – oznajmił z wyższością. – Miłego dnia, panie Focha. Zamknął drzwi.

– To nie ona? – spytał Jeremy, kiedy Igor wrócił do warsztatu.

– To był mleczarz, jafnie panie.

– Jest już spóźniona o dwadzieścia pięć sekund! – zaniepokoił się Jeremy. – Sądziysz, że coś mogło się jej przytrafić?

– Prawdziwe damy często bywają modnie fpoźnione, jafnie panie – stwierdził Igor, chowając mleko. Było lodowato zimne pod palcami.

– Jestem pewien, że ona jest prawdziwą damą.

– Trudno mi ocenić, jafnie panie – odparł Igor, który miał w tej kwestii wspomniane już wątpliwości.

Wrócił do sklepu i stanął z ręką na klamce. Rozległo się stukanie.

Lady LeJean przepłynęła obok Igora. Dwa trolle, nie zwracając na niego uwagi, zajęły pozycję przy drzwiach warsztatu. Igor uznał ich za kamienie do wynajęcia, pracujące dla każdego, kto zapłaci dwa dolary dziennie plus stawka za odległość.

Lady LeJean była pod wrażeniem.

Praca nad zegarem zbliżała się ku końcowi. Nie był to kanciasty mechanizm, o jakim Igorowi opowiadał dziadek. Jeremy, ku zaskoczeniu Igora – w całym domu nie było śladu żadnych ozdób – zdecydował się na imponujący wygląd.

– Twój dziadek pomagał budować pierwszy z nich – powiedział jakiś czas temu. – No więc zbudujemy taki w stylu dziadków, co?

I oto stał przed nimi wysoki, smukły zegar szafkowy z kryształu i szkła, w niepokojący sposób odbijający światło.

Igor wydał majątek na ulicy Chytrych Rzemieślników. Za odpowiednie pieniądze w Ankh-Morpork dało się kupić wszystko, ludzi także. Dopilnował, by żaden szlifierz kryształów ani szklarz nie wykonywał tylu elementów, że dałyby mu jakieś pojęcie o całości zegara – jednak martwił się niepotrzebnie. Za pieniądze można kupić także brak zainteresowania. Poza tym kto by uwierzył, że można mierzyć czas kryształami?

Dopiero w warsztacie wszystkie części składały się w całość.

Igor krzątał się dookoła i przecierał to i owo, uważnie słuchając, jak Jeremy demonstruje swoje dzieło.

– ...nie trzeba tu żadnych części metalowych – mówił. – Odkryliśmy metodę pozwalającą błyskawicy płynąć przez kryształ i znaleźliśmy rzemieślnika, który potrafi wytopić uginające się trochę szkło...

„My”, jak zauważył Igor. No cóż, to typowe. „My” odkryliśmy oznacza, że jaśnie pan czegoś żądał, a Igor to wymyślał. Zresztą przepływ błyskawic był prawdziwą pasją całej rodziny. Mając do dyspozycji piasek, trochę chemikaliów i kilka sekretów zawodowych, można zmusić błyskawicę, by służyła na dwóch łapkach.

Lady LeJean wyciągnęła dłoń w rękawiczce i dotknęła ścianki zegara.

– A to mechanizm podzielnika – zaczął Jeremy, podnosząc z blatu krystaliczną tablicę.

Ale lady LeJean patrzyła na zegar.

– Dodałeś mu tarczę i wskazówki – powiedziała. – Po co?

– Och, bardzo dobrze się sprawdzi przy pomiarze tradycyjnego czasu. Oczywiście tryby wszędzie są ze szkła. W teorii nigdy nie będzie wymagał regulacji. Wzór czasu pobiera z tykania wszechświata.

– Aha... czyli je odkryłeś?

– To czas, którego potrzebuje najmniejsze możliwe zdarzenie, jakie może się zdarzyć, aby się zdarzyć. Wiem, że istnieje.

Zrobiła minę, jakby jej niemal zaimponował.

– Ale zegar nie jest jeszcze dokończony.

– Pewne problemy musimy rozstrzygać metodą prób i błędów. Ale uda się nam. Igor twierdzi, że w poniedziałek będzie wielka burza. Dostarczy nam energii, jak mówi. A potem... – Uśmiech rozjaśnił twarz Jeremy'ego. – Potem nie będzie już powodu, by wszystkie zegary na świecie nie wskazywały dokładnie tego samego czasu.

Lady LeJean zerknęła na Igora, który zaczął się krzątać bardziej gorliwie.

– Czy sługa jest zadowolający?

– Och, marudzi trochę, ale ma dobre serce. I drugie, zapasowe, jak rozumiem. Jest też niezwykle sprawny we wszelkich rzemiosłach.

– Tak, Igory zwykle są takie – zgodziła się z roztargnieniem. – Opanowały chyba sztukę dziedziczenia talentów.

Pstryknęła palcami. Jeden z trolli podszedł i wyjął dwie sakiewki.

– Złoto i inwar – powiedziała. – Zgodnie z obietnicą.

– Ha... Ale inwar będzie bezwartościowy, kiedy dokończymy ten zegar – stwierdził Jeremy.

– Przykro nam. Czy chciałbyś więcej złota?

– Nie, nie! Była pani bardzo hojna.

I słusznie, pomyślał Igor, energicznie ścierając kurz z blatu.

– A więc do następnego razu – powiedziała lady LeJean.

Trolle odwracały się już do drzwi.

– Przyjdzie tu pani na rozruch? – zapytał Jeremy.

Igor wyszedł na korytarz, by otworzyć drzwi, gdyż cokolwiek myślał o lady LeJean, istniało coś takiego jak tradycja.

– Możliwe. Ale mamy do ciebie pełne zaufanie, Jeremy.

– Um...

Igor zeszytniał. Nigdy jeszcze nie słyszał u Jeremy'ego takiego tonu. W głosie pana to był niedobry ton.

Jeremy odetchnął nerwowo, jakby badał małeńki i trudny mechanizm zegarowy, który przy najwyższej ostrożności rozłoży się katastrofalnie i rozrzuci trybiki po podłodze.

– Ehm... Zastanawiałem się, no... czy nie zechciałaby pani, lady Mirio... może, tego... zjeść ze mną kolację... dziś wieczorem?

Jeremy się uśmiechnął. Igor widywał lepsze uśmiechy u zwłok.

Twarz lady LeJean zamigotała. Naprawdę. Igor miał wrażenie, że przeskakuje od jednego wyrazu do drugiego, jakby były serią nieruchomych obrazów, bez dostrzegalnego ruchu mięśni pomiędzy nimi. Od zwykłej obojętności przeszła do nagłego zamyślenia, a potem prosto do zaskoczenia. Później, ku zdumieniu Igora, pokryła się rumieńcem.

– Ależ panie Jeremy, ja... nie wiem, co powiedzieć... – jąkała się. Jej lodowata wyższość topniała w ciepłą kałużę. – Doprawdy... sama nie wiem... może kiedy indziej? Dzisiaj mam ważne spotkanie. Miło było pana odwiedzić, muszę już iść. Do widzenia.

Igor stał sztywno, tak wyprostowany, jak to jest możliwe dla przeciętnego Igora. I niemal zamknął drzwi za lady LeJean, kiedy spłynęła po schodach i wyszła z budynku.

Zatrzymała się na moment o pół cala nad powierzchnią ulicy. Tylko na chwilę, po czym zaraz opadła. Nie mógł tego zauważyć nikt prócz Igora, który spoglądał wrogo przez szczelinę między drzwiami a framugą.

Wrócił pospiesznie do warsztatu. Jeremy stał jak sparaliżowany, zaczerwieniony tak mocno, jak przed chwilą jego gość.

– Może wyfkoczę po te nowe fkle do multiplikatora, jafnie panie – powiedział Igor. – Powinny już być gotowe. Tak?

Jeremy odwrócił się szybko i stanął przy warsztacie.

– Bardzo dobrze, Igorze. Dziękuję – rzekł nieco zduszonym głosem.

Lady LeJean z ochroną oddalała się ulicą, kiedy Igor wymknął się przez drzwi i ukrył w cieniu.

Na skrzyżowaniu lady LeJean skinęła ręką i trolle odeszły. Igor trzymał się za nią. Mimo tradycyjnego utykania Igory umieją poruszać się bardzo szybko, kiedy muszą. A często muszą, gdy tłum uderzy w wiatrak. [Igory są lojalne, ale nie są głupie. Posada to posada. Kiedy pracodawca nie potrzebuje więcej usług swego Igora – bo na przykład tłum rozgniewanych wieśniaków właśnie przebił *mu serce* kołkiem – pora się wynieść, zanim ludzie wpadną na pomysł, że Igora powinien trafić następny kołek. Igor szybko poznaje ukryte drogi wyjścia z zamku i znajduje wygodne miejsce do ukrycia torby z podstawowym bagażem. Jak to wyraził jeden z Igorów założycieli: „Powinniśmy nie żyć? Pfeprafam... Gdzie tu jeft napifane: my?”.]

Na otwartej przestrzeni dostrzegał więcej niepokojących zjawisk. Lady LeJean nie poruszała się normalnie – całkiem jakby musiała kontrolować swe ciało, zamiast pozwolić mu sterować sobą samodzielnie, tak jak to robią ludzie. Nawet zombi po pewnym czasie opanowują tę umiejętność. Efekt był dyskretny, ale Igory mają dobry wzrok – poruszała się jak ktoś nieprzyzwyczajony do noszenia skóry.

Zwierzyna skręciła w wąską uliczkę i Igor przez chwilę miał nadzieję, że jest w okolicy ktoś z Gildii Złodziei. Bardzo chciałby zobaczyć, co się stanie, gdy któryś z nich stuknie ją w czaszkę, co było zwyczajowym wstępem do negocjacji. Wczoraj

jeden spróbował tego z Igorem, najpierw się zdziwił, słysząc metaliczny brzęk, a zaraz potem zupełnie osłupiał, kiedy ofiara chwyciła go za rękę i złamała ją z anatomiczną precyzją.

Tymczasem lady LeJean skręciła w zaułek między dwoma budynkami.

Igor się zawahał. Pozwolić, by światło dnia wyraźnie pokazało jego sylwetkę w wylocie zaułka, to pierwszy punkt w tutejszej liście przyczyn zgonu. Ale z drugiej strony nie robił przecież nic złego, prawda? A ona nie wyglądała na uzbrojoną.

Z zaułka nie dobiegał odgłos kroków... Igor odczekał chwilę, po czym wysunął głowę za róg.

Nie było śladu po lady LeJean. Nie było też żadnej drogi wyjścia – widział przed sobą zasypany śmieciami ślepy zaułek.

Był za to rozplywający się w powietrzu szary kształt, który zniknął, zanim Igor mu się przyjrzał. Jakby szata z kapturem, szara jak mgła. Złała się z półmrokiem i przepadła.

Zmieniła kierunek marszu, a potem zmieniła się... w coś innego.

Igor poczuł, że mrowią go dłonie.

Pojedyncze Igory miewają swoje szczególne specjalności, wszystkie jednak są znakomitymi chirurgami i bardzo nie lubią, kiedy ktoś się marnuje. W górach, gdzie zwykle zatrudnia się drwali i górników, mieszkający w pobliżu Igor uważany jest za prawdziwy dar losu. Zawsze istnieje ryzyko, że odskoczy siekiera albo ostrze piły nagle oszaleje. Człowiek cieszył się, że ma niedaleko Igora, który zawsze chętnie podawał pomocną dłoń – a nawet całe ramię, jeśli się miało szczęście.

I choć Igory hojnie szafowały swymi umiejętnościami w służbie dla społeczeństwa, jeszcze bardziej dbały o to, by wykorzystywać je między sobą. Znakomity wzrok, para mocnych płuc, potężny system trawienny... Straszna byłaby myśl, że takie cudowne dzieło stanie się pokarmem dla robaków. Pilnowały więc, by się nie stało. Lepiej niech wszystko zostanie w rodzinie.

Igor naprawdę miał ręce po dziadku. A w tej chwili zaciskały się w pięści, całkiem samodzielnie.

Tik

Bardzo mały kociołek grzał się na ogniu z drewnianych wiórów i suszonego nawozu jaków.

– To było... dawno temu – zaczął Lu-tze. – Dokładnie kiedy nie ma znaczenia z powodu tego, co się stało. Prawdę mówiąc, pytanie o to, kiedy dokładnie, też nie ma już sensu. Odpowiedź zależy od tego, gdzie się znajdziesz. W pewnych miejscach

było to setki lat temu. W innych... może jeszcze się nie zdarzyło. No więc żył w Überwaldzie pewien człowiek. Wynałazł zegar. Zdziwiający zegar. Zegar, który odmierzał tykanie wszechświata. Wiesz, co to takiego?

– Nie.

– Ja też nie. Opat zna się na takich rzeczach. Niech pomyślę... No dobrze. Wyobraź sobie najkrótszy moment czasu. Naprawdę malutki. Tak malutki, że sekunda jest przy nim jak miliard lat. Masz? No więc kosmiczne tyknięcie kwantowe... tak opat je nazywa... to tyknięcie kwantowe jest jeszcze o wiele krótsze. To czas potrzebny do przejścia od teraz do wtedy. Czas, jakiego potrzebuje atom, żeby pomyśleć o zadrzeniu. To...

– To czas, którego potrzebuje najmniejsze możliwe wydarzenie, jakie może się zdarzyć, aby się zdarzyć? – zapytał Lobsang.

– No właśnie. Bardzo dobrze. – Lu-tze odetchnął głęboko. – To również czas potrzebny do tego, by cały wszechświat uległ zniszczeniu w przeszłości i został odbudowany na nowo. Nie patrz tak na mnie... Tak twierdzi opat.

– Czy to się dzieje, kiedy rozmawiamy?

– Miliony razy. Gazyliony razy, prawdopodobnie.

– To znaczy ile?

– To jedno z tych słów, których używa opat. Oznacza większą liczbę, niż możesz sobie wyobrazić w ciągu yonku.

– Co to jest yonk?

– To bardzo długi czas.

– I my tego nie czujemy? Wszechświat ulega zniszczeniu, a my tego nie odczuwamy?

– Mówią, że nie. Za pierwszym razem, kiedy mi to wytłumaczyli, trochę się zdenerwowałem, ale wszystko dzieje się za szybko, żebyśmy cokolwiek zauważyli.

Przez dłuższą chwilę Lobsang wpatrywał się w biel śniegu.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Mów dalej.

– Ktoś w Überwaldzie zbudował taki zegar ze szkła. Napędzany błyskawicą, o ile dobrze pamiętam. I jakoś zszedł do poziomu, kiedy zegar mógł tykać w tempie wszechświata.

– Czemu to zrobił?

– No wiesz... Mieszkał w wielkim starym zamku na skale w Überwaldzie. Tacy ludzie nie potrzebują innych powodów niż „bo mogę”. Mają koszmarny sen, a potem usiłują go zrealizować.

– Ale przecież nie da się zbudować takiego zegara, ponieważ znajduje się on wewnątrz wszechświata, więc... byłby niszczony i odbudowany tak samo jak wszechświat, prawda?

Lu-tze wyglądał, jakby był pod wrażeniem. I powiedział to.

– Jestem pod wrażeniem – oświadczył.

– To jakby otwierać skrzynię łomem, który jest wewnątrz.

– Opat sądzi jednak, że część zegara znalazła się na zewnątrz.

– Nie można zbudować czegoś na zewnątrz...

– Wytlumacz to człowiekowi, który pracował nad tym problemem przez dziewięć kolejnych żywotów – odparł Lu-tze. – Chcesz poznać resztę tej historii?

– Tak, sprzątaczu.

– No więc... W tamtych czasach brakowało nam ludzi, ale był sobie pewien młody sprzątaczu...

– Ty – domyślił się Lobsang. – To będziesz ty, prawda?

– Tak, tak – przyznał kwaśno Lu-tze. – Wysłano mnie do Überwaldu. W tamtych czasach historia nie odchyłała się jeszcze zbyt i wiedzieliśmy, że coś poważnego ma się zdarzyć w okolicach Bad Schütschen. Szukałem chyba całe tygodnie. Wiesz, ile tam jest samotnych zamków nad wąwozami? Ruszyć się nie można przez te samotne zamki.

– I dlatego nie dotarłeś do tego właściwego na czas? Pamiętam, co mówiłeś opatowi.

– Byłem już w dolinie, kiedy błyskawica uderzyła w wieżę. Wiesz, że jest napisane: „Wielkie wydarzenia zawsze rzucają cienie”. Ale nie potrafiłem wykryć, gdzie to się dzieje, a potem było już za późno. Półmilowy sprint pod górę, szybszy niż błyskawica... Nikt by nie zdążył. Prawie mi się udało. Przechodziłem już przez drzwi, kiedy wszystko poszło w demony.

– Czyli nie ma powodów, byś się winił...

– Owszem, ale wiesz, jak to jest... Człowiek myśli: Gdybym tylko wstał trochę wcześniej, gdybym poszedł inną drogą...

– I zegar uderzył – przypomniał Lobsang.

– Nie. Stała się. Mówiłem ci, że jego część znajdowała się poza wszechświatem. Nie chciała płynąć z prądem. Próbowaliśmy odliczać tykanie, a nie poruszać się wraz z nim.

– Ale przecież wszechświat jest ogromny! Nie można go zatrzymać jakimś mechanizmem!

Lu-tze pstryknął niedopałkiem papierosa w ognisko.

– Opat twierdzi, że rozmiar nie ma znaczenia. Zrozum, przez dziewięć żywotów dochodził do tego, co wie, zatem to nie nasza wina, że nie możemy zrozumieć. Prawda? Historia się rozpadła. Była jedynym, co mogło ustąpić. Bardzo niezwykle zdarzenie. Wszędzie zostały po nim pęknięcia. Te... nie mogę sobie przypomnieć słowa... te mocowania, które mówią kawałkom przeszłości, do jakich kawałków teraźniejszości należą, trzepotały pozrywane. Niektóre zaginęły bezpowrotnie. – Lu-

tze spoglądał w gasnące płomienie. – Pozszywaliśmy to jakoś – dodał. – Tam i z powrotem, przez całą historię. Zapełniliśmy dziury fragmentami zabranymi z innych miejsc. W tej chwili to taka łatanina.

– Ludzie nic nie zauważyli?

– W jaki sposób? Kiedy już to zrobiliśmy, to przecież zawsze tak było. Zdziwiłbyś się, jakie numery udało się nam przepchnąć. Na przykład...

– Jestem pewien, że ktoś by się zorientował.

Lu-tze rzucił chłopcu jedno ze swych ukośnych spojrzeń.

– Zabawne, że to mówisz. Sam się zawsze nad tym zastanawiałem. Ludzie często przecież powtarzają coś w stylu: „Gdzie się podział ten czas?” albo „Wydaje się, że to było wczoraj”. Cóż, musieliśmy to zrobić. Zresztą wszystko zagoiło się całkiem ładnie.

– No ale ludzie zajrzą do książek historycznych i zobaczą...

– Słowa, mój chłopcze. To wszystko. Zresztą ludzie majstrowali przy czasie, odkąd stali się ludźmi. Marnowali go, zabijali, oszczędzali, zajmowali. I wciąż to robią. Ludzkie głowy zostały stworzone do zabaw z czasem. Tak samo jak my to robimy, tyle że my jesteśmy lepiej przeszkoleni i posiadamy kilka dodatkowych umiejętności. I poświęciliśmy stulecia, żeby znów ustawić wszystko jak należy. Popatrz na prokrastynatory, nawet w spokojny dzień. Przesuwają czas, tam go rozciągną, tutaj skompresują... To poważne zadanie. I nie chcę patrzeć, jak wszystko się rozpada po raz drugi. Za drugim razem nie będzie już czego naprawiać.

Lu-tze zapatrzył się w dogorywający żar.

– To zabawne – rzekł. – Sam Wen miał pod koniec bardzo dziwne przemyślenia na temat czasu. Pamiętasz, mówiłem ci, że uważał czas za żywy. Twierdził w każdym razie, że zachowuje się jak żywa istota. Bardzo dziwny pomysł. Twierdził, że spotkał Czas i że była kobietą. Przynajmniej dla niego. Wszyscy uważają, że to bardzo skomplikowana metafora, a mnie może coś wtedy trafiło w głowę czy jak... Ale owego dnia spojrzałem na szklany zegar w chwili, kiedy eksplodował, i...

Wstał i chwycił miotłę.

– Lepiej ruszajmy, chłopcze. Jeszcze dwie, może trzy sekundy, a będziemy już w Bong Phut.

– Co chciałeś powiedzieć? – dopytywał się Lobsang, wstając.

– Nic. Zwykle majaki starego człowieka. Myśli uciekają trochę, kiedy się przekroczy siedemset lat. Idziemy.

– Sprzątaczu...

– Tak, chłopcze?

– Dlaczego nosimy na plecach wirniki?

– Wszystko w swoim czasie, mój chłopcze. Mam nadzieję.

– Nosimy własny czas, prawda? Jeśli czas się zatrzyma, my nadal będziemy mogli się poruszać? Jak... nurkowie?

– Znakomicie.

– I...

– Jeszcze jedno pytanie?

– Czas to ona? Żaden z nauczycieli o tym nie wspominał i nie pamiętam nic takiego zapisanego w zwojach.

– Nie myśl o tym. Wen napisał... no, Sekretny Zwój, tak go nazywają. Trzymają go w zamkniętej komnacie. Tylko opaci i najstarsi mnisi mogą tam zaglądać.

Lobsang nie mógł się opanować.

– Więc w jaki sposób ty...? – zaczął.

– Chyba nie sądzisz, że tacy ludzie będą tam zamiatać, prawda? A strasznie się kurzy.

– I o czym tam napisał?

– Nie przeczytałem zbyt wiele. Jakoś miałem wrażenie, że nie wypada – odrzekł Lu-tze.

– Ty? Ale co przeczytałeś?

– To był wiersz miłosny. I to dobry...

Obraz Lu-tze się zamglił, kiedy sprzątacze rozkroili czas. Potem zbladł i zniknął. Na powierzchni śniegu pojawiła się linia śladów. Lobsang zwinął czas wokół siebie i ruszył za nim. I wtedy – całkiem znikąd – nadeszło wspomnienie: Wen miał rację.

Tik

Istniało wiele miejsc podobnych do tego składu. Zawsze się takie znajdują w każdym starym mieście, niezależnie od tego, jak cenny jest grunt pod zabudowę. Czasami przestrzeń po prostu się gubi.

Ktoś buduje warsztat, potem ktoś inny obok. Wyrastają kolejne, przy nich magazyny, szopy, prowizoryczne przybudówki pełzną ku sobie, stykają się i łączą. Przestrzenie między zewnętrznymi ścianami zostają zadane papą. Kawałki terenu o dziwacznych kształtach są kolonizowane metodą przybicia kawałka ściany i wycięcia drzwi. Dawne otwory drzwiowe znikają, zamaskowane stosami drewna albo nowymi półkami na narzędzia. Starzy ludzie, którzy wiedzieli, gdzie co jest, odchodzą i umierają, tak jak muchy znaczące punktami grube pajęczyny kurzu na brudnych szybach. Młodzi z hałaśliwego świata warczących tokarek, warsztatów malarskich i zagraconych blatów roboczych nie mają czasu na badanie okolicy.

I tak powstają miejsca podobne do tego – niewielki skład z brudnym świetlikiem w

dachu. Aż czterech właścicieli warsztatów było przekonanych, że jest własnością któregoś z pozostałej trójki. W rzeczywistości każdy z nich był posiadaczem jednej ściany, a nikt nie pamiętał, kto położył dach. Ze wszystkich czterech stron ludzie i krasnoludy gięli żelazo, cięli deski, splatali powrozy i dokręcali śruby. Tu jednak panowała cisza znana tylko szczurom.

Powietrze drgnęło po raz pierwszy od lat. Kłębki kurzu potoczyły się po podłodze. Jakieś pyłki błysnęły, wirując w świetle, które przeciskało się do wnętrza przez dach. W obszarze dookoła, niewidocznie i subtelnie, poruszyła się materia. Pochodziła z kanapek robotników, z brudu w ściekach, z gołębih piórek – tu atom, tam molekula... Wszystkie sunęły ku centrum pustej przestrzeni.

Tu zawirowały. I w końcu powstała z nich – po przejściu przez kilka dziwnych, prądownych i strasznych form – lady LeJean.

Zachwiała się, ale zdołała utrzymać równowagę.

Inni Audytorzy również się pojawili i wydawało się, że tak naprawdę nigdy nie byli tu nieobecni. Martwa szarość światła po prostu nabierała kształtów; wynurzali się jak statki z mgły. Człowiek wpatruje się w mgłę i nagle jej część staje się kadłubem, który był tam przez cały czas, a teraz można już tylko pędzić do szalup...

– Nie mogę dalej tego robić – odezwała się lady LeJean. – To zbyt bolesne.

Jeden powiedział: *Ach... Czy możesz nam opowiedzieć, jaki jest ból? Często się zastanawialiśmy.*

– Nie... Chyba nie potrafię. To... sprawa ciała. Nie jest przyjemny. Od tej chwili będę zachowywać ciało.

Jeden powiedział: *To może być niebezpieczne.*

Lady LeJean wzruszyła ramionami.

– Już o tym mówiliśmy. To tylko kwestia wyglądu. I zaskakujące, że o wiele łatwiej kontaktować się z ludźmi w takiej postaci.

Jeden powiedział: *Wzruszyłaś ramionami. I mówisz ustami. Otworem dla pożywienia i powietrza.*

– Tak. To niezwykle, prawda?

Ciało lady LeJean znalazło starą skrzynkę, podciągnęło ją i usiadło. Prawie wcale nie musiała myśleć o poruszeniach mięśni.

Jeden powiedział: *Chyba nie jesz, co?*

– Jak dotąd nie.

Jeden powiedział: *Jak dotąd? To prowadzi do całej ohydnej tematyki... cielesnych otworów.*

Jeden powiedział: *I jak się nauczyłaś rozruszać ramionami?*

– To przychodzi wraz z ciałem – wyjaśniła. – Nigdy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, prawda? Większość czynności ciało wykonuje automatycznie. Stanie w

pozycji pionowej nie wymaga żadnego wysiłku. Wszystko to jest za każdym razem łatwiejsze.

Ciało zmieniło lekko pozycję i założyło nogę na nogę. Przedziwne, pomyślała. Zrobiło to, żeby mu było wygodniej. Wcale nie musiałam o tym myśleć. Nigdy się nie domyślaliśmy...

Jeden powiedział: *Padną pytania.*

Audytorzy nienawidzili pytań. Nienawidzili ich prawie tak bardzo jak decyzji, decyzji zaś prawie tak bardzo, jak nienawidzili idei indywidualnej osobowości. Ale tym, czego nienawidzili najbardziej, były przypadki.

– Możecie mi wierzyć, wszystko będzie dobrze – uspokoiła ich lady LeJean. – Nie będziemy łamać żadnych reguł. Jedyne, co się wydarzy, to że zatrzyma się czas. Potem wszystko już będzie poukładane. Żywe, ale nieruchome. Uporządkowane.

Jeden powiedział: *I możemy zamknąć dokumentację.*

– Otóż to. A on chce to zrobić. To właśnie jest najdziwniejsze. On właściwie nie myśli o konsekwencjach.

Jeden powiedział: *Znakomicie.*

Nastąpiła jedna z tych chwil milczenia, kiedy nikt nie jest jeszcze gotów do zabrania głosu. Aż wreszcie...

Jeden powiedział: *Wytłumacz nam... Jak to jest?*

– Co jak jest?

Jeden powiedział: *Być obłąkanym. Być człowiekiem.*

– Dziwne. Zdezorganizowane. Kilka poziomów myślenia odbywa się jednocześnie. Są... rzeczy, na które nie mamy nazwy. Na przykład idea jedzenia wydaje się teraz dość pociągająca. Ciało mi o tym mówi.

Jeden powiedział: *Przyciąganie? Jak grawitacja?*

– No... tak. Jedzenie przyciąga.

Jeden powiedział: *Jedzenie w wielkiej masie?*

– Nawet w niewielkich ilościach.

Jeden powiedział: *Ale jedzenie to tylko funkcja. Jaka może być... atrakcyjność w wykonywaniu funkcji? Z pewnością wystarczy świadomość, że jest ona niezbędna dla kontynuacji istnienia.*

– Trudno mi powiedzieć.

Jeden powiedział: *Stale używasz zaimka osobowego w liczbie pojedynczej.*

A jeden dodał: *I nie umierasz! Być osobą to żyć, a żyć to umrzeć!*

– Tak. Wiem. Ale dla ludzi użycie zaimka osobowego jest kluczowe. Rozdziela wszechświat na dwie części: ciemność za oczami, gdzie rozbrzmiewa cichy głos, i całą resztę. To... to okropne uczucie. To jakby... jakby cały czas być przesłuchiwanym.

Jeden powiedział: *Czym jest ten cichy głos?*

– Czasem myślenie przypomina rozmowę z inną osobą, tylko że tą inną osobą też jestem ja.

Spostrzegła, że zaniepokoiło to innych Audytorów.

– Nie chciałabym trwać w tej formie dłużej, niż to będzie konieczne – oznajmiła. I uświadomiła sobie, że kłamie.

Jeden powiedział: *Nie winimy cię o to.*

Lady LeJean kiwnęła głową.

Audytorzy potrafili zajrzeć do ludzkich umysłów. Widzieli skwierczenie i brzęczenie myśli. Ale nie umieli ich odczytać. Widzieli przepływ energii z węzła do węzła, widzieli mózg migoczący jak strzeżeniowiedźmowa dekoracja. Nie rozumieli tylko, co się dzieje.

Dlatego zbudowali sobie człowieka.

To było logiczne rozwiązanie. Już kiedyś używali ludzkich agentów, ponieważ bardzo wcześnie odkryli, że są ludzie, którzy za odpowiednią ilość złota zrobią wszystko. Nie rozumieli tego, ponieważ złoto – ich zdaniem – nie przedstawia szczególnej wartości dla ludzkiego ciała. Ciało potrzebuje żelaza, miedzi i cynku, ale jedynie minimalnych, śladowych ilości złota. Zatem, rozumowali, jest to kolejny dowód, że ludzie pożądamy złota mają jakąś usterkę i właśnie dlatego próby wykorzystania ich skazane są na klęskę. Ale dlaczego mieli usterkę?

Zbudowanie istoty ludzkiej było łatwe – Audytorzy doskonale wiedzieli, jak przemieszczać materię. Kłopot polegał na tym, że wynik tych działań nic nie robił; leżał tylko i po jakimś czasie zaczynał się rozkładać. Co było irytujące, ponieważ istoty ludzkie bez żadnego specjalnego treningu czy szkolenia potrafiły z łatwością tworzyć swe działające repliki.

Później odkryli, że potrafią zbudować działające ludzkie ciało, jeśli umieszczą w nim Audytora.

Oczywiście wiązało się to z licznymi zagrożeniami. Jednym z nich była śmierć. Audytorzy unikali śmierci. Nigdy nie posuwali się tak daleko, by żyć. Starali się być tak nierozróżnialni jak atomy wodoru, ale bez ich *joie de vivre*. Jakiś pechowy Audytor mógłby narazić się na śmierć, „sterując” ciałem. Ale po długich konsultacjach doszli do wniosku, że jeśli tylko sternik zachowa ostrożność i będzie w stałym kontakcie z resztą Audytorów, ryzyko jest minimalne i warte podjęcia dla osiągnięcia założonego celu.

Zbudowali kobietę. To był logiczny wybór. Wprawdzie mężczyźni posiadają bardziej oczywistą władzę, jednak sprawując ją, narażają się często na osobiste ryzyko, a żadnemu z Audytorów nie odpowiadała perspektywa takiego zagrożenia. Piękne kobiety za to często osiągały bardzo wiele, tylko się uśmiechając do potężnych mężczyzn.

Cała kwestia piękna sprawiła Audytorom wiele trudności. Piękno nie ma żadnego sensu na poziomie molekularnym. Jednak dokładne badania pozwoliły odkryć fakt, że kobieta przedstawiona na obrazie *Kobieta trzymająca fretkę* Leonarda z Quirinu uznawana jest za uosobienie piękna. Na niej więc się oparli, projektując lady LeJean. Oczywiście dokonali pewnych zmian. Twarz na obrazie była asymetryczna i pełna drobnych skaz, które starannie usunęli.

Rezultat przekroczyłby najśmielsze marzenia Audytorów, gdyby kiedykolwiek marzyli. Teraz, kiedy mieli już swojego agenta, swojego niezawodnego człowieka, wszystko stało się możliwe. Uczyli się szybko, a przynajmniej zbierali dane, co uważali za identyczne z uczeniem się.

Podobnie jak lady LeJean. Była człowiekiem od dwóch tygodni, dwóch oszałamiających, szokujących tygodni. Kto mógł przewidzieć, że mózg działa w taki sposób? Albo że kolory mają znaczenie wykraczające daleko, bardzo daleko poza analizę widma? Jak mogłaby choć próbować zacząć opisywać błękitność błękitu? Albo odkrycie, jak wiele myślenia mózg przeprowadza całkiem samodzielnie? Niekiedy ją to przerażało. Przez połowę czasu wydawało się, że jej myśli nie należą do niej.

Trochę ją zaskoczyło, kiedy odkryła, że nie chce o tym mówić innym Audytorom. O wielu rzeczach nie chciała im mówić. I przecież nie musiała!

Miała władzę. Och, nad Jeremym, to oczywiście, choć obecnie ta władza stawała się trochę niepokojąca. Powodowała, że jej ciało zachowywało się całkiem samodzielnie – na przykład czerwienilo się na twarzy. Ale miała też władzę nad innymi Audytorami. Sprawiała, że stawali się nerwowi.

Oczywiście pragnęła, by projekt się powiódł. Taki był ich cel: uporządkowany, przewidywalny wszechświat, gdzie wszystko pozostawało na swoim miejscu. Gdyby Audytorzy marzyli, to byłoby ich kolejnym marzeniem.

Tylko że... Tylko że...

Ten młody człowiek uśmiechnął się do niej niepewnie i wszechświat okazał się o wiele bardziej chaotyczny, niż Audytorzy podejrzewali.

A duża część tego chaosu rozgrywała się w głowie lady LeJean.

Tik

Lu-tze i Lobsang przeszli przez Bong Phut i Long Nap niczym duchy o zmierzchu. Ludzie i zwierzęta stali się niebieskawymi statuami i absolutnie, jak powiedział Lu-tze, nie wolno było ich dotykać, w żadnych okolicznościach.

Lu-tze naładował swą podróżną sakwę jedzeniem z kilku mijanych domów,

pamiętając, żeby zostawić w tych miejscach małe miedziane żetony.

– To znaczy, że jesteśmy im wdzięczni – wyjaśnił, napełniając też sakwę Lobsanga. – Następny mnich, który tutaj dotrze, będzie musiał dać komuś minutę czy dwie.

– Minuta czy dwie to niewiele.

– Dla umierającej kobiety, która chce się pożegnać z dziećmi, to całe życie. Czyż nie jest napisane: „Każda sekunda się liczy”? Idziemy dalej.

– Jestem zmęczony, sprzątaczu!

– Powiedziałem przecież, że liczy się każda sekunda.

– Każdy musi czasem się przespać!

– Owszem, ale jeszcze nie teraz – nie ustępował Lu-tze. – Możemy odpocząć w jaskiniach niedaleko Songset. Nie możesz zwijać czasu, kiedy śpisz, rozumiesz?

– Możemy użyć tych wirników – zaproponował Lobsang.

– Tak, w teorii.

– W teorii? Mogą rozwinąć dla nas czas! Będziemy spali raptem kilka sekund...

– Są przeznaczone tylko na sytuacje krytyczne – odparł surowo Lu-tze.

– A jak definiujemy sytuację krytyczną, sprzątaczu?

– Sytuacja krytyczna nastąpi wtedy, kiedy uznam, że nadeszła pora, by użyć nakręcanych prokrastynatorów skonstruowanych przez Qu, drogi chłopcze. Pas ratunkowy służy ratowaniu życia... I wtedy dopiero wypróbuję te nieskalibrowane, niepobłogosławione wirniki napędzane sprężynami. Kiedy będę musiał. Wiem, że Qu uważa...

Lobsang mrugnął i potrząsnął głową. Lu-tze chwycił go za ramię.

– Znowu coś poczułeś?

– Jakby ząb wbił mi się do mózgu. – Lobsang roztarł głowę. Wyciągnął rękę. – To nadeszło stamtąd.

– Ból przyszedł stamtąd? – Lu-tze przyjrzał się chłopcu z uwagą. – Tak jak ostatnim razem? Ale nigdy przecież nie znaleźliśmy metody wykrywania, którądy...

Przerwał i sięgnął do sakwy. Potem użył tej sakwy, by odgarnąć śnieg z płaskiego kamienia.

– Zobaczymy, co...

Szklany dom.

Tym razem Lobsang mógł się skupić na tonach brzęących w powietrzu. Mokry palec na brzegu kieliszka do wina? Owszem, można od tego zacząć. Ale palec musiałby być palcem boga, a szkło pochodzić z jakiejś sfery niebieskiej. Natomiast cudowne, złożone, zmienne tony nie po prostu brzmiały w powietrzu, ale były powietrzem.

Ruchoma plama za ścianami zbliżała się teraz. Przez chwilę była tuż za szafą, a potem znalazła otwarte drzwi... i zniknęła.

Coś stało za Lobsangiem.

Odwrócił się. Nie było tam nic, co mógłby zobaczyć, ale wyczuwał ruch i na krótki moment coś ciepłego musnęło jego policzek...

– ...mówi piasek – rzekł Lu-tze i wysypał na kamień zawartość małego woreczka.

Kolorowe ziarenka odbijały się i rozsypywały na boki. Nie miały czułości mandali, ale wśród chaosu widoczny był niebieski kwiat.

Lu-tze spojrzał badawczo na Lobsanga.

– Zostało udowodnione, że nikt nie może zrobić tego, co właśnie zrobiłeś – powiedział. – Nigdy nie odkryliśmy żadnego sposobu ustalenia, gdzie wywoływane jest zawirowanie czasowe.

– Eee... przepraszam. – Lobsang uniósł dłoń do policzka. Był wilgotny. – Ale... co zrobiłem?

– Potrzebne są wielkie... – Lu-tze urwał. – W tamtym kierunku leży Ankh-Morpork. Wiedziałeś o tym?

– Nie! Zresztą sam miałeś przeczucie, że wszystko to dzieje się w Ankh-Morpork!

– Owszem, ale za mną stoi całe życie doświadczeń i cynizmu. – Lu-tze zebrał piasek do woreczka. – A ty jesteś po prostu utalentowany. Idziemy.

Kolejne rozkrojone cienko cztery sekundy doprowadziły ich poniżej linii wiecznych śniegów, na osypujące się pod stopami piargi, a potem przez lasy olch niewiele wyższych niż oni. I tam właśnie spotkali stojących w szerokim kręgu łowców.

Myśliwi nie zwrócili na nich specjalnej uwagi. W tych okolicach mnichów widywało się często. Przywódca – w każdym razie ten, który krzyczał, a ci są zwykle przywódcami – uniósł głowę i gestem kazał im przejść dalej.

Lu-tze przystanął jednak i spojrzał przyjaźnie na coś pośrodku kręgu. Coś także na niego popatrzyło.

– Niezła zdobycz – powiedział. – Co teraz zrobicie, chłopcy?

– A czy to twoja sprawa? – burknął przywódca.

– Nie, skąd. Tak tylko spytałem. Wy, chłopcy, jesteście z nizin, co?

– Tak. Zdziwiłbyś się, co można dostać za złapanie jednego takiego.

– Tak – przyznał Lu-tze. – Rzeczywiście byś się zdziwił.

Lobsang przyglądał się łowcom. Było ich kilkunastu, wszyscy ciężko uzbrojeni i wszyscy czujnie obserwowali sprzątacza.

– Dziewięćset dolarów za dobrą skórę i dodatkowo tysiąc za stopy – poinformował przywódca.

– To sporo – przyznał Lu-tze. – Dużo pieniędzy jak za parę stóp.

– Dlatego że to wielkie stopy. A wiesz, co mówią o mężczyznach z wielkimi stopami?

– Że potrzebują większych butów?

– Dobra, dobra. – Łowca wyszczerzył zęby. – Kupa bzdur, moim zdaniem, ale bogate i podstarzałe chłopaki z młodymi żonami na Kontynencie Przeciwwagi zapłacą majątek za sproszkowaną stopę yeti.

– A ja myślałem, że są pod ochroną – rzekł Lu-tze, opierając miotłę o drzewo.

– Przecież to tylko odmiana trolli. Kto będzie je tutaj chronił? – rzucił łowca.

Za nim miejscowi przewodnicy, którzy znali Pierwszą Zasadę, odwrócili się i rzucili do ucieczki.

– Ja – oznajmił Lu-tze.

– Och... – Tym razem uśmiezek łowcy stał się nieprzyjemny. – Nie masz nawet żadnej broni. – Obejrzał się, by spojrzeć na uciekających przewodników. – Jesteś pewnie jednym z tych dziwacznych mnichów, co żyją w kotlinach, tak?

– Zgadza się – przyznał Lu-tze. – Mały, uśmiechnięty, dziwaczny mnich. Całkowicie nieuzbrojony.

– A nas jest piętnastu. Uzbrojonych nieźle, jak widzisz.

– Bardzo ważne jest, żebyście wszyscy byli dobrze uzbrojeni. – Sprzątaczk podkasał rękawy. – To trochę wyrównuje szanse.

Zatarł ręce. Nikt nie zdradzał ochoty, by się wycofać.

– Ehm... Czy któryś z was, chłopcy, słyszał o jakichś zasadach? – zapytał po chwili.

– Zasadach? – zdziwił się któryś z łowców. – Jakich zasadach?

– No wiecie... Takich zasadach jak... Zasada Druga, powiedzmy, albo Zasada Dwudziesta Siódma. Jakikolwiek zasady tego rodzaju.

Dowodzący łowca zmarszczył czoło.

– Co ty, chłopie, wygadujesz, do wszystkich potępieńców?

– Ehm... Żaden ze mnie chłop, raczej sporo wiedzący, stary, całkiem nieuzbrojony dziwaczny mnich – poprawił go Lu-tze. – Zastanawiam się, czy cokolwiek w tej sytuacji budzi w was, no wiecie, pewną nerwowość?

– Znaczący, że my jesteśmy dobrze uzbrojeni i mamy przewagę liczebną, a ty się tak wycofujesz?

– Aha. No tak. Być może, mamy tu do czynienia z nieporozumieniem kulturowym. No więc co powiecie... na to? – Lu-tze stanął na jednej nodze i chwiejąc się lekko, wznosił obie ręce. – Ai! Hai-iii! Ye-hai! Nic? Nikt nie kojarzy?

Wśród łowców dało się zauważyć pewne oznaki zdumienia.

– Czy to z książki? – zapytał jeden, trochę bardziej inteligentny. – Grubej?

– Usiłuję właśnie tutaj ustalić – wyjaśnił Lu-tze – czy macie jakiegokolwiek pojęcie, co się stanie, kiedy spora grupa uzbrojonych mężczyzn spróbuje zaatakować drobnego, starego i nieuzbrojonego mnicha.

– Tak mi się wydaje – rzekł intelektualista oddziału – że stanie się on bardzo pechowym mnichem.

Lu-tze wzruszył ramionami.

– No cóż – mruknął. – W takim razie trzeba spróbować tym trudniejszym sposobem.

Jakaś rozmyta plama uderzyła intelektualistę w kark. Przywódca spróbował zrobić krok naprzód i zbyt późno odkrył, że ma związane sznurówki. Łowcy sięgali po noże, których nie było już w pochwach, po miecze, które w niewyjaśniony sposób stały oparte o drzewo po przeciwnej stronie polany. Coś podcinało im nogi, niewidzialne łokcie trafiały w miękkie części ciała, ciosy padały z pustki. Ci, którzy runęli na ziemię, szybko się uczyli, że lepiej na niej zostać. Podniesiona głowa bolała.

Łowiecki oddział zmienił się w ludzi leżących pokornie na ziemi i jęczących cicho. Dopiero wtedy usłyszeli niski, rytmiczny odgłos.

Yeti klaskał. Były to powolne oklaski, ponieważ miał bardzo długie ramiona. Ale kiedy dłonie się spotykały, miały za sobą długą drogę i cieszyły się na swój widok. Uderzenia odbijały się echem wśród gór.

Lu-tze pochylił się i chwycił przywódcę za brodę.

– Jeśli miło spędziliście to popołudnie, opowiedzcie o tym kolegom – rzekł. – I przekażcie, żeby pamiętali o Pierwszej Zasadzie.

Puścił łowcę, podszedł do yeti i się skłonił.

– Czy uwolnić pana, czy woli pan sam to zrobić?

Yeti wyprostował się, spojrzał na obejmującą mu nogę okrutną żelazną pułapkę, po czym skoncentrował się na chwilę.

Pod koniec owej chwili stał oddalony nieco od pułapki, która wciąż była zastawiona i prawie całkiem ukryta pod liśćmi.

– Dobra robota – pochwalił Lu-tze. – Metodyczna. I bardzo płynna. Zmierzał pan w stronę nizin?

Yeti musiał zgiąć się wpół, by zbliżyć swą długą twarz do Lu-tze.

– Teak – powiedział.

– Co chce pan uczynić z tymi ludźmi?

Yeti obejrzał się na przerażonych łowców.

– Ciemno będzie zeareaz – stwierdził. – Nie mea przeewodników.

– Mają pochodnie – zauważył Lu-tze.

– Ha, ha – powiedział yeti. Właśnie powiedział, a nie roześmiał się. – To dobrze. Pochodnie wideać noocą.

– Aha. No tak. Czy zechce pan nas ponieść? To naprawdę ważne.

– Ciebie i teego szybkiego chłopeakea, co go team wideać?

Plama szarości na skraju polany stała się nieco zdyszany Lobsangiem, który

odrzuć trzymaną w dłoni złamaną gałąź.

– Chłopak ma na imię Lobsang. Szkolę go – wyjaśnił Lu-tze.

– Wygląda, że musisz się spieszyć, zanim ci się skończą rzeczy, których nie wie – oświadczył yeti. – Ha, ha.

– Sprzątaczu, co ty... – zaczął Lobsang, podchodząc do nich.

Lu-tze przyłożył palec do warg.

– Nie przy naszych powalonych przyjaciółach – ostrzegł. – Staram się, by w rezultacie naszych dzisiejszych dokonań Pierwsza Zasada zyskała w tej okolicy większy szacunek.

– Ale to ja musiałem wszy...

– Ruszajmy. – Lu-tze uciszył go gestem ręki. – Myślę, że prześpimy się wygodnie, kiedy nasz przyjaciel nas poniesie.

Lobsang zerknął na yeti, a potem znów na Lu-tze. I znów na yeti. Stwór był wysoki. W pewien sposób przypominał trolle, które chłopiec spotykał w mieście, tyle że był chudy. Prawie dwa razy wyższy niż człowiek, większość z tego dodatkowego wzrostu zawdzięczał cienkim nogom. Ręce także miał cienkie, a stopy rzeczywiście wielkie. Jego korpus wyglądał jak kula futra.

– Jeśli w dowolnym momencie mógł się wydostać z pułap... – zaczął.

– Jesteś uczniem, zgadza się? – przerwał mu Lu-tze. – A ja jestem mistrzem? Na pewno gdzieś to sobie zapisałem...

– Ale obiecałeś, że nie będziesz powtarzał tych przemądrzałych...

– Pamiętaj o Pierwszej Zasadzie! Aha, i zabierz któryś z tych mieczy. Wkrótce będzie nam potrzebny. W porządku, wasza wysokość...

Yeti podniósł ich delikatnie, ale pewnie, usadził sobie na ramionach i ruszył po śniegu między drzewami.

– Przytulnie tu, co? – odezwał się po chwili Lu-tze. – Ich sierść jest w jakiś sposób uprzedzona z kamieni, ale całkiem wygodna.

Z drugiego ramienia nie dobiegła żadna odpowiedź.

– Spędziłem trochę czasu wśród yeti – ciągnął sprzątaczu. – Zadziwiający lud. Nauczyły mnie tego i owego. Wartościowe rzeczy. Czyż nie jest bowiem napisane: „Póki życia, póty nauki”?

Odpowiedziała mu cisza – rodzaj urażonego, demonstracyjnego milczenia.

– Uważałbym się za szczęśliwca, gdybym był chłopcem w twoim wieku, naprawdę niesionym przez prawdziwego yeti. Wielu z żyjących w dolinie nigdy nawet takiego nie widziało. Chociaż trzeba pamiętać, że już do ludzkich osad się nie zbliżają, odkąd rozeszła się plotka o ich stopach.

Lu-tze odnosił wrażenie, że uczestniczy w jednoosobowym dialogu.

– Chciałbyś może coś powiedzieć? – zaproponował.

– No więc, prawdę mówiąc, rzeczywiście chciałbym, to fakt – odparł Lobsang. – Pozwoliłeś mi wykonać całą robotę! Sam nic nie zamierzałeś zrobić!

– Staralem się, by poświęcili mi całą swoją uwagę – wyjaśnił gładko Lu-tze.

– Po co?

– Żeby tobie nie poświęcali uwagi. Miałem do ciebie pełne zaufanie, naturalnie. Dobry mistrz daje uczniowi możliwość wykazania się umiejętnościami.

– A co byś zrobił, gdyby mnie tam nie było, jeśli wolno spytać? Modlił się?

– Bardzo prawdopodobne.

– Co?

– Ale przypuszczam, że znalazłbym jakiś sposób, by wykorzystać przeciw nim ich głupotę. Zwykle daje się taki znaleźć – zapewnił Lu-tze. – Masz z tym jakiś problem?

– No bo myślałem... myślałem... Więc myślałem, że będziesz więcej mnie uczył i tyle.

– Przez cały czas cię uczę. Oczywiście nie znaczy to, że ty się uczysz.

– Ach, rozumiem – burknął Lobsang. – Bardzo sprytnie. Czyli teraz masz zamiar spróbować nauczyć mnie czegoś o tym yeti? A dlaczego kazałeś mi zabrać miecz?

– Miecz jest niezbędny, żeby nauczyć się czegoś o yeti – zapewnił Lu-tze.

– W jaki sposób?

– Za kilka minut znajdziemy jakieś spokojne miejsce, zatrzymamy się i możesz wtedy odciąć mu głowę. Jeśli to panu odpowiada.

– Teak. Jasne – powiedział yeti.

W „Drugim Zwoju Wena Wiecznie Zaskoczonego” zapisana jest opowieść o pewnym dniu, kiedy to uczeń Mulisty Staw w buntowniczym nastroju zbliżył się do Wena i przemówił tymi słowy:

– Mistrzu, czym się różni humanistyczny, monastyczny system wierzeń, w którym mądrości szuka się metodą pozornie nonsensownego ciągu pytań i odpowiedzi, od zwykłego mistycznego bełkotu wymyślanego pod wpływem chwili?

Wen rozważał ten problem przez pewien czas. I wreszcie odpowiedział:

– Rybą!

A Mulisty Staw odszedł zadowolony.

Tik

Kodeks Igorów jest bardzo surowy.

Nie Sprzeciwiaj się – nie należy do obowiązków Igora mówienie na przykład „Nie,

jafnie panie, to jest arteria”. Pan zawsze ma rację.

Nie Narzekaj – Igor nigdy nie powie: „Ale to przecież tyfiąc mil ftąd!”.

Nie Wygłaszaj Uwag Osobistych – żadnemu Igorowi nawet by się nie śniło powiedzenie czegoś w stylu: „Na panfkim miejfcu zrobiłbym cof z tym fmiechem”.

I nigdy, nigdy Nie Zadawaj Pytań. Oczywiście Igor wiedział, że oznacza to zakaz zadawania WAŻNYCH pytań. „Czy jafnie pan życzy fobie filiżankę herbaty?” jest w porządku, ale „A po co panu tyfiąc dziewic?” albo „Fkąd niby mam wziąć mózg w frodku nocy?” już nie.

Igor był symbolem lojalnej, sprawnej i dyskretnej służby, zawsze z uśmiechem, a co najmniej z odciągniętym na bok policzkiem czy zakrzywioną w górę blizną w odpowiednim miejscu. [Należy zaznaczyć, że w samych Igorach nie było nic immanentnie złego. Po prostu nie osądzali innych ludzi. Owszem, głównie dlatego że jeśli ktoś pracuje dla wilkołaków, wampirów, dla ludzi, którzy traktują chirurgię raczej jak sztukę nowoczesną niż naukę, osądzanie ich prowadziłoby do tego, że już na żadną robotę nie starczałoby czasu.] Tymczasem Igor zaczynał się martwić. Sprawy wyglądały marnie, a kiedy Igor tak myśli, to naprawdę wyglądają marnie. Największa trudność polegała na przekazaniu tego Jeremy'emu tak, by nie naruszyć kodeksu. Igor coraz gorzej się czuł w obecności kogoś tak oczywiście, nieskazitelnie zdrowego psychicznie. Mimo to próbował.

– Lady zjawi fię u naf dzif rano. Znowu – powiedział, obserwując, jak w roztworze narasta kolejny kryształ.

I wiem, że o tym wiesz, pomyślał, bo przyglądałeś włosy mydłem i włożyłeś czystą koszulę.

– Tak – zgodził się Jeremy. – Szkoda, że nie możemy jej zademonstrować szybszych postępów. Jestem jednak pewien, że zbliżamy się do celu.

– Tak... to bardzo dziwne, prawda? – zauważył Igor, dostrzegając możliwe otwarcie.

– Dziwne, powiadasz?

– Profę mnie nazywać głuptafem, jafnie panie, ale mam wrażenie, że gdy lady fklada nam wizytę, zawfe jeftefmy blifcy fukcefu, ale kiedy wychodzi, natrafiamy na nowe trudnofci.

– Czyżbyś coś sugerował, Igorze?

– Ja, jafnie panie? Nie należę do ofób fugerujących. Ale oftatnim razem pękła część tablicy podzielnika.

– Wiesz przecież, że moim zdaniem przyczyną była niestabilność wymiarowa.

– Tak jeft, jafnie panie.

– Dlaczego tak dziwnie mi się przyglądasz, Igorze?

Igor wzruszył ramionami. To znaczy, że jedno ramię przez moment znalazło się na tym samym poziomie co drugie.

– To normalne przy mojej twarzy, jafnie panie.

– Nie płaciłaby nam przecież tak hojnie, żeby potem sabotować projekt, prawda? Czemu miałyby to robić?

Igor zawahał się. Stał teraz z plecami przyciśniętymi do kodeksu.

– Ciągłe fię zaftanawiam, jafnie panie, czy ona jeft tym, kim ftara fię fugerować.

– Słucham? Nie zrozumiałem.

– Zaftanawiam fię, czy możemy jej ufać, jafnie panie – wyjaśnił cierpliwie Igor.

– Och, idź lepiej skalibrować rezonator kompleksowy, co?

Igor posłuchał niechętnie.

Kiedy za drugim razem śledził ich pracodawczynię, wróciła do hotelu. Następnego dnia skierowała się do dużego domu przy Drodze Królewskiej; czekał tam na nią oślizły typ, który bardzo teatralnie wręczył jej klucz. Igor podążył za oślizłym typem do jego biura przy pobliskiej ulicy, a tam – ponieważ niewiele pozostaje ukryte przed człowiekiem z twarzą pełną szwów – dowiedział się, że właśnie wydzierzała ten dom, płacąc bardzo dużą sztabą złota.

Potem Igor postąpił zgodnie z prastarą ankhmorporską tradycją i zapłacił komuś, by śledził lady LeJean. Niebiosa świadkami, że w warsztacie nie brakowało złota, a pan wcale się nim nie interesował.

Lady LeJean poszła do opery. Lady LeJean odwiedzała galerie sztuki. Lady LeJean żyła pełnią życia. Tyle że lady LeJean – o ile Igor zdołał to ustalić – nigdy nie bywała w restauracjach i nie dostarczano jej jedzenia do domu.

Lady LeJean coś knuła. Igor domyślił się tego bez trudu. Lady LeJean nie występowała także w „Herbarzu Niemózgiego” ani w „Almanac de Gothick” czy jakimkolwiek innym tego typu informatorze, które naturalnie sprawdził. To oznaczało, że ma coś do ukrycia. Oczywiście Igor pracował dla licznych panów, którzy mieli bardzo wiele do ukrycia, często w głębokich dołach o północy. Jednakże obecna sytuacja była moralnie inna, i to z dwóch powodów. Lady LeJean nie była jego panem, tylko Jeremy, więc wobec niego powinien być lojalny. Po drugie, Igor zdecydował, że sytuacja jest moralnie inna.

Stanął przed szklanym zegarem.

Wyglądał na prawie ukończony. Jeremy zaprojektował mechanizm, który krył się za tarczą, a Igor kazał go wykonać – w całości ze szkła. Nie miał nic wspólnego z tym drugim mechanizmem, który migotał czasem w dole, za wahadłem, i zajmował teraz, po złożeniu, niepokojąco mało miejsca. Pewna liczba jego części nie znajdowała się już w tym samym zestawie współrzędnych co reszta. Ale zegar miał tarczę, a tarcza potrzebuje wskazówek, więc szklane wahadło kołysało się, szklane wskazówki się przesuwaly i wskazywały zwyczajny, codzienny czas. Tykanie brzmiało delikatnym tonem dzwonów, jakby ktoś trącał paznokciem kryształowy kieliszek.

Igor spojrzał na swe odziedziczone dłonie. Zaczynały go martwić... Teraz, kiedy szklany zegar rzeczywiście wyglądał jak zegar, zaczynały drżeć, gdy tylko się do niego zbliżał.

Tik

Nikt nie zauważył Susan w bibliotece Gildii Historyków, kiedy kartkowała stos książek. Od czasu do czasu coś notowała.

Nie wiedziała, czy ten dar pochodził od Śmierci, ale zawsze powtarzała dzieciom, że mają leniwe oko i pracowite oko. Istniały dwa możliwe spojrzenia na świat. Leniwe oko widziało wszystko powierzchownie. Pracowite oko zagłębiało w rzeczywistość ukrytą pod spodem.

Przewróciła kartkę.

Obserwowana pracowitym okiem historia okazywała się naprawdę dziwna. Blizny były wyraźne. Na przykład zagadkowa historia krainy Efebu – albo sławni tamtejsi filozofowie żyli bardzo długo, albo dziedziczyli swoje imiona, albo ktoś powszywał w tamtejszą historię dodatkowe kawałki. Historia Omni to prawdziwy bałagan – na oko sądząc, dwa stulecia złożono tam w jedno, a mogło to ujść niezauważone tylko z powodu charakteru Omnian, których religia i tak mieszała przeszłość i przyszłość z teraźniejszością.

A co z Doliną Koom? Wszyscy wiedzieli, że rozegrała się tam słynna bitwa między krasnoludami i trollami oraz najemnikami po obu stronach, ale ile tych bitew było naprawdę? Historycy uważali, że dolina znajdowała się akurat we właściwym miejscu spornego terytorium, więc stała się idealnym terenem wszelkich konfrontacji. Równie łatwo można by jednak uwierzyć – przynajmniej komuś, kto miał dziadka Śmierć – że fragment, który akurat pasował, został wmontowany w historię kilka razy. W efekcie różne pokolenia w kółko powtarzały tę nieszczęsną katastrofę, krzycząc przy tym „Pamiętaj Dolinę Koom!”. [Każda społeczność potrzebuje takiego okrzyku, ale bardzo niewiele używa pełnej, niewygładzonej wersji, która brzmi: „Pamiętajcie okrucieństwa popełnione na nas ostatnim razem, które usprawiedliwiają okrucieństwa, jakie mamy popełnić dzisiaj! I tak dalej! Hurra!”.]

Wszędzie występowały anomalie.

I nikt niczego nie zauważał.

Trzeba przyznać ludzkim istotom – dysponowały jedną z najbardziej niezwykłych mocy we wszechświecie. Żaden inny gatunek nigdzie nie wymyślił nudy. Może to właśnie nuda, nie inteligencja, pchnęła ich po drabinie ewolucyjnej. Trolle i krasnoludy także ją posiadały – tę przedziwną zdolność spojrzenia na świat i pomyślenia: Och, taki sam jak wczoraj, jaki nudny... Ciekawe, co się stanie, jeśli

wałną tym kamieniem w tamtą głowę.

A wraz z nią istniała stowarzyszona zdolność do przyzwyczajania się. Świat zmieniał się dramatycznie, a już po kilku dniach ludzie uważali to za normalne. Mieli tę zadziwiającą umiejętność eliminowania i zapominania wszystkiego, co nie pasowało. Opowiadali sobie drobne historyjki wyjaśniające to, co niewyjaśnione.

Szczególnie historycy dobrze sobie z tym radzili. Jeśli nagle wydawało się, że prawie nic nie zaszło w czternastym wieku, wyjaśniali to, wysuwając ze dwadzieścia rozmaitych teorii. Ani jedna nie sugerowała, że może większość czasu została wycięta i wklejona do dziewiętnastego wieku, gdzie katastrofa nie pozostawiła dość spójnego czasu na wszystko, co powinno się zdarzyć, a przecież do wynalezienia końskiego chomąta wystarczy tydzień.

Mnisi historii dobrze wykonali swoją pracę, ale ich największym sprzymierzeńcem była ludzka zdolność do narracyjnego myślenia. A ludzie stanęli na wysokości zadania. Mówili tylko: „Już czwartek? Gdzie ten tydzień przeleciał?”, „Mam wrażenie, że ostatnio czas jakoś szybciej płynie” albo „Wydaje się, jakby to było wczoraj”.

Jednak pewne ślady pozostały.

Mnisi historii starannie wykasowali czas, kiedy uderzył szklany zegar. Został chirurgicznie wycięty z historii. Prawie...

Susan znowu sięgnęła po „Takie srogie bajeczki”. Kiedy była dzieckiem, rodzice nie kupowali jej takich książek. Starali się wychowywać ją normalnie; wiedzieli, że to nie najlepszy pomysł, by ludzie żyli zbyt blisko Śmierci. Nauczyli ją, że fakty są ważniejsze niż wymysły. A potem dorosła i odkryła, że prawdziwe fantazje to nie Niesamowity Jeździec, Wróżka Zębuszka czy strachy – wszystko to twarde fakty. Wielką fantazją jest wiara, że świat jest miejscem, w którym kromka chleba nie dba, czy spadnie posmarowaną stroną w dół, w którym logika jest rozsądna i gdzie można sprawić, by coś się nie wydarzyło.

Coś takiego jak szklany zegar okazało się zbyt wielkie, by można to ukryć. Przesączało się poprzez ciemne, sekretne labirynty ludzkich umysłów, aż stało się ludową baśnią. Ludzie usiłowali pokryć ją lukrem i magicznymi mieczami, ale jej prawdziwa natura wciąż czała się niczym grabie na zarośniętym trawniku, gotowe poderwać się przy nacisku nieostrożnej stopy.

I teraz ktoś znów chciał na nie nadebrać. A najważniejszym, kluczowym faktem było to, że podbródek, na którego spotkanie wyskakiwały, należał do...

...do kogoś takiego jak ona.

Przez chwilę siedziała zapatrzona w pustkę. Wokół niej historycy wspinali się na biblioteczne drabiny, przenosili księgi na pulpity i ogólnie przerabiali obraz przeszłości tak, by dostosować go do dzisiejszego spojrzenia. Jeden z nich akurat szukał okularów.

Czas miała syna, myślała Susan. Kogoś, kto wędruje po świecie.

Był pewien człowiek, który tak całkowicie poświęcił się badaniu czasu, że dla niego czas stał się realny. Poznał drogi czasu – i Czas go zauważyła. Pojawiło się coś zbliżonego do miłości.

I Czas urodziła syna.

Jak? Susan miała umysł, który potrafi jednym takim pytaniem zepsuć całą opowieść. Czas i człowiek śmiertelny. Jak oni mogli w ogóle...? No, jak mogli?

A potem pomyślała: moim dziadkiem jest Śmierć. Adoptował moją matkę. Mój ojciec był przez jakiś czas jego uczniem. Tylko tyle się wydarzyło. Oboje byli ludźmi i ja przyszedłam na świat w zwykły sposób. Nie ma żadnych powodów, bym potrafiła przenikać ściany, żyć poza czasem i być trochę nieśmiertelna. Ale jestem, zatem nie jest to obszar, w którym logika oraz – powiedzmy szczerze – podstawowa biologia mają cokolwiek do powiedzenia.

Zresztą czas bezustannie tworzy przyszłość. A przyszłość zawiera fakty, które nie istniały w przeszłości. Małe dziecko nie powinno być trudne dla czegoś... dla kogoś, kto raz na mgnienie oka przebudowuje wszechświat.

Susan westchnęła. Nie wolno też zapominać, że Czas nie jest prawdopodobnie czasem, tak samo jak Śmierć nie jest dokładnie śmiercią, a Wojna to nie to samo co wojna. Poznała Wojnę – wielkiego, grubego mężczyznę z rubasznym poczuciem humoru i skłonnością do gubienia wątku. Z pewnością nie zjawiał się osobiście przy każdej drobnej potyczce. Nie lubiła Zarazy, który dziwnie się jej przyglądał, a Głód był zwyczajnie wychudzony i dziwaczny. Żaden z nich nie kierował swoją... nazwijmy to dyscypliną. Uosabiał ją.

Biorąc pod uwagę, że poznała też Wrózkę Zębuszkę, Duchociastną Kaczkę i Starą Biedę, i tak dziwiła się, że wyrosła na osobę będącą prawie człowiekiem, niemal normalną.

Kiedy spoglądała na swoje notatki, włosy uwolniły się z ciasnego koka i przyjęły pozycję podstawową, to znaczy włosów kogoś, kto właśnie dotknął czegoś mocno naelektryzowanego. Rozpostarły się wokół jej głowy niczym chmura, z jednym czarnym pasemkiem prawie zwykłych włosów.

Dziadek może być niszczycielem światów i ostateczną prawdą wszechświata, ale nie znaczy to przecież, że nie interesuje się małymi ludkami. Może Czas również.

Uśmiechnęła się.

Mówią, że czas na nikogo nie czeka.

Może jednak na kogoś czekała, ten jeden raz.

Susan zdała sobie sprawę, że ktoś na nią patrzy. Obejrzała się i zobaczyła Śmierć Szczurów wyglądającego przez szkła okularów nieco roztargnionego mężczyzny, który szukał ich właśnie po przeciwnej stronie sali. Na zakurzonego popiersiu

dawnego historyka stroszył pióra kruk.

– Tak? – rzuciła.

PIP.

– Tak powiedział?

Drzwi biblioteki otworzyły się pod delikatnym pchnięciem pyska i wszedł biały koń. Koniarze mają paskudny zwyczaj nazywania białych koni siwymi, jednak nawet ktoś z tego krzywonożego bractwa musiałby przyznać, że ten jeden koń w każdym razie jest biały. Może nie tak biały jak śnieg, barwą martwej bieli, ale przynajmniej biały jak mleko, które jest żywe. Miał czarną uprzęż i wodze, podobnie jak siodło, ale nosił je właściwie tylko na pokaz. Jeśli koń Śmierci pozwoli komuś się dosiąść, ten ktoś trzyma się na grzbiecie, z siodłem czy bez. Nie istniała też górna granica liczby osób, jakie mógł ponieść – przecież zdarzały się nagłe wybuchy epidemii.

Historycy nie zwracali na niego uwagi. Konie nie wchodziły do bibliotek.

Susan wskoczyła na siodło. Wiele już razy żałowała, że nie urodziła się całkiem człowiekiem, osobą w pełni normalną, i w rzeczywistości choćby jutro zrezygnowałaby ze wszystkiego...

...oprócz Pimpusia.

Po chwili odciski czterech kopyt zapłonęły nad biblioteką niczym plazma, a potem rozwiały się wolno.

Tik

W ciszy słychać było tylko chrzęst stóp yeti na śniegu i wycie wiecznego górskiego wichru.

W końcu odezwał się Lobsang.

– Mówiąc „odciąć mu głowę”, masz na myśli...

– Oddzielenie jego głowy od ciała – wyjaśnił Lu-tze.

– A... jemu to nie przeszkadza? – Lobsang mówił tonem kogoś, kto bardzo ostrożnie bada wszystkie zakątki nawiedzanej groty.

– Noo, to jest pewna niewygoda – przyznał yeti. – Właściwie to takea sztuczka towarzyska. Eale nie mea problemu, jeeśli mea pomoc. Sprzęteacz zeawsze był dlea neas doobry. Winni mu jesteśmy wiece przysług.

– Próbowałem nauczać ich Drogi – wyjaśnił z dumą Lu-tze.

– Teak. Beardzo użyteczna. „Najwolniej gotuje się woda w szorowanym garnku” – powiedział yeti.

Ciekawość walczyła w głowie Lobsanga z irytacją – i zwyciężyła.

– Co przeoczyłem? – zapytał. – Nie umrzesz?

– Jea nie umrę? Z odreąbaną głową? Śmieszne! Ho, ho – rzekł yeti. – Oczywiście, że umrę. Eale to nie teakea streasznea rzecz.

– Całe lata zajęło nam wykrycie, o co im chodzi – wtrącił Lu-tze. – Te ich pętłe płały figle w działaniu mandali, dopóki opat nie wymyślił, jak je uwzględnić. Yeti wymarły już trzy razy.

– Trzy razy? – zdziwił się Lobsang. – To sporo wymierania. Przecież większości gatunków udaje się to tylko raz, prawda?

Yeti wszedł teraz między wyższe drzewa, w większości stare sosny.

– Tu będzie dobre miejsce – uznał Lu-tze. – Zechce nas pan zdjąć?

– A my odrąbiemy panu głowę... – dokończył słabym głosem Lobsang. – Co ja wygaduję? Nikomu nie będę ucinać głowy!

– Przecież słyszałeś, że mu to nie przeszkadza – przypomniał sprzątac, kiedy yeti delikatnie postawił ich na ziemi.

– Nie o to chodzi! – zawołał gniewnie chłopiec.

– Przecież to jego głowa – zauważył Lu-tze.

– Ale mnie to przeszkadza!

– No cóż, w takim razie... Czyż nie jest napisane: Jeśli chcesz, żeby coś było zrobione jak należy, zrób to sam”?

– Teak, jest – zgodził się yeti.

Lu-tze odebrał Lobsangowi miecz. Trzymał go niepewnie, jak ktoś nieprzyzwyczajony do broni. Yeti przyklęknął uprzejmie.

– Wszystko zaktualizowane?

– Teak.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę chcesz to zrobić! – jęknął Lobsang.

– To ciekawe – stwierdził Lu-tze. – Pani Cosmopilite mówi: „Zobaczyć znaczy uwierzyć”. Co dziwne, Wielki Wen powiedział: „Zobaczyłem. I wierzę”!

Zamachnął się mieczem i odciął yeti głowę.

Tik

Zabrział dźwięk, jakby ktoś rozciął na pół główkę kapusty, a potem głowa potoczyła się do kosza przy wtórze oklasków tłumu i okrzyków „Nie ma co, dobra robota!”. Quirm był miłym, spokojnym i praworządnym miastem, a rada miejska zachowywała go w takim stanie z pomocą polityki karnej, łączącej maksimum odstraszenia i minimum możliwości recydywy.

SPRUWACZ „RZEŹNIK” SMARTZ?

Zmarły Spruwacz roztarł szyję.

– Domagam się wznowienia procesu! – oznajmił.

TO MOŻE NIE BYĆ NAJLEPSZY MOMENT, ostrzegł Śmierć.

– Nie mogło to być morderstwo, ponieważ... – Dusza Spruwacza Smartza przeszukała widmowe kieszenie i znalazła upiorny kawałek papieru. Rozłożyła go i ciągnęła głosem kogoś, dla kogo słowo pisane to trudna droga pod górę. – Ponieważ równo-waga mojego umysłu była za-sklócona.

DOPRAWDY? – zdziwił się uprzejmie Śmierć. Przekonał się, że najlepiej pozwolić niedawno zmarłym zrzucić z barków całe brzemie.

– Tak, bo naprawdę, ale naprawdę chciałem go zabić, tak? A nie powiesz, że to normalny stan umysłu, tak? Zresztą był krasnoludem, więc nie powinienem odpowiadać jak za człowieka.

ROZUMIEM, ŻE TO BYŁ SIÓDMY KRASNOLUD, JAKIEGO ZABIŁEŚ.

– Jestem bardzo podatny na bycie za-sklóconym – wyjaśnił Spruwacz. – Tak po prawdzie to w tym wszystkim ja jestem ofiarą. Potrzebowałem tylko odrobiny zrozumienia i współczucia, kogoś, kto przez pięć minut spojrzy z mojego punktu widzenia...

JAKI BYŁ TWÓJ PUNKT WIDZENIA?

– Moim zdaniem wszystkim krasnoludom się należy, żeby je porządnie skopać. Ale zaraz, ty jesteś Śmierć! Tak?

TAK, ISTOTNIE.

– Jestem twoim fanem! Zawsze chciałem cię poznać, wiesz? Mam cię wytatuowanego na ramieniu, popatrz! Sam to załatwiłem!

Oszołomiony Spruwacz obejrzał się, słysząc stukanie kopyt. Młoda kobieta w czerni prowadziła ku nim wielkiego białego wierzchowca, kompletnie niezauważalna dla tłumu skupionego wokół straganów zjedzeniem, straganów z pamiątkami i gilotyny.

– Masz nawet parking z obsługą! – zachwycił się Spruwacz. – To właśnie nazywam stylem!

I nagle zniknął.

CO ZA DZIWNY OSOBNIK, stwierdził Śmierć. OCH, SUSAN, DZIĘKUJĘ, ŻE PRZYSZŁAŚ. KRĄG NASZYCH POSZUKIWAŃ SIĘ ZAWĘŻA.

– Naszych poszukiwań?

WŁAŚCIWIE TWOICH.

– Więc teraz są tylko moje?

JA MUSZĘ ZAJĄĆ SIĘ CZYMŚ INNYM.

– Czymś ważniejszym niż koniec świata?

KIEDY TO WŁAŚNIE Z POWODU KOŃCA ŚWIATA. REGUŁY MÓWIĄ, ŻE JEŻDZICY POWINNI WYRUSZYĆ.

– Ta stara legenda? Ale przecież nie musisz tego robić!

TO JEDNA Z MOICH FUNKCJI. MUSZĘ PRZESTRZEGAĆ REGUŁ.

– Dlaczego? Oni przecież je łamią!

NAGINAJĄ. ZNALEŻLI SZCZELINĘ. JA NIE MAM TEGO RODZAJU WYOBRAŹNI.

To tak jak z Jasonem i bitwą o Komórkę z Materiałami Piśmiennymi. Człowiek szybko się przekonywał, że „Nikomu nie wolno otwierać drzwiczek do Komórki z Materiałami Piśmiennymi” jest zakazem, którego siedmiolatek zwyczajnie nie potrafi zrozumieć. Trzeba się zastanowić i wyrazić to w terminach bardziej bezpośrednich, na przykład „Nikomu, Jasonie, choćby nie wiem co, nie, nawet gdyby mu się zdawało, że słyszy wołanie o pomoc, nikomu... uważasz, co mówię, Jasonie?... nie wolno otwierać drzwiczek do Komórki z Materiałami Piśmiennymi ani przypadkiem upaść na klamkę tak, że same się otworzą, ani grozić, że ukradnie pluszowego misia Richendy, jeśli ona nie otworzy drzwiczek do Komórki z Materiałami Piśmiennymi, ani stać w pobliżu, kiedy tajemniczy wiatr dmuchnie znikąd i te drzwiczki się otworzą całkiem same z siebie, słowo, naprawdę same, ani w żaden sposób otwierać, powodować otwarcie, prosić kogoś, żeby otworzył, podskakiwać na obłuzowanej desce podłogi, żeby się otworzyły, ani w żaden inny sposób nie próbować zyskać dostępu do Komórki z Materiałami Piśmiennymi, Jasonie!”.

– Szczelinę... – powtórzyła Susan.

TAK.

– To może ty też mógłbyś znaleźć?

JESTEM POSEPNYM ŻNIWIARZEM. NIE WYDAJE MI SIĘ, BY LUDZIE ŻYCZYLI SOBIE U MNIE... KREATYWNOŚCI. RACZEJ ŻYCZĄ SOBIE, ŻEBYM WYKONAŁ ZADANIE POWIERZONE MI W TAKIM CZASIE PRZEZ TRADYCJĘ I PRAKTYKĘ.

– To znaczy po prostu... wyruszył?

TAK.

– Dokąd?

WSZĘDZIE, JAK PRZYPUSZCZAM. A TYMCZASEM BĘDZIE CI TO POTRZEBNE.

Śmierć wręczył jej życiomierz.

Był to jeden z tych specjalnych, trochę większy niż zwyczajne. Wyglądał jak klepsydra, ale migoczące kształty, przesypujące się przez zwężenie, były sekundami.

– Wiesz, że nie lubię... no, tych działań z kosą – powiedziała. – To nie... Hej, on jest naprawdę ciężki!

TO LU-TZE, MNICH HISTORII. MA OSIEMSET LAT. MA TEŻ UCZNIA. DOWIEDZIAŁEM SIĘ O TYM, ALE NIE WYCZUWAM GO, NIE MOGĘ GO

ZOBACZYĆ. ON JEST TYM, KTÓREGO SZUKASZ. PIMPUŚ ZABIERZE CIĘ DO MNICHA, A WTEDY ZNAJDZIESZ DZIECKO.

– I co wtedy?

PRZYPUSZCZAM, ŻE PRZYDA MU SIĘ KTOŚ DO POMOCY. KIEDY JUŻ GO ZNAJDZIESZ, ODEŚLIJ PLMPUSIA. BĘDZIE MI POTRZEBNY.

Susan poruszyła wargami, kiedy wspomnienie zderzyło się z myślą.

– Żeby wyruszyć? – spytała. – Naprawdę mówisz o Apokalipsie? Poważnie? Nikt już nie wierzy w takie rzeczy!

Ja wierzę.

Susan otworzyła usta.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Wiedząc to wszystko, co wiesz?

Śmierć poklepał Pimpusia po pysku.

TAK, OŚWIADCZYŁ.

Susan spojrzała na dziadka z ukosa.

– Czekaj... To jakaś sztuczka, co? Planujesz coś i nie masz zamiaru tego zdradzić nawet mnie. Tak? Przecież tak naprawdę nie chcesz czekać, aż świat się skończy, i świętować tego. Tak?

WYRUSZYMY.

– Nie!

NIE BĘDZIESZ MÓWIĆ RZEKOM, BY NIE PŁYNĘŁY. NIE BĘDZIESZ MÓWIĆ SŁOŃCU, BY NIE ŚWIECIŁO. NLE BĘDZIESZ MI MÓWIĆ, CO POWINIENEM, A CZEGO NIE POWINIENEM ROBIĆ.

– Ale to takie... – Wyraz twarzy Susan zmienił się nagle i Śmierć drgnął. – Myślałam, że ci zależy!

WEŹ TO TAKŻE.

Nie chcąc właściwie, odebrała od dziadka mniejszy życiomierz.

Z TOBĄ MOŻE ZECHCE ROZMAWIAĆ.

– A kim jest?

TO AKUSZERKA, wyjaśnił Śmierć. A TERAZ... ODSZUKAJ SYNA.

Zniknął.

Susan przyjrzała się dwóm życiomierzom, które trzymała w dłoniach. Znowu ci to zrobił! – wrzeszczała na siebie. Nie musisz go słuchać, możesz zostawić wszystko, wrócić do klasy i znowu być normalna, ale wiesz, że tego nie zrobisz, i on też wie...

PIP?

Śmierć Szczurów siedział między uszami Pimpusia, ściskając pasmo białej grzywy i demonstrując ogólny wygląd kogoś, kto nie może się już doczekać wyjazdu. Susan uniosła rękę, żeby go strącić, ale się powstrzymała. Zamiast tego wcisnęła mu w łapki ciężkie życiomierze.

- Przydad się na coś – mruknęła, chwytając za uzdę. – Czemu ja to robię?
PIP.
– Wcale nie jestem miła!

Tik

To dziwne, ale nie było nawet wiele krwi. Głowa potoczyła się po śniegu, a ciało wolno runęło do przodu.

- Naprawdę zabiłeś... – zaczął Lobsang.
– Poczekaj – przerwał mu Lu-tze. – Lada moment...
Bezgłowe ciało zniknęło. Klęczący yeti zwrócił głowę ku Lu-tze i zamrugał.
– Trochę zeaszczypeało – powiedział.
– Przepraszam.

Lu-tze odwrócił się do Lobsanga.

– Staraj się utrzymać to wspomnienie – nakazał. – Będzie próbowało zniknąć, ale zostałeś przeszkolony. Musisz zapamiętać, że widziałeś coś, co teraz nigdy się nie zdarzyło. Rozumiesz? Pamiętaj, że czas jest o wiele mniej sztywny, niż ludzie sądzą, jeśli tylko właściwie pracujesz głową! Taka drobna lekcja... Zobaczyć znaczy uwierzyć.

– Jak on to zrobił?

– Dobre pytanie. Mogą zachować swoje życie do pewnego punktu i wrócić do niego, kiedy ktoś ich zabije. Jak to się dzieje... Cóż, opat poświęcił prawie dziesięć lat, żeby to rozpracować. Co nie znaczy, że ktokolwiek inny coś zrozumiał. W każdym razie w grę wchodzi dużo kwantów. – Sprzątac zaciągnął się swym wiecznym cuchnącym papierosem. – Musiał dobrze rozpracować, skoro nikt nie rozumie. [Yeti z Ramtopów, gdzie pole magiczne Dysku jest tak silne, że staje się elementem krajobrazu, są jednymi z nielicznych stworzeń wykorzystujących kontrolę nad osobistym upływem czasu dla uzyskania przewagi genetycznej. Rezultatem jest rodzaj fizycznego przecucia – odkrywa się, co nastąpi, pozwalając temu czemuś nastąpić. Wobec niebezpieczeństwa, czy też stając przed dowolnym zadaniem, z którym wiąże się ryzyko śmierci, yeti zachowuje swoje życie aż do tego punktu, po czym działa z należytą ostrożnością, ale też z przyjemną świadomością, że choćby coś sprasowało go w naleśnik, obudzi się w punkcie, gdzie zachował życie, wraz... i to jest kluczowe: wraz z wiedzą o zdarzeniach, które właśnie nastąpiły, ale które teraz już nie nastąpią, ponieważ tym razem nic będzie już takim nieszczęsnym dumiem. Nie jest to tak poważny paradoks, jak mogłoby się wydawać, ponieważ kiedy już miał miejsce, to nigdy się nie wydarzył. Wszystko, co pozostaje, to tylko wspomnienie w głowie yeti, które okazuje się po prostu bardzo szczegółowym przecuciem. Lekkie zawirowania czasu, spowodowane przez ten proces, giną w ogólnym hałasie wszystkich zakoli, zagłębień i zapętleń wywoływanych w czasie przez wszystkie inne żywe istoty.]

– A jeak się obecnie czuje opeat? – zapytał yeti. Podniósł się i usadził sobie

wędrowców na ramionach.

– Ząbkuje.

– Each... Reinkearnacja to zawsze powaźny problem. – Yeti ruszył naprzód swym długim, równym krokiem.

– Mówi, że zęby są najgorsze. Zawsze albo rosną, albo wypadają.

– Jak szybko idziemy? – zainteresował się Lobsang.

Marsz yeti przypominał raczej ciąg skoków z jednej nogi na drugą, a były tak sprężyste, że każde lądowanie budziło tylko łagodne uczucie kołysania. Można było niemal wypoczywać w drodze.

– Robimy chyba mniej więcej trzydzieści mil na godzinę czasu zegarowego – odparł Lu-tze. – Zdrzemnij się trochę. Rankiem będziemy już powyżej Miedzianki, a stamtąd mamy z górki.

– Powrót z martwych... – mruknął chłopiec.

– To raczej jakby w ogóle tam nie dotrzeć – wyjaśnił sprzątac. – Badałem je trochę, ale... Widzisz, jeśli to nie jest wrodzone, musisz się tego nauczyć. I czy zaryzykujesz, że już za pierwszym razem wszystko pójdzie jak należy? Trudna sprawa. Trzeba być naprawdę w rozpaczliwej sytuacji. Mam nadzieję, że w tak rozpaczliwej nigdy się nie znaję.

Tik

Susan rozpoznała z góry krainę Lancre – niewielką misę lasów i pól leżącą niczym gniazdo na skraju Ramtopów. Znalazła też dom – który nie był taką podobną do przyzmy kompostu chatką z kominem jak korkociąg, wizją mieszkania czarownicy, spopularyzowaną przez „Takie srogie bajeczki” – ale całkiem nowym budynkiem, ze lśniąca strzechą i wychuchanym trawnikiem od frontu.

Wokół malutkiej sadzawki stało więcej ozdób – gnomów, muchomorów, różowych króliczków i wielkookich jeleni – niż umieściłby rozsądny ogrodnik. Susan zauważyła jednego jaskrawo pomalowanego gнома, łowiącego... Nie, przecież nie wędkę trzymał.. Z pewnością miła starsza pani nie wstawiłaby czegoś takiego do swojego ogrodu, prawda? Prawda?

Susan była dostatecznie zorientowana, by przejść na tył domu, ponieważ czarownice alergicznie reagują na drzwi frontowe. Otworzyła jej niska, gruba, rumiana kobieta, której małe oczka mówiły: Tak, to mój gnom, zgadza się, i bądź wdzięczna, że tylko siusia do sadzawki.

– Pani Ogg? Akuszerka?

Nastąpiła chwila ciszy, nim pani Ogg odpowiedziała:

– Ta sama.

– Nie zna mnie pani, ale... – zaczęła Susan i spostrzegła, że pani Ogg spogląda poza nią, na Pimpusia, który stał przy bramie. Była przecież czarownicą.

– Może jednak cię znam. Oczywiście jeśli po prostu ukradłś tego konia, to zwyczajnie nie wiesz, w jakie kłopoty się wpakowałaś.

– Pożyczyłam go. Właścicielem jest... mój dziadek.

Znowu cisza. Zadziwiające, jak spojrzenie tych przyjaznych oczek potrafiło wwiercać się w człowieka niby świder.

– Może lepiej wejdz – zaproponowała pani Ogg.

Wnętrze domku wyglądało równie lśniąco i świeżo jak zewnątrz. Różne przedmioty błyszczały – a wiele było takich, które mogą błyszczeć. To miejsce było prawdziwą kaplicą brzydkich, ale entuzjastycznie malowanych porcelanowych bibelotów, które stały na każdej poziomej powierzchni. Pozostałą przestrzeń zajmowały obrazki w ramach. Dwie udręczone kobiety polerowały i odkurzały.

– Mam towarzystwo – rzuciła surowo pani Ogg i obie wyszły tak szybko, że lepszym określeniem byłoby chyba „uciekły”. – Moje synowe – wyjaśniła pani Ogg, siadając w miękkim fotelu, który przez lata dopasował się do niej. – Chętnie pomagają biednej staruszce, która jest całkiem sama na świecie.

Susan przyjrzała się obrazkom. Jeśli wszystkie przedstawiały członków rodziny, to pani Ogg dowodziła całą armią. Pani Ogg, bezwstydnie przyłapana na oczywistym kłamstwie, mówiła dalej:

– Siadaj, dziewczyno, i mów, o co ci chodzi. Herbata się parzy.

– Chcę się czegoś dowiedzieć.

– Większość ludzi chce. I mogą sobie chcieć dalej.

– Chcę się dowiedzieć o... narodzinach – nie ustępowała Susan.

– Tak? No więc byłam przy setkach porodów. Pewnie nawet tysiącach.

– Przypuszczam, że ten był trudny.

– Wiele jest takich.

– Ten by pani zapamiętała. Nie wiem, jak to się zaczęło, ale przypuszczam, że ktoś obcy zapukał do drzwi.

– Tak? – Twarz pani Ogg stała się nieruchoma jak mur. Czarne oczka spoglądały na Susan, jakby była armią najeźdźców.

– Nie pomaga mi pani, pani Ogg.

– Ano nie pomagam. I chyba jednak wiem coś o tobie, panienko, ale nie dbam o to, kim jesteś. Możesz iść i sprowadzić tego drugiego, jeśli masz ochotę. Nie myśl, że jego też nie widziałam. Wiele razy siedziałam przy łożu śmierci. Ale łoża śmierci są publiczne, na ogół, a łoża narodzin nie. Nie, jeśli dama sobie tego nie życzy. Więc dawaj tu tego drugiego, a napluję mu w oko.

- To bardzo ważne, pani Ogg.
- Tutaj masz rację – odparła pani Ogg stanowczo.
- Nie wiem, jak dawno temu to się stało. Może nawet w zeszłym tygodniu. Czas...

czas jest tu kluczem.

I trafiła. Pani Ogg nie była pokerzystką, przynajmniej nie przeciw komuś takiemu jak Susan. W jej oczach błysnęły małe isierki.

Fotel uderzył oparciem o ścianę, kiedy próbowała się podnieść, ale Susan pierwsza dobiegła do kominka i chwyciła to, co stało nad nim na półce, ukryte na widoku między bibelotami.

– Oddaj to natychmiast! – krzyknęła pani Ogg, kiedy Susan uniosła przedmiot poza jej zasięg. Czuła jego moc. Zdawało się, że pulsuje jej w dłoni.

– Domyśla się pani, co to takiego, pani Ogg? – spytała, otwierając dłoń, by odsłonić małe szklane bańki.

– Tak. To klepsydra do gotowania jajek, która nie działa. – Pani Ogg tak energicznie usiadła w swoim wypchanym fotelu, że na moment jej stopy oderwały się od podłogi.

– Wygląda na jeden dzień, pani Ogg. Czas jednego dnia.

Pani Ogg popatrzyła na Susan, a potem na małą klepsydę w jej dłoni.

– Tak myślałam, że jest w niej coś dziwnego – przyznała. – Piasek się nie przesypuje, nawet kiedy ją przekręcić. Widzisz?

– Bo jeszcze nie jest pani potrzebny, pani Ogg.

Zdawało się, że pani Ogg się uspokoiła. Susan raz jeszcze przypomniała samej sobie, że rozmawia z czarownicą. One zwykle nie ustępują.

– Zatrzymałam to, bo to prezent – wyjaśniła staruszka. – I ładnie wygląda. Co mówią te litery przy brzegu?

Susan przeczytała słowa wytrawione w metalowej podstawie życiometera: *Tempus Redux*.

– Czas zwrócony – powiedziała.

– Tak, to będzie to. Ten człowiek mówił, że zwróci mi za stracony czas.

– Ten człowiek...? – powtórzyła delikatnie Susan.

Niania Ogg spojrzała na nią z ogniem w oczach.

– Nie próbuj wykorzystywać tego, że przez chwileczkę byłam trochę wzburzona! – warknęła ze złością. – Nie zdołasz wyminąć niani Ogg!

Susan przyjrzała się, ale teraz nie tym leniwym okiem. I rzeczywiście, nie istniała droga pozwalająca ominąć panią Ogg. Ale była też inna droga, skuteczna – biegnąca prosto przez jej serce.

– Dziecko powinno znać swoich rodziców, pani Ogg. Powinien wiedzieć, kim jest naprawdę. Będzie mu ciężko, a ja chciałabym mu pomóc.

– Czemu?

– Bo chciałabym, żeby dawno temu i mnie ktoś pomógł.

– Owszem, ale akuszerka ma pewne zasady – przypomniała niania Ogg. – Nie mówisz, co było powiedziane ani co widziałas. Nie, jeśli dama sobie nie życzy.

Czarownica kręciła się w fotelu z zakłopotaniem; twarz jej czerwieniała. Ona chce mi powiedzieć, odgadła Susan. Rozpaczliwie chce tego. Ale muszę dobrze to rozegrać, żeby mogła jakoś to sobie wytłumaczyć.

– Nie pytam o imiona, pani Ogg, bo sądzę, że ich pani nie zna.

– To prawda.

– Ale dziecko...

– Słuchaj no, panienko... ani żywa dusza nie powinna się o tym ode mnie dowiedzieć...

– Jeśli to ma w czymś pomóc, nie mam pewności, czy nią jestem – powiedziała Susan. Przez chwilę przyglądała się pani Ogg. – Ale rozumiem. Muszą być jakieś zasady, prawda? Dziękuję za pani czas.

Wstała, odstawiła zachowany dzień z powrotem nad kominek i wyszła z domku. Pimpus czekał u bramy. Wskoczyła na siodło i dopiero wtedy usłyszała, że drzwi się otwierają.

– Tak właśnie powiedział – rzekła pani Ogg. – Kiedy dawał mi tę klepsydrę. „Dziękuję za pani czas, pani Ogg”, powiedział. Wróć, moja droga.

Tik

Śmierć znalazł Zarazę w hospicjum w Llamedos. Zaraza lubił szpitale. Zawsze miał w nich coś do roboty.

W tej chwili próbował usunąć znad pękniętej umywalki tabliczkę „Umyj ręce!”. Obejrzał się.

– Ach, to ty... – mruknął. – Mydło? Ja im dam mydło!

PRZESŁAŁEM CI WEZWANIE, POWIEDZIAŁ ŚMIERĆ.

– Aha. No tak. Rzeczywiście. Tak – przyznał Zaraza, wyraźnie zakłopotany.

NADAL MASZ SWOJEGO KONIA?

– Oczywiście, ale...

TO BYŁ PIĘKNY RUMAK.

– Posłuchaj, Śmierć... chodzi o to... wiesz, nie w tym rzecz, że nie podzielam twojego punktu widzenia, ale... Przepraszam.

Zaraza odstał na bok, kiedy ubrana na biało zakonnica przeszła między dwójką Jeźdźców, zupełnie nie zdając sobie sprawy z ich obecności. Skorzystał jednak z

okazji, by dmuchnąć jej w twarz.

– Tylko lekka grypa – zapewnił, widząc minę Śmierci.

CZYLI MOŻEMY NA CIEBIE LICZYĆ, TAK?

– Że wyruszę...

TAK.

– Na Wielki Występ...

TEGO SIĘ OD NAS OCZEKUJE.

– Ilu z pozostałych przekonałeś?

TY JESTEŚ PIERWSZY.

– Ehm...

Śmierć westchnął. Oczywiście, już na długo przed pojawieniem się ludzi istniało mnóstwo chorób, ale ludzie stworzyli Zarazę. Byli prawdziwymi geniuszami, jeśli chodzi o tłoczenie się blisko siebie, włóczenie się gdzieś po dżunglach czy wygodne umieszczanie śmietnika tuż obok studni. Zaraza był zatem częściowo ludzki, ze wszystkim, co się z tym wiązało.

ROZUMIEM.

– Jeśli tak stawiasz sprawę...

BOISZ SIĘ?

– Ja... pomyślę o tym.

TAK. JESTEM TEGO PEWIEN.

Tik

Pani Ogg chlusnęła sporo brandy do swej szklanki. Spojrzała pytająco na Susan i pomachała butelką.

– Nie, dziękuję.

– Jak chcesz, jak chcesz. – Czarownica odstawiała butelkę i pociągnęła brandy, jakby to było piwo. – Jakiś mężczyzna zapukał do drzwi – powiedziała. – Trzy razy się zjawiał w moim życiu. Ostatnio, bo ja wiem, jakieś dziesięć dni temu. Szukał akuszerki...

– Dziesięć dni temu? – zdziwiła się Susan. – Przecież chłopiec ma co najmniej sze...

Zamilkła.

– Aha, zrozumiałaś. Od razu zauważyłam, że jesteś bystra. Czas nie miał dla niego znaczenia. Szukał najlepszej akuszerki. I wyszło chyba na to, że usłyszał o mnie, ale pomylił daty. Tak jakbyś ty albo ja zastukały do niewłaściwych drzwi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Więcej, niż pani sądzi – zapewniła Susan.

– Za trzecim razem... – kolejny łyk brandy – ...był już mocno zdenerwowany. Stąd wiedziałam, że to tylko człowiek, mimo późniejszych wydarzeń. Bo on panikował, prawdę mówiąc. Ciężarnym ojcom często się to zdarza. Ciągłe powtarzał, że musimy zaraz ruszać i że nie ma czasu. A przecież miał cały czas świata, tyle że nie myślał rozsądnie, bo mężowie nigdy nie myślą, kiedy nadchodzi ta chwila. Panikują, ponieważ to już nie jest ich świat.

– A co się stało potem? – spytała Susan.

– Zabrał mnie swoim... no, podobny był do któregoś z tych dawnych rydwanów, i pojechaliśmy do... – Pani Ogg się zawahała. – Wiele niezwykłych rzeczy w życiu widziałam, musisz wiedzieć – oświadczyła, jakby przygotowując grunt dla sensacji.

– Mogę w to uwierzyć.

– To był zamek zbudowany ze szkła.

Rzuciła Susan takie spojrzenie, jakby wyzywała ją, by spróbowała nie dowierzać. Susan postanowiła trochę ją ponaglić.

– Pani Ogg, w jednym z moich najwcześniejszych wspomnień pomagam karmić Błedego Konia. Wie pani? Tego, który czeka przed domem. Wierzchowca Śmierci. Ma na imię Pimpus. Więc proszę już nie przerywać. Praktycznie nie istnieje granica tego, co uważam za normalne.

– Była tam kobieta... no, w końcu była kobietą – opowiadała czarownica. – Możesz sobie wyobrazić kogoś, kto eksploduje i rozpada się w milion kawałków? No tak, myślę, że możesz. No więc wyobraź sobie coś odwrotnego. Jest jakby mgła, a potem cała spływa w jedno miejsce i szszu... jest kobieta. Potem szszuu... i znowu mgła. I przez cały czas ten dźwięk...

Pani Ogg przejechała palcem po brzegu szklanki. Szkło zadźwięczało.

– Kobieta na zmianę... ucieleśniała się i znowu znikała? Dlaczego?

– Bo była wystraszona, oczywiście. Pierwszy raz, rozumiesz. – Pani Ogg uśmiechnęła się szeroko. – Osobiście nigdy nie miałam z tym kłopotów, ale pomagałam przy wielu narodzinach, kiedy dla dziewczyny wszystko było nowe, więc się bała jak demony, a kiedy parcie przeszło w pchanie, jeśli chwytaś, co mam na myśli, to takie stare powiedzonko akuszerskie, wtedy wrzeszczą i przeklinają ojca, i tak sobie myślę, że oddałyby wszystko, żeby się znaleźć gdzie indziej. No więc ta dama mogła się znaleźć gdzie indziej. Wpadlibyśmy w niezłe bagno, gdyby nie ten mężczyzna, jak się okazało.

– Mężczyzna, który panią sprowadził?

– Był taki jakby zagraniczny, rozumiesz. Jak ci ludzie w pobliżu Osi. Łysy jak łyska. Pamiętam, że pomyślałam sobie: Wyglądasz mi pan na młodego człowieka, ale takiego, co to jest młody już od bardzo, bardzo dawna, o ile mogę to ocenić.

Normalnie nie pozwalałam żadnym mężczyznom na to patrzeć, ale on siedział tam, rozmawiał z nią w tej zagranicznej mowie, śpiewał jej piosenki i recytował jakieś wiersze, i uspokajał ją, aż się pojawiła z powietrza, a ja już czekałam, więc poszło raz-dwa, gotowe. I potem zniknęła. Tylko że ciągle tam była, tak myślę. W powietrzu.

– Jak wyglądała? – chciała wiedzieć Susan.

Pani Ogg spojrzała na nią z ukosa.

– Musisz pamiętać, jaki miałam widok ze swojego miejsca – powiedziała. – Taki opis, jaki mogę ci podać, to nie coś, co można by umieścić na afiszu, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Zresztą w takiej chwili żadna kobieta nie wygląda najlepiej. Była młoda i miała ciemne włosy... – Pani Ogg ponownie napełniła szklaneczkę, więc milczenie potrwało dłużej. – I była też stara, jeśli chcesz znać prawdę. Nie stara jak ja. Stara.

Zapatrzyła się w ogień.

– Stara jak ciemność i gwiazdy – rzuciła w stronę płomieni.

– Chłopca zostawili przed Gildią Złodziei – odezwała się Susan, by jakoś wypełnić ciszę. – Uznali zapewne, że przy takich uzdolnieniach łatwo sobie poradzi.

– Chłopiec? Ha... Wyłumacz mi, panienko... Dlaczego mówimy „on”?

Tik

Lady LeJean starała się być silna.

Nie zdawała sobie sprawy, w jakim stopniu ludzkie istoty kontrolowane są przez ciało. Dokuczało jej bez przerwy. Ciągłe było zbyt zimne, zbyt gorące, zbyt pełne, zbyt puste, zbyt zmęczone...

Nie miała wątpliwości, że kluczem jest dyscyplina. Audytorzy są nieśmiertelni. Jeśli ktoś nie potrafi rozkazać ciału, co ma robić, to nie zasługuje na to, by je posiadać. Ciało to główna ludzka słabość.

Zmysły również. Audytorzy mieli setki zmysłów, jako że każdy możliwy fenomen musiał być dostrzeżony i zarejestrowany. Teraz potrafiła odkryć jedynie pięć. Ale za to były bezpośrednio podłączone do reszty ciała. Nie tylko dostarczały informacji, lecz stawiały żądania!

Wystarczyło, że przeszła obok straganu sprzedającego pieczone mięsa, a natychmiast zaczynała się ślinić. Zmysł węchu bez konsultacji z mózgiem nakazywał ciału jeść! Ale to jeszcze nie było najgorsze. Sam mózg dokonywał własnego myślenia.

To okazało się najtrudniejsze. Ukryta za oczami bryła gąbczastej tkanki funkcjonowała niezależnie od swojego właściciela. Pobierała informacje od zmysłów,

porównywała ją z pamięcią i przedstawiała możliwości. Niekiedy jakieś ukryte części walczyły nawet o sterowanie ustami! Ludzie nie byli pojedynczymi osobnikami; każdy z nich stanowił cały komitet.

Niektórzy z członków tego komitetu byli mroczni, czerwoni i całkowicie niecywilizowani. Przyłączyli się do mózgu, zanim jeszcze zaczęła się cywilizacja, część z nich jeszcze przed początkiem ludzkości. A ta część, która odpowiadała za połączone myślenie, musiała w ciemności jaźni walczyć o decydujący głos.

Po zaledwie paru tygodniach przeżytych jako człowiek jaźń będąca lady LeJean miała poważne kłopoty.

Na przykład jedzenie. Audytorzy nie jedli. Owszem, rozumieli, że nędzne formy życia muszą konsumować się nawzajem, by uzyskać energię i materiały do budowy ciał. Proces był jednak szokująco nieefektywny, więc lady LeJean próbowała pobierać substancje odżywcze wprost z powietrza. Działo się, ale wrażenie było... jak brzmiało to słowo? A tak, niesamowite.

Poza tym część mózgu nie wierzyła, że ciało jest karmione, i upierała się, że jest głodne. To bezustanne dopominanie się zakłócało procesy myślowe, tak więc mimo wszystko musiała się zmierzyć z całą... hm, sprawą otworów cielesnych.

Audytorzy wiedzieli o nich od dawna. Ciało ludzkie posiadało do ośmiu takich otworów. Jeden był chyba wyłączony, a pozostałe, jak się wydawało, działały wielozadaniowo, choć – co zaskakujące – istniała tylko jedna czynność, jaką wykonywały uszy.

Wczoraj spróbowała suchego chleba.

Było to najgorsze doznanie jej egzystencji.

Było to najgłębsze doznanie jej egzystencji.

Było także czymś innym. O ile była w stanie zrozumieć język, było także przyjemne.

Okazało się, że ludzki zmysł smaku bardzo się różni od zmysłu wykorzystywanego przez Audytorów. Tamten był precyzyjny, wymierzony, analityczny, ale ludzki zmysł smaku przypominał raczej uderzenie w usta przez cały świat. Był półgodzinnym oglądaniem fajerwerków we własnej głowie, zanim przypomniawszy sobie, że powinna przełknąć.

Jak ludzie mogli to przeżyć?

Fascynowały ją galerie sztuki. Było jasne, że niektórzy z ludzi potrafią prezentować rzeczywistość w sposób, który czynił ją jeszcze bardziej rzeczywistą, przemawiał do widza, rozpalał duszę... Ale co mogło przeważać świadomość, że genialny artysta musi wtykać sobie obce substancje do twarzy? Czy możliwe, że ludzie się przyzwyczajają? A to był tylko początek...

Im szybciej powstanie ten zegar, tym lepiej. Gatunek tak obłąkany jak ten nie

powinien istnieć. Ostatnio codziennie odwiedzała zegarmistrza i jego brzydkiego asystenta, udzielając tyle pomocy, ile się ośmielała. Zawsze jednak jeden kluczowy krok dzielił ich od ukończenia pracy...

Zadziwiające! Potrafiła okłamywać samą siebie! Ponieważ inny głos w jej głowie, głos należący do tego mrocznego komitetu mówił: Wcale nie pomagasz, prawda? Wykradasz części, psujesz części... I wracasz tam codziennie dlatego, że on tak na ciebie patrzy, prawda?

Elementy wewnętrznego komitetu tak stare, że nie miały nawet głosów, tylko bezpośrednią kontrolę nad ciałem, próbowały się w tym momencie wtrącić. Na próżno usiłowała wypchnąć je z umysłu.

A teraz musiała się spotkać z innymi Audytorami. Na pewno będą punktualni.

Opanowała się. Ostatniej woda zaczynała cieknąć jej z oczu bez żadnego powodu. Zrobiła co mogła z włosami i przeszła do dużej bawialni.

Szarość wypełniała już powietrze. W tej przestrzeni nie było miejsca dla zbyt wielu Audytorów, ale to nie miało znaczenia. Jeden mógł mówić za wszystkich.

Lady LeJean zauważyła, że kąciki jej ust odruchowo uniosły się w górę, kiedy pojawiło się ich dziewięciu. Dziewięć to trzy trójki, a Audytorzy lubili trójki. W ten sposób dwóch pilnowało trzeciego. Każda dwójka uważała na każdego trzeciego. Nie mają do siebie zaufania, stwierdził jeden z głosów w jej głowie. A inny głos wtrącił: To my, my nie mamy do siebie zaufania. I pomyślała: No tak. To my, nie oni. Muszę pamiętać, że jestem nami.

Audytor zapytał: *Dlaczego nie ma dalszych postępów?*

Kąciki ust znowu opadły w dół.

– Pojawiły się drobne kłopoty z precyzją i regulacją – wyjaśniła lady LeJean.

Zauważyła, że jej dłonie pocierają wolno o siebie. Zastanowiła się dlaczego. Przecież im nie kazała.

Audytorzy nigdy nie potrzebowali mowy ciała, a zatem jej nie rozumieli.

Jeden powiedział: *Jaka jest natura tych... ?*

Ale przerwał mu inny: *Dlaczego zamieszkujesz w tym budynku?* W jego głosie brzmiała podejrzliwość.

– Ciało wymaga od nosiciela pewnych czynności, których nie można wykonać na ulicy – odparła lady LeJean. A ponieważ poznała już trochę Ankh-Morpork, dodała: – A w każdym razie na wielu ulicach. Sądzę również, że sługa zegarmistrza coś podejrzewa. Pozwoliłam ciału, by poddawało się grawitacji, gdyż do tego właśnie było zaprojektowane. Lepiej jest wywoływać wrażenie człowieczeństwa.

Jeden, i to ten sam, powiedział: *A jaki jest sens tego?*

Zauważył farby i sztalugi. Lady LeJean gwałtownie pożałowała, że nie pamiętała, by je usunąć.

Ten jeden powiedział: *Produkujesz obrazy za pomocą pigmentów?*

– Tak. Bardzo marne, niestety.

Jeden powiedział: *Z jakiego powodu ?*

– Chciałam się przekonać, jak to robią ludzie.

Jeden powiedział: *To proste: oko otrzymuje dane wejściowe, ręka aplikuje pigment.*

– Tak też myślałam, ale wydaje się, że to o wiele bardziej skomplikowane.

Jeden – ten, który pytał o malowanie – przepłynął do jednego z krzeseł i powiedział: *A co to jest?*

– To kot. Przyszedł. Nie wydaje się, żeby chciał odejść.

Dziki rudy kocur zastrzygł poszarpanym uchem i zwinął się w ciaśniejszy kłębek. Coś, co zdołało przetrwać na ulicach Ankh-Morpork z ich porzuconymi smokami bagiennymi, stadami psów i agentami kuśnierzy, nie miało zamiaru otwierać nawet jednego oka na grupę pływających w powietrzu nocnych koszul.

Ten jeden, który zaczynał już działać lady LeJean na nerwy, powiedział: *A powód jego obecności?*

– Zdaje się tolerować towarzystwo lu... pozornych ludzi, nie żądając w zamian nic poza jedzeniem, wodą i pieszczotą – tłumaczyła lady LeJean. – To mnie interesuje. Naszym celem jest uczenie się i tak oto zaczęłam, jak widzicie.

Jeden powiedział: *Kiedy będą rozwiązane te problemy z zegarem, o których była mowa ?*

– Och, niedługo. Już wkrótce. Tak.

Ten jeden, który zaczynał lady LeJean przerażać, powiedział: *Czy jest możliwe, że w jakiś sposób spowalniasz pracę?*

Lady LeJean poczuła łaskotanie na czole. Dlaczego?

– Nie. Czemu miałabym spowalniać pracę? To nie byłoby logiczne!

Jeden powiedział: *Hm.*

Audytorka nie mówi „Hm” przypadkiem. „Hm” ma bardzo dokładnie określone znaczenie.

Mówił dalej: *Wytwarzasz wilgoć na głowie.*

– Tak. To działanie ciała.

Jeden powiedział: *Tak.*

I to również miało określony i złowieszczy sens.

Jeden powiedział: *Zastanawiamy się, czy zbyt długie przebywanie w materialnym ciele nie osłabia stanowczości. Ponadto trudno nam zobaczyć twoje myśli.*

– Obawiam się, że to znowu kwestia ciała. Mózg jest bardzo nieprecyzyjnym instrumentem. – Lady LeJean zapanowała w końcu nad swoimi dłońmi.

Jeden powiedział: *Tak.*

Inny powiedział: *Kiedy woda wypełnia dzban, przybiera kształt dzbana. Ale woda nie jest dzbanem ani dzban wodą.*

– Oczywiście – zgodziła się lady LeJean.

A myśl, o której nie wiedziała, że ją myśli, która wynurzyła się z ciemności za oczami, oznajmiła: Z pewnością jesteśmy najgłupszymi istotami we wszechświecie.

Jeden powiedział: *Niedobrze jest działać samotnie.*

– Oczywiście – powtórzyła lady LeJean.

I raz jeszcze myśl wyłoniła się z ciemności: Teraz mam kłopoty.

Jeden powiedział: *A zatem będziesz mieć towarzyszy. To niczyja ruina. Jeden nie powinien nigdy być sam. Razem stanowczość jest wzmocniona.*

Pyłki zamigotały w powietrzu.

Ciało lady LeJean cofnęło się odruchowo, a kiedy zobaczyła, co się formuje, cofnęło się dalej. Widziała istoty ludzkie we wszystkich stanach życia i śmierci, ale patrzenie, jak z pierwotnej materii zaczyna się splatać ciało, okazało się dziwnie niepokojące, zwłaszcza gdy w tym momencie samemu zamieszkiwało się podobne ciało. Była to jedna z tych chwil, kiedy żołądek przejmował myślenie i wydawało mu się, że chce zwymiotować.

Sześć postaci nabrało kształtów, zamrugało i otworzyło szeroko oczy. Trzy z nich były męskie, trzy kobiece. Nosiły na sobie odpowiedniki szat Audytorów w ludzkim rozmiarze.

Pozostali Audytorzy wycofali się, ale jeden powiedział: *Udadzą się z tobą do zegarmistrza i sprawa zostanie rozwiązana dzisiaj. Nie będą jeść ani oddychać.*

Ha! – pomyślał jeden z cichych głosów, które tworzyły myśli lady LeJean.

Jedna z postaci jęknęła.

– Ciało będzie oddychać – oznajmiła lady LeJean. – Nie przekonacie go, że powietrze nie jest konieczne.

Słyszała wyraźne odgłosy duszenia się.

– Myślicie: Przecież możemy wymieniać niezbędne materiały z zewnętrznym światem, i to prawda – ciągnęła. – Ale ciało tego nie wie. Myśli, że umiera. Pozwólcie mu oddychać.

Rozległy się głośnie sapnięcia.

– Szybko poczujecie się lepiej – stwierdziła.

Z zachwytem usłyszała, jak jej wewnętrzny głos myśli: To mają być twoi dozorczy, a ty już jesteś silniejsza od nich.

Jedna z postaci niezgrabnie obmacała dłonią swą twarz.

– Do kogo przemawiasz ustami? – spytała, dysząc ciężko.

– Do was – odparła lady LeJean.

– Nas?

– To wymaga pewnych wyjaśnień...

– Nie – rzekł Audytor. – Na tej drodze czyha niebezpieczeństwo. Sądzimy, że ciało narzuca mózgowi sposób myślenia. To niczyja wina. To... wada konstrukcyjna. Będziemy ci towarzyszyć podczas wizyty u zegarmistrza. Uczynimy to teraz.

– Nie w tych ubraniach – uprzedziła lady LeJean. – Wystraszyście go. A to może prowadzić do działań nieracjonalnych.

Zapadła cisza. Ucieleśnieni Audytorzy spoglądali na siebie bezradnie.

– Musicie mówić ustami – zasugerowała im lady LeJean. – Myśli pozostają w głowie.

Jeden powiedział:

– Dlaczego te ubrania nie są odpowiednie? To prosty kształt, występuje w wielu ludzkich kulturach.

Lady LeJean podeszła do okna.

– Widzicie tych ludzi na dole? – spytała. – Musicie się ubrać odpowiednio do miejskiej mody.

Audytorzy posłuchali niechętnie i choć zachowali szarość, utworzyli sobie ubrania, które na ulicy mogły nie zwracać uwagi. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– Tylko ci o żeńskim wyglądzie powinni nosić suknie – zaznaczyła lady LeJean.

Unoszący się w powietrzu szary kształt powiedział: *Uwaga. Zagrożenie. Ten nazywający siebie lady LeJean może udzielać niebezpiecznych porad. Uwaga.*

– Zrozumiane – odparł jeden z posiadających ciała. – Znamy drogę. Poprowadzimy.

Ruszył do wyjścia, a za nim inni Audytorzy. Przez chwilę stali razem pod drzwiami, aż jeden obejrzał się niechętnie na lady LeJean. Uśmiechnęła się.

– Klamka – podpowiedziała.

Audytor odwrócił się znowu, spojrzał na mosiężną klamkę, a potem od góry do dołu zmierzył wzrokiem drzwi.

Rozsypały się w proch.

– Klamka byłaby prostsza – zauważyła lady LeJean.

Tik

Wokół Osi wyrastały liczne ogromne góry. Ale z tych wznoszących się nad świątynią nie wszystkie miały nazwy, ponieważ było ich zwyczajnie za dużo. Tylko bogowie mają dość czasu, by nadać imiona wszystkim kamykom na plaży, jednak bogom brakuje cierpliwości.

Miedzianka była dostatecznie mała, by być dostatecznie wielką, by otrzymać

nazwę. Lobsang przebudził się i zobaczył jej zakrzywiony szczyt wznoszący się powyżej niższych okolicznych gór, wyraźnie zarysowany na tle wschodzącego słońca.

Czasami bogowie nie mają gustu nawet za pensa. Dopuszczają do wschodów i zachodów w bezsensownych odcieniach różu i błękitu, jakie każdy zawodowy malarz odrzuciłby jako dzieło entuzjastycznego amatora, który nigdy nie widział prawdziwego wschodu ani zachodu słońca. Ten wschód należał do takich właśnie zjawisk. Był to wschód słońca, na który człowiek patrzy i mówi: „Nie, żaden prawdziwy wschód słońca nie mógłby zabarwić nieba w taki odcień różu preparatów chirurgicznych”.

Mimo to był piękny. [Chociaż bardzo niegustowny.]

Lobsang leżał na wpół przykryty w stosie zeschniętych paproci. Po yeti nie pozostał nawet ślad.

Trwała tu wiosna. Wciąż leżał śnieg, ale zdarzały się łaty odkrytej ziemi albo kawałki zieleni. Rozejrzał się i zauważył zwinięte w pączek listki.

Lu-tze stał niedaleko z uniesioną głową i patrzył na drzewo. Nie obejrzał się, gdy podszedł Lobsang.

– Gdzie jest yeti?

– Nie chciał iść dalej. Nie można prosić yeti, żeby opuścił śnieg – szepnął sprzątac.

– Aha... – szepnął Lobsang. – A dlaczego mówimy szeptem?

– Spójrz na tego ptaka.

Ptak siedział w rozwidleniu konarów obok czegoś, co wyglądało jak domek dla ptaków. Dziobał mniej więcej okrągły kawałek drewna, który przytrzymywał pazurkiem.

– Pewnie naprawia stare gniazdo – wyjaśnił Lu-tze. – Tak wczesną wiosną nie mógł posunąć się tak daleko z budową nowego.

– Przypomina mi to jakąś starą skrzynkę – uznał Lobsang. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć. – Czyżby... stary zegar?

– Przyjrzyj się, co wydziobuje ten ptak – zasugerował Lu-tze.

– Przypomina... prymitywne kółko zębate... Ale czemu?

– Spozregawczy jesteś. To jest, mój chłopcze, kukulka zegarowa. Młoda, na oko sądząc. Próbuje zbudować gniazdo, żeby zwabić partnerkę. Nie ma wielkich szans... Widzisz? Całkiem pomylił cyfry na tarczy, a wskazówki umocował krzywo.

– Ptak buduje zegary? Myślałem, że zegar z kukulką to taki zegar, w którym wbudowano mechaniczną kukulkę wyskakującą, kiedy...

– A jak myślisz, skąd ludziom przyszedł do głowy taki pomysł?

– Ale to przecież prawdziwy cud!

– Dlaczego? – zdziwił się Lu-tze. – Rzadko kiedy chodzą dłużej niż pół godziny,

zupełnie nie są punktualne, a te nieszczęsne głupie samczyki dostają obłądu, bez przerwy je nakręcając.

– Przecież nawet...

– Przypuszczam, że wszystko gdzieś się zdarza. Nie warto tego roztrząsać. Zostało ci jeszcze coś do jedzenia?

– Nie. Wczoraj wieczorem skończyliśmy wszystko. – Lobsang westchnął. Po czym dodał z nadzieją: – Słyszałem, że bardzo zaawansowani mnisi potrafią się żywić, no... energią życiową z samego powietrza.

– Tylko na planecie Parówka, podejrzewam – mruknął Lu-tze. – Nie, ominiemy Miedziankę i poszukamy czegoś w dolinach po drugiej stronie. Chodźmy, nie mamy wiele czasu.

Ale dość, żeby oglądać ptaka, pomyślał Lobsang, kiedy świat wokół niego zbłękitniał i się rozmył. I ta myśl go uspokoiła.

Marsz bez śniegu pod nogami okazał się łatwiejszy, pod warunkiem unikania dziwnego oporu stawianego przez krzewy i wysoką trawę. Lu-tze sunął przodem, zaskakująco barwny na tle wyblakłego pejzażu.

Minęli wejście do kopalni krasnoludów, ale nikogo nie zauważyli na powierzchni. Lobsanga to ucieszyło. Posągi, które spotykał wczoraj w wioskach, nie były martwe, wiedział o tym, jedynie zastygłe w innej szybkości czasu. Lu-tze zabronił mu zbliżać się do kogokolwiek, lecz niepotrzebnie się martwił. Wymijanie tych żywych posągów było w jakimś sensie agresywne. Człowiek czuł się jeszcze gorzej, kiedy sobie uświadomił, że tak naprawdę się poruszają, tylko bardzo, bardzo powoli...

Słońce ledwie się wzniosło nad horyzontem, kiedy zeszli przez cieplejsze lasy na krawędziową stronę góry. Okolica wydawała się tutaj bardziej udomowiona; otaczały ich tereny porośnięte drzewami, a nie prawdziwe lasy. Zwierzęca ścieżka, którą podążali, przecięła strumień w miejscu, gdzie zauważyli ślady wozów – stare, ale wciąż jeszcze niezarośnięte.

Lobsang obejrzał się, gdy przechodzili brodem. Woda bardzo powoli zalewała kształt jego stóp odbity w wodzie strumienia.

Wraz z innymi nowicjuszami uczył się krojenia czasu na śnieżnych polach powyżej doliny. Dlatego żeby nie stała im się jakaś krzywda, tłumaczyli mnisi, choć nie wyjaśniali, jaka krzywda mogłaby się im stać. Teraz, poza klasztorem, Lobsang po raz pierwszy kroił czas w żyjącym pejzażu.

Było cudownie! Ptaki tkwiły na niebie. Wczesne trzmielce wisiały nad otwierającymi się kwiatami. Świat był niczym kryształ zbudowany z żywych istot.

Lobsang zwolnił przy stadku saren szczypiących trawę. Patrzył, jak oko jednej z nich przesuwają się z geologiczną powolnością, by go obserwować. Zobaczył, jak przesuwają się skóra, gdy mięśnie pod nią napinają się do ucieczki...

– Pora na dymka – oznajmił Lu-tze.

Świat wokół Lobsanga przyspieszył. Sarny uciekły, a wraz z nimi magia cudownej chwili.

– Co to znaczy „na dymka”? – zapytał Lobsang. Zirytował się. Spokojny, powolny świat był zabawny.

– Byłeś kiedyś w Czteriksach?

– Nie. Ale Pod Kiścią Winogron mają barmana, który stamtąd pochodzi.

Lu-tze zapalił papierosa.

– To niewiele znaczy – rzekł. – Wszędzie jakiś barman stamtąd pochodzi. Dziwny kraj. Duże źródło czasu w samym środku, bardzo użyteczne. Czas i przestrzeń zupełnie się tam zaplątały. Prawdopodobnie przez to całe piwo. Ale kraj miły... Widzisz to państwko w dole?

Z jednej strony polany grunt opadał stromo, ukazując czubki drzew, a za nimi szachownicę pól wciśniętych w zakątek między górami. W oddali widać było wąwóz, a Lobsang miał wrażenie, że dostrzega nad nim most.

– Nie wygląda mi na państwo – stwierdził. – Raczej na półkę skalną.

– To kraina czarownic – oświadczył Lu-tze. – A my chcemy pożyczyć miotłę. Do Ankh-Morpork to jedyny sensowny sposób podróży.

– Czy to nie, no... interwencja w historię? Mówili nam, że takie zjawiska są możliwe u nas, w dolinach, ale w dole, na świecie...

– Nie, to absolutnie zakazane. Ponieważ to Interwencja w Historię. Trzeba tylko uważać na czarownice. Niektóre są bardzo sprytnie. – Zauważył minę Lobsanga. – No przecież do tego służą reguły, rozumiesz? Żebyś się dobrze zastanowił, zanim je złamiesz.

– Ale...

Lu-tze westchnął i zdusił koniec papierosa.

– Ktoś nas obserwuje – rzekł.

Lobsang odwrócił się błyskawicznie. Otaczały ich jedynie drzewa i brzęczące w porannym powietrzu owady.

– W górze – rzucił Lu-tze.

Kruk siedział na złamanej gałęzi sosny poszarpanej zimową burzą. Przyglądał się, jak mu się przyglądają.

– Kra? – powiedział.

– To tylko kruk – stwierdził Lobsang. – W dolinie jest ich mnóstwo.

– Obserwował nas na postoju – upierał się Lu-tze.

– Kruki żyją w całych górach, sprzątaczu.

– I kiedy spotkaliśmy yeti.

– To wyjaśnia sprawę. Na pewno przypadek. Żaden kruk nie może tak szybko

latać.

– Może to jakiś specjalny kruk. W każdym razie to nie żaden z naszych górskich kruków. Górskie kruki skrzeczą, nie kraczą. Ciekawe, dlaczego się nami interesuje.

– To trochę... dziwaczne sądzić, że jesteśmy śledzeni przez ptaka – uznał Lobsang.

– Kiedy będziesz w moim wieku, zaczniesz zauważać, co jest na niebie – odparł Lu-tze. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Zaczniesz się martwić, że to może sępy.

Rozpłynęli się w czasie i zniknęli.

Kruk nastroszył pióra.

– Skrzeczą? – zdziwił się. – A niech to.

Tik

Lobsang pomacał pod strzechą na okapach dachu chatki. Dłonią trafił na gałązki miotły wciśniętej między żdźbła słomy.

– To tak jakbyśmy kradli – powiedział, kiedy Lu-tze pomógł mu zejść.

– Nie, wcale nie – zapewnił sprzątac. Uniósł miotłę, by spojrzeć wzdłuż kija. – I powiem ci dlaczego. Jeśli załatwimy sprawę, podrzucimy ją w drodze powrotnej i czarownica nigdy się nie dowie, że miotła zniknęła. A jeśli nie załatwimy sprawy, to też się nie dowie, że zniknęła. Szczerze powiem, że czarownice niezbyt dbają o swoje miotły. Nie użyłbym tego, żeby sprzątnąć sadzawkę! No dobrze... Wracamy do czasu zegarowego, chłopcze. Nie chciałbym na tym lecieć, kiedy kroimy.

Stanął okrakiem nad kijem i złapał uchwyt. Miotła uniosła się nieco.

– Zawieszenie ma dobre – stwierdził. – Możesz siadać z tyłu. Trzymaj mocno moją miotłę i nie zapomnij owinać się szatą. W górze nieźle wieje.

Lobsang zajął miejsce i miotła wzleciała. Kiedy osiągnęła poziom dolnych gałęzi drzew wokół doliny, twarz Lu-tze osiągnęła poziom kruka, który wiercił się nerwowo i przekręcał głowę w jedną i w drugą stronę, usiłując spoglądać na starca oboma oczami.

– Zastanawiam się, zakraczesz czy zaskrzeczysz – mruknął Lu-tze jakby do siebie.

– Zaskrzeczę – odparł kruk.

– Czyli nie jesteś tym krukiem, którego widzieliśmy po drugiej stronie góry?

– Ja? Skąd! Tu jest przecież terytorium skrzeczenia.

– Sprawdzalem tylko.

Miotła wzleciała wyżej i ponad drzewami skierowała się w stronę Osi.

Kruk nastroszył pióra i zamrugał.

– Niech to lichy! – powiedział.

Obszedł drzewo dookoła, do miejsca gdzie siedział Śmierć Szczurów.

PIP?

– Słuchaj no, jeśli mam dalej pracować jako tajniak, to lepiej załatw mi jakiś podręcznik ornitologii, co? – odpowiedział Miodrzekł. – Ruszajmy, bo nigdy ich nie dogonię.

Tik

Śmierć znalazł Głód w nowej restauracji w Genoi. Głód miał boks tylko dla siebie i jadł Kaczkę z Brudnym Ryżem.

– Och, to ty – powiedział.

TAK. MUSIMY WYRUSZYĆ. NA PEWNO ODEBRAŁEŚ MOJĄ WIADOMOŚĆ.

– Przysuń sobie krzesło – syknął Głód. – Podają tu bardzo dobre kielbaski z aligatora.

POWIEDZIAŁEM, ŻE MUSIMY WYRUSZYĆ.

– Dlaczego?

Śmierć usiadł i zaczął tłumaczyć. Głód słuchał, choć ani na chwilę nie przestał jeść.

– Rozumiem – odezwał się w końcu. – Dziękuję, ale myślę, że raczej sobie to odpuszczę.

ODPUŚCISZ? JESTEŚ JEŹDźCEM!

– Tak, oczywiście. Ale jaka jest w tym moja rola?

SŁUCHAM?

– Wydaje się, że sprawa nie obejmuje klęski głodu, prawda? Braku pożywienia *per se*? Jako takiego?

NO WIĘC... NIEJAKO TAKIEGO, ISTOTNIE, ALE...

– Czyli wychodzi na to, że zjawiłbym się tylko po to, żeby pomachać ręką. Nie, dziękuję.

KIEDYŚ WYRUSZAŁEŚ ZA KAŻDYM RAZEM, rzekł Śmierć oskarżycielskim tonem.

Głód lekceważąco machnął kością.

– W tamtych czasach mieliśmy porządne apokalipsy – oświadczył i zaczął wysysać kość. – Coś, w co można było wbić zęby.

MIMO WSZYSTKO TO PRZECIEŻ KONIEC ŚWIATA.

Głód odsunął talerz i otworzył menu.

– Są inne światy – rzekł. – Jesteś zbyt sentymentalny, Śmierć. Zawsze to

powtarzam.

Śmierć wyprostował się. Ludzie stworzyli także Głód. Pewnie, zawsze zdarzały się susze albo szarańcza, ale żeby uzyskać naprawdę porządny głód, żeby żyzna kraina zmieniła się w pustynię wskutek głupoty i skąpstwa, potrzebni są ludzie. Głód był arogancki.

PRZEPRASZAM, ŻE ZAJĄŁEM CI CZAS, powiedział Śmierć.

Wyszedł na zatłoczoną ulicę całkiem sam.

Tik

Miotła spłynęła ku nizinom i wyrównała lot kilkaset stóp nad ziemią.

– Jesteśmy na dobrej drodze! – zawołał Lu-tze, wskazując przed siebie.

Lobsang zauważył w dole smukłą drewnianą wieżę obwieszoną skomplikowanymi pudełkami. W oddali majaczyła kolejna, jak wykałaczką w porannej mgle.

– Wieże semaforowe! – wołał Lu-tze. – Widziałeś je kiedyś?

– Tylko w mieście! – Lobsang starał się przekrzyczeć szum wiatru.

– To Wielki Pień! Biegnie prosto jak strzała aż do miasta! Musimy tylko podążać za nim!

Lobsang trzymał się mocno. W dole nie widział śniegu – wyglądało na to, że wiosna nadeszła już na dobre. A zatem nie było sprawiedliwe, że tutaj, o wiele bliżej słońca, powietrze było lodowate, a pęd lotu uderzał nim o skórę.

– Strasznie tu zimno!

– Owszem! Wspominałem ci o podwójnych kalesonach?

– Tak!

– Mam w sakwie zapasową parę. Możesz je wziąć, kiedy się zatrzymamy!

– Twoja własna para?

– Tak! Nie te najlepsze, ale porządnie zacerowane!

– Nie, dziękuję!

– Są wyprane!

– Lu-tze!

– Tak?

– Czemu nie możemy kroić, kiedy na tym lecimy?

Wieża znalazła się daleko za nimi. Następna urosła już do rozmiarów ołówka. Czarno-białe przesłony na pudełkach migotały w blasku słońca.

– A wiesz, co się stanie, jeśli spróbujesz kroić czas w magicznie napędzanym pojeździe przemieszczającym się z prędkością ponad siedemdziesiąt mil na godzinę?

– Nie!

– Ja też nie! I wolę tego nie sprawdzać!

Tik

Igor otworzył drzwi, zanim ktoś zastukał po raz drugi. Igor może napęłniać ziemią trumny w piwnicy albo na dachu ustawiać przewodnik błyskawic, ale przybysz nigdy nie musi pukać dwa razy.

– Lady... – wymruczał i skłonił głowę. Spojrzał obojętnie na sześć stojących za nią postaci.

– Przybyliśmy, żeby ocenić postęp – oznajmiła lady LeJean.

– A te panie oraz panowie?

– Moi partnerzy. – Patrzyła na niego z równą obojętnością.

– Zechcą państwo łaskawie wejść do frodka, a ja zobaczę, czy jafnie pan jeft w domu – powiedział Igor, stosując się do tradycji, że prawdziwy kamerdyner nigdy nie zna miejsca pobytu nikogo z domowników, dopóki oni nie zdecydują, że chcą, by było znane.

Wycofał się drzwiami do warsztatu, a następnie pokuśtykał do kuchni, gdzie Jeremy spokojnie wylewał do zlewu łyżkę lekarstwa.

– Przyšla ta kobieta – oznajmił. – I fprowadziła prawników.

Jeremy wyciągnął dłoń grzbietem do góry i przyjrzał się jej krytycznie.

– Widzisz, Igorze? – odezwał się. – Oto dotarliśmy już niemal do końca naszego wielkiego dzieła, a ja pozostaję absolutnie spokojny. Mógłbyś na mojej ręce zbudować dom, taka jest pewna.

– Prawnicy, jafnie panie – powtórzył Igor, nadając temu słowu głębię znaczeń.

– I...?

– No, mamy tu dużo pieniędzy, jafnie panie – wyjaśnił Igor z pełnym przekonaniem kogoś, kto nieformalnie ukrył we własnym bagażu niewielką, ale znaczącą ilość złota.

– Skończyliśmy zegar – oświadczył Jeremy, wciąż obserwując swoją dłoń.

– Od wielu dni był już prawie fkończony. Gdyby nie ona, to myflę, że moglifmy złapać tę przedwczorajfą burzę.

– Kiedy będzie następna?

Igor skrzywił się i kilka razy uderzył otwartą dłonią w skroń.

– Jakif front atmofferyczny nifkiego ciffnienia zbliża fię od Krawędzi – stwierdził.

– Niczego nie obiecuję przy tej fpapranej pogodzie, jaką tu macie. Ha, w domu burze z piorunami pędziły na wyfcigi, kiedy tylko człowiek wyftawił żelazny pręt. No więc co mam zrobić z tymi prawnikami?

– Wprowadź ich, naturalnie. Nie mamy niczego do ukrycia.

– Jeft pan pewien, jafnie panie? – upewnił się Igor, którego torby podróźnej nie dało się podnieść jedną ręką.

– Zrób to, Igorze.

Jeremy przygładził włosy. Burczący coś pod nosem Igor zniknął za drzwiami sklepu i po chwili wrócił z gośćmi.

– Lady LeJean, jafnie panie. Oraz inne... ofoby.

– Miło znów panią widzieć – rzekł Jeremy ze szklistym uśmiechem. Niejasno przypominał sobie coś, co kiedyś czytał. – Czy zechce mnie pani przedstawić swoim towarzyszom?

Lady LeJean spojrzała na niego nerwowo. A tak... ludzie zawsze chcieli znać imiona. A on znowu się uśmiechał... Trudno było jej myśleć.

– Panie Jeremy, to są moi... partnerzy – powiedziała. – Pan Czarny, pan Zielony, panna Brązowa, panna Biała, panna... Żółta. I pan Niebieski.

– Cieszę się, że mogę państwa poznać. – Jeremy wyciągnął rękę.

Sześć par oczu spojrzało na nią niepewnie.

– Tutejszy zwyczaj nakazuje uścisk dłoni – poinformowała lady LeJean.

Audytorzy równocześnie chwycili się jedną ręką za drugą i ścisnęli mocno.

– Dłoni tej drugiej osoby – uzupełniła lady LeJean. Uśmiechnęła się z przymusem do Jeremy'ego. – To cudzoziemcy – wyjaśniła.

Rozpoznała panikę w ich oczach, nawet jeśli oni nie zdawali sobie z niej sprawy. Potrafimy policzyć ilość i typy atomów w tym pokoju, myśleli. Jak może być tu coś, czego nie rozumiemy?

Jeremy zdołał wyrwać jedną ze ściskanych dłoni.

– A pan to...?

Audytor zerknął niespokojnie na lady LeJean.

– Pan Czarny – odpowiedziała.

– Rozumieliśmy, że to my jesteśmy panem Czarnym – wtrącił inny Audytor w męskiej postaci.

– Nie, jesteście panem Zielonym.

– Mimo to wolimy pana Czarnego. Jesteśmy ważniejsi, a czarny to bardziej znaczący odcień. Nie chcemy być panem Zielonym.

– Tłumaczenie waszych imion nie jest, moim zdaniem, szczególnie ważne. – Lady LeJean znów uśmiechnęła się do Jeremy'ego. – To moi księgowi – dodała.

Niektóre dokumenty, z jakimi się zaznajomiła, sugerowały, że może to wyjaśnić większość dziwacznych zachowań.

– Widzisz, Igorze? – rzucił Jeremy. – To po prostu księgowi.

Igor się skrzywił. Ze względu na kwestię bagażu, księgowi oznaczali

prawdopodobnie wieści jeszcze gorsze niż prawnicy.

– Szary byłby do przyjęcia – nie ustępował pan Zielony.

– A jednak jesteście panem Zielonym. My jesteśmy panem Czarnym. To kwestia statusu.

– Jeśli tak – wtrąciła panna Biała – to biały oznacza wyższy status niż czarny. Czerń to nieobecność kolorów.

– Słuszna uwaga – przyznał pan Czarny. – A zatem od teraz jesteśmy panem Białym. Wy jesteście panną Czerwoną.

– Poprzednio twierdziliście, że jesteście panem Czarnym.

– Nowa informacja powoduje zmianę stanowiska. Co nie oznacza, że poprzednie stanowisko było błędne.

To już się dzieje, myślała lady LeJean. W tym mroku, którego wasze oczy nie widzą. Wszechświat dzieli się na połowy, a wy żyjecie w tej połowce, która mieści się za oczami. Kiedy już zyskacie ciało, pojawia się „ja”.

Widziałam, jak umierają galaktyki. Patrzyłam na taniec atomów. Ale dopóki nie miałam tej ciemności za oczami, nie odróżniałam tańca od śmierci. Myliliśmy się. Kiedy nalewasz wody do dzbanka, nabiera kształtu dzbanka i nie jest już tą samą wodą. Jeszcze godzinę temu nawet nie myśleli o posiadaniu imion, a teraz kłócą się o nie...

I nie słyszą moich myśli!

Chciała mieć więcej czasu. Przyzwyczajenia miliardów lat nie ustępują łatwo przed kęsem chleba; rozumiała, że tak obłąkana forma życia jak ludzkość nie powinna istnieć. Tak, oczywiście. Na pewno. Naturalnie.

Ale chciała więcej czasu.

Powinno się ich badać. Tak, badać.

Powinny się pojawić... raporty. Tak. Raporty. Pełne raporty. Długie, bardzo długie pełne raporty.

Ostrożność. To jest to. To jest właściwe słowo. Audytorzy je kochali. Zawsze odkładaj do jutra to, co jutro możesz odłożyć do, powiedzmy, przyszłego roku.

Trzeba tu zaznaczyć, że w tej chwili lady LeJean nie była sobą. Nie całkiem miała siebie, żeby nią być. Pozostała szóstka Audytorów... z czasem zaczną myśleć w podobny sposób. Ale nie było tego czasu. Gdyby tylko zdołała ich przekonać, by coś zjedli. To by... tak, to by przywróciło im zmysły. Czy raczej rozbudziło. Ale wydawało się, że w pomieszczeniu nie ma nic do jedzenia.

Zauważyła leżący na ławie bardzo duży młotek.

– Jak postępy, panie Jeremy? – zapytała, podchodząc do zegara.

Igor przesunął się bardzo szybko i niemal opiekuńczo zajął miejsce pomiędzy nią a szklaną kolumną.

Jeremy zbliżył się pospiesznie.

- Bardzo starannie wyregulowaliśmy wszystkie systemy...
- Znowu – burknął Igor.
- Tak, znowu...
- A nawet kilka razy – dodał Igor.
- Teraz po prostu czekamy na odpowiednie warunki pogodowe.
- Ale wydawało mi się, że magazynujecie błyskawice?

Wskazała cylindry z zielonkawego szkła, które syczały i bulgotały pod ścianą warsztatu. Tuż obok ławy z leżącym na niej, tak, z leżącym młotkiem. I nikt nie umiał odczytywać jej myśli! Co za potęga!

– Tego całkiem wystarczy, by utrzymywać mechanizm w ruchu, ale aby uruchomić zegar, trzeba czegoś, co Igor nazywa przeskokiem.

Igor zademonstrował dwa zaciski krokodylowe rozmiarów własnej głowy.

– Zgadza się – powiedział. – Ale tutaj rzadko kiedy w ogóle się trafia odpowiedni rodzaj burzy. Ciągłe powtarzam, że powinniśmy budować go w Überwaldzie.

– Jaka jest natura tego opóźnienia? – zapytał pan, być może, Biały.

– Potrzebujemy burzy z piorunami – wyjaśnił Jeremy. – Żeby uzyskać błyskawicę. Lady LeJean cofnęła się, stając nieco bliżej ławy.

– I co? Zorganizujcie ją – rzekł pan Biały.

– No cóż, gdybyśmy byli w Überwaldzie...

– To tylko kwestia ciśnień i potencjałów. Nie możecie jej stworzyć?

Igor obrzucił go spojrzeniem pełnym niedowierzania zmieszanego z szacunkiem.

– Nie jeft pan może z Überwaldu? – upewnił się. A potem syknął i uderzył się w skroń. – Hej, poczułem cof! Lupf! Jak pan to zrobił? Cifnienie spada jak kamień!

Iskry zamigotały na jego czarnych paznokciach. Rozpromienił się.

– Podniosę piorunochron. – Ruszył do systemu wielokrażków na ścianie.

Lady LeJean zwróciła się do pozostałych. Tym razem żałowała, że nie mogą odczytać jej myśli. Nie знаła dostatecznie wielu wymawialnych ludzkich przekleństw.

– To wbrew regułom – syknęła.

– Zwyczajne względy praktyczne – odparł pan Biały. – Gdyby nie twoja... powolność, sprawa byłaby już zakończona.

– Doradzałam dalsze badania!

– Zbędne!

– Jakiś kłopot? – spytał Jeremy innym tonem, który stosował w rozmowach nie dotyczących zegarów.

– Zegar nie powinien jeszcze ruszać – oświadczyła lady LeJean, nie odrywając wzroku od pozostałych Audytorów.

– Ale prosiła mnie pani... Mówiliśmy... Wszystko już gotowe!

– Mogą wystąpić... problemy! Uważam, że konieczny jest jeszcze tydzień prób.

Ale nie było żadnych problemów – wiedziała to dobrze. Jeremy zbudował zegar tak samo, jak budował wcześniej dziesiątki innych. Jednak tylko w ten sposób mogła przeciągać sprawę, tym bardziej że Igor obserwował ją niczym jastrząb.

– Jakie jest twoje imię, młoda osobo? – zwrócił się do Jeremy'ego pan Biały.

Zegarmistrz cofnął się o krok.

– Jeremy – powiedział. – I ja... nie rozumiem, panie... Biały. Zegar mierzy czas. Zegar nie jest niebezpieczny. Jak zegar może powodować problemy? To zegar doskonały!

– Więc uruchom go!

– Ale lady...

Załomotała kołatka u drzwi.

– Igorze? – rzucił Jeremy.

– Tak, jafnie panie? – odpowiedział Igor z korytarza.

– Jak ta służąca osoba się tam przedostała? – zdziwił się pan Biały, wciąż obserwując lady LeJean.

– To taka ich zwykła sztuczka – wyjaśnił Jeremy. – Ale ja... jestem pewien, że to tylko...

– To doktor Hopkins, jafnie panie – zaanonsował gościa Igor. – Powiedziałem, że jeft pan zajęty, lecz...

...lecz doktor Hopkins, choć z pozoru łagodny jak mleko, był także wyższym funkcjonariuszem gildii i trwał na tym stanowisku od wielu lat. Przemknięcie pod ręką Igora nie sprawiło żadnych kłopotów komuś, kto potrafił kierować spotkaniem zegarmistrzów, z których żadnych dwóch nie tykało w rytmie zgodnym z resztą ludzkości.

– Przypadkiem akurat miałem sprawy w tej okolicy – oświadczył. – Więc to nie był żaden kłopot zajrzeć do aptekarza i odebrać... Och, masz gości?

Igor skrzywił się, ale musiał pamiętać o kodeksie.

– Czy podać herbatę, jafnie panie? – zapytał, gdy Audytorzy spojrzeli na doktora z niechęcią.

– Co to jest ta herbata? – chciał wiedzieć pan Biały.

– Należy do protokołu – warknęła niechętnie lady LeJean.

Pan Biały się zawahał. Protokół był ważny.

– Hm, no tak... – jękał się Jeremy. – Podaj herbatę, Igorze. Proszę.

– Coś podobnego! Widzę, że ukończyłeś swój szklany zegar! – zawołał doktor Hopkins, najwyraźniej nieświadom atmosfery, w której mogłoby pływać żelazo. – Jakież wspaniałe dzieło!

Audytorzy spoglądali po sobie. Doktor Hopkins wyminął ich i przyjrzał się szklanej tarczy.

– Brawo, Jeremy – pochwalił. Zdjął okulary i przetarł je z entuzjazmem. – A co to za piękne niebieskie lśnienie?

– To jest... kryształowy pierścień, proszę pana – odparł Jeremy. – On... on...

– On przędzie światło – wyjaśniła lady LeJean. – A potem robi dziurę we wszechświecie.

– Naprawdę? – Doktor Hopkins znów włożył okulary. – Co za oryginalny pomysł. Czy wyskakuje kukulka?

Tik

Ze wszystkich najgorszych słów, które może usłyszeć człowiek znajdujący się wysoko w powietrzu, „oj-oj” łączy prawdopodobnie maksimum grozy z minimalnym marnowaniem tchu.

Kiedy Lu-tze je wymówił, Lobsang nie potrzebował tłumaczenia. Już od pewnego czasu obserwował chmury – stawały się coraz czarniejsze, gęściejsze i ciemniejsze.

– Uchwyt zaczyna mrowić! – krzyknął Lu-tze.

– Burza jest bezpośrednio nad nami! – wrzasnął Lobsang.

– Przecież parę minut temu niebo było czyste jak dzwon!

Ankh-Morpork znalazło się już o wiele bliżej. Lobsang rozróżniał niektóre wyższe budynki i widział rzekę płynącą zakolami przez miasto. Ale burza nadciągała ze wszystkich stron.

– Muszę tym wylądować, póki jeszcze można! – stwierdził Lu-tze. – Trzymaj się...

Miotła opadła, aż znalazła się o kilka stóp nad polami kapusty. Główki wyglądały jak pędzące rozsmazane plamy tuż pod sandałami Lobsanga.

Lobsang usłyszał kolejne słowo – choć nie najgorsze, jakie można usłyszeć w czasie lotu, jednak wcale nie za dobre, kiedy wypowiada je osoba sterująca.

– Eee...

– Wiesz, jak to zatrzymać?! – wrzasnął Lobsang.

– Nie tak dokładnie! – odkrzyknął Lu-tze. – Trzymaj się, spróbuję coś zrobić!

Miotła przekrzywiła się kijem do góry, ale nadal mknęła w tym samym kierunku. Gałązki zaryły się w główki kapusty.

Całej szerokości pola potrzebowali, by zwolnić na samym końcu bruzdy, wśród zapachu, jaki potrafią wydać z siebie tylko zgniecione kapuściane liście.

– Jak wąsko umiesz kroić czas? – zapytał sprzątac, przeskakując poniszczone rośliny.

– Jestem całkiem dobry... – zaczął Lobsang.

– Więc bądź lepszy, i to szybko!

Lu-tze rozplynął się w błękicie, gdy pobiegł w stronę miasta. Lobsang dogonił go po pięćdziesięciu sążniach, ale sprzątacze wciąż zanikał, wciąż kroił czas na cieńsze i cieńsze warstwy. Uczeń zacisnął zęby i ruszył w pościg, napinając wszystkie mięśnie.

Starzec mógł być oszustem, jeśli idzie o walkę, ale tutaj nie robił żadnych sztuczek. Świat przesunął się od błękitu poprzez indygo aż do atramentowej, nienaturalnej ciemności, jakby znalazł się w cieniu zaćmienia słońca.

To był głęboki czas. Lobsang wiedział, że człowiek nie może tu przebywać długo. Nawet jeśli wytrzyma upiorne zimno, pewne części ciała po prostu nie są do tego stworzone. A jeśli zejdzie się za głęboko, można umrzeć przy zbyt szybkim powrocie.

Naturalnie, nie widział tego w rzeczywistości, zresztą żaden z uczniów nie widział, ale w klasach wisiały bardzo obrazowe rysunki. Życie człowieka może stać się bardzo, bardzo bolesne, kiedy jego krew zacznie poruszać się przez czas szybciej niż kości. Stanie się też bardzo krótkie.

– Nie wytrzymam... dłużej... – dyszał, pędząc za Lu-tze w fioletowym półmroku.

– Wytrzymasz – sapnął Lu-tze. – Jesteś przecież szybki!

– Nie jestem... do tego... przeszkolony!

Miasto zbliżało się ciągle.

– Nikt nie jest do tego szkolony! – warknął Lu-tze. – Próbujesz i przekonujesz się, że dobrze ci idzie!

– A co się dzieje, kiedy się przekonam, że nie idzie mi dobrze?

Bieg wydawał się teraz łatwiejszy. Lobsang nie miał już wrażenia, że skóra próbuje sama ściągnąć się z ciała.

– Martwi o niczym się nie przekonują. – Lu-tze obejrzał się na swego ucznia, a jego złośliwy uśmiezek był żółtą zębatą linią w mroku. – Zaczynasz chwytac? – dodał.

– Chyba... już złapałem...

– Dobrze. No to, skoro się rozgrzaliśmy...

Ku przerażeniu Lobsanga, sprzątacze zapadł się głębiej w ciemność.

Przywołał ostatnie rezerwy, o których wiedział, że już ich nie ma. Wrzasnął na wątrobę, żeby z nim została; miał wrażenie, że czuje, jak pęka mózg... Ale biegł dalej.

Sylwetka Lu-tze pojaśniała i Lobsang dogonił go w czasie.

– Wciąż jesteś? Ostatni wysilek, mój chłopcze!

– Nie mogę!

– Możesz, u demona!

Lobsang zaciągnął się lodowatym powietrzem i upadł w przód...

...gdzie światło nabrało nagle barwy spokojnego, bladego błękitu, a Lu-tze biegł lekkim truchtem pomiędzy zastygłymi wozami i nieruchomymi ludźmi wokół miejskiej bramy.

– Widzisz? Nic takiego – stwierdził. – Tylko utrzymuj tempo, nic więcej. Spokojnie i równo.

Przypominało to chodzenie po linie. Nic trudnego, dopóki człowiek o tym nie myśli.

– Ale zwoje mówią, że przechodzi się w błękit, fiolet, potem w czerń, a potem się uderza w Bariere – zdziwił się Lobsang.

– No tak, zwoje... – mruknął Lu-tze i urwał, jakby samym tonem głosu mówił wszystko. – To jest, mój chłopcze, Dolina Zimmermana. Pomaga, jeśli wiesz, że istnieje. Opat mówił, że ma to jakiś związek z... jak im było... no, z warunkami brzegowymi. Coś w rodzaju... piany na przyboju. Jesteśmy na samej krawędzi, mój chłopcze!

– Ale przecież mogę bez trudu oddychać!

– Owszem. To nie powinno być możliwe. Tylko się nie zatrzymuj, bo zużyjesz całe dobre powietrze wokół pola twojego ciała. Dobry stary Zimmerman, co? Był jednym z najlepszych. Uważał też, że istnieje jeszcze jeden uskok, jeszcze bliżej Bariery.

– Znalazł go?

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego?

– To, jak eksplodował, było dość wyraźną sugestią. Ale nie przejmuj się. Tutaj możesz łatwo utrzymywać tempo krojenia. Nie musisz się nad tym zastanawiać. O innych sprawach powinieneś myśleć! Popatrz tylko na te chmury!

Lobsang uniósł wzrok. Nawet w tym błękitno-błękitnym pejzażu chmury nad miastem wyglądały złowieszczo.

– To samo wydarzyło się w Überwaldzie – tłumaczy! Lu-tze. – Zegar potrzebuje mnóstwo energii. Burza nadciągnęła jakby znikąd.

– Ale miasto jest ogromne! Jak znajdziemy tu zegar?

– Przede wszystkim spróbujemy dotrzeć do centrum – odparł Lu-tze.

– Po co?

– Bo jeśli dopisze nam szczęście, nie będziemy musieli biec tak daleko, kiedy uderzy błyskawica.

– Sprzątaczu, nie zdołamy prześcignąć błyskawicy!

Lu-tze odwrócił się szybko, chwycił Lobsanga za szatę i przyciągnął do siebie.

– Więc mi powiedz, dokąd pobiec, ścigaczu! – krzyknął. – Jest w tobie więcej, niż widać na pierwszy rzut trzeciego oka! Żaden uczeń nie powinien być zdolny do odkrycia Doliny Zimmermana! To wymaga setek lat ćwiczeń! I nikt nie mógłby zmusić prokrastynatorów, żeby tańczyły, jak im zagra, za pierwszym razem, kiedy je zobaczył! Bierzesz mnie za durnia? Osierocony chłopak, niezwykle zdolności... Kim

ty jesteś, do licha? Mandala cię znała! A ja jestem tylko śmiertelnym człowiekiem i wiem tyle, że raczej mnie demony porwą, niż dopuszczę, żeby świat rozsypał się po raz drugi! Więc mi pomóż! Cokolwiek jest w tobie, teraz jest mi potrzebne! Użyj tego!

Puścił chłopca i cofnął się. Żyłka na jego łysej głowie pulsowała rytmicznie.

– Ale ja nie wiem, co mógłbym zrobić...

– Odkryj, co możesz zrobić!

Tik

Protokół. Reguły. Precedensy. Sposoby załatwiania spraw. Tak zawsze działaliśmy, myślała lady LeJean. To i to musi nastąpić po tamtym. W tym była nasza siła. Zastanawiam się, czy może też być naszą słabością.

Gdyby wzrok mógł zabijać, z doktora Hopkinsa zostałyby już tylko mokra plama na ścianie. Audytorzy obserwowali każdy jego ruch jak koty przyglądające się nowemu gatunkowi myszy.

Lady LeJean istniała w ciele o wiele dłużej od pozostałych. Czas potrafi zmienić takie ciało, zwłaszcza u kogoś, kto nigdy wcześniej go nie miał. Ona by się tak nie gapiała i nie wściekała, tylko zdzieliła doktora czymś ciężkim. Co znaczy jeden człowiek mniej czy więcej?

Uświadomiła sobie z pewnym zdumieniem, że ta myśl jest typowo ludzka.

Ale pozostała szóstka wciąż miała mleko pod nosem. Nie zdawali sobie jeszcze sprawy z wymiarów obłudy, jaka jest niezbędna, by przetrwać jako istota ludzka. Najwyraźniej też trudno im się myślało wewnątrz tego małego ciemnego świata za oczami. Audytorzy podejmowali decyzje w porozumieniu z tysiącami, milionami innych Audytorów.

Wcześniej czy później jednak nauczą się myśleć na własny rachunek. Trochę to potrwa, bo najpierw spróbują uczyć się od siebie nawzajem.

W tej chwili przyglądali się podejrzliwie Igorowej tacy z nakryciami do herbaty.

– Picie herbaty należy do protokołu – przypomniała lady LeJean. – Muszę nalegać.

– Czy to poprawne? – zwrócił się pan Biały do doktora Hopkinsa.

– Ależ tak – potwierdził doktor. – Zwykle z imbirowym ciasteczkiem – dodał z nadzieją.

– Imbirowe ciasteczko – powtórzył pan Biały. – Sucharek o czerwono-brązowym ubarwieniu?

– Tak, prośę pana. – Igor skinieniem głowy wskazał talerz na tacy.

– Chciałabym spróbować imbirowego ciasteczka – zaoferowała się panna Czerwona.

O tak, pomyślała lady LeJean. Koniecznie spróbuj imbirowego ciasteczka.

– Nie jemy nic i nie pijemy! – warknął pan Biały. Popatrzył na lady LeJean podejrzliwie. – To może spowodować niewłaściwe sposoby myślenia.

– Ale taki jest zwyczaj – upierała się lady LeJean. – Ignorowanie protokołu oznacza zwracanie na siebie uwagi.

Pan Biały szybko się dostosowywał.

– To wbrew naszej religii – oświadczył. – Poprawne!

Był to zadziwiający przeskok myślowy. Bardzo odkrywczy. A on wpadł na ten pomysł całkiem samodzielnie. Lady LeJean była pod wrażeniem. Audytorzy próbowali zrozumieć religię, ponieważ tak wiele działań, które całkiem nie miały sensu, podejmowano w jej imieniu. Religia mogła też usprawiedliwić praktycznie dowolną ekscentryczność. Ludobójstwo na przykład. W porównaniu z tym zakaz picia herbaty jest łatwy.

– Tak, w rzeczy samej! – Pan Biały zwrócił się do pozostałych Audytorów. – Czyż nie jest to prawda?

– Tak, nie jest to prawda. W rzeczy samej – odparł desperacko pan Zielony.

– Tak? – zdziwił się doktor Hopkins. – Nie wiedziałem, że istnieje religia zakazująca herbaty.

– W rzeczy samej – powtórzył pan Biały. Lady LeJean niemal wyczuwała gonitwę jego myśli. – To jest... tak, to napój... poprawne... to napój... ekstremalnie złych negatywnie przyjmowanych bogów. Jest... poprawne... Jest przykazaniem naszej religii, aby... tak... wystrzegać się także imbirowych ciasteczek. – Na jego czole pojawiły się krople potu. Jak na Audytora, była to kreatywność godna geniuszu. – Ponadto... – mówił powoli, jakby odczytywał słowa z niewidocznej dla pozostałych stronicy – ...nasza religia... poprawne... nasza religia wymaga, by uruchomić zegar teraz! Albowiem... kto będzie wiedzieć, kiedy nadejdzie godzina?

Lady LeJean, choć wbrew sobie, miała ochotę zaklaskać.

– Rzeczywiście, kto? – zgodził się doktor Hopkins.

– Ja... ja się zgadzam, całkowicie – wtrącił Jeremy, który wciąż patrzył na lady LeJean. – Nie rozumiem, kim... o co to całe zamieszanie... Nie pojmuję, dlaczego... Ojej, głowa mnie boli...

Doktor Hopkins rozlał herbatę, tak pospiesznie zerwał się z krzesła i sięgnął do kieszeni płaszcza.

– Całkiem przypadkiem miałem podrodze aptekę... – zaczął jednym tchem.

– Wydaje mi się, że pora nie jest właściwa dla uruchomienia zegara – stwierdziła lady LeJean, przesuwając się powoli obok stołu.

Młotek nadal leżał zachęcająco tam, gdzie leżał poprzednio.

– Widzę te małe błyski światła, doktorze Hopkins – powiedział z naciskiem

Jeremy, wpatrując się w przestrzeń w średniej odległości przed sobą.

– Nie błyski światła! Tylko nie błyski światła! – jęknął doktor Hopkins.

Porwał z tacy Igora łyżeczkę, przyjrzał się jej, odrzucił za ramię, wylał z filiżanki herbatę, otworzył butelkę, roztrzaskując szyjkę o brzeg ławy, i nalał pełną filiżankę, w pośpiechu rozchlapując niebieskie lekarstwo na boki.

Tylko ciele dzieliły młotek od palców lady LeJean. Nie śmiała się obejrzeć, ale wyczuwała, że tam jest. Gdy Audytorzy patrzyli na rozdygotanego Jeremy'ego, przesunęła palcami wzdłuż ławy. Nie musi się nawet ruszać z miejsca. Mocny zamach i rzut powinny załatwić sprawę.

Zobaczyła, jak doktor Hopkins próbuje przysunąć Jeremy'emu filiżankę do ust. Chłopak zasłonił twarz dłońmi i odepchnął filiżankę łokciem, wylewając lekarstwo na podłogę.

Palce lady LeJean objęły już trzonek. Machnęła ręką i z obrotu cisnęła młotkiem prosto w zegar.

Tik

Wojna źle się układała dla słabszej strony. Ich pozycje były źle wybrane, taktyka nieprzemyślana, strategia beznadziejna. Armia Czerwona posuwała się naprzód na całej szerokości frontu, rozczłonkowując uciekające resztki rozbitych batalionów Czarnych.

Na tym trawniku było miejsce tylko dla jednego mrowiska...

Śmierć odszukał Wojnę między żdźbłami trawy. Podziwiał jego dbałość o szczegóły. Wojna miał na sobie pełną zbroję, ale ludzkie głowy, które zwykle woził przytroczone do siodła, zastąpił głowami mrówek, razem z czułkami i całą resztą.

CZY ONE CIĘ ZAUWAŻAJĄ? JAK MYŚLISZ? – zapytał.

– Wątpię – odparł Wojna.

GDYBY JEDNAK WIDZIAŁY, Z PEWNOŚCIĄ BY TO DOCENIŁY.

– Ha! W tych czasach to jedyny przyzwoity teatr działań – stwierdził Wojna. – To mi się podoba u mrówek. Robale nigdy się nie uczą, nie?

ZGADZAM SIĘ, ŻE OSTATNIO BYŁO DOŚĆ SPOKOJNIE, przyznał Śmierć.

– Spokojnie?! – obruszył się Wojna. – Ha! Równie dobrze mógłbym zmienić imię na Akcję Policyjną albo Wynegocjowane Porozumienie. Pamiętasz, jak było za dawnych lat? Wojownicy toczyli pianę z ust! Wspaniałe czasy, co? – Pochylił się i klepnął Śmierć po plecach. – Ja się ścieram, a ty zbierasz, co?

To wygląda obiecująco, pomyślał Śmierć.

WSPOMNIAŁEŚ O DAWNYCH CZASACH... – zaczął ostrożnie. NA PEWNO

PAMIĘTASZ TRADYCJE WYRUSZANIA...

Wojna spojrzał na niego pytająco.

– Zupełnie nic mi się nie kojarzy, staruszk.

POSŁAŁEM WEZWANIE.

– Jakoś sobie nie przypominam...

APOKALIPSA? – odpowiedział Śmierć. KONIEC ŚWIATA?

Wojna wciąż patrzył niepewnie.

– Coś stuka, stary kumplu, ale chyba nikogo nie ma w domu. A skoro o domu mowa... – Wojna ocenił wzrokiem drgające jeszcze pozostałości niedawnej rzezi. – Zjesz coś może?

Wokół nich las traw zaczął się zniżać i zmniejszać, aż stał się rzeczywiście tylko trawą na trawniku przed domem.

Dom był dawnym barakiem. Gdzie jeszcze mógłby mieszkać Wojna? Ale Śmierć zauważył bluszcz porastający dach. Przypomnił sobie czasy, kiedy Wojna nigdy nie dopuściłby do czegoś takiego – i mały robak niepokoju zaczął wgryzać się w jego umysł.

Wchodząc, Wojna odwiesił na wieszak swój hełm – a kiedyś by go nie zdejmował. Przy stołach wokół paleniska tłoczyliby się wojownicy, powietrze byłoby gęste od zapachu piwa i potu...

– Przyprowadziłem starego przyjaciela, kochanie – oznajmił.

Pani Wojnowa przygotowywała coś na nowoczesnej kuchence z czarnego żelaza, zainstalowanej – jak zauważył Śmierć – w dawnym palenisku; błyszczące rury sięgały na zewnątrz przez otwór w stropie. Powitała Śmierć skinieniem głowy, jakie żona zwykle przeznacza dla kogoś, kogo mąż – wbrew wcześniejszym ostrzeżeniom – przyprowadził z baru.

– Mamy królika – powiedziała. I dodała tonem kogoś, kto czuje się wykorzystywany, ale wie, że później ktoś inny za to zapłaci: – Jakoś go rozdzielię na trzy porcje.

Szeroka, rumiana twarz Wojny pokryła się zmarszczkami.

– Czy ja lubię królika?

– Tak, kochanie.

– Myślałem, że lubię wołowinę...

– Nie, kochanie. Po wołowinie masz wzdęcia.

– Aha. – Wojna westchnął. – Jest szansa na cebulę?

– Nie lubisz cebuli, kochanie.

– Nie?

– Z powodu kłopotów żołądkowych, kochanie.

– Aha.

Wojna uśmiechnął się z zakłopotaniem do Śmierci.

– Będzie królik – poinformował. – Ehm... Kochanie, czy ja wyruszam na apokalipsy?

Pani Wojnowa zdjęła pokrywkę z rondla i ze złością dźgnęła coś wewnątrz.

– Nie, kochanie – odparła stanowczo. – Zawsze potem wracasz przeziębiony.

– Myślałem, że... tak jakby lubiłem takie wyprawy...

– Nie, kochanie. Nie lubisz.

Śmierć słuchał tego zafascynowany. Nigdy jeszcze nie spotkał się z pomysłem, by własną pamięć trzymać w głowie kogoś innego.

– A może chciałbym się napić piwa? – spróbował jeszcze Wojna.

– Nie lubisz piwa, kochanie.

– Nie?

– Nie, źle się po nim czujesz.

– Aha. Ehm... A co sądzę o brandy?

– Nie lubisz brandy, kochanie. Lubisz swoją specjalną owsiankę z witaminami.

– A tak. – Wojna westchnął żałośnie. – Zapomniałem, że ją lubię. – Spojrzał zażenowany na Śmierć. – Jest całkiem dobra – zapewnił.

CZY MOGLIBYŚMY ZAMIENIĆ SŁOWO? – zapytał Śmierć. SAMI?

Wojna się zdziwił.

– Czy lubię zamie...

SAMI, JEŚLI MOŻNA! – huknął Śmierć.

Pani Wojnowa obejrzała się i rzuciła Śmierci pogardliwe spojrzenie.

– Rozumiem, doskonale rozumiem – oświadczyła z wyższością. – Ale nie próbuj nawet mówić nic, co wywoła u niego nadkwasotę. Tyle tylko chcę powiedzieć.

Pani Wojnowa była kiedyś walkirią, przypomniał sobie Śmierć. Kolejny dowód na to, że na polu bitwy należy zachowywać najwyższą ostrożność.

– Perspektywa małżeństwa nigdy cię nie kusila, staruszkule? – zapytał Wojna.

NIE, ABSOLUTNIE. W ŻADNYM RAZIE.

– Dlaczego nie?

Śmierć zakłopotał się trochę. To jakby pytać mur z cegieł, co myśli o dentystyce. Takie pytanie nie miało sensu, więc je zignorował.

ODWIEDZIŁEM DWÓCH POZOSTAŁYCH. GŁODU TO NIE OBCHODZI, A ZARAŻA SIĘ BOI.

– My dwaj przeciwko Audytorom? – spytał Wojna.

RACJA JEST PO NASZEJ STRONIE.

– Jako Wojna – odparł Wojna – nie chciałbym ci opowiadać, co spotyka bardzo małe armie, które mają Rację po swojej stronie.

WIDZIAŁEM, JAK WALCZYSZ.

– Moja stara prawica nie jest już taka jak dawniej...

JESTEŚ NIEŚMIERTELNY. NIE JESTEŚ CHORY, oświadczył Śmierć, ale dostrzegł w oczach Wojny to smętne, trochę udręczone spojrzenie i wiedział, że wszystko to może się skończyć tylko w jeden sposób.

Być człowiekiem to się zmieniać, uświadomił sobie. A Jeźdźcy byli.. jeźdźcami. Ludzie wymyślili sobie ich w pewnych kształtach, pewnych formach. I tak jak bogów, Wiedźmikołaja czy Wrózkę Zębuszkę, kształt ich odmienił. Nigdy nie staną się ludźmi, ale zarazili się pewnymi aspektami człowieczeństwa niczym jakąś chorobą.

Ponieważ w rzeczywistości nic, ale to nic nie może mieć jednego i tylko jednego aspektu. Ludzie wyobrazili sobie istotę nazywaną Głodem, ale kiedy dali jej już ręce, nogi i oczy, w rezultacie musiała także mieć mózg. To oznaczało, że myśli. A mózg nie może bez przerwy myśleć tylko o plagach szarańczy.

Zachowania emergentne, znowu... Zawsze pojawiają się komplikacje. Wszystko się zmienia.

DZIĘKI WSZYSTKIM MOCOM, pomyślał Śmierć na głos, ŻE JA POZOSTAJĘ CAŁKOWICIE NIEZMIENIONY I DOKŁADNIE TAKI SAM JAK ZAWSZE.

A potem była już pierwsza.

Tik

Młotek znieruchomiał w połowie drogi. Pan Biały podszedł i chwycił go w powietrzu.

– Doprawdy, lady Myrio – rzekł. – Myślałaś, że cię nie obserwujemy? Ty, Igorze, przygotuj zegar!

Igor przyjrzał mu się, potem zerknął na lady LeJean.

– Przyjmuję rozkazy tylko od pana Jeremy'ego. Dziękuję uprzejmie.

– Świat się skończy, jeśli uruchomicie ten zegar! – zawołała lady LeJean.

– Cóż za głupi pomysł – oświadczył pan Biały. – Śmiejemy się z niego.

– Hahaha – odezwali się posłusznie pozostali Audytorzy.

– Nie potrzebuję lekarstwa! – krzyczał Jeremy, odpychając doktora Hopkinsa. – I nie potrzebuję ludzi, którzy mi mówią, co mam robić! Zamknąć się wszyscy!

Nastąpiła cisza i w chmurach zagrzecotał grom.

– Dziękuję – powiedział Jeremy, już spokojniejszy. – Do rzeczy. Mam nadzieję, że jestem człowiekiem racjonalnym i racjonalnie przeanalizuję tę sprawę. Zegar jest instrumentem pomiarowym. Zbudowałem zegar doskonały, droga pani. To znaczy panie. I panowie. Ten zegar zrewolucjonizuje pomiar czasu.

Przesunął wskazówki na prawie pierwszą. Potem schylił się, chwycił wahadło i

wprawił je w ruch.

Świat kontynuował swe istnienie.

– Widzicie? Wszechświat nie zatrzymuje się nawet dla mojego zegara – ciągnął Jeremy. Założył ręce na piersi i usiadł. – Patrzcie – rzekł spokojnie.

Zegar tykał cicho. Potem coś zagrzechotało w otaczającej go maszynerii i wielkie zielonkawe rury ze szkła zaczęły syczeć.

– No cóż, wydaje się, że nic się nie stało – stwierdził doktor Hopkins. – To prawdziwe szczęście.

Iskry zabłyśły wokół umocowanego nad zegarem piorunochronu.

– To tylko tworzy ścieżkę dla błyskawicy – wyjaśnił zachwycony Jeremy. – Pośleliśmy małą błyskawicę w górę, by powróciło o wiele więcej...

Jakieś elementy poruszały się we wnętrzu zegara. Zabrzmiął dźwięk najlepiej opisywany słowem „syk”, a zielonkawoniebieski blask wypełnił szafkę.

– Aha, nastąpiła inicjalizacja kaskady – ucieszył się Jeremy. – W ramach niewielkiego ćwiczenia, bardziej... hm, tradycyjny zegar wahadłowy został sprzężony z Wielkim Zegarem, tak że każda sekunda będzie regulowana według właściwego czasu. – Uśmiechnął się; zadrgał mu mięsień na policzku. – Pewnego dnia wszystkie zegary będą tak wyglądały. Wprawdzie nie znoszę takich nieprecyzyjnych określeń jak „teraz już łaś sekunda”, mimo to jednak...

Tik

Na placu toczyła się bitwa. W dziwnych kolorach występujących w tym stanie krojonego czasu, który nazywa się Doliną Zimmermana, wszystko nabierało odcieni bladego błękitu.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to, jakby kilku strażników próbowało zatrzymać gang. Jeden człowiek wzniósł się w powietrze i wisiał tam bez żadnej podpórki. Drugi wystrzelił z kuszy prosto w strażnika; strzała tkwiła nieruchomo jak przybita do powietrza.

Lobsang obejrzał ją z zaciekawieniem.

– Chcesz jej dotknąć, prawda? – odezwał się głos tuż za nim. – Masz zamiar wyciągnąć rękę i dotknąć jej, mimo wszystko, co ci powiedziałem. Lepiej uważaj na to nieszczęsne niebo!

Lu-tze nerwowo palił papierosa. Kiedy dym oddalił się o kilka cali od jego ciała, natychmiast zastygał w powietrzu.

– Na pewno nie możesz wyczuć, gdzie to jest? – zapytał.

– Wszędzie wokół nas, sprzątaczu. Jesteśmy tak blisko... To tak jakbym chciał

zobaczyć las, kiedy stoję pod drzewami!

– No więc to jest ulica Chytrych Rzemieślników, a tam stoi budynek Gildii Zegarmistrzów. Skoro to tak blisko, nie ośmielę się wejść do środka, dopóki nie będziemy pewni.

– A co z uniwersytetem?

– Magowie nie są aż tak zwariowani, żeby porwać się na coś takiego.

– Więc chcesz spróbować prześcignąć błyskawicę?

– To wykonalne, jeśli wystartujemy z tego miejsca, z Doliny Zimmermana. Błyskawica nie jest aż taka szybka, jak ludzie sądzą.

– Czyli czekamy, aż czubek błyskawicy wysunie się z chmury?

– Ha! Ta dzisiejsza młodzież! Co się stało z jej edukacją? Pierwsze uderzenie idzie od ziemi w powietrze, mój chłopcze. Dzięki temu powstaje w powietrzu ładny tunel, którym uderza w dół główna błyskawica. Szukaj lśnienia. Musimy naprawdę przyłożyć sandały w bruk, zanim dotrze do chmur. Trzymasz się?

– Mógłbym tak się trzymać cały dzień – zapewnił Lobsang.

– Nie próbuj. – Lu-tze znowu przeszukał wzrokiem niebo. – Może się myliłem. Może to zwykła burza. Wcześniej czy później dos...

Urwał. Wystarczył jeden rzut oka na twarz Lobsanga.

– No... dobrze – powiedział wołno. – Podaj mi tylko kierunek. Pokaż, jeśli nie możesz mówić.

Lobsang osunął się na kolana, wznosząc ręce do skroni.

– Nie wiem... nie wiem...

Srebrzyste światło zajaśniało nad miastem kilka ulic od nich. Lu-tze złapał chłopaka za łokieć.

– Idziemy! Stawaj na nogi. Szybsi od błyskawicy, tak? W porządku?

– Tak... tak, w porządku.

– Dasz radę, tak?

Lobsang zamrugał. Znowu widział szklany dom rozciągający się jako błyśnięcie nad miastem.

– Zegar – powiedział chrapliwie.

– Biegnij, chłopcze! Biegnij! – zawołał Lu-tze. – I nie zatrzymuj się, choćby nie wiem co!

Lobsang skoczył przed siebie i przekonał się, że to trudne. Czas, z początku leniwie, rozsuwał się przed nim na boki, kiedy przebiegał nogami. Z każdym krokiem jednak biegł szybciej i szybciej, świat zmieniał kolory i zwalniał coraz bardziej.

Sprzątaacz powiedział, że jest jeszcze jeden szew w czasie. Kolejna dolina, jeszcze bliżej punktu zero. O ile Lobsang w ogóle potrafił myśleć, miał nadzieję, że dotrze do niej szybko, bo inaczej ciało mu za chwilę się rozpadnie; czuł trzeszczenie kości.

Lśnienie było już w połowie drogi do ciężkich szarych chmur, ale Lobsang dotarł do skrzyżowania i widział, że wydobywa się z domu w środkowej części ulicy.

Obejrzał się i zobaczył, że sprzątacze zostali na kilka sążni w tyle, z otwartymi ustami – jak padający na twarz posąg.

Lobsang się skoncentrował, pozwolił czasowi przyspieszyć. Podbiegł do Lu-tze i chwycił go, nim starzec upadł na ziemię. Krew płynęła mu z uszu.

– Nie dam rady, chłopcze – wymamrotał. – Idź sam! Szybko!

– Zdążę! To jak bieg z górki!

– Nie, nie dla mnie!

– Nie mogę cię tak zostawić!

– Niech los chroni nas przed bohaterami! Załatw ten przeklęty zegar!

Lobsang się zawahał. Błyskawica wynurzała się już z chmury – dryfujący rozjarzony szpikulec.

Pobiegł. Błyskawica opadała w stronę sklepu, kilka budynków od niego. Widział już wiszący nad wystawą wielki zegar.

Pchnął ciało jeszcze mocniej pod prąd, a strumień czasu ustąpił. Ale błyskawica sięgnęła już żelaznego pręta na dachu.

Okno było bliżej niż drzwi. Lobsang opuścił głowę i skoczył. Szkło się roztrzaskało, odłamki poleciały na boki i zamarły w powietrzu, zegarki potoczyły się z wystawy i znieruchomiały, jakby pochwyczone niewidoczną żywicą.

Przed sobą zobaczył kolejne drzwi. Chwycił za klamkę i szarpnął, czując przeraźliwy opór bloku drewna zmuszanego do ruchu ze znacznym ułamkiem prędkości światła.

Uchyliły się ledwie na kilka cali, kiedy za nimi zobaczył powolny naciek błyskawicy sączący się wzdłuż pręta do serca wielkiego zegara.

Zegar wybił pierwszą.

Czas się zatrzymał.

Ti...

Pan Socha, mleczarz, mył w zlewie butelki, kiedy powietrze zamgliło się nagle, a woda zastygła.

Przyglądał się jej przez chwilę. Potem, z miną człowieka, który postanowił wykonać eksperyment, przytrzymał butelkę nad kamienną posadzką i wypuścił ją z ręki.

Zawisła w powietrzu.

– Niech to demon – mruknął. – Jeszcze jeden idiota z zegarem...

To, co zrobił potem, nie należało do zwykłej praktyki mleczarskiej – przeszedł na środek pomieszczenia i wykonał kilka ruchów dłońmi.

Powietrze pojaśniało. Woda plusnęła. Butelka się roztrzaskała, chociaż – kiedy Ronnie odwrócił się i machnął na nią ręką – kawałki szkła znowu złożyły się razem.

Ronnie Socha westchnął i przeszedł do hali, gdzie przygotowywał śmietanę. Duże, szerokie misy ciągnęły się niknącym w dali szeregiem, a gdyby Ronnie kiedykolwiek pozwolił komuś to zauważyć, ta dal zawierała o wiele więcej dali, niż można znaleźć w dowolnym zwyczajnym budynku.

– Pokaż mi – rzekł.

Powierzchnia najbliższej misy mleka stała się lustrzana i zaczęła pokazywać obrazy...

Ronnie wrócił do mleczarni, zdjął z haczyka przy drzwiach swoją spiczastą czapkę, wyszedł i przez podwórze ruszył do stajni. Nieruchome niebo miało barwę posępnej szarości, kiedy wynurzył się z wrót, prowadząc konia. Koń miał lśniąco czarną sierść, ale było w nim coś dziwnego: jarzył się, jakby padało na niego czerwone światło. Mimo panującej szarości kłęb i boki mieniły się czerwienią.

I nawet kiedy był już zaprzężony do wózka, nie wyglądał jak żaden koń, który powinien ciągnąć wóz. Jednak ludzie jakoś tego nie zauważali, a Ronnie starał się pilnować, żeby tak pozostało.

Wózek lśnił białą farbą, tu i tam ozdobioną świeżą zielenią.

Napis na burcie oznajmiał dumnie:

RONALD SOCHA
Higieniczna Mleczarnia
Założona

Może to dziwne, ale ludzie nigdy nie pytali: „A kiedy dokładnie założona?”. Na szczęście, bo odpowiedź okazałaby się dość skomplikowana.

Ronnie otworzył bramę z podwórza i wśród stuku skrzynek z mlekiem wyruszył w beczasową chwilę. To okropne, myślał, jak świat sprzysięga się przeciwko małym firmom.

Lobsang Ludd obudził się, słysząc ciche terkotanie.

Leżał w ciemności, ale ta z pewnym ociąganiem ustąpiła przed jego dłonią. Sprawiała wrażenie aksamitu – i nim właśnie była. Potoczył się pod jedną z gablot wystawowych.

Czuł lekką wibrację na karku. Ostrożnie sięgnął za siebie i zrozumiał, że to przenośny prokrastynator wiruje w swojej klatce.

A więc...

Jak teraz wygląda sytuacja? Żył w pożyczonym czasie. Miał godzinę, może o wiele mniej. Ale mógł go kroić, wobec tego...

Nie. Coś mu mówiło, że próba krojenia czasu zmagazynowanego w urządzeniu zbudowanym przez Qu jest pomysłem terminalnym. Sama myśl o tym budziła uczucie, że jego skóra znalazła się o cal od wszechświata pełnego ostrzy.

A więc... godzina, może o wiele mniej. Ale przecież można ponownie nakręcić szpulę, tak?

Nie. Dźwignia była na plecach. Można nakręcić szpulę kogoś innego. Dzięki ci, Qu, za twoje eksperymentalne modele.

A może da się zdjąć całość? Też nie. Uprząż jest elementem urządzenia. Bez niej różne części ciała zaczną się przesuwać z różnymi prędkościami. Efekt byłby prawdopodobnie zbliżony do tego, jakby zamrozić ludzkie ciało na sztywno, a potem rzucić je po kamiennych schodach.

Otworzyć skrzynię łomem, który jest wewnątrz...

Przez szczelinę w drzwiach wydobywało się niebieskozielone lśnienie. Lobsang zrobił krok w tamtą stronę i usłyszał, że prokrastynator wyraźnie przyspiesza. Co oznaczało, że oddaje więcej czasu, a to źle, kiedy ma się godzinę, może o wiele mniej.

Odstąpił od drzwi i prokrastynator wrócił do spokojnego terkotu.

A więc...

Lu-tze został na ulicy. Też miał na plecach szpulę, która powinna uruchomić się automatycznie. W tym beczasowym świecie jedynie on może przekręcić dźwignię.

Szyba, którą Lobsang rozbił, skacząc przez okno wystawowe, otwierała się wokół otworu niby wielki, migotliwy kwiat. Wyciągnął rękę, by dotknąć odprysku. Kawałek szkła poruszył się jak żywy, skaleczył go w palec, a potem opadł ku ziemi i zatrzymał się, dopiero kiedy opuścił pole otaczające ciało Lobsanga.

Nie dotykaj ludzi, mówił Lu-tze. Nie dotykaj strzał. Nie dotykaj niczego, co się porusza – to podstawowa zasada. Ale szkło...

...ale szkło w normalnym czasie leciało przez powietrze. I nadal miało energię, prawda?

Lobsang ostrożnie wyminął chmurę odłamków i otworzył frontowe drzwi sklepu. Drewno przesuwało się bardzo powoli, opierając się gigantycznej prędkości.

Lu-tze nie było na ulicy. Ale pojawiło się coś nowego, zawieszonego kilka cali nad ziemią, akurat w miejscu, gdzie leżał starzec. Przedtem Lobsang tego nie widział.

Ktoś z własnym przenośnym czasem zjawił się tutaj, upuścił to i odszedł, zanim zdążyło spaść.

Było to nieduże szklane naczynie zabarwione efektem temporalnym na niebiesko. Ale... jaką mogło mieć energię? Lobsang zwinął dłoń, ostrożnie wsunął ją pod

słoiczek i uniósł; nastąpiło mrowienie i nagle poczucie ciężaru, gdy pole wirników objęło dziwny obiekt.

Powróciły jego prawdziwe kolory. Słoiczek był mlecznoróżowy... a raczej przezroczyste szkło wydawało się różowe z powodu swej zawartości. Na papierowej przykrywce znajdowały się marnie wydrukowane i niewiarygodnie piękne truskawki otaczające ozdobny napis:

Ronald Socha Higieniczna Mleczarnia
JOGURT TRUSKAWKOWY
„Świeży jak poranna rosa”

Socha? Znał to nazwisko! Ten człowiek dostarczał do Gildii Złodziei mleko! Dobrze, świeże mleko, nie tę rozwodnioną ciecz o zielonkawym odcieniu, jaką proponowały inne mleczarnie. Bardzo solidny, wszyscy to przyznawali. Ale solidny czy nie, był przecież tylko mleczarzem. Owszem, bardzo dobrym mleczarzem, lecz skoro czas stanął, jak...

Lobsang rozejrzał się rozpaczliwie. Ludzie i wozy, tłoczący się na ulicy, wciąż tu byli. Nikt się nie poruszył. Nikt nie mógł się ruszyć.

Ale coś jednak sunęło wzdłuż rynsztoka. Szczur w czarnej pelerynie biegł na tylnych łapkach. Popatrzył na Lobsanga, a chłopak zobaczył, że stworzenie ma raczej czaszkę niż główkę. Jak na czaszkę, ta była dość sympatyczna.

Słowo PIP zmanifestowało się wewnątrz jego mózgu, nie zadając sobie trudu przechodzenia przez uszy. Potem szczur wskoczył na chodnik i wbiegł w zaułek.

Lobsang podążył za nim.

Chwilę później został od tyłu złapany mocno za szyję. Spróbował przełamać chwyt i uświadomił sobie, jak bardzo w walce polegał na krojeniu czasu. Poza tym osoba za jego plecami miała naprawdę mocne ręce.

– Chciałam tylko mieć pewność, że nie zrobisz niczego nierozsądnego – powiedziała. Mówiła kobiecym głosem. – Co to za aparat masz na plecach?

– Kim ty...

– Protokół w takich sytuacjach – przerwała mu – stwierdza, że pytania zadaje osoba trzymająca tę drugą w zabójczym chwycie za gardło.

– Eee... To prokrastynator. On... magazynuje czas. Ale kim...

– Och, nie zaczynaj znowu. Jak się nazywasz?

– Lobsang. Lobsang Ludd. Słuchaj, czy mogłabyś mnie nakręcić? To ważne...

– Z całą pewnością, Lobsangu Luddzie, jesteś bezmyślny i impulsywny, i zasługujesz na to, by zginąć głupią i bezsensowną śmiercią.

– Co?

- A także dość powoli kojarzysz. Mówiłeś o tej dźwigni?
- Tak. Czas mi się kończy. A teraz mogę spytać, kim ty jesteś?
- Panną Susan. Nie ruszaj się.

Usłyszał za sobą niewiarygodnie wyczekiwany odgłos nakręcanego mechanizmu prokrastynatora.

- Panna Susan? – zdziwił się.

– Tak mnie nazywa większość ludzi. Mam zamiar teraz cię puścić. Dodam tylko, że próba zrobienia czegoś głupiego nie przyniesie zamierzonych efektów. Poza tym jestem w tej chwili jedyną osobą na świecie, która może jeszcze mieć ochotę na zabawę z twoją dźwignią.

Ucisk zelżał. Lobsang odwrócił się powoli.

Panna Susan okazała się młodą kobietą drobnej budowy, ubraną w surowy czarny kostium. Włosy sterczały jej wokół głowy jak aureola, tak jasne, że aż białe, tylko z jednym czarnym pasemkiem. Ale najbardziej uderzające w niej było... było wszystko, uświadomił sobie Lobsang – od wyrazu twarzy po pozę, w jakiej stała. Niektórzy ludzie wtapiają się w tło. Panna Susan wtapiała się w pierwszy plan. Wszystko, przed czym stanęła, stawało się jedynie tłem.

- Skończyłeś? – spytała. – Obejrzałeś sobie wszystko?

– Przepraszam. Nie widziałas tu pewnego staruszka? Ubrany trochę podobnie do mnie. I też nosi na plecach coś takiego.

- Nie. Teraz moja kolej. Masz rytm?
- Co?

Susan przewróciła oczami.

- No dobrze. Masz muzykę?

– Nie przy sobie, nie!

– I na pewno nie masz dziewczyny – uznała Susan. – Parę minut temu widziałam, jak przechodził tędy Stara Bieda. W tej sytuacji lepiej, żebyś na niego nie wpadł.

- A czy to on mógł zabrać mojego przyjaciela?

– Wątpię. Stara Bieda to raczej „to” niż „on”. Zresztą w tej chwili można tu spotkać gorsze rzeczy. Nawet strachy zeszły pod ziemię.

- Słuchaj... czas stanął, tak? – upewnił się Lobsang.

– Tak.

- Więc jak to możliwe, że tu jesteś i ze mną rozmawiasz?

– Nie jestem osobą przywiązana do czasu – wyjaśniła Susan. – Pracuję w nim, ale nie muszę w nim żyć. Jest nas kilkoro.

- Takich jak ten Stara Bieda, o którym wspomniałaś?

– Zgadza się. I Wiedźmikołaj, Wróżka Zębuszka, Piaskowy Dziadek... tacy ludzie.

- Myślałem, że są mityczni.

– I co? – Susan wyjrzała z zaułka.

– A ty nie jesteś mityczna?

– Rozumiem, że nie zatrzymałeś zegara – stwierdziła panna Susan, rozglądając się po ulicy.

– Nie. Przybyłem... za późno. Może nie powinienem wracać, żeby pomóc Lu-tze...

– Słucham? Biegłeś, żeby powstrzymać koniec świata, ale zatrzymałeś się, żeby pomóc jakiemuś staruszkowi? Ty... ty bohaterze!

– Och, to nie było żadne...

Lobsang urwał. Nie powiedziała „Ty bohaterze” tonem, jakim się mówi „Jesteś gwiazdą”. Raczej tonem, jakiego używa się, by powiedzieć „Ty idioto”.

– Widuję wielu podobnych do ciebie – ciągnęła Susan. – Bohaterowie mają dość nędzne pojęcie o elementarnej matematyce. Gdybyś roztrzaskał ten zegar, zanim uderzył, wszystko skończyłoby się dobrze. Teraz świat znieruchomiał, mamy do czynienia z inwazją i prawdopodobnie wszyscy zginieją tylko dlatego, że zatrzymałeś się, by komuś pomóc. Owszem, bardzo szlachetne i takie tam, ale też bardzo... ludzkie.

Użyła tego słowa, jakby jej zdaniem oznaczało „głupie”.

– Chcesz powiedzieć, że do ratowania świata są potrzebni zimni wyrachowani dranie?

– Zimne rachunki pomagają, muszę przyznać. To może teraz pójdziemy obejrzeć ten zegar?

– Po co? Szkoda już się stała. Jeśli go rozbijemy, będzie jeszcze gorzej. Poza tym, no... Moja szpula zaczęła się tam wariacko kręcić i... no wiesz, byłem...

– Ostrożny – dokończyła Susan. – To dobrze. Ostrożność jest rozsądna. Ale chcę coś sprawdzić.

Lobsang usiłował jakoś wziąć się w garść. Ta dziwna kobieta zachowywała się tak, jakby dokładnie wiedziała, co robi – jakby dokładnie wiedziała, co robią wszyscy... No ale jaki miał wybór?

I wtedy przypomniał sobie, co znalazł.

– Czy to coś oznacza? – zapytał, pokazując jej słóiczek z jogurtem. – Jestem pewien, że został upuszczony na ulicy już po zatrzymaniu czasu.

Wzięła słóik i przyjrzała mu się.

– Och... – rzuciła obojętnie. – Ronnie się tu kręcił, tak?

– Ronnie?

– Wszyscy znamy Ronniego.

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć.

– Powiedzmy tyle, że jeśli Ronnie znalazł twojego przyjaciela, to twojemu przyjacielowi nic raczej nie grozi. Prawdopodobnie. W każdym razie mniej niż gdyby

go znalazł ktokolwiek inny. Słuchaj, to naprawdę nie jest właściwa chwila, żeby się martwić o jedną osobę. Zimne rachunki, jasne?

Wyszła na ulicę. Lobsang ruszył za nią. Szła, jakby ta ulica była jej własnością. Zaglądała we wszystkie zaułki i bramy, ale nie tak jak potencjalna ofiara obawiająca się napastników. Lobsang miał wrażenie, że jest rozczarowana, nie znajdując w cieniach niczego niebezpiecznego.

Dotarła do sklepu, weszła do środka i zatrzymała się na moment, spoglądając na unoszący się kwiat rozbitego szkła. Jej mina sugerowała, że uważa to za coś całkowicie normalnego i że widywała już rzeczy o wiele ciekawsze. Potem ruszyła dalej i przystanęła przed wewnętrznymi drzwiami. Blask wciąż wydobywał się przez szczelinę, lecz wyraźnie już przygasał.

– Uspokaja się – stwierdziła. – Nie powinno być tak źle. Ale jest tam dwóch ludzi.

– Kto?

– Czekaj, otworzę drzwi. I uważaj.

Drzwi uchyliły się bardzo wolno. Lobsang wszedł za dziewczyną do warsztatu. Prokrastynator zawirował szybciej.

Zegar lśnił na środku pomieszczenia. Samo patrzenie na niego sprawiało ból.

Lobsang jednak patrzył.

– Jest... Jest taki, jak sobie wyobrażałem – powiedział. – To sposób na...

– Nie podchodź bliżej – ostrzegła go Susan. – Uwierz mi, to niepewna śmierć. Uważaj.

Lobsang zamrugał. Ostatnie kilka myśli zdawało się nie należeć do niego.

– Co mówiłaś?

– Powiedziałam, że to niepewna śmierć.

– Gorsza od pewnej śmierci?

– O wiele. Popatrz.

Podniosła z podłogi młotek i wyciągnęła go ostrożnie w stronę zegara. Drżał jej w dłoni, kiedy znalazł się bliżej, a ona zakłęła pod nosem, gdy wyrwał się z jej uścisku i zniknął. Tuż przedtem wokół zegara pojawił się malejący pierścień, który wyglądał tak, jak mógłby wyglądać młotek, gdyby rozprasować go na płasko i zgiąć w obręcz.

– Masz pojęcie, co się stało? – spytała.

– Nie.

– Ja też nie. A teraz wyobraź sobie, że to ty byłeś młotkiem. Niepewna śmierć, rozumiesz?

Lobsang przyjrzał się dwóm nieruchomym ludziom. Jeden był średniego wzrostu i miał właściwą liczbę kończyn, by zakwalifikować go jako istotę ludzką; a zatem wątpliwości winny prawdopodobnie przemawiać na jego korzyść. Wpatrywał się w zegar. Podobnie drugi: mężczyzna w średnim wieku, ze zbaraniałą miną, wciąż.

trzymający filiżankę herbaty oraz – o ile Lobsang mógł to dostrzec – herbatnika.

– Ten, który nie wygrałby konkursu piękności, nawet gdyby był jedynym uczestnikiem, to Igor – wyjaśniła Susan. – Ten drugi to doktor Hopkins z Gildii Zegarmistrzów.

– Czyli wiemy już, kto zbudował ten zegar – uznał Lobsang.

– Raczej nie. Warsztat doktora Hopkinsa znajduje się o kilka ulic stąd. Doktor Hopkins buduje oryginalne zegarki dla pewnego szczególnego typu wybrednych klientów. To jego specjalność.

– A więc... Igor musiał go zbudować.

– Wielkie nieba, ależ skąd! Igory to profesjonalni służący. Nigdy nie pracują dla siebie.

– Wydaje się, że bardzo dużo wiesz – zauważył Lobsang.

Susan okrążyła zegar jak zapaśnik szukający możliwości chwytu.

– Tak – przyznała, nie odwracając głowy. – Wiem. Pierwszy zegar się rozpadł. Ten jakoś wytrzymał. Ktokolwiek go zaprojektował, musiał być geniuszem.

– Geniuszem zła?

– Trudno powiedzieć. Nie dostrzegam żadnych oznak.

– Jakich oznak?

Przewróciła oczami.

– Na przykład wymalowane na boku „Hahaha!!!!!!” byłoby wyraźną wskazówką, nie sądzisz?

– Przeszkadzam ci, prawda? – upewnił się Lobsang.

– Nie, skąd.

Z haka przy szklanych słojach Susan zdjęła zwój gumowego węża i obejrzała go w skupieniu. Potem rzuciła nim w kąt i znów patrzyła, jakby nigdy jeszcze niczego podobnego nie widziała.

– Nie mów ani słowa – rzuciła spokojnie. – Mają pewne niezwykle wyczułone zmysły. Po prostu wsuń się między te duże szklane kadzie za tobą i staraj się nie zwracać na siebie uwagi. Zrób to TERAZ.

Ostatnie słowo niosło jakieś dziwne vibracje i Lobsang poczuł, że jego nogi poruszają się same.

Drzwi uchyliły się nieco i wszedł jakiś człowiek.

W jego twarzy zaskakiwało to, jak uznał potem Lobsang, że była tak zupełnie nierzucająca się w oczy. Nigdy jeszcze nie widział twarzy całkowicie pozbawionej czegokolwiek wartego zapamiętania. Miała nos, usta i oczy, ale jakoś nie tworzyły razem oblicza. Były tylko częściami i nie składały się w sensowną całość. Jeśli już, to raczej w twarz posągu, który nieźle wygląda, ale nic nie wygląda z jego wnętrza.

Powoli, jak ktoś, kto musi myśleć o ruchach mięśni, ten człowiek odwrócił się i

spojrzał na Lobsanga.

Chłopak poczuł, że napina się, gotów do krojenia czasu. Wirnik na plecach zgrzytnął ostrzegawczo.

– Myślę, że już wystarczy – oznajmiła Susan, wychodząc do przodu.

Szarpnięciem odwróciła nieznajomego, wbiła mu łokieć w żołądek, a potem pięścią tak mocno uderzyła pod brodę, że uniósł się w powietrze i uderzył o ścianę.

Kiedy upadał, Susan trafiła go w głowę ciężkim kluczem do śrub.

– Chyba możemy już iść – powiedziała, jak gdyby właśnie złożyła równo jakieś nieuporządkowane papiery. – Nic więcej tu nie znajdziemy.

– Zabiłaś go!

– To prawda. Nie był ludzką istotą. Mam... wycucie w podobnych sprawach. Tak jakby odziedziczone. Poza tym... Idź, przynieś mi ten wąż. No już.

Ponieważ nadal trzymała klucz, Lobsang posłuchał. A przynajmniej próbował. Zwój, który rzuciła do kąta, był teraz zasupłany i splątany jak gumowe spaghetti.

– Złośliwość... Tak to nazywa mój dziadek – wyjaśniła Susan. – Lokalna wrogość okazywana nierzeczom przez rzeczy zawsze wzrasta, kiedy w pobliżu znajduje się Audytor. Nie potrafią temu zaradzić. Test gumowego węża jest całkiem dokładny w warunkach polowych. Tak twierdzi pewien znajomy szczur.

Szczur, pomyślał Lobsang. Ale głośno zapytał:

– Co to jest Audytor?

– I nie mają żadnego wycucia kolorów. Nie rozumieją ich. Spójrz tylko, jak ten był ubrany. Szary garnitur, szara koszula, szare buty, szary krawat, szare wszystko.

– No... może to był ktoś, kto wyznawał luz w ubiorze...

– Myślisz? W takim razie żadna strata. Zresztą nie masz racji. Patrz.

Trup się rozpadał. Był to szybki i bezkrwawy proces, rodzaj suchego parowania. Ciało zmieniało się w lotny pył, który rozsnuwał się i znikał. Ostatnie garści na kilka sekund uformowały znajomy kształt, ale on zniknął również, z najłżejszym szeptem wrzasku.

– To był *dhlang*. – zawołał Lobsang. – Zły duch! Wieśniacy w dolinach wieszają amulety dla ochrony przed nimi! Ale myślałem, że *dhlang* są tylko zabobonem!

– Są przedbobonem – odparła Susan. – To znaczy, że są rzeczywiści, ale właściwie nikt w nich nie wierzy. Wszyscy zwykle wierzą w rzeczy, które nie są rzeczywiste. Ale tutaj dzieje się coś bardzo dziwnego. Te stwory są wszędzie dookoła i mają ciała. Nie powinno tak być. Musimy znaleźć tego kogoś, kto zbudował zegar.

– A kim pani jest, panno Susan?

– Ja? Jestem... nauczycielką.

Zauważyła, że przygląda się kluczowi, który wciąż trzymała w dłoni. Wzruszyła ramionami.

– W czasie przerwy bywa naprawdę ciężko, co? – rzucił Lobsang.

Wokół unosił się silny zapach mleka.

Lu-tze usiadł gwałtownie.

Znajdował się w dużej sali, a ktoś ułożył go na stole stojącym w samym środku. Sądząc z dotyku, blat pokryty był metalową blachą. Bańki na mleko stały rzędem pod ścianą, a wielkie metalowe misy przy zlewozmywaku rozmiarów wanny.

Obok zapachu mleka dało się wyczuć jeszcze inne – środków dezynfekujących, dobrze wyszorowanego drewna, a także daleki odór koni.

Zabrzmiały kroki. Lu-tze położył się szybko i zamknął oczy.

Ktoś wszedł. Pogwizdywał cicho pod nosem i musiał być mężczyzną, ponieważ żadna kobieta poznana w długim żywocie Lu-tze nie gwizdała w tak urywanym, syczącym stylu. Gwizdanie zbliżyło się do stołu, znieruchomiało na chwilę, a potem skierowało do zlewu. Po chwili zagłuszył je odgłos ręcznej pompy.

Lu-tze uchylił jedną powiekę.

Stojący przy zlewie mężczyzna był dość niski, tak że typowy fartuch w białoniebieskie paski sięgał mu prawie do podłogi. Wydawało się, że myje butelki.

Lu-tze spuścił nogi z blatu. Poruszał się tak bezszelestnie, że przeciętny ninja brzmiałby przy nim jak orkiestra dęta... Sandały delikatnie dotknęły podłogi.

– Czujesz się lepiej? – zapytał mężczyzna, nie odwracając głowy.

– Och... no... tak. Świetnie – odparł Lu-tze.

– Pomyślałem sobie: to jakiś gość w stylu łysego mnicha. – Mężczyzna w fartuchu uniósł butelkę i przyjrzał się jej pod światło. – Nosi na plecach jakiś nakręcany aparat i nie ma szczęścia. Napijesz się herbaty? Nastawiłem czajnik. Mam masło jaka.

– Jaka? Czy ja wciąż jestem w Ankh-Morpork?

Lu-tze obejrzał pobliski wieszak z chochlami. Mężczyzna w fartuchu nadal się nie oglądał.

– Hm... Interesujący problem – stwierdził. – Można chyba powiedzieć, że jesteś tak jakby w Ankh-Morpork. Nie chcesz mleka jaka? Mogę zaproponować także krowie, kozie, owcze, wielbłądzie, lamie, końskie, kocie, psie, delfinie, wielorybie albo aligatorowe, jeśli wolisz.

– Co? Aligatory nie dają mleka! – Lu-tze chwycił największą chochlę. Zsunęła się z haka bez najmniejszego dźwięku.

– Nie mówiłem, że to łatwe.

Sprzątacznica mocno chwyciła chochlę.

– Co to za pracownia, przyjacielu? – zapytał.

– Jesteś... w mleczarni.

Człowiek przy zlewie powiedział to złowieszczo, jakby mówił: „W zamku grozy”.

Potem umieścił ostatnią butelkę na desce ociekacza i – wciąż odwrócony plecami – wystawił dłoń do góry. Wszystkie palce były zwinięte oprócz środkowego, który sterczał wyprostowany.

– Wiesz, co to jest, mnichu?

– To nie jest przyjazny gest, przyjacielu.

Chochła przyjemnie ciążyła w dłoni. Lu-tze używał już w życiu dużo gorszej broni.

– Hm... Powierzchnowa interpretacja, mnichu. Widzę na tobie ciężar stuleci. Powiedz mi, co to jest, a dowiesz się, kim jestem.

Chłód w mleczarni stał się nieco chłodniejszy.

– To twój środkowy palec – stwierdził Lu-tze.

– Phi! – odparł mężczyzna.

– Phi?

– Tak, phi. Masz przecież mózg. Użyj go.

– Posłuchaj, jestem ci wdzięczny za...

– Poznałeś tajemne mądrości, mnichu, jakich poszukują wszyscy. – Zmywacz butelek przerwał na chwilę. – Nie, podejrzewam nawet, że znasz całkiem oczywiste mądrości, leżące na samym wierzchu, których praktycznie nikt nie szuka. Kim jestem?

Lu-tze patrzył na samotny palec. Ściany mleczarni się rozplynęły. Było coraz zimniej.

Myśli pędziły szaleńczo. Kontrolę nad nimi przejął bibliotekarz pamięci.

To nie jest normalne miejsce, to nie jest normalny człowiek. Palec. Jeden palec. Jeden z pięciu palców u... Jeden z pięciu. Jeden z Pięciu.

Słabe echa dawnych legend starały się zwrócić jego uwagę.

Jeśli od pięciu odjąć jednego, zostaje czterech.

I jeden odrzucony.

Lu-tze bardzo starannie odwiesił chochlę na miejsce.

– Jeden z Pięciu – powiedział. – Piąty z Czterech.

– No i trafiłeś. Od razu zauważyłem, że jesteś wykształcony.

– Jesteś... Jesteś tym, który odszedł, zanim stali się sławni?

– Tak.

– Ale... to przecież mleczarnia, a ty zmywasz butelki!

– I co? Musiałem się czymś zająć.

– Ale... byłeś Piątym Jeźdźcem Apokalipsy! – zawołał Lu-tze.

– I założę się, że nie pamiętasz nawet mojego imienia.

Lu-tze się zawahał.

– Nie. Chyba nigdy go nie słyszałem.

Piąty Jeździec się odwrócił. Oczy miał czarne. Całkowicie czarne. Błyszczące i

czarne, bez śladu białka.

– Moje imię brzmi...

– Tak?

– Brzmi: Ronnie.

Bezczasowość narastała jak lód. Fale zamierały na morzu. Ptaki tkwiły przypięte do powietrza. Świat był nieruchomy.

Ale nie bezgłośny. Wszędzie rozlegał się odgłos jakby palca przesuwanego po brzegu bardzo wielkiego kieliszka.

– Chodźmy – powiedziała Susan.

– Nie słyszysz tego? – Lobsang się zatrzymał.

– Ale to się nam nie przyda...

Pchnęła Lobsanga w cień. Szara sylwetka Audytora pojawiła się w powietrzu na środku ulicy i zaczęła się obracać. Powietrze wokół niej wypełniło się pyłem, pył stał się wirującym walcem, a walec czymś wyglądającym jak człowiek, trochę niepewnie stojący na nogach.

Przez chwilę chwiał się w przód i w tył. Uniósł ręce i przyjrzał im się ze wszystkich stron. A później odmaszerował stanowczym krokiem. Kawałek dalej dołączył do niego drugi, który wyszedł z bocznego zaułka.

– To do nich niepodobne – stwierdziła Susan, kiedy obaj zniknęli za rogiem. – Coś knują. Chodźmy za nimi.

– A Lu-tze?

– Co z nim? Mówiłeś, że ile ma lat?

– Twierdzi, że osiemset.

– Czyli trudno go zabić. U Ronniego jest raczej bezpieczny, jeśli tylko zachowa czujność i nie będzie się kłócił. Chodź.

I ruszyła przed siebie.

Do Audytorów dołączali następni, wymijający nieruchome wozy i zamarłych ludzi. Sunęli ulicami w stronę – jak się okazało – placu Sator, jednego z większych obszarów otwartej przestrzeni w mieście. Dzień był targowy. Milczący, znieruchomiali ludzie tłoczyli się wśród straganów. A między nimi przesuwwały się szare postacie.

– Są ich tam setki – zauważyła Susan. – Wszystkie w ludzkich postaciach. I wygląda, jakby mieli tu spotkanie.

Pan Biały zaczynał tracić cierpliwość. Aż do tej chwili nie zdawał sobie nawet sprawy, że w ogóle ją posiada, ponieważ jeśli w ogóle, to był czystą cierpliwością. Teraz jednak czuł, jak jego cierpliwość się ulatnia. Było to dziwne wrażenie gorąca w

głowie. Ale jak myśl może być gorąca?

Masa wcielonych Audytorów przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Ja jestem panem Białym – poinformował pechowego Audytora, którego doprowadzono. Zadrżał ze zdumienia, że użył tego zaimka w liczbie pojedynczej i przeżył. – Nie możesz też być panem Białym. To spowoduje zamieszanie.

– Ale kończą się nam kolory – wtrąciła panna Fioletowa.

– Niemożliwe – oświadczył pan Biały. – Istnieje nieskończenie wiele kolorów.

– Ale nie ma tak wielu nazw – zauważyła panna Grafitowa.

– Niemożliwe. Każdy kolor musi mieć swoją nazwę.

– Udało się znaleźć tylko sto trzy określenia zielonego, zanim kolor staje się niebieskim albo żółtym – poinformowała panna Karmazynowa.

– Ten problem musi zostać rozwiązany. Proszę dołączyć go do listy, panno Brązowa. Musimy nazwać każdy możliwy odcień.

Jedna z żeńskich Audytorek zdziwiła się wyrażnie.

– Nie mogę wszystkiego pamiętać. I nie rozumiem, czemu pan mi wydaje polecenia.

– Jeśli nie liczyć renegatki, jestem pierwszy pod względem starszeństwa inkarnacji.

– Tylko o kilka sekund – przypomniwała panna Brązowa.

– To nieistotne. Starszeństwo to starszeństwo. Taki jest fakt.

To był fakt. A Audytorzy mieli szacunek dla faktów. Faktem było też – o czym pan Biały wiedział – że w tej chwili ponad siedmuset Audytorów wędrowało dość chwiejnie po całym mieście.

Pan Biały musiał skończyć z tym niekontrolowanym przyrostem wcieleń, jako że coraz więcej jego kolegów wpadało w kłopoty. Renegatka wykazała, że ludzka forma zmusza mózg do myślenia w pewien kłopotliwy sposób. Niezbędna jest najwyższa ostrożność. Taki jest fakt. Jedynie ci, którzy dowiedli, że zdołają przetrwać ten proces, powinni uzyskać zgodę na inkarnację i dokończenie dzieła. Taki jest fakt.

Audytorzy mieli szacunek dla faktów. Przynajmniej do tej chwili.

Panna Brązowa cofnęła się o krok.

– Mimo wszystko – rzekła – przebywanie tutaj jest niebezpieczne. Moim zdaniem powinniśmy deinkarnować.

Pan Biały odkrył, że ciało reaguje samodzielnie. Wypuściło z płuc powietrze.

– I pozostawić rzeczy niepoznanymi? – zapytał. – Rzeczy niepoznane są niebezpieczne. Wiele się uczymy.

– To, czego się uczymy, nie ma sensu.

– Im więcej się dowiemy, tym więcej sensu zyska. Nie istnieje nic, czego nie potrafilibyśmy zrozumieć.

– Nie rozumiem, dlaczego w tej chwili odczuwam silne pragnienie, by doprowadzić moją rękę do gwałtownego kontaktu z pańską twarzą – oznajmiła panna Brązowa.

– O to mi właśnie chodziło – wyjaśnił pan Biały. – Nie rozumie pani tego, a zatem jest to niebezpieczne. Proszę wykonać ten akt, a dowiemy się więcej.

Uderzyła go.

Uniósł dłoń do policzka.

– Narodziny spontanicznych myśli o uniknięciu powtórzenia zdarzenia – powiedział. – Także wzrost temperatury. Co warte uwagi, ciało istotnie wydaje się prowadzić samoczynny proces myślowy.

– Z mojej strony – oznajmiła panna Brązowa – spontaniczne myśli dotyczą satysfakcji połączonej z lękiem.

– Nauczyliśmy się więcej o ludziach – stwierdził pan Biały.

– W jakim celu? – zapytała panna Brązowa, której uczucie lęku narastało na widok wykrzywionej twarzy pana Białego. – Z naszego punktu widzenia przestali na cokolwiek wpływać. Czas się skończył. Są skamielinami. Skóra pod jednym z pańskich oczu drga.

– Jest pani winna niewłaściwej myśli – odparł pan Biały. – Oni istnieją. A zatem musimy zbadać ich pod każdym względem. Chcę przeprowadzić kolejny eksperyment. Moje oko funkcjonuje doskonale.

Wziął ze straganu topór. Panna Brązowa cofnęła się jeszcze o krok.

– Spontaniczne myśli o lęku narastają znacząco – powiedziała.

– A przecież to tylko bryła metalu na kawałku drewna – stwierdził pan Biały, ważąc topór w rękę. – My, którzy widzieliśmy serca gwiazd... którzy widzieliśmy płonące światy... którzy widzieliśmy dręczoną przestrzeń... Cóż jest w tym toporze, co mogłoby budzić w nas niepokój?

Machnął. To było niezgrabne cięcie, a szyja człowieka jest o wiele mocniejsza, niż się ludziom wydaje, ale kark panny Brązowej eksplodował kolorowymi płatkami. Runęła na ziemię.

Pan Biały zmierzył wzrokiem otaczających go Audytorów. Cofnęli się wszyscy.

– Czy jest jeszcze ktoś, kto chciałby przeprowadzić eksperyment? – zapytał.

Odpowiedział mu chór nerwowych zaprzeczeń.

– Dobrze – pochwalił pan Biały. – Bardzo wiele się uczymy.

– On jej odrąbał głowę!

– Nie krzycz! – syknęła Susan. – I własną głowę trzymaj nisko!

– Ale on...

– Ona chyba już o tym wie. Poza tym to nie ona, ale „to”. To drugie też.

– Co się tam dzieje?

Susan cofnęła się w cień.

– Nie jestem całkiem pewna. Ale wydaje mi się, że próbowali zbudować sobie ludzkie ciała. Zresztą całkiem dobre kopie. I teraz... zachowują się po ludzku.

– Nazywasz to ludzkim zachowaniem?

Spojrzała na Lobsanga ze smutkiem.

– Niewiele wychodzisz z domu, prawda? Mój dziadek powtarza, że kiedy inteligentna istota przyjmuje ludzki kształt, zaczyna myśleć jak człowiek. Forma określa funkcję.

– To miało być działanie istoty inteligentnej? – oburzył się Lobsang, wciąż zaszokowany.

– Nie tylko rzadko wychodzisz, ale też nie czytujesz książek historycznych. – Susan westchnęła. – Słyszałeś o przekleństwie wilkołaków?

– Czy być wilkołakiem samo w sobie nie jest dostatecznym przekleństwem?

– One tak nie uważają. Ale kiedy pozostają zbyt długo w wilczej postaci, stają się wilkami. Wilk to bardzo silna... forma. Rozumiesz? Chociaż umysł pozostaje ludzki, wilk przeciska się tam przez nos, uszy i łapy. Wiesz coś o czarownicach?

– Tak... ukradliśmy którejś miotłę, żeby się tu dostać – wyznał Lobsang.

– Naprawdę? No to mieliście szczęście, że nastąpił koniec świata – uznała Susan. – W każdym razie najlepsze czarownice znają taką sztuczkę, którą nazywają Pożyczaniem. Potrafią wejść do umysłu zwierzęcia. Bardzo użyteczne. Ale kłopot polega na tym, że trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać. Bądź kaczką za długo, a kaczką już zostaniesz. Bystrą kaczką, zapewne, mającą trochę dziwaczne wspomnienia, ale jednak kaczką.

– Poeta Hoha śnił kiedyś, że jest motylem, a potem obudził się i powiedział: „Czy jestem człowiekiem, który śnił, że jest motylem, czy może motylem, który śni, że jest człowiekiem?” – rzekł Lobsang, próbując nadążyć.

– Naprawdę? – spytała z ożywieniem Susan. – I czym był?

– Kto to wie...

– A jak pisał swoje wiersze?

– Pędzelkiem, oczywiście.

– Nie trzepotał, wykonując bogate w informację figury w powietrzu albo składając jajeczka na liściach kapusty?

– Nikt nigdy o tym nie wspominał.

– W takim razie prawdopodobnie był człowiekiem – uznała Susan. – Interesujące, ale nie posuwa nas do przodu. Można tylko powiedzieć, iż Audytorzy śnią, że są ludźmi. A ich sen jest realny. Oni nie mają wyobraźni. Całkiem jak mój dziadek. Potrafią stworzyć doskonałą kopię czegokolwiek, ale nie umieją zbudować niczego

nowego. Czyli, moim zdaniem, w tej chwili próbują odkryć, co naprawdę oznacza być człowiekiem.

– To znaczy?

– Że nie kontrolujesz wszystkiego w takim stopniu, jak ci się wydaje. – Raz jeszcze przyjrzała się tłumowi na placu. – Czy wiesz cokolwiek o osobie, która zbudowała zegar?

– Ja? Nie... No, prawie...

– Więc jak się tu znalazłeś?

– Lu-tze sądził, że właśnie tutaj budowany jest zegar.

– Naprawdę? Nieźle to odgadł. Trafiłeś nawet do właściwego domu.

– Ja, tego... To ja znalazłem dom. On... znaczy, wiedziałem, że tam właśnie powinienem być. Głupio brzmi, prawda?

– O tak. Z dzwoneczkami i fruującymi ptaszkami. Ale to może być prawda. Ja też zawsze wiem, gdzie być powinienam. A gdzie powinieneś być teraz?

– Chwileczkę... – mruknął Lobsang. – Kim ty właściwie jesteś? Czas się zatrzymał, świat opanowały... różne bajki i potwory, ale po ulicach chodzi nauczycielka?

– Najlepsza osoba, jaką można wybrać – zapewniła Susan. – My nie lubimy głupot. Zresztą mówiłam ci już, że odziedziczyłam pewne zdolności.

– Na przykład życia poza czasem?

– To jedna z nich.

– Dziwna zdolność u nauczycielki.

– Ale przydaje się przy ocenianiu klasówek – odparła spokojnie Susan.

– Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem?

– Ha! W takim samym stopniu co ty! Ale nie będę udawać, że nie mam w rodzinnej szafie kilku szkieletów.

Powiedziała to dziwnym tonem...

– To nie było tylko takie powiedzonko, prawda? – zapytał obojętnie Lobsang.

– Nie, właściwie nie – przyznała. – A ten mechanizm, który nosisz na plecach... Co będzie, kiedy przestanie się kręcić?

– Skończy mi się czas, oczywiście.

– Aha. Czyli fakt, że zwolnił i zatrzymał się mniej więcej wtedy, kiedy ten Audytor ćwiczył używanie topora, nie jest taki istotny?

– Nie kręci się?

Lobsang w panice usiłował dosięgnąć dłonią karku i aż się obrócił z wysiłku.

– Wygląda na to, że też masz ukryty talent. – Susan z uśmiechem oparła się o mur.

– Proszę cię! Nakręć mnie znowu!

– No dobrze. Jesteś...

– To nie było zabawne nawet za pierwszym razem.

– Nie szkodzi, nie mam wielkiego poczucia humoru.

Chwyliła go za ręce, kiedy mocował się z uprzążą prokrastynatora.

– Nie jest ci to potrzebne, rozumiesz? – powiedziała. – To tylko martwy ciężar! Uwierz mi! Nie rezygnuj! Tworzysz własny czas! I nie zastanawiaj się, w jaki sposób!

Popatrzył na nią ze zgrozą.

– Co się dzieje?

– Już dobrze, wszystko w porządku – uspokajała go cierpliwie Susan. – Takie odkrycia zawsze powodują wstrząs. Kiedy mnie to spotkało, nie miałam przy sobie nikogo, więc i tak możesz się uważać za szczęściarza.

– A co cię spotkało?

– Odkryłam, kim jest mój dziadek. Nie pytaj. A teraz skoncentruj się, pomyśl, gdzie powinienes być.

– Hm... no... – Lobsang się rozejrzył. – Chyba gdzieś w tamtym kierunku.

– Nawet mi się nie śni, żeby spytać, skąd wiesz – rzekła Susan. – Poza tym w ten sposób oddalimy się od tego tłumu. – Uśmiechnęła się. – Spójrz na to od jaśniejszej strony – powiedziała. – Jesteśmy młodzi, mamy do dyspozycji cały czas świata... – Oparła ciężki klucz na ramieniu. – Idziemy poszaleć?

Gdyby istniało coś takiego jak czas, minęłoby kilka minut od odejścia Susan i Lobsanga. Mała figurka, wysokości około sześciu cali, wkroczyła do warsztatu. Za nią zjawił się kruk, który przysiadł na krawędzi drzwi i z wyraźną podejrzliwością obserwował jaśniejący zegar.

– Jak dla mnie wygląda na niebezpieczny – stwierdził.

PIP? – odparł Śmierć Szczurów, podchodząc bliżej.

– Nie, nie próbuj nawet być bohaterem – poprosił Miodrzekł.

Szczur podszedł do podstawy zegara, przyjrzał mu się z miną mówiącą „Im są więksi, tym boleśniejszy bywa upadek”, po czym uderzył kosą.

A w każdym razie próbował. Błysnęło, kiedy ostrze dotknęło szafki. Przez moment Śmierć Szczurów był kolistą, czarno-białą smugą wokół zegara... i zniknął.

– Mówilem... – Kruk przyglądał dziobem pióra. – Pewnie czujesz się teraz Panem Głuptasem, co?

– ...i wtedy pomyślałem: jaka praca naprawdę wymaga kogoś z moimi zdolnościami? – opowiadał Ronnie. – Dla mnie czas to po prostu jeszcze jeden kierunek. Aż wpadłem na myśl, że przecież wszyscy chcą pić świeże mleko, prawda? I wszyscy by chcieli, żeby je im dostarczać wcześniej rano.

– Na pewno lepsze to od mycia okien – przyznał Lu-tze.

– Tym się zająłem, dopiero kiedy wymyślili okna – rzekł Ronnie. – Przedtem to było dorywcze ogrodnictwo. Jeszcze trochę zjełczałego masła jaka?

– Poproszę. – Lu-tze uniósł filiżankę.

Lu-tze miał osiemset lat i dlatego teraz odpoczywał. Bohater by się poderwał, pognał do milczącego miasta i...

No właśnie. I wtedy bohater musiałby się zastanowić, co robić dalej. Osiemset lat nauczyło Lu-tze, że wszystko, co zaszło, pozostaje zaszłe. Może pozostawać zaszłe w innym zestawie wymiarów, jeśli ktoś ma ochotę na techniczne szczegóły, ale nie można tego zajścia cofnąć. Zegar uderzył i czas się zatrzymał. Później może pojawić się rozwiązanie. A tymczasem filiżanka herbaty i rozmowa z tym nieoczekiwanym ratownikiem może ten czas przyspieszyć. W końcu Ronnie nie był zwyczajnym mleczarzem...

Lu-tze od dawna uważał, że nic nie dzieje się bez powodu, z możliwym wyjątkiem piłki nożnej.

– Masz tu świetny towar, Ronnie – pochwalił, upijając łyk. – Tym masłem, jakie ostatnio dostajemy, człowiek nawet osi by nie posmarował.

– To przez hodowlę – wyjaśnił Ronnie. – Ja dostaję to z górskich stad żyjących sześćset lat temu.

– Zdrowie... – Lu-tze uniósł filiżankę. – Ale to zabawne. Rozumiesz, gdyby komus powiedzieć, że oryginalnie było Pięciu Jeźdźców Apokalipsy, a potem jeden odszedł i został mleczarzem, no wiesz, byłiby zaskoczeni. Pytaliby, dlaczego właściwie...

Oczy Ronniemu błysnęły srebrzyście.

– Nieporozumienia artystyczne – burknął niechętnie. – Cała ta sprawa z ego... Niektórzy mogliby powiedzieć... Nie, nie chcę o tym mówić. Oczywiście, życzę im szczęścia.

– Oczywiście – zgodził się Lu-tze z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– I z wielkim zainteresowaniem śledzę ich kariery.

– Na pewno.

– Wiesz, usunęli mnie nawet z oficjalnej historii – poskarżył się Ronnie. Uniósł rękę i w dłoni pojawiła się książka. Wyglądała na całkiem nową. – To było wcześniej – oświadczył z przekąsem. – Księga Oma, Proroctwa Tobruna. Spotkałeś go kiedyś? Wysoki gość, broda, miał skłonność do chichotania bez powodu?

– To jeszcze przed moim czasem, Ronnie.

Ronnie wręczył mu książkę.

– Pierwsze wydanie. Sprawdź rozdział 2, wers 7.

Lu-tze przeczytał:

– „I Anioł w biel odzian otworzył Żelazną Księgę i piąty jeździec wyruszył w rydwanie płomiennego lodu, i słychać było łamanie praw i pękanie więzów, a tłumy

zakrzyknęły: O Boże, teraz naprawdę mamy kłopot!”.

– To o mnie – oświadczył z dumą Ronnie.

Wzrok Lu-tze przesunął się do wersu ósmego: „I zobaczyłem jakby króliki o wielu barwach, ale w zasadzie w kraciasty deseń, tak jakby wirujące dookoła, i rozległ się głos jakby wielkiego lepkiego kapania”.

– Wers został z następnego wydania usunięty – wyjaśnił Ronnie. – Stary Tobrun był bardzo otwarty na wszelkiego rodzaju wizje. Ojcowie omnianizmu mogli wziąć i wymieszać, co tylko zechcieli. Oczywiście w tamtych czasach wszystko było nowe. Śmierć już wtedy był Śmiercią, to jasne, ale reszta tak naprawdę występowała jako Miejscowy Nieurodzaj, Bójka i Pryszcz.

– A ty...? – spróbował Lu-tze.

– Przestałem interesować publiczność. Tak mi przynajmniej tłumaczyli. W tamtych czasach graliśmy dla małych grup. Drobną plagą szarańczy, wysychająca studnia jakiegoś plemienia, wybuchający wulkan... Braliśmy każdy występ. Nie było miejsca dla pięciu. – Pociągnął nosem. – Tak mi tłumaczyli.

Lu-tze odstawił filiżankę.

– No cóż, Ronnie, miło się z tobą rozmawia, ale czas... czas nie ucieka, rozumiesz.

– Tak. Słyszałem o tym. Ulice pełne są Prawa. – Czy Ronniego znowu błysnęły.

– Prawa?

– *Dhlang*, Audytorów. Udało im się znowu zbudować szklany zegar.

– Wiesz o tym?

– Słuchaj, może i nie jestem jednym z Czterech Straszliwych, ale mam oczy i uszy otwarte.

– Przecież to koniec świata!

– Nie, wcale nie – zapewnił spokojnie Ronnie. – Wszystko ciągle istnieje.

– Ale nic się nie zmienia!

– No cóż, to już nie mój kłopot, prawda? Ja tylko dostarczam mleko i produkty mleczne.

Lu-tze rozejrzał się po skrzęcej się czystości sali, ocenił lśniące butelki i błyszczące bańki. Cóż za zajęcie dla kogoś pozaczasowego... Mleko zawsze jest świeże.

Raz jeszcze zerknął na butelki i nieproszona myśl zaświtała mu w głowie.

Jeźdźcy mieli ludzką formę, a ludzie są próżni. Wiedza, jak wykorzystywać ludzką próżność, sama w sobie jest sztuką walki, a Lu-tze ćwiczył się w niej już od bardzo dawna.

– Złożę się, że odkryję, kim byłeś – powiedział. – Złożę się, że potrafię odgadnąć twoje prawdziwe imię.

– Ha – mruknął Ronnie. – Nie masz szans, mnichu.

– Nie jestem mnichem, tylko sprzątaczem – poprawił go spokojnie Lu-tze. – Nazwałeś ich Prawem, Ronnie. Musi istnieć prawo, zgadza się? Oni tworzą reguły, Ronnie. A muszą być jakieś reguły, prawda?

– Dostarczam mleko i produkty mleczne – powtórzył Ronnie, ale mięsień zaczął mu drgać na policzku. – Również jajka na zamówienie. To spokojny i pewny interes. Myślę nawet, czy nie zatrudnić kogoś do sklepu.

– Po co? – zdziwił się Lu-tze. – Przecież nie będzie miał co robić.

– I poszerzyć dział serów – ciągnął Ronnie, nie patrząc na sprzątacza. – Jest rynek dla serów. I pomyślałem, że może by załatwić sobie adres s-mailowy. Ludzie mogliby przysyłać mi zamówienia. Duży rynek.

– Wszystkie reguły zwyciężyły, Ronnie. Nic już się nie porusza. Nie ma niczego nieoczekiwanego, bo nic się nie zdarza.

Ronnie siedział wpatrzony w pustkę.

– Ale widzę, że znalazłeś swoją niszę, Ronnie – mówił Lu-tze. – Utrzymujesz tę pracownię w idealnym stanie, trudno zaprzeczyć. Myślę, że chłopcy naprawdę się ucieszą, wiedząc, że ty... no wiesz, że sobie radzisz. Tylko jedna sprawa, hm... Dlaczego mnie uratowałeś?

– Co? To było takie... z dobrego serca.

– Jest pan Piątym Jeźdźcem, panie Socha. Dobre serce?

Tylko że, myślał Lu-tze, od bardzo dawna masz ludzki kształt. Chcesz, żebym to odkrył... Chcesz tego. Tysiące lat takiego życia zawinęło cię w siebie. Będziesz walczył o każdą piędź, ale pragniesz, żebym wyciągnął z ciebie twoje imię.

Oczy Ronniego załśniły.

– Dbam o swoich, sprzątaczu.

– Jestem jednym z twoich, tak?

– Masz... pewne cechy warte zachodu.

Spoglądali na siebie nawzajem.

– Zabiorę cię w miejsce, gdzie cię znalazłem – oznajmił Ronnie Socha. – To wszystko. Nie zajmuję się już tymi innymi rzeczami.

Audytor z otwartymi ustami leżał na plecach. Od czasu do czasu wydawał z siebie słabe, urywane odgłosy, jakby ciche jęki komara.

– Proszę spróbować jeszcze raz, panie...

– Ciemne Awokado, panie Biały.

– Naprawdę istnieje taki kolor?

– Tak, panie Biały – zapewnił pan Ciemne Awokado, który nie był do końca przekonany, że istnieje.

– No więc niech pan spróbuje jeszcze raz, panie Ciemne Awokado.

Pan Ciemne Awokado z ociąganiem sięgnął ręką w stronę ust leżącej postaci. Jego

palce były jeszcze oddalone o kilka cali, kiedy – jak gdyby działając całkiem samodzielnie – lewa dłoń leżącego przesunęła się błyskawicznie i ścisnęła je. Chrupnęły kości.

– Czuję ostry ból, panie Biały.

– Co znajduje się w jego ustach, panie Ciemne Awokado?

– Wydaje się, że to poddany obróbce termicznej, sfermentowany produkt zbożowy, panie Biały. Ostry ból nie ustaje.

– To pożywienie?

– Tak, panie Biały. Wrażenia bólu naprawdę są w tej chwili wyraźnie wyczuwalne.

– Czy nie wydałem rozkazu, by nie próbować żadnego jedzenia, picia oraz innych niekoniecznych eksperymentów z aparatem zmysłowym?

– Rzeczywiście zakazał pan. Wrażenie ostrego bólu, o którym wspomniałem wcześniej, staje się teraz bardzo silne. Co mam robić?

Koncepcja „rozkazu” także okazała się nowa i całkowicie obca wszystkim Audytorom. Byli przyzwyczajeni do decyzji podejmowanych przez komitet, zapadających tylko wtedy, gdy zostały wyczerpane wszelkie możliwości nierobienia absolutnie niczego w rozważanej sprawie. Decyzje podejmowane przez wszystkich były decyzjami podejmowanymi przez nikogo, co naturalnie wykluczało wszelką odpowiedzialność.

Ale ciała rozumiały rozkazy. To było najwyraźniej coś, co ludzi czyniło ludźmi, więc Audytorzy w duchu badaczy przyjęli tę cechę. Zresztą i tak nie mieli wyboru. Budziły się w nich najrozmaitsze uczucia, kiedy słuchali instrukcji przekazywanych przez osobę trzymającą ostrą broń. Zaskakujące, jak gładko impuls konsultacji i dyskusji przekształcił się w nagłące pragnienie, by robić to, co każe broń.

– Może go pan przekonać, by wypuścił pańską rękę?

– Sprawia wrażenie nieprzytomnego, panie Biały. Oczy ma przekrwione. Wydaje odgłos, jakby szybko wzdychał. A jednak ciało jest chyba zdeterminowane, by nie dopuścić do usunięcia chleba z ust. Czy mógłbym ponownie zgłosić kwestię nieznośnego bólu?

Pan Biały skinął na dwóch innych Audytorów. Z niemałym wysiłkiem uwolnili palce pana Ciemne Awokado.

– To coś, o czym musimy się więcej dowiedzieć – uznał pan Biały. – Wspominała o tym renegatka. Panie Ciemne Awokado?

– Słucham, panie Biały?

– Czy wrażenie bólu nadal trwa?

– Ręka wydaje się jednocześnie zimna i gorąca, panie Biały.

– To dziwne – uznał pan Biały. – Widzę, że będziemy musieli przestudiować ból bardziej dogłębnie.

Pan Ciemne Awokado odkrył, że cichy głosik w głębi jego umysłu wrzasnął na samą myśl o tym. Tymczasem pan Biały mówił dalej:

– Jakże istnieją inne rodzaje pożywienia?

– Znamy nazwy trzech tysięcy siedmiuset dziewiętnastu potraw – wyjaśnił pan Fioletowe Indygo, występując naprzód. Stał się ekspertem w takich kwestiach, co dla Audytorów było kolejną nowością. Nigdy wcześniej nie mieli ekspertów. Co wiedział jeden, wiedzieli wszyscy. Wiedza o czymś, o czym inni nie wiedzieli, czyniła kogoś w pewnym drobnym stopniu pojedynczym osobnikiem. A tacy mogli ginąć. Ale też dawała władzę i wartość, co oznaczało, że może nie zginą tak prędko. Nie było to proste i podobnie jak wielu innych Audytorów, ten także zaczynał kolekcjonować tiki i drgania twarzy, kiedy jego umysł starał się nadążyć.

– Wymień jedną – polecił pan Biały.

– Ser – odparł szybko pan Fioletowe Indygo. – To zepsuty efekt laktacji bydła.

– Znajdziemy ser – zdecydował pan Biały.

Minęło ich trzech Audytorów.

Susan wyrzała z bramy.

– Na pewno idziemy w dobrym kierunku? – spytała. – Oddalamy się od centrum miasta.

– To jest droga, którą powinienem iść – zapewnił Lobsang.

– No dobrze, ale nie podobają mi się te wąskie uliczki. Nie lubię się chować. Nie należę do chowających się osób.

– Tak, zauważyłem.

– Co to za budynek przed nami?

– To tylna ściana Królewskiego Muzeum Sztuki. Broad-Way jest po drugiej stronie. I tam właśnie musimy dotrzeć.

– Jak na przybysza z gór, dobrze znasz te okolice.

– Tutaj dorastałem. Znam też pięć różnych sposobów włamania się do muzeum. Kiedyś byłem złodziejem.

– A ja kiedyś umiałam przechodzić przez ściany – oświadczyła Susan. – Jakoś się to nie udaje przy zatrzymanym czasie. Myślę, że moc jest w pewien sposób blokowana.

– Naprawdę umiałaś przejść przez litą ścianę?

– Tak. To rodzinna tradycja – mruknęła Susan. – No dobrze, zajrzyjmy do muzeum. Przynajmniej nie ma tam zbyt wielu ludzi, nawet w najlepszym czasie.

Ankh-Morpork od wielu stuleci nie miało króla, lecz pałace często potrafią przetrwać. Król może nie być miastu potrzebny, ale zawsze przydadzą się wielkie sale i parę wygodnie obszernych ścian, nawet kiedy monarchia staje się tylko

wspomnieniem, a sam budynek jest przemianowany na Wspaniały Pomnik Pracy Ludu.

Poza tym, choć ostatni król miasta nie przypominał obrazu olejnego – zwłaszcza po ścięciu, kiedy nikt nie wygląda najlepiej, nawet niski władca – ogólnie przyznawano, że zgromadził sporą kolekcję dzieł sztuki. Nawet prości mieszkańcy chętnie oglądali takie dzieła jak „Trzy duże różowe kobiety i jeden kawałek tiulu” Caravatiego czy „Mężczyzna z wielkim liściem figowym” Mauvaise'a. Poza tym miasto o historii tak długiej jak Ankh-Morpork gromadziło wszelkiego rodzaju artystyczne śmiecie i aby zapobiec blokowaniu ulic, potrzebowało czegoś w rodzaju publicznego strychu, by je tam składować. I tak, kosztem niewiele większym od kilku mil pluszowego czerwonego sznura oraz kilku staruszków w uniformach, by wskazywali drogę do „Trzech dużych różowych kobiet i jednego kawałka tiulu”, powstało Królewskie Muzeum Sztuki.

Lobsang i Susan szli spieszenie przez milczące sale. Jak u Fidgetta, trudno było poznać, że czas się tu zatrzymał. Jego upływ i tak był ledwie zauważalny. Mnisi z Oi Dong uważali to muzeum za cenne źródło.

Susan zatrzymała się, by spojrzeć na wielki, oprawny w złocene ramy obraz zajmujący całą ścianę długiego korytarza.

– Och... – powiedziała cicho.

– Co to jest?

– „Bitwa pod Ar-Gash” Blitzta.

Lobsang przyjrzał się spękanej, pociemniałej farbie i żółtobrazowemu werniksowi. Kolory wyblakły do kilkunastu błotnistych odcieni, ale prześwitywało przez nie coś gwałtownego i złego.

– Czy to miało być piekło? – zapytał.

– Nie, to było prastare miasto w Klatchu, tysiące lat temu – wyjaśniła Susan. – Ale dziadek mówił, że ludzie zmienili je w piekło. Blitzt oszalał, kiedy malował ten obraz.

– Ehm... Ale dobrze oddał burzowe chmury. – Lobsang przełknął ślinę. – Wspaniała, no... gra światła...

– Zwróć uwagę, co się wynurza z tych chmur.

Lobsang spojrzał spod zmrużonych powiek na zaskorupiałe chmury i zastygłą błyskawicę.

– A tak. Czterech Jeźdźców. Często się pojawiają na...

– Policz dokładnie – poradziła.

Lobsang wytrzeszczył oczy.

– Tam jest dwóch...

– Nie żartuj, jest pięć... – zaczęła, a potem podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Najwyraźniej nie był zainteresowany malarstwem.

Dwóch Audytorów oddalało się pospiesznie w stronę Komnaty Porcelanowej.

– Uciekają przed nami – stwierdził Lobsang.

Susan chwyciła go za rękę.

– Niezupełnie – sprostowała. – Oni zawsze się konsultują. A do tego musi ich być trzech! Wróć tutaj, więc lepiej chodźmy!

Szarpnęła go i pociągnęła do sąsiedniej galerii.

Na drugim końcu zobaczyli szare postacie. Przebiegli dalej, obok pokrytych kurzem gobelinów, do kolejnej wielkiej sali.

– Na bogów, tam wisi obraz z trzema dużymi różowymi kobietami, mającymi tylko... – zaczął Lobsang.

– Uważaj trochę, co? To była droga do głównego wejścia! Ten budynek jest pełen Audytorów!

– Przecież to tylko muzeum sztuki! Nie ma tu dla nich nic ciekawego, prawda?

Wyhamowali z poślizgiem na marmurowych płytach. Szerokie schody prowadziły stąd na piętro.

– Tam będziemy odcięci – ostrzegł Lobsang.

– Wszędzie dookoła są balkony – odparła Susan. – Chodź!

Pociągnęła go po schodach do góry. Przebiegli pod łukiem sklepienia... i zatrzymali się.

Galerie miały kilka pięter wysokości. Z pierwszego piętra zwiedzający mogli spojrzeć w dół, na parter. A na parterze pracowali pilnie Audytorzy.

– Co oni robią, u demona? – szepnął Lobsang.

– Myślę – odparła posępnie Susan – że podziwiają Sztukę.

Panna Mandarynkowa była zirytowana. Ciało wysuwało wobec niej dziwne żądania, a praca, którą jej powierzono, szła bardzo źle.

Rama, otaczająca kiedyś „Wóz, który utknął w rzece” sir Roberta Cuspidora, stała teraz oparta o ścianę. Była pusta. Równie zwinięte nagie płótno leżało obok. Przed ramą, starannie uporządkowane według rozmiarów, wyrastały stosiki barwników.

Kilkudziesięciu Audytorów rozkładało je na składowe molekuly.

– Wciąż nic? – spytała panna Mandarynkowa, przechodząc wzdłuż ich szeregu.

– Nic. Jak dotąd jedynie znane molekuly i atomy – odpowiedział jeden z Audytorów. Głos drżał mu lekko.

– A może to ma jakiś związek z proporcjami? Zrównoważeniem cząsteczek? Podstawową geometrią?

– Nadal staramy się...

– No to do roboty!

Inni Audytorzy w galerii, pracownicy skupieni przed czymś, co niedawno było

obrazem, a właściwie było nim nadal o tyle, że wszystkie co do jednej jego molekuly wciąż znajdowały się w sali, unieśli głowy, a potem znów pochyłili się posłusznie.

Panna Mandarynkowa irytowała się coraz bardziej, ponieważ nie mogła odgadnąć, dlaczego się irytuje. Jednym z powodów było prawdopodobnie to, że kiedy pan Biały powierzał jej to zadanie, spoglądał na nią dziwnie. Być celem spojrzenia to dla Audytora nietypowe doświadczenie – żaden Audytor nie przyglądał się zbyt często innym Audytorom, gdyż wszyscy wyglądali tak samo. I żaden nie był przyzwyczajony do myśli, że można coś powiedzieć twarzą. Ani w ogóle do posiadania twarzy. Albo ciała, które w niezrozumiały sposób reagowało na wyraz innej twarzy, należącej – w danym przypadku – do pana Białego. Kiedy patrzył na nią w ten sposób, odczuwała straszliwe pragnienie, by paznokciami zdrapać mu tę twarz.

A to przecież zupełnie nie miało sensu. Żaden Audytor nie powinien doznawać takich uczuć wobec innego Audytora. Żaden Audytor nie powinien doznawać takich uczuć wobec czegośkolwiek. Żaden Audytor nie powinien doznawać uczuć.

Była wściekła. Stracili tyle umiejętności... To przecież śmiechu warte, komunikować się metodą machania kawałkami skóry, a co do języka... Błuee...

W całej historii istnienia wszechświata nigdy żaden Audytor nie doznał wrażenia „błuee „. A to nieszczęsne ciało pełne było powodów do „błuee „. Pewnie, mogła je w każdej chwili opuścić, a jednak... jednak... wcale nie chciała. Pojawiło się to okropne pragnienie, by tu zostać, sekunda po sekundzie...

I czuła się głodna. To też nie miało sensu. Żołądek to przecież tylko worek do trawienia pokarmów, nie powinien wydawać poleceń. Audytorzy mogli całkiem wygodnie przetrwać, wymieniając molekuly z otoczeniem i wykorzystując dowolne miejscowe źródło energii. To był fakt.

Ale niech ktoś spróbuje wytłumaczyć to żołądkowi. Wyczuwała go. Był tam w środku i burczał. Nękały ją własne organy wewnętrzne. Dlaczego ci... dlaczego ci... dlaczego skopiowali organy wewnętrzne? Błuee.

Tego było za wiele. Musiała... chciała... dać temu wyraz, wykrzykując jakieś... jakieś straszne słowa...

– Dysonans! Zamieszanie!

Pozostali Audytorzy obejrzel się ze zgrozą.

Ale te słowa nie pomogły pannie Mandarynkowej. Nie miały takiej mocy, jak kiedyś. Na pewno jest coś gorszego... A tak.

– Organy! – wrzasnęła, zadowolona, że wreszcie znalazła coś odpowiedniego. – I na co się tak... organy, gapiecie? – dodała. – Do roboty!

– Rozbijają wszystko – szepnął Lobsang.

– Cali Audytorzy – stwierdziła Susan. – Uważają, że w ten sposób się czegoś

dowiedzą. Nienawidzę ich, wiesz? Naprawdę nienawidzę.

Lobsang zerknął na nią z ukosa. Klasztor nie był instytucją jednopłciową. To znaczy, właściwie był, ale zbiorczo nigdy tak o sobie nie myślał, gdyż możliwość, by pracowały tam kobiety, nie przemknęła nawet przez głowę umysłem zdolnym do wyobrażenia sobie szesnastu wymiarów. Za to Gildia Złodziei uznawała fakt, że dziewczęta co najmniej dorównują chłopcom we wszystkich zakresach kradzieży – Lobsang zachował na przykład ciepłe wspomnienia o Steff, koleżance z klasy, która potrafiła wykraść człowiekowi drobne z tylnej kieszeni, a wspinała się lepiej od skrytobójców. Nie czuł się nieswojo w towarzystwie dziewcząt. Ale Susan budziła w nim przerażenie. Zdawało się, że jakaś ukryta jej część wrze gniewem, a przy Audytorach ten gniew się uwalnia.

Przypomniawszy sobie, jak uderzyła tamtego kluczem. Na jej twarzy dostrzegł wtedy lekkie skupienie, jakby chciała się upewnić, że prawidłowo wykonała zadanie.

– Pójdziemy? – zapytał niepewnie.

– Popatrz na nich – ciągnęła Susan. – Tylko Audytor rozłoży obraz na składniki, żeby zobaczyć, co czyni go dziełem sztuki.

– Tam jest wielki stos białego pyłu – zauważył.

– „Mężczyzna z wielkim liściem figowym” – odparła z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od szarych sylwetek. – Oni rozłożyliby zegar, żeby szukać tykania.

– Skąd wiesz, że to „Mężczyzna z wielkim liściem figowym”?

– Akurat pamiętam, gdzie był. To wszystko.

– Jesteś miłośniczką sztuki? – spróbował Lobsang.

– Wiem, co mi się podoba – oświadczyła, nadal pilnie obserwując Audytorów. – A w tej chwili spodobałoby mi się dużo broni.

– Lepiej stąd chodźmy...

– Ci dranie pakują ci się do głowy, jeśli tylko im pozwolisz – mówiła, nie ruszając się z miejsca. – Kiedy zaczynasz myśleć: „Muszą istnieć jakieś prawa” albo „Przecież to nie ja wymyślałam zasady”...

– Naprawdę uważam, że powinniśmy się stąd wynieść – powtórzył delikatnie Lobsang. – Przede wszystkim dlatego, że kilkoro ich wchodzi po schodach.

Gwałtownie odwróciła głowę.

– No to czego stoisz? – rzuciła.

Przebiegli kolejnym korytarzem do wystawy garncarstwa i obejrzeni się, dopiero kiedy dotarli do końca. Trójka Audytorów szła za nimi – nie biegli, ale w ich równym kroku było coś przerażającego, co mówiło „nie zatrzymamy się”.

– Dobrze, idźmy tędy...

– Nie, tędy – zaproponował Lobsang.

– To nie jest kierunek, o który nam chodzi – warknęła gniewnie Susan.

– Nie, ale tam jest tabliczka z napisem „Pancerz i broń”.

– Co z tego? Radzisz sobie z bronią?

– Nie! – oświadczył dumnie Lobsang i uświadomił sobie, że źle to zrozumiała. – Rozumiesz, uczyli nas walki bez...

– Może znajdzie się tam jakiś miecz dla mnie – mruknęła Susan i pomaszerowała naprzód.

Zanim Audytorzy dotarli do galerii, było ich już więcej niż trójka. Przystanęli.

Susan znalazła miecz, fragment wystawy uzbrojenia agatejskiego. Był stępiony od długiego nieużywania, ale gniew jarzył się wzdłuż ostrza.

– Powinniśmy biec dalej? – zapytał Lobsang.

– Nie. Oni zawsze doganiają. Nie wiem, czy tutaj można ich zabić, ale jeśli nie, możemy się postarać, żeby tego pożałowali. Nadal nie masz broni?

– Nie, bo widzisz, zostałem wyszkolony, by...

– No to nie wchodź mi w drogę, dobrze?

Audytorzy zbliżali się lękliwie, co Lobsang uznał za dziwne.

– Nie możemy ich zabić? – upewnił się.

– Zależy, jak żywymi pozwolili sobie się stać.

– Ale wyglądają na przestraszonych.

– Mają ludzkie postacie – rzuciła Susan przez ramię. – Ludzkie ciała. Idealne kopie. A ludzkie ciała miały tysiące, wiele tysięcy lat, kiedy bardzo nie chciały zostać przecięte na pół. A to tak jakby przesącza się do mózgu, nie sądzisz?

Audytorzy ruszyli naprzód, okrążając ich. Oczywiście, zaatakują wszyscy równocześnie. Nikt nie chce być pierwszy...

Trójka próbowała chwycić Lobsanga.

Lobsang lubił treningowe walki w dojo. Pewnie, wszyscy tam nosili stroje ochronne i nikt naprawdę nie próbował nikogo zabić, co pomaga. Ale radził sobie tak dobrze, ponieważ umiał kroić czas. Dzięki temu zawsze potrafił znaleźć jakąś dodatkową przewagę. A kiedy się miało taką przewagę, nie były potrzebne wybitne umiejętności.

Tutaj przewagi nie było. Nie było czasu do krojenia.

Wykorzystał połączenie *sna-fu*, *okidoki* i wszystkiego, co skuteczne, bo jeśli człowiek traktował prawdziwą walkę jak walkę w dojo, to kończył martwy. Zresztą szarzy osobnicy nie byli żadnym wyzwaniem. Próbowali tylko chwycić i przytrzymać. Staruszka potrafiłaby się przed nimi obronić.

Dwóch odleciało do tyłu. Lobsang zajął się trzecim, który usiłował złapać go za szyję. Zerwał chwyt, odwrócił się, gotów do ciosu... I się zawahał.

– No nie... – usłyszał głos Susan i klinga przemknęła mu tuż przed twarzą.

Głowa przed nim oddzieliła się od swego byłego ciała w fontannie nie krwi, ale

kolorowego lekkiego pyłu. Ciało wyparowało, na krótką chwilę stało się zawieszoną w powietrzu szarą szatą, a potem zniknęło.

Lobsang usłyszał za sobą dwa głucho uderzenia, a potem Susan chwyciła go za ramię.

– Wiesz, że w takich sytuacjach nie należy się zastanawiać – powiedziała.

– Ale to była kobieta!

– Nie, nie była kobietą. Za to była ostatnia. A teraz chodźmy, zanim zjawia się pozostali.

Skinęła głową w stronę grupy Audytorów, którzy bardzo uważnie przyglądali im się z drugiego końca sali.

– To nie było trudne – stwierdził Lobsang, oddychając głęboko. – A co robią tamci?

– Uczą się. Potrafisz walczyć lepiej?

– Oczywiście!

– To dobrze, bo następnym razem będą tak dobrzy, jak ty przed chwilą. Dokąd teraz?

– No... tędy!

Następną salę wypełniały wypchane zwierzęta. Kilkaset lat temu stanowiły prawdziwy szal. Ale nie były to smętne trofea myśliwskie, niedźwiedzie czy stetryczale tygrysy, których pazury stawiały przeciwko człowiekowi, uzbrojonemu jedynie w pięć kusz, dwudziestu ładowniczych i setkę ludzi nagonki. Niektóre z tych zwierząt ustawiano w grupy. Całkiem małe grupki całkiem małych zwierząt.

Były tu żaby siedzące wokół malutkiego nakrytego stołu. Były psy ubrane w myśliwskie kurtki, ścigające lisa w kapeluszu z piórką. Była małpa grająca na banjo.

– Och, nie... Tam jest cała orkiestra – szepnęła Susan tonem lękliwej fascynacji. – I popatrz na te tańczące kociaki...

– Potworne.

– Ciekawe, co się stało, kiedy człowiek, który to zrobił, spotkał się z moim dziadkiem.

– A spotkał się z twoim dziadkiem?

– O tak – stwierdziła. – O tak. A mój dziadek raczej lubi koty.

Lobsang zatrzymał się u stóp schodów, na wpół ukrytych za pechowym słoniem. Czerwony sznur, sztywny teraz jak żelazny pręt, sugerował, że schody nie należą już do publicznej części muzeum. Zadbano też o dodatkową sugestię w formie tabliczki o treści: „Absolutny zakaz wstępu”.

– Powinienem być tam, na górze – powiedział.

– No to na co czekamy? – Susan przeskoczyła nad sznurem.

Wąskie schody doprowadziły ich do rozległego podestu o nagich ścianach. Tu i tam stały kolumny skrzyń.

– Poddasze – stwierdziła Susan. – Chwileczkę... Co tu robi ta tabliczka?

– „Lewą stroną” – przeczytał Lobsang. – Wiesz, kiedy muszą tutaj przesuwac jakieś ciężkie przedmioty...

– Przyjrzyj się jej, co? – przerwała mu. – Widzisz to, co spodziewasz się zobaczyć, a nie to, co jest przed tobą!

Lobsang spojrzał.

– Głupia tabliczka – uznał.

– Hm... Na pewno interesująca. W którą stronę, twoim zdaniem, powinniśmy skrócić? Nie sądzę, żeby długo wahali się z decyzją, żeby nas ścigać.

– Jesteśmy całkiem blisko. Dowolne przejście będzie dobre.

– A zatem dowolne przejście. – Susan ruszyła w stronę wąskiej szczeliny między skrzyniami.

Lobsang poszedł za nią.

– O co ci chodziło z tą decyzją? – zapytał, kiedy zanurzyli się w półmroku.

– Tabliczka na schodach mówiła o zakazie wstępu.

– Chcesz powiedzieć, że złamię ten zakaz? – Zatrzymał się.

– W końcu tak. Ale będzie ich dręczyć straszne uczucie, że nie powinni. Oni przestrzegają reguł. W pewnym sensie oni sami są regułami.

– Ale przecież nie mogą posłuchać nakazu z tej tabliczki Lewo/Prawo, cokolwiek... Ach, rozumiem...

– Czy nauka nie jest przyjemna? O, tu mamy następną.

NIE KARMİĆ SŁONIA

– Ta jest dobra – przyznała Susan. – Nie można przestrzegać tego zakazu...

– ...bo nie ma tu żadnego słonia – dokończył Lobsang. – Chyba zaczynam łapać, o co chodzi.

– To pułapka na Audytorów – uznała Susan, przyglądając się skrzyni.

– Tu jest jeszcze jedna, też dobra – zauważył Lobsang.

ZIGNORUJ TEN NAPIS

To rozkaz

– Niezłe posunięcie – przyznała Susan. – Ale zastanawiam się, kto wywieszał te tabliczki.

Gdzieś z tyłu dobiegły głosy. Brzmiały cicho, ale nagle jeden wzniósł się

wyraźnie.

– ...nakazuje Lewą, ale wskazuje Prawą! To nie ma sensu!

– To twoja wina! Zlekceważyliśmy pierwszą tabliczkę! Biada tym, którzy zbłądzą na ścieżkę nieregularności!

– Nie wygaduj mi takich głupot, organiczny stworze! Podnoszę na ciebie głos, ty...

Rozległ się stłumiony dźwięk, odgłos krztuszenia i wrzask, który dopplerowsko przeszedł w ciszę.

– Oni się biją między sobą? – zdumiał się Lobsang.

– Miejmy nadzieję. Ruszamy – zdecydowała Susan.

Skradali się ostrożnie w labiryncie korytarzyków między skrzyniami. Minęli tabliczkę mówiącą:

NORKA

– Aha... Wchodzimy w metafizykę – stwierdziła Susan.

– Dlaczego norka? – zdziwił się Lobsang.

– No właśnie. Dlaczego?

Gdzieś między skrzyniami głos dotarł do granic swych możliwości.

– Jakiego przekłętego organicznego słonia? Gdzie jest ten słon?

– Nie ma żadnego słonia!

– Więc co tu robi ten napis?

– To...

I znowu ciche krztuszenie i ginący wrzask. A potem... tupot biegnących stóp.

Susan i Lobsang cofnęli się w cień.

– Co to? – odezwała się nagle Susan. – W co ja wdepnęłam?

Schyliła się i podniosła miękką, lepką masę. Gdy się prostowała, zobaczyła wychodzącego zza zakrętu Audytora.

Był rozgorączkowany, oczy miał rozbiegane. Patrzył na nich niepewnie, jakby usiłował sobie przypomnieć, kim są. Ale trzymał miecz – i trzymał go poprawnie.

Jakaś postać wynurzyła się za nim. Dłoń chwyciła go za włosy i szarpnęła głowę do tyłu. Druga dłoń przesłoniła otwarte usta.

Audytora wyrывał się przez moment, ale potem zeszywniał. I rozpadł się – małeńkie cząstki, wirując, rozplynęły się w nicłość.

Jeszcze przez chwilę ostatnie garści próbowały uformować w powietrzu szarą sylwetkę w kapturze, ale i ona rozerwała się z cichym krzykiem słyszalnym poprzez włoski na karku.

Susan zmierzyła podejrzliwym wzrokiem stojącą przed nią postać.

– Jesteś... Nie możesz być... Kim jesteś? – spytała.

Postać milczała. Powodem mogła być gruba tkanina przesłaniająca jej usta i nos. Ciężkie rękawice kryły dłonie. Co było dziwne, ponieważ reszta miała na sobie zdobioną cekinami wieczorową suknię. I etolę z norek. I plecak. I wielki kapelusz z tyloma piórami, że mógłby doprowadzić do wymarcia trzy rzadkie gatunki.

Postać sięgnęła do plecaka i podała im kawałek ciemnobrązowego papieru, jak gdyby przekazywała święte pismo. Lobsang wziął go delikatnie.

– Tu jest napisane „Higgs & Meakins, mieszanka luksusowa” – odczytał. – Chrupiący Karmel, Orzechowa Niespodzianka... To czekoladki?

Susan otworzyła dłoń i spojrzała na zgnieciony Wir Truskawkowy, który podniosła z podłogi. Potem obrzuciła postać badawczym wzrokiem.

– Skąd wiedziałaś, że to poskutkuje? – spytała.

– Proszę! Z mojej strony nie macie się czego obawiać! – zapewnił stłumiony przez bandażę głos. – Zostały mi już tylko te z orzechami, a one nie rozpuszczają się tak prędko.

– Przepraszam – wtrącił Lobsang. – Właśnie zabiłaś Audytora czekoladą?

– Ostatnim Kremem Pomarańczowym, owszem. Tutaj łatwo nas zauważyć. Chodźcie ze mną.

– Audytor... – szepnęła Susan. – Ty też jesteś Audytorem, prawda? Dlaczego mam ci zaufać?

– Nie masz nikogo innego.

– Ale jesteś jedną z nich. Poznają, nawet pod tym... pod tym wszystkim.

– Byłam jedną z nich – zapewniła lady LeJean. – Teraz myślę raczej, że jestem jedną z siebie.

Na poddaszu mieszkali ludzie. Cała rodzina. Susan zastanowiła się, czy ich obecność tutaj jest oficjalna, czy nieoficjalna, czy też może w którymś z tych stanów pośrednich, tak częstych w Ankh-Morpork, gdzie wciąż brakowało mieszkań. Tak duża część życia miasta działa się na ulicach, ponieważ nie mogła sobie znaleźć miejsca wewnątrz. Rodziny wychowywały się w systemie zmianowym, wykorzystując łóżko przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tutaj wyglądało na to, że dozorczy i ludzie, którzy znali drogę do „Trzech dużych różowych kobiet i jednego kawałka tiulu” Caravatiego, wprowadzili się razem z rodzinami na to opuszczone poddasze.

Ratowniczka zajęła po prostu miejsce na nich. Rodzina, a w każdym razie jedna jej zmiana, siedziała na ławach wokół stołu, zastygła w bezruchu. Lady LeJean zdjęła kapelusz, powiesiła go na matce i potrząsnęła włosami. Potem odwinęła bandażę z nosa i ust.

– Tutaj jesteśmy stosunkowo bezpieczni – oświadczyła. – Oni trzymają się przede wszystkim głównych tras. Dzień dobry. Nazywam się lady Myria LeJean. Wiem, kim

jesteś, Susan Sto Helit. Nie znam tego młodego człowieka, co mnie zaskakuje. Jak rozumiem, przybyliście tu, żeby zniszczyć zegar?

– Żeby go zatrzymać – odparł Lobsang.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła Susan. – Przecież to nie ma sensu. Audytorzy nienawidzą wszystkiego, co ma związek z życiem. A przecież ty też jesteś Audytorem, prawda?

– Nie mam pojęcia – wyznała lady LeJean. – Ale w tej chwili wiem, że jestem wszystkim, czym Audytor być nie powinien. My... oni... Musimy zostać powstrzymani!

– Czekoladą? – mruknęła Susan.

– Zmysł smaku jest dla nas nowy. Obcy. Nie mamy żadnej obrony.

– Ale... czekolada?

– Sucharek prawie mnie zabił – odparła lady LeJean. – Susan, czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy po raz pierwszy doświadcza się smaku? Dobrze zbudowaliśmy nasze ciała. O tak, mnóstwo kubków smakowych. Woda jest jak wino. Ale czekolada... Nawet umysł zamiera. Nie istnieje nic oprócz smaku. – Westchnęła. – Przypuszczam, że to cudowny sposób, by umrzeć.

– Na ciebie jakoś nie wpływa – zauważyła podejrzliwie Susan.

– To przez te bandażę i rękawice. I nawet z nimi ledwie się powstrzymuję. Ale gdzie są moje maniery? Usiądź, proszę. Przysuń sobie to małe dziecko.

Susan i Lobsang porozumieli się wzrokiem. Lady LeJean to zauważyła.

– Powiedziałam coś niewłaściwego? – zdziwiła się.

– Nie używamy ludzi jako mebli – oświadczyła Susan.

– Z pewnością nie będą o tym wiedzieli.

– Ale my będziemy wiedzieli – odparł Lobsang. – O to przede wszystkim chodzi.

– Ach, tyle jeszcze muszę się nauczyć. Jest tyle... tyle kontekstów bycia człowiekiem. Pan, drogi panie... Czy zdoła pan zatrzymać zegar?

– Nie wiem jak – przyznał Lobsang. – Ale... chyba powinienem wiedzieć. Spróbuję.

– Czy zegarmistrz by wiedział? Jest tutaj.

– Gdzie? – spytała ostro Susan.

– Przy tym przejściu, kawałek dalej.

– Przeniosłaś go tutaj?

– Ledwie mógł chodzić. Bardzo ucierpiał podczas starcia.

– Co?! – zawołał Lobsang. – Jak w ogóle mógł chodzić? Jesteśmy poza czasem!

Susan zaczerpnęła tchu.

– Nosi ze sobą własny czas, tak jak ty – oświadczyła. – Jest twoim bratem.

I to było kłamstwo. Ale chłopak nie był jeszcze gotowy na prawdę. Sądząc z jego twarzy, nie był gotów nawet na kłamstwo.

– Bliźniaki – oświadczyła pani Ogg. Sięgnęła po szklaneczkę brandy, przyjrzała się jej i odstawiła. – Nie jeden. Było ich dwóch. Dwóch chłopców. Ale...

Skierowała na Susan spojrzenie gorące jak palnik.

– Myślisz sobie: To tylko stara wiejska akuszerka – powiedziała. – Myślisz sobie: Co ona wie?

Susan wyświadczyła jej grzeczność powiedzenia prawdy.

– Jakaś część mnie tak myśli – przyznała.

– Dobra odpowiedź. Jakaś część nas coś sobie myśli zawsze. Jakaś część mnie myśli: Kim jest ta zarozumiała pannica, która traktuje mnie, jakbym była pięcioletnim dzieciakiem? Ale większa część myśli: Ona ma po uszy własnych kłopotów, a widziała wiele rzeczy, których człowiek nie powinien oglądać. Chociaż muszę dodać, że jakaś część mnie myśli: Ja też widziałam. Widzenie rzeczy, których człowiek nie powinien oglądać, czyni nas ludźmi. No więc, panienko... jeśli masz choć trochę rozsądku, to jakaś część ciebie powinna myśleć: Ta czarownica wiele razy widziała mojego dziadka, kiedy siedziała przy łożu boleści, które nagle stawało się łóżem śmierci, a jeśli jest gotowa napluć dziadkowi w oko, kiedy nadejdzie czas, to prawdopodobnie może całkiem poważnie mi zaszkodzić, jeśli coś takiego wpadnie jej do głowy. Rozumiesz? No więc trzymajmy wszystkie nasze części przy sobie... – mrugnęła – ...jak powiedział najwyższy kapłan do aktorki.

– Zgadzam się całkowicie – zapewniła Susan. – Absolutnie.

– I dobrze. Więc... bliźniaki... Widzisz, to był jej pierwszy raz, a ludzki kształt nie był dla niej szczególnie typową formą, no wiesz, nie możesz zrobić tego, co przychodzi całkiem naturalnie, kiedy nie jesteś tak całkiem naturalna, no i... bliźniaki to nie jest takie całkiem właściwe słowo...

– Brat – powtórzył Lobsang. – Zegarmistrz?

– Tak – potwierdziła Susan.

– Przecież ja byłem podrzutkiem!

– On też.

– Chcę go zobaczyć. Zaraz.

– To może nie być najlepszy pomysł – ostrzegła Susan.

– Twoja opinia w tej kwestii mnie nie interesuje. Dziękuję uprzejmie. – Lobsang zwrócił się do lady LeJean. – Tym przejściem?

– Tak. Ale on śpi. Wydaje mi się, że zegar wzburzył mu umysł, a poza tym został trafiony podczas walki. Mówi przez sen.

– Co mówi?

– Ostatnie, co usłyszałam, zanim poszłam was szukać, to: „Jesteśmy całkiem blisko. Dowolne przejście będzie dobre”. – Lady LeJean popatrzyła na jedno, potem

na drugie. – Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

Susan przesłoniła dłonią oczy. No tak...

– Ja to powiedziałem – stwierdził Lobsang. – Zaraz jak tylko weszliśmy tu po schodach. – Obejrzał się na Susan. – Bliźniaki, tak? Słyszałem o takich przypadkach! Co pomyśli jeden, to i drugi pomyśli?

Susan westchnęła. Czasami, pomyślała, naprawdę jestem tchórzem.

– Coś w tym rodzaju, rzeczywiście – powiedziała.

– Chcę go zobaczyć, nawet jeśli on nie może mnie widzieć!

Niech to, mruknęła bezgłośnie Susan i pospieszyła za Lobsangiem. Audytorka sunęła za nimi, wyraźnie zaniepokojona.

Jeremy leżał na łóżku, chociaż w beczasowym świetle nie było bardziej miękkie od czegokolwiek innego. Lobsang zatrzymał się i patrzył.

– Wygląda... całkiem jak ja – powiedział.

– O tak – zgodziła się Susan.

– Może trochę chudszy.

– Możliwe, rzeczywiście.

– Ma inną... inne linie na twarzy.

– Mielście inne życie.

– Skąd wiedziałaś o nim i o mnie?

– Mój dziadek przejawia... zainteresowanie takimi przypadkami. Trochę też odkryłam sama.

– Dlaczego ktoś miałby się nami interesować? Nie jesteśmy wyjątkowi.

– Dość trudno będzie to wytłumaczyć. – Susan obejrzała się na lady LeJean. – Czy jesteśmy tu bezpieczni?

– Są zaniepokojeni tymi tabliczkami. Wolą się trzymać z daleka. A ja... tak to nazwijmy... zaopiekowałam się tymi, którzy szli za wami.

– Więc lepiej niech pan siądzie, panie Lobsang – zaproponowała Susan. – To może pomóc, kiedy opowiem o sobie.

– Tak?

– Moim dziadkiem jest Śmierć.

– Dziwne stwierdzenie. Śmierć jest końcem życia. Nie jest... osobą...

– Uważaj, kiedy do ciebie mówię...

Wiatr dmuchnął przez salę; światło się zmieniło. Cienie uformowały się na twarzy Susan. Słaby błękitny blask otoczył jej sylwetkę.

Po chwili blask zgasł. Cienie zniknęły.

– Jest proces nazywany śmiercią i jest osoba nazywana Śmiercią – tłumaczyła Susan. – Tak to działa. A ja jestem wnuczką Śmierci. Nie za szybko tłumaczę?

– Eee... nie, chociaż do przed chwilą wyglądałaś zupełnie jak człowiek.

– Moi rodzice byli ludźmi. Istnieje więcej niż jeden rodzaj genetyki... Ty też wyglądasz jak człowiek. Ta forma jest bardzo popularna w tej okolicy. Byłbyś zdziwiony.

– Tylko że ja jestem człowiekiem.

Susan uśmiechnęła się lekko. U kogoś nie tak całkowicie panującego nad sobą jak ona ten uśmiech mógłby się wydać odrobinę nerwowy.

– Tak – zgodziła się. – Ale i nie.

– Nie?

– Weźmy Wojnę, na przykład – podjęła, zmieniając temat. – Potężny mężczyzna, rubaszny śmiech, ma skłonność do puszczenia wiatrów po jedzeniu. Tak ludzki jak jego sąsiad, mógłbyś powiedzieć. Ale jego sąsiadem jest Śmierć. Także wygląda jak człowiek. A dlaczego? Bo ludzie wymyślili ideę... idei, a oni myślą w ludzkich kształtach...

– Mogłabyś wrócić do tego „ale i nie”?

– Twoją matką jest Czas.

– Nikt nie wie, kim była moja matka!

– Mogłabym zaprowadzić cię do akuszerki. Twój ojciec znalazł najlepszą. Ona przyjęła cię na świat. Twoją matką jest Czas.

Lobsang słuchał z otwartymi ustami.

– Mnie było łatwiej – mówiła Susan. – Kiedy byłam całkiem małą, rodzice pozwalali mi odwiedzać dziadka. Sądziłam wtedy, że wszyscy dziadkowie noszą długie czarne szaty i jeżdżą na białych koniach. Ale potem uznali, że może to nie jest najlepsze otoczenie dla dziecka. Martwili się, co ze mnie wyrośnie. – Zaśmiała się, ale bez śladu wesołości. – Odebrałam bardzo niezwykłą edukację, wiesz? Matematyka, logika i tak dalej. I nagle, kiedy byłam trochę młodsza od ciebie, w moim pokoju zjawił się szczur i wszystko, co wiedziałam, okazało się błędne.

– Jestem człowiekiem! Zachowuję się jak człowiek! Wiedziałbym, gdyby...

– Musiałeś jakoś żyć w tym świecie. Inaczej jak mógłbyś się nauczyć być człowiekiem?

– A mój brat? Co z nim?

Zaraz się zacznie, pomyślała.

– Nie jest twoim bratem – oświadczyła. – Trochę skłamałam. Przepraszam.

– Ale mówiłaś...

– Musiałam cię jakoś przygotować. Niestety, ta wiedza musi docierać małymi krokami. On nie jest twoim bratem. On jest tobą.

– W takim razie kim ja jestem?

Susan westchnęła.

– Tobą. Obaj... on i ty... jesteście tobą.

– No więc byłam tam i ona tam była – opowiadała pani Ogg – i dziecko wyszło bez żadnych problemów, tyle że dla nowej mamy to zawsze trudny moment, a potem... – zamilkła na chwilę, wyglądając przez okna pamięci – potem, tak jakby... jakby wrażenie, że świat się zająknął i trzymałam to dziecko, a kiedy spojrzałam w dół, byłam tam ja przyjmująca, to dziecko, więc popatrzyłam na mnie i popatrzyłam na mnie, i pamiętam, że powiedziałam: „Ależ piękne zamieszanie, pani Ogg”, a ona, która była mną, odrzekła: „Nigdy nie wymówiła pani prawdziwszych słów, pani Ogg”, no a później wszystko zrobiło się dziwne i zostałam tam tylko jedna, ale trzymałam dwójkę dzieci.

– Bliźniaki – odpowiedziała Susan.

– Możesz ich nazwać bliźniakami, pewno, kto ci broni. A zawsze myślałam, że bliźniaki to dwie małe duszyczki urodzone naraz, nie jedna urodzona dwukrotnie.

Susan czekała. Pani Ogg sprawiała wrażenie, jakby była w nastroju do snucia opowieści.

– No to patrzę na tego mężczyznę i pytam: „Co teraz?”, a on mi na to: „Czy to jest pani interes?”. Mówię mu, że może być wściekle pewny, że to mój interes, i może mi spojrzeć prosto w oczy, a ja i tak każdemu powiem, co myślę. Ale tak naprawdę to myślałam: Ma pani poważne kłopoty, pani Ogg, bo wszystko zrobiło się mifficzne.

– Mityczne – poprawiła ją Susan, nauczycielka.

– No tak. Z dodatkowym miffem. A przy takim mifficznym czymś można się wpakować w ciężkie kłopoty. Ale on się tylko uśmiechnął i powiedział, że chłopak ma się wychowywać jak zwykły człowiek, dopóki nie osiągnie swoich lat, no to pomyślałam: Zgadza się, mifficznie jak nie wiem co. Zrozumiałam, że on nie ma pojęcia, co dalej robić, i że wszystko spada na mnie.

Pani Ogg pyknęła z fajki, a jej oczy zamigotały zza chmury dymu.

– Nie wiem, jakie masz doświadczenie w takich sprawach, dziewczyno, ale czasem, kiedy ci ważni i potężni snują wielkie plany, nie zawsze pamiętają o drobnych szczegółach. Zgadza się?

Tak; ja jestem takim drobnym szczegółem, pomyślała Susan. Pewnego dnia Śmierci wpadła do czaszki myśl, żeby adoptować dziecko pozbawione matki, a ja jestem drobnym szczegółem.

Kiwnęła głową.

– No więc myślę sobie: Jak się załatwia takie rzeczy w jakiś mifficzny sposób? – ciągnęła pani Ogg. – Rozumiesz, formalnie wiedziałam, że wchodzimy na teren, gdzie księżę za młodu pasie świnię, dopóki nie objawi się jego przeznaczenie, ale w okolicy nie ma ostatnio tylu wolnych posad przy pasaniu świń, a szturchanie wieprzków kijem nie jest tak świetną robotą, jak się powszechnie uważa. No to mówię mu: Słyszałam, że gildie w wielkich miastach z litości przyjmują do siebie podrzutków i całkiem dobrze o

nich dbają, i że jest wielu ważnych ludzi, którzy w taki sposób zaczęli życie. To żaden wstyd, poza tym, gdyby przeznaczenie nie objawiło się zgodnie z planem, to przynajmniej chłopak zdobędzie porządną fach, a to zaroszę jakaś pociecha. Pasanie świń to tylko pasanie świń. Jakoś tak surowo na mnie popatrujesz, dziewczyno.

– Owszem. To była decyzja na zimno...

– Ktoś musi takie decyzje podejmować – rzekła ostro pani Ogg. – Poza tym żyję już trochę na świecie i zauważyłam, że jak kto ma w sobie dar, by błyszczeć, to będzie błyszczeć nawet przez sześć warstw brudu, a ci, co błysku nie mają, błyszczeć nie będą, choćby ich nie wiem jak polerować. Możesz uważać inaczej, ale to ja tam stałam.

Zbadała zapalką wnętrze główki fajki. Po chwili znów się odezwała:

– I to właściwie wszystko. Zostałabym, oczywiście, bo nie mieli tam nawet łóżeczka, ale ten mężczyzna odprowadził mnie na bok i powiedział, że dziękuje i pora już wracać. Niby czemu miałam się kłócić? Była tam miłość. Wyczuwałam ją w powietrzu. Ale nie powiem, że nie zastanawiam się niekiedy, jak się to wszystko skończyło.

Susan musiała przyznać, że są pewne różnice. Dwa różne żywoty istotnie wryły na twarzach swe charakterystyczne ślady. Dwie jaźnie zrodziły się w odstępach sekund, a wiele we wszechświecie może się zmienić w ciągu sekundy.

Wyobraź sobie parę identycznych bliźniaków, powiedziała sobie. Ale wtedy mamy dwie różne jaźnie, zajmujące ciała, które przynajmniej na starcie są identyczne. Nie zaczynają jako dwie identyczne jaźnie.

– Jest taki sam jak ja – stwierdził Lobsang.

Susan zamrugła zdziwiona. Pochyliła się nad nieruchomym Jeremym.

– Powtórz jeszcze raz – rzuciła.

– Powiedziałem, że jest taki sam jak ja.

Susan zerknęła na lady LeJean.

– Tak, Susan, ja też to zauważyłam.

– Coście zauważyły? – zirytował się Lobsang. – Co przede mną ukrywacie?

– On porusza wargami, kiedy mówisz – wyjaśniła Susan. – Próbuje formułować te same słowa.

– Potrafi odczytywać moje myśli?

– To chyba bardziej skomplikowane.

Susan uszczypnęła bezwładną rękę Jeremy'ego. Lobsang skrzywił się i spojrzał na własną dłoń. Biała plama na skórze powoli odzyskiwała zwykły, różowy kolor.

– Nie tylko myśli – stwierdziła Susan. – Jeśli jesteś blisko, odczuwasz jego ból. Twoja mowa steruje jego wargami.

Lobsang popatrzył na Jeremy'ego niepewnie.

– Więc co się stanie – zapytał – kiedy on odzyska przytomność?

– Też się nad tym zastanawiam. Może nie powinno cię tu być.

– Ale to właśnie miejsce, gdzie być muszę!

– My przynajmniej nie powinniśmy tu zostawać – odezwała się lady LeJean. – Znam swoich pobratymców. Na pewno dyskutują nad tym, co robić. Tabliczki nie powstrzymają ich długo. A mnie się już skończyły czekoladki z miękkim nadzieniem.

– Co powinienesz zrobić, kiedy już znajdziesz się tam, gdzie powinienesz się znaleźć? – zapytała Susan.

Lobsang wyciągnął rękę i czubkiem palca dotknął dłoni Jeremy'ego.

Biel przesłoniła świat.

Susan zastanawiała się później, czy tak właśnie by wyglądało, gdyby człowiek trafił do serca gwiazdy. Nie byłoby żółtego światła, nie widziałby ognia, istniałaby tylko paląca biel wszystkich równocześnie przeciążonych zmysłów.

Biel z wolna zmieniała się w mgłę. Pojawiły się ściany pokoju, ale mogła przez nie widzieć. Za nimi były inne, coraz dalsze pokoje, przejrzyste jak lód i widoczne tylko w rogach, które rozjaśniało białe światło. A w każdym stała inna Susan i przyglądała się jej.

Te pokoje ciągnęły się w nieskończoność.

Susan była osobą rozsądną. Wiedziała, że to poważna skaza jej charakteru. Coś takiego nie czyni człowieka sympatycznym ani – co wydawało jej się najbardziej niesprawiedliwe – nie gwarantuje, że ma rację. Ale daje stanowczość sądów, a w tej chwili bardzo stanowczo uznała, że to, co dzieje się wokół niej, w żadnym przyjętym sensie nie jest realne.

To nie problem. Realna nie jest też większość kwestii, które zajmują istoty ludzkie. Ale czasami umysł nawet najrozsądniejszej osoby napotyka coś tak wielkiego, tak złożonego, tak obcego wszelkim próbom zrozumienia, że umysł ów rezygnuje z prób i zaczyna sobie o tym opowiadać historie. Kiedy już zrozumie te historie, ma poczucie, że rozumiał to ogromne i niepojęte coś. A to wszystko, Susan wiedziała dobrze, było historią opowiadaną sobie przez umysł.

Zabrzmiął dźwięk, jakby zamykały się żelazne wrota, jedno po drugim, coraz bliżej i szybciej...

Wszechświat podjął decyzję.

Inne szklane pokoje zniknęły. Ściany zamglily się, powróciły kolory – z początku pastelowe, potem coraz ciemniejsze, gdy napływała z powrotem beczasowa rzeczywistość.

Łóżko było puste. Lobsang zniknął. Ale powietrze wypełniło się odpryskami błękitnego światła, które falowały i wirowały jak wstążki na wietrze.

Susan przypomniała sobie o oddychaniu.

– Aha – powiedziała głośno. – Przeznaczenie.

Odwróciła się. Obszarpana lady LeJean wciąż wpatrywała się w puste łóżko.

– Jest tu jakieś inne wyjście?

– Jest winda na końcu korytarza, Susan. Ale co się stało z...?

– Nie Susan – poprawiła ją ostrym tonem. – Panna Susan. Susan jestem tylko dla swoich przyjaciół, a ty do nich nie należysz. Wcale ci nie ufam.

– Ja też sobie nie ufam – wyznała pokornie lady LeJean. – Czy to coś pomoże?

– Pokaż mi tę windę, co?

Okazało się, że to nic bardziej wyszukanego niż skrzynia rozmiarów niewielkiego pokoju, zawieszona pod stropem na pajęczynie lin i wielokrążków. Sądząc z wyglądu, zainstalowano ją całkiem niedawno, by transportować duże i ciężkie dzieła sztuki. Rozsuwane drzwi zajmowały większą część jednej ściany.

– W piwnicy są kabestany, którymi podciąga się ją w górę – tłumaczyła lady LeJean. – Droga w dół jest bezpiecznie spowalniana przez mechanizm, dzięki któremu opadająca winda pompuje wodę do cystern deszczówki na dachu. Tę wodę można potem przełączyć do wydrążonej przeciwwagi, żeby ułatwić transport w górę cięższych przedmiotów...

– Dziękuję – przerwała jej pospiesznie Susan. – Ale tym, czego obecnie naprawdę potrzebuję, żeby zjechać na dół, jest czas. – I mruknęła pod nosem: – Możesz pomóc?

Wstążki błękitnego światła obiegiły ją jak chętne do zabawy szczeniaczki, a potem odpłynęły w stronę windy.

– Jednakże sądzę – dodała Susan – że Czas działa teraz na naszą korzyść.

Panna Mandarynkowa była zdumiona, jak szybko ciało się uczy.

Aż do teraz Audytorzy uczyli się poprzez liczenie. Wcześniej czy później wszystko sprowadzało się do liczb. Kto znał wszystkie liczby, wiedział wszystko. Często owo „później” nadchodziło dużo później, ale to nie miało znaczenia, gdyż dla Audytora czas jest tylko kolejną liczbą. Ale mózg, kilka funtów wilgotnej galarety, przeliczał liczby tak szybko, że w ogóle przestawały być liczbami. Panna Mandarynkowa nie mogła pojąć, że tak łatwo potrafi pokierować ręką, by chwycić w powietrzu piłkę, całkiem nieświadomie wyliczając przyszłe pozycje piłki i dłoni. Wydawało się, że zanim ona sama zdąży o czymkolwiek pomyśleć, zmysły działają i przedstawiają jej rozwiązania.

W tej chwili próbowała wyjaśnić innym Audytorom, że niekarmienie słonia, gdy nie ma żadnego słonia do niekarmienia, wcale nie jest niemożliwe. Panna Mandarynkowa należała do szybko się uczących Audytorów i określiła już grupę zdarzeń i sytuacji, które kategoryzowała jako „całkiem głupie”. Całkiem głupie można było zlekceważyć.

Niektórzy ze słuchających mieli kłopot ze zrozumieniem tej tezy. Ale panna

Mandarynkowa zamilkła w połowie wykładu, gdyż usłyszała łoskot zjeżdżającej windy.

– Mamy kogoś na górze? – zapytała.

Audytorzy pokręcili głowami. Tabliczka ZIGNORUJ TEN NAPIS spowodowała zbyt wiele zamieszania.

– W takim razie ktoś zjeżdża na dół! – oświadczyła panna Mandarynkowa. – Jest nie na swoim miejscu! Musimy go zatrzymać!

– Musimy omówić... – zaczął Audytor.

– Rób, co każę, ty organiczny organie!

– To kwestia osobowości – oświadczyła lady LeJean, kiedy Susan otworzyła klapę na dach i wyszła na krytą ołowiem powierzchnię.

– Tak? – Susan spojrzała z góry na miasto. – Myślałam, że nie macie osobowości.

– Teraz już je mają. – Lady LeJean wygramoliła się za nią. – A osobowości określają się w relacji z innymi osobowościami.

Idąca wzdłuż parapetu Susan rozważyła to dziwne zdanie.

– Chcesz powiedzieć, że wybuchną wściekłe awantury?

– Tak. Nigdy wcześniej nie mieliśmy ego.

– Ale ty jakoś dajesz sobie radę...

– Jedyne stając się całkowicie i absolutnie obłąkana – wyznała lady LeJean.

Susan obejrzała się. Lady LeJean miała kapelusz i suknię jeszcze bardziej wystrzępione. Gubiła cekiny. Do tego dochodziła twarz... Przepiękna maska rysów i struktury kostnej została pomalowana przez klauna. Prawdopodobnie ślepego klauna. I takiego, który nosi boksterskie rękawice. We mgle. Lady LeJean spoglądała na świat oczami pandy, a szminka dotykała jej warg tylko przypadkiem.

– Nie wygładasz na obłąkaną – skłamała Susan. – Nie w ścisłym sensie.

– Dziękuję. Ale obawiam się, że norma definiowana jest przez większość. Znasz powiedzenie „Całość to więcej niż suma części”?

– Oczywiście. – Susan badała wzrokiem dach, szukając drogi zejścia. Nie potrzebowała tego. Ale stwór chciał chyba porozmawiać... a właściwie paplać bez sensu.

– To szaleńcze stwierdzenie. To bzdura. Ale teraz wierzę, że jest prawdziwe.

– Słusznie. Winda powinna dotrzeć na dół mniej więcej... teraz.

Wokół drzwi windy zatańczyły pasma niebieskiego światła, podobne do sunących w nurcie strumienia pstrągów.

Audytorzy zebrali się wokół. Uczyli się. Wielu z nich zaopatrzyło się w broń. A kilku starało się nie przekazywać innym, że ściskanie w rękę prymitywnego narzędzia

ofensywnego wydaje się im czynnością całkiem naturalną. Czynnością, która przemawia do czegoś tkwiącego w tylnej części mózgu.

Pechowo się zatem złożyło, że kiedy dwóch Audytorów rozsunęło drzwi windy, odsłoniły one jedynie topniejącą już na podłodze czekoladkę z likierem wiśniowym.

Rozszedł się zapach...

Przeżył tylko jeden, ale kiedy panna Mandarynkowa zjadła te czekoladkę, i on przestał istnieć.

Susan stanęła na krawędzi dachu muzeum.

– Jedna z drobnych, ale pewnych mądrości życia mówi, że zwykle jest jeszcze jedna czekoladka ukryta wśród pustych papierków.

Schyliła się i chwyciła czubek rynny.

Nie była pewna, co z tego wyjdzie. Gdyby spadła... ale czy spadnie? Przecież nie istnieje czas, w którym mogłaby spadać. Miała własny, osobisty czas. W teorii – gdyby w takiej sprawie jak ta istniało coś tak pewnego jak teoria – oznaczało to, że mogłaby po prostu spłynąć powoli na ziemię. Ale chwila, by przetestować taką teorię, nadchodziła, kiedy nie było już innego wyboru. Teoria to tylko idea, natomiast rynna jest faktem.

Niebieskie światło zamigotało wokół jej dłoni.

– Lobsang? – spytała cicho. – To ty, prawda?

To imię jest dla nas równie dobre jak każde inne. Głos brzmiał słabo, jak westchnienie.

– Może to głupie pytanie, ale gdzie jesteś?

Jesteśmy tylko wspomnieniem. I jestem słaby.

– Och...!

Susan zsunęła się kawałek.

Ale nabiorę sił. Wróc do zegara.

– Po co? Przecież nic z nim nie mogliśmy zrobić.

Czasy się zmieniły.

Susan dotarła do ziemi. Lady LeJean zjechała za nią dość niezgrabnie. Jej wieczorowa suknia zyskała kilka dodatkowych rozdarć.

– Czy mogę dać ci pewną wskazówkę w kwestii mody? – zaproponowała Susan.

– Bardzo będę wdzięczna – zapewniła uprzejmie lady LeJean.

– Długie wiśniowe reformy do tej sukni? To nie jest dobre połączenie.

– Nie? Są bardzo barwne i całkiem ciepłe. A co powinnam włożyć zamiast nich?

– Przy takim kroju? Praktycznie nic.

– Czy to byłoby akceptowalne?

– Ehm... – Susan trochę zbladła na myśl o tłumaczeniu zawitych praw bielizny

komuś, kto w jej opinii nie był nawet kimś. – Dla każdego, kto ewentualnie mógłby to odkryć, tak – oświadczyła. – Zbyt długo by trwało, żeby wszystko wyjaśnić.

Lady LeJean westchnęła.

– Jak wszystko – rzekła. – Nawet ubranie. Substytut skóry, by nie dopuszczać do utraty ciepła ciała? Takie proste. Tak łatwo to powiedzieć. Ale jest tyle reguł i wyjątków, całkiem niemożliwych do zrozumienia...

Susan spojrzała wzdłuż Broad-Wayu. Tłoczyli się tu milczący przechodnie i nieruchome wozy, ale nie zauważyła ani śladu Audytorów.

– Na pewno spotkamy ich więcej – oświadczyła głośno.

– Tak – zgodziła się lady LeJean. – Jest ich co najmniej kilkuset.

– Dlaczego?

– Ponieważ zawsze się zastanawialiśmy, czym naprawdę jest życie.

– W takim razie pójdziemy na ulicę Zefir.

– A co tam jest ważnego dla nas?

– Wienrich i Boettcher.

– Kto to taki?

– Wydaje mi się, że oryginalni Herr Wienrich i Frau Boettcher umarli już dawno. Ale ich sklep sprzedaje dobry towar. – Susan przebiegła przez ulicę. – Potrzebujemy amunicji.

Lady LeJean zaraz ją dogoniła.

– Ach... Robią czekoladę? – odgadła.

– A czy niedźwiedzie robią kupki w lesie? – odparła Susan i natychmiast zrozumiała swój błąd. [Nauczanie przez dłuższy czas małych dzieci wpływa w ten sposób na słownictwo.]

Za późno. Lady LeJean zastanawiała się przez chwilę.

– Tak – powiedziała w końcu. – Tak, wydaje mi się, że większość gatunków istotnie wydała tak, jak sugerujesz, zwłaszcza w klimacie umiarkowanym, choć są również takie...

– Chciałam powiedzieć – przerwała jej Susan – że owszem, robią czekoladę.

Próżność, próżność, myślał Lu-tze, kiedy wózek z mlekiem turkotał przez martwe miasto. Ronnie był kimś w rodzaju boga, a ludzie tego typu nie lubią się ukrywać. Nie tak naprawdę. Wolą zostawiać drobne wskazówki, ukrytą gdzieś szmaragdową tabliczkę albo szyfr w jakimś grobowcu pod piaskami pustyni. Coś, co pilnemu badaczowi powie: Byłem tu i byłem świetny!

Czego jeszcze obawiali się pierwsi ludzie? Nocy... możliwe. Chłodu, Niedźwiedzi. Zimy. Gwiazd. Nieskończonego nieba. Pająków. Węży. Siebie nawzajem. Ludzie bali się tak wielu rzeczy...

Sięgnął do swej sakwy, wyjął pomięty egzemplarz Drogi i otworzył w

przypadkowym miejscu.

Koan 97: „Czyń drugiemu, co tobie miło”. Hm... Niewielka pomoc. Poza tym czasami nie miał pewności, czy zapisał tę mądrość poprawnie, chociaż z całą pewnością była skuteczna. Zawsze zostawiał ssaki morskie w spokoju, a one odpłacały mu tym samym.

Spróbował jeszcze raz.

Koan 124: „Zdziwisz się, ile możesz zobaczyć, jeśli masz oczy otwarte”.

– Co to za książka, mnichu? – zainteresował się Ronnie.

– Och... taka sobie mała książeczka – odparł Lu-tze.

Rozejrzał się.

Wózek mijał salon przedsiębiorcy pogrzebowego. Właściciel zainwestował w duże okno wystawowe i lustra, choć zawodowy przedsiębiorca pogrzebowy nie ma na sprzedaż towarów, które dobrze wyglądają na wystawie. Zwykle pojawiają się więc na niej ciemne, smutne draperie i może jakaś gustowna urna.

I imię Piątego Jeźdźca.

– Ha – powiedział cicho Lu-tze.

– Coś zabawnego, mnichu?

– To oczywiste, kiedy się człowiek zastanowi – stwierdził Lu-tze, zwracając się w równej mierze do siebie, jak do Ronniego. Odwrócił się na koźle i wyciągnął rękę. – Miło cię poznać – oświadczył. – Pozwól, że zgadnę, jak masz na imię.

I wymówił je.

Susan była – jak na siebie – dziwnie nieprecyzyjna. Powiedzieć, że Wienrich i Boettcher „robią czekoladę”, to jak nazwać Leonarda z Quirnu „niezłym malarzem, który lubi majsterkować” albo Śmierć „kimś, kogo wolałbyś nie spotykać zbyt często”. Opis jest prawdziwy, ale nie opowiada całej historii.

Przede wszystkim nie robili, ale tworzyli. To bardzo istotna różnica. [Zwykle około dziesięciu dolarów na funcie.] A choć ich ekskluzywny, niewielki sklep sprzedawał rezultaty tej twórczości, nie zrobili nic tak prymitywnego, jak zapełnienie nimi wystawy. To by sugerowało... no, pewną natrętność. W&B mieli zwykle na wystawie kompozycję jedwabnych i aksamitnych draperii oraz – na niewielkim postumencie – może jedną ze swych specjalnych nadziewanych czekoladek albo nie więcej niż trzy sztuki swych słynnych lukrowanych karmelków. Nie było tabliczki z ceną. Jeśli ktoś musiał pytać o cenę czekoladek W&B, to znaczy, że nie było go na nie stać. A jeśli skosztował jedną i nadal nie było go stać, to oszczędzał, odmawiał sobie wszystkiego, kradł, sprzedawał podstarzałych krewnych, byle tylko raz jeszcze poczuć w ustach ten smak, który kochał się z językiem, a duszę zmieniał w bitą śmietanę.

W chodniku znajdował się dyskretny kanał ściekowy, na wypadek gdyby ludzie

przed wystawą za bardzo się ślinili.

Wienrich i Boettcher byli naturalnie cudzoziemcami i według ankhmorporskiej Gildii Cukierników nie rozumieli specyfiki miejskich kubeczków smakowych.

Mieszkańcy Ankh-Morpork, jak twierdziła Gildia Cukierników, byli krzepkimi, rzeczowymi ludźmi, którzy nie lubią czekolady nadziewanej likierem kakaowym, z pewnością całkiem niepodobnymi do tych zniewieściałych, wymuskanych cudzoziemców, którzy do wszystkiego dodają śmietanki. W rzeczywistości wolą czekoladę wyprodukowaną głównie z mleka, cukru, łoj, kopyt, warg, różnych wyciśniętych składników, szczurzych odchodów, tynku, much, wosku, kawałków drzewa, włosów, płótna, pajaków i sproszkowanych łusek kakaowych. Co oznaczało, że według norm żywnościowych wielkich centrów czekoladowych w Borognwii i Quirmie, ankhmorporska czekolada była formalnie klasyfikowana jako ser, a tylko dlatego, że miała niewłaściwy kolor, unikała zakwalifikowania jako zaprawa do kafelków.

Susan pozwalała sobie raz w miesiącu na jedno z tańszych pudełek czekoladek W&B. I gdyby tylko chciała, bez trudu mogłaby poprzestać na górnej warstwie.

– Nie musisz wchodzić – powiedziała, otwierając drzwi sklepu.

Nieruchomi klienci stali przy ladzie.

– Proszę, nazywaj mnie Myrią.

– Nie wydaje mi się...

– Proszę... – powtórzyła błagalnie lady LeJean. – Imię jest ważne.

I nagle, wbrew wszystkiemu, Susan poczuła przypływ sympatii do tej istoty.

– Och, niech będzie. Nie musisz tam wchodzić, Myrio.

– Wytrzymam.

– Ale myślałam, że czekolada to rozszalała żądza... – powiedziała Susan, surowa wobec siebie.

– To prawda.

Przyjrzały się półkom za ladą.

– Myria... Myria... – mówiła Susan, wypowiadając głośno tylko niektóre ze swoich myśli. – Pochodzi od efebiańskiego słowa *myrios*, „niezliczony”. A LeJean to prymitywna gra słów z „legion”... Coś takiego...

– Sądziłeś, że imię powinno mówić, czym jest obiekt – wyjaśniła lady LeJean. – A liczby dają bezpieczeństwo... Przepraszam.

– To tylko ich podstawowy towar. – Susan machnięciem ręki oceniła zawartość sklepowych półek. – Sprawdźmy salę na tyłach... Dobrze się czujesz?

– Świetnie, czuję się świetnie – zapewniła lady LeJean, kołyszając się lekko.

– Nie zaczniesz się teraz objadać, co?

– My... Ja... wiem, co to jest siła woli. Ciało pożąda czekolady, ale umysł nie.

Przynajmniej tak sobie wmawiam. I to musi być prawda! Umysł może zapanować nad ciałem! Inaczej czemu by służył?

– Sama się często zastanawiałam... – Susan pchnęła kolejne drzwi. – Aha... Grota czarodzieja...

– Czarodzieja? Wykorzystują tu magię?

– Prawie masz rację.

Lady LeJean zobaczyła stoły i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Oparła się o framugę.

– Oj... – szepnęła. – Och... Wykrywam... cukier, mleko, masło, śmietanę, wanilię, orzechy laskowe, migdały, inne orzechy, rodzynki, skórkę pomarańczową, rozmaite likiery, pektynę cytrusową, truskawki, maliny, esencję fiołkową, wiśnie, ananasy, pistacje, pomarańcze, limony, cytryny, kawę, kakao...

– Czyli nie ma się czego bać, prawda? – Susan rozglądała się, szukając odpowiedniego uzbrojenia. – Kakao to w końcu nic takiego, gorzkie ziarno.

– Tak, ale... – Lady LeJean zacisnęła palce, zamknęła oczy i wyszczerzyła zęby. – Wystarczy połączyć to wszystko, a powstanie...

– Spokojnie, tylko spokojnie...

– Wola przewycięża emocje, wola przewycięża instynkty... – zaintonowała Audytorka.

– Bardzo dobrze. Teraz tylko dojdź do tego miejsca, gdzie jest mowa o czekoladzie, dobrze?

– Właśnie to jest trudne!

Susan przechodziła między kadziami i tacami. Uznała, że czekolada traci nieco na atrakcyjności, kiedy człowiek widzi ją w takim stanie. To jak różnica między oglądaniem stosików farby i gotowego obrazu. Wybrała strzykawkę, która wydawała się przeznaczona, by robić coś niezwykle osobistego samicom słoni, ale zapewne służyła do wykonywania falistych zdobień.

A tam stała nieduża kadź likieru kakaowego.

Wokół tace i blachy pełne pomadek, marcepanów i karmelków. Och, a tam jest cały stół duchociastnych jajek... Ale to nie były te smakujące tekturą puste skorupy, dawane dzieciom w prezencie, o nie – to były słodkie odpowiedniki pięknej i delikatnej biżuterii.

Susan kątem oka dostrzegła jakiś ruch... Jeden z posągów pracowników, pochylony nad tacą Pralinowych Marzeń, przesunął się niemal niedostrzegalnie...

Czas wlewał się do pomieszczenia. Bładoniebieskie światło migotało w powietrzu.

Odwróciła się i zobaczyła unoszącą się obok mglistą ludzką postać. Była trochę bezkształtna i półprzezroczysta jak mgła, ale wewnątrz jej głowy powiedziała: *Jestem już silniejszy. Ty jesteś moją kotwicą, ogniwem łączącym mnie ze światem. Czy wiesz, jak*

trudno znaleźć go ponownie, pośród tak wielu... Zaprowadź mnie do zegara.

Susan wcisnęła lukrową strzykawkę do rąk jęczącej Myrii.

– Bierz to. Zrób sobie... jakiś tobołek. Chcę, żebyś wzięła jak najwięcej tych jajek czekoladowych. I kremów. I cukierków z likierem. Zrozumiałaś? Dasz sobie radę.

Na bogów, nie miała wyboru. To biedactwo potrzebowało jakiegoś wzmocnienia morale.

– Proszę, Myrio... Nie, to głupie imię. Nie jesteś wieloma, jesteś jedna. Jasne? Bądź sobą. Unity... to będzie dobre imię.

Nowa Unity uniosła umazaną szminką twarz.

– Tak, jest dobre, dobre imię...

Susan zgarnęła tyle towaru, ile mogła unieść. Usłyszała za sobą jakiś szelest i obejrzała się. Unity stała wyprostowana i trzymała – na oko sądząc – całą ladę różnych słodczy w...

...w czymś w rodzaju dużego wiśniowego worka.

– Aha. Dobrze. Inteligentne wykorzystanie dostępnych materiałów – pochwaliła ją Susan niepewnie. I natychmiast obudziła się w niej nauczycielka. – Mam nadzieję, że wzięłaś dość dla wszystkich.

– Ty byłeś pierwszy – mówił Lu-tze. – W zasadzie to ty rozwinąłeś cały interes. Bardzo nowatorsko.

– To było wtedy – mruknął Ronnie Socha. – Teraz wszystko się zmieniło.

– Nie jest już tak jak kiedyś – zgodził się Lu-tze.

– Weźmy Śmierć – powiedział Ronnie Socha. – Robi wrażenie, przyznaję, lecz kto nie wygląda dobrze w czerni? Ale przecież Śmierć... Czym jest śmierć?

– Tylko wielkim snem – odpowiedział Lu-tze.

– Tylko wielkim snem – powtórzył Ronnie Socha. – Co do innych... Wojna? Jeśli wojna jest taka straszna, to czemu ludzie ciągle się nią zajmują?

– Takie hobby. – Lu-tze zaczął skręcać sobie papierosa.

– Takie hobby – powtórzył Ronnie Socha. – Głód i Zaraza, no cóż...

– Co tu gadać – rzucił z sympatią Lu-tze.

– No właśnie. Owszem, Głód jest straszny, jasne...

– ...w społeczności wiejskiej, ale trzeba iść z duchem czasu. – Lu-tze wsunął skręta do ust.

– No właśnie. Trzeba iść z duchem czasu. Czy taki przeciętny mieszkaniec miasta boi się głodu?

– Nie. On myśli, że jedzenie rośnie w sklepie.

Lu-tze zaczynał się bawić tą rozmową. Miał osiemset lat doświadczenia w kierowaniu myślami swych zwierzchników, a większość z nich była inteligentna.

Postanowił spróbować delikatnego ataku.

– Za to ogień... Ludzie w mieście naprawdę boją się ognia – stwierdził. – To nowość. Prymitywny wieśniak uważał ogień za coś dobrego, prawda? Ogień odstraszał wilki. A jeśli spalił mu chałupę, to cóż, belki i darń są tanie. Ale dzisiaj żyje na ulicach zabudowanych ciasnymi drewnianymi domami i wszyscy gotują w swoich mieszkaniach, więc...

Ronnie rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Ogień? Zwykły półbóg. Jakiś żółtodziób podkrada bogom płomień i nagle ma być nieśmiertelny? To nazywasz szkoleniem i doświadczeniem? – Iskra przeskoczyła z palców Ronniego i zapaliła papierosa Lu-tze. – Co do bogów...

– Przyszli na gotowe – oświadczył Lu-tze pospiesznie.

– Zgadza się! Ludzie zaczęli oddawać im cześć, bo się mnie bali! – rzekł Ronnie Socha. – Wiedziałeś o tym?

– Nie, naprawdę? – zapytał niewinnie Lu-tze.

Ale Ronnie stracił zapal.

– To było wtedy, naturalnie – powiedział. – Teraz jest inaczej. Nie jestem tym, kim byłem.

– Nie, nie, oczywiście – uspokajał go Lu-tze. – Ale to tylko kwestia twojego wyglądu. Mam rację? Przypuśćmy, że człowiek... to znaczy raczej...

– Antropomorficzna personifikacja – dokończył Ronnie Socha. – Chociaż zawsze wolałem termin „awatar”.

Lu-tze zmarszczył brwi.

– Dużo latasz?

– To byłby awiator.

– Przepraszam. Przypuśćmy zatem, że awatar, dziękuję bardzo, wyprzedzający trochę swoje czasy tysiące lat temu, no więc przypuśćmy, że dobrze by się rozejrzał teraz... Mógłby odkryć, że świat znów jest gotów na jego przyjęcie.

Lu-tze odczekał chwilę.

– Mój opat na przykład uważa, że jesteś jak przewodnik stada – dodał po chwili.

– Tak uważa? – spytał Ronnie Socha podejrzliwie.

– Przewodnik stada, najlepszy z miotu i czempion... gniazda – dokończył Lu-tze. – Napisał o tobie całe zwoje. Mówi, że jesteś kluczowy dla zrozumienia, jak funkcjonuje wszechświat.

– Tak, ale... to tylko jeden człowiek – mruknął niechętnie Ronnie, jakby pieścił swą ogromną życiową urazę do świata niby ukochaną pluszową zabawkę.

– Technicznie tak – przyznał Lu-tze. – Ale to opat. I mądry. Myśli takie wielkie myśli, że potrzebuje drugiego życia tylko po to, by je dokończyć. Niech jakaś banda wieśniaków boi się głodu, ale ty powinienes celować w jakość. Zresztą popatrz na

dzisiejsze miasta. Za dawnych czasów to były zwykłe stosy glinianych cegieł o takich nazwach jak Ur, Uh czy Ugg. Dzisiaj w miastach żyją miliony ludzi. Bardzo, bardzo skomplikowane są takie miasta. I pomyśl, czego naprawdę, ale naprawdę się boją ci ludzie. A strach... cóż, strach to wiara.

Znowu długa chwila milczenia.

– No, niby tak, ale... – zaczął Ronnie.

– Oczywiście nie pomieszkają w nich długo, bo kiedy te małe szare ludziki rozłożą ich na kawałki, żeby sprawdzić, jak działają, żadna wiara już nie zostanie.

– Moi klienci na mnie polegają... – wymamrotał Ronnie.

– Jacy klienci? Tak mówi Socha – rzekł Lu-tze. – To nie jest głos Chaosu.

– Ha! – rzucił Chaos z goryczą. – Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak na to wpadłeś.

Bo mam więcej niż trzy komórki w mózgu, a ty jesteś próżny i wymalowałeś anagram swojego imienia na burcie wózka, świadomie albo nie, a w ciemnym oknie wystawowym i lustrach wszystko się odbija, niektóre części dwa razy, no i S jest do odczytania nawet odwrócone, pomyślał Lu-tze. Ale to nie była odpowiedź, jaka mogłaby pomóc.

– To było całkiem oczywiste – oświadczył. – Prześwitujesz... To tak jakby nakryć słońca płachtą. Nie możesz go zobaczyć, ale jesteś pewien, że słoń ciągle tam jest.

Chaos wyglądał na przybitego.

– Sam nie wiem. To już tak długo...

– Tak? A myślałem, że byłeś Numerem Jeden – powiedział Lu-tze, decydując się na zmianę taktyki. – Przykro mi. No ale to przecież nie twoja wina, że przez stulecia utraciłeś kilka zdolności, w końcu to zrozumiałe...

– Utraciłem zdolności? – warknął Chaos, wymachując palcem przed nosem sprzątacza. – Bez trudu mógłbym cię posłać na śmietnik, ty robaku!

– A czym? Niebezpiecznym jogurtem? – Lu-tze zaczął wysiadać z wózka.

Chaos zeskoczył za nim.

– Gdzie tak sobie wysiadasz, kiedy tak się do mnie odzywałeś? – zapytał groźnie.

Lu-tze uniósł wzrok.

– Na rogu Kupców i Broad-Wayu – powiedział. – I co z tego?

Chaos ryknął. Zerwał pasiasty fartuch i białą czapkę. Zdawało się, że urósł. Ciemność parowała z niego jak dym.

Lu-tze z uśmiechem skrzyżował ręce na piersi.

– Pamiętaj o Pierwszej Zasadzie.

– Zasady? Jakie Zasady? Jestem Chaosem!

– Który był na początku? – upewnił się Lu-tze.

– Tak!

– Stwórca i Niszczyciel?

– Zgadza się, do demonów!

– Na pozór skomplikowane, na pozór niezawierające wzorców zachowanie, które ma jednak proste, deterministyczne wyjaśnienie i jest kluczem do nowych poziomów zrozumienia wielowymiarowego wszechświata?

– Lepiej w to uwierz... Co takiego?

– Trzeba iść z duchem czasu, mój panie! Trzeba nadążać! – zawołał podniecony Lu-tze, przeskakując z nogi na nogę. – Jesteś tym, za kogo ludzie cię uważają! I oni cię zmienili! Mam nadzieję, że dobrze sobie radzisz z liczeniem?

– Nie możecie mi mówić, kim mam być! – ryknął Chaos. – Jestem Chaosem!

– Uważasz, że nie możemy? No więc twój wielki powrót teraz już raczej nie nastąpi, kiedy Audytorzy wszystko przejęli! Reguły, mój panie! Tym właśnie są Audytorzy! Są zimnymi, martwymi regułami!

Srebrzysta błyskawica zamigotała w sunącej chmurze, która niedawno była Ronniem. A potem chmura, wózek i koń zniknęły.

– No... chyba mogło być gorzej – mruknął Lu-tze do siebie. – Niezbyt bystry chłopak, prawdę mówiąc. Chyba trochę zanadto staroświecki.

Odwrócił się i zobaczył tłum przyglądających mu się Audytorów. Były ich dziesiątki.

Westchnął i rzucił im swój zażenowany uśmieszek. Miał już dość jak na jeden dzień.

– Cóż, mam nadzieję, że słyszeliście o Pierwszej Zasadzie, co? – zapytał.

To trochę ich zaniepokoiło.

– Znamy miliony zasad, człowieku – oświadczył jeden z nich.

– Miliardy. Biliony – dodał drugi.

– No więc nie możecie mnie zaatakować – wyjaśnił Lu-tze. – Z powodu Pierwszej Zasady.

Najbliżsi Audytorzy zbili się w ciasną grupkę.

– Musi dotyczyć grawitacji.

– Nie, efektów kwantowych. To jasne.

– Logicznie biorąc, nie może być Pierwszej Zasady, ponieważ wtedy nie istniałaby koncepcja różnorodności.

– Ale jeśli nie ma Pierwszej Zasady, to jak mogą istnieć pozostałe? Jeśli nie ma Pierwszej, to czy jest Druga?

– Istnieją miliony zasad! Muszą dać się ponumerować!

Cudownie, pomyślał Lu-tze. Wystarczy poczekać, aż głowy im się roztopią.

Ale nagle wystąpił naprzód któryś z Audytorów. Miał oczy bardziej obłąkane od pozostałych. Był też o wiele bardziej rozczochrany. A także trzymał topór.

– Nie musimy o tym dyskutować! – zawołał. – Musimy myśleć: To nonsens, nie

będziemy o nim dyskutować!

– Ale jaka jest Pierwsza... – zaczął Audytor.

– Masz mnie nazywać panem Białym!

– Panie Biały, jaka jest Pierwsza Zasada?

– Nie jestem zadowolony, że zadałeś to pytanie! – wrzasnął pan Biały i machnął toporem.

Ciało drugiego Audytora rozsypało się pod ostrzem, rozpadło na drobny pył, który rozplynał się w rzadką chmurę.

– Ktoś jeszcze ma jakieś pytania? – Pan Biały znowu wznosił topór.

Jeden czy dwóch Audytorów, którzy nie całkiem jeszcze pojęli bieżącą sytuację, otworzyło usta, by coś powiedzieć. I zaraz je zamknęło.

Lu-tze cofnął się o kilka kroków. Był dumny ze swojej wyjątkowo dobrze wyćwiczonej umiejętności zagadania każdego, jednak zależała ona od pozostającej mniej więcej przy zdrowych zmysłach jednostki po drugiej stronie dialogu.

Pan Biały zwrócił się do niego.

– Co robisz nie na swoim miejscu, organiku?

Ale Lu-tze słyszał też inną, prowadzoną szeptem rozmowę. Dobiegała zza pobliskiego muru i brzmiała tak:

– Kogo obchodzą te nieszczęsne nazwy?

– Dokładność jest ważna, Susan. Na tej małej mapce pod wieczkiem znajdują się dokładne opisy. Popatrz.

– I myślisz, że zrobi to na kimś wrażenie?

– Proszę. Takie rzeczy należy robić właściwie.

– Och, daj mi to!

Pan Biały zbliżył się do Lu-tze, wznosząc topór.

– Zakazane jest... – zaczął, ale przerwał mu głos zza muru:

– Jedzcie... Och, na bogów... Jedzcie ten „smakowity śmietankowy karmel wypełniony cudownie intensywnym w smaku, kremowym nadzieniem malinowym i zalany tajemniczą ciemną czekoladą”... wy szare dranie!

Deszcz małych obiektów spadł na ulicę. Kilka z nich rozpadło się przy uderzeniu.

Lu-tze usłyszał jęk, a raczej ciszę wywołaną przez nieobecność jęku, do którego już się przyzwyczaił.

– No nie, kończy się na...

Ciągnąc za sobą ogon dymu, ale znów wyglądając bardziej jak mleczarz – choć taki, który właśnie dostarczył mleko do płonącego domu – Ronnie Socha wpadł wściekły do swojej mleczarni.

– Za kogo on się uważa? – mruczał. Tak mocno chwycił krawędź nieskazitelnie

czystej lady, że aż wygiął się metal. – Ha... No tak, wyrzucają cię na bruk, ale kiedy chcą wrócić na scenę, wtedy jesteś znowu potrzebny...

Metal pod palcami rozżarzył się do białości, zaczął się topić.

– Mam klientów. Mam klientów. Ludzie na mnie polegają. To może nie jest prestiżowa praca, ale ludzie zawsze będą pili mleko...

Przyłożył dłoń do czoła. Roztopiony metal parował w miejscach, gdzie dotykał skóry.

Głowa bolała naprawdę potwornie.

Pamiętał czasy, kiedy był tylko on. Trudno było je sobie przypomnieć, ponieważ... nie było nic, ani koloru, ani dźwięku, ciśnienia, czasu, spinu, światła, życia...

Tylko Chaos.

Pojawiła się myśl: Czy chcę tego znowu? Perfekcyjnego porządku, który bierze się z niezmienności?

A po niej napłynęły kolejne, niby małe srebrzyste węgorze w jego umyśle. Był przecież Jeźdźcem, był nim od czasów, kiedy ludzie w miastach z błota na rozżarzonych równinach stworzyli jakąś mglistą ideę Czegoś, co istniało przed wszystkimi. A Jeździec chwytą odgłosy świata. Ludzie z błotnych miast i ludzie ze skórzanych namiotów instynktownie pojmowali, że świat wiruje niebezpiecznie pośród złożonego i obojętnego wszechświata, że życie płynie o grubość lustra od chłodu przestrzeni i otchłani nocy. Wiedzieli, że wszystko, co nazywają rzeczywistością, ta pajęczyna reguł, które doprowadziły do powstania życia, to tylko bańka piany na fali przypyływu. Bali się starego Chaosu. Ale teraz...

Otworzył oczy i spojrzał na swe dymiące dłonie. I zwrócił się do świata jako całości:

– Kim teraz jestem?

Lu-tze usłyszał własny głos, przyspieszający z nicości:

– ...pęd.

– Nie, znowu jesteś nakręcony – uspokoiła go stojąca przed nim młoda kobieta.

Cofnęła się i przyjrzała mu krytycznie. Lu-tze, pierwszy raz w ciągu ostatnich ośmiuset lat, miał uczucie, że przyłapano go na czymś niedozwolonym. To był ten typ spojrzenia: badawcze, przetrząsające wnętrze jego umysłu.

– Ty pewnie jesteś Lu-tze – uznała Susan. – Jestem Susan Sto Helit. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Byłeś wyłączony przez... no, niedługo. Musimy doprowadzić Lobsanga do szklanego zegara. Możesz pomóc? Lobsang uważa, że jesteś trochę oszustem.

– Tylko trochę? Jestem zaskoczony. – Lu-tze rozejrzał się po ulicy. – Co tutaj się stało?

Ulica była pusta, jeśli nie liczyć wszechobecnych posągów. Ale strzępki srebrnych papierków i kolorowych opakowań zaśmiecały bruk, a na murze za sobą zauważył plamę czegoś, co wyglądało całkiem jak lukier czekoladowy.

– Niektórym udało się uciec – stwierdziła Susan.

Podniosła coś, co – Lu-tze mógł tylko mieć nadzieję – było wielką strzykawką do lukru.

– Walczyli głównie ze sobą nawzajem – dodała. – Czy próbowałbyś rozerwać kogoś na strzępy z powodu czekoladki z kremem kawowym?

Lu-tze spojrzał jej w oczy. Po ośmiuset latach człowiek uczy się, jak odczytywać ludzi. A Susan była historią sięgającą bardzo daleko wstecz. Prawdopodobnie знаła nawet Pierwszą Zasadę i się nią nie przejmowała. Była kimś, kogo należy traktować z szacunkiem. Ale nawet komuś takiemu jak ona nie mógł pozwolić zawsze stawiać na swoim.

– Takiej z ziarnkiem kawy na czubku czy tej zwyczajnej? – zapytał.

– Chyba bez ziarnka kawy – odparła, wytrzymując jego wzrok.

– N-n-nie. Raczej bym nie próbował – przyznał Lu-tze.

– Ale oni się uczą – odezwał się inny damski głos zza pleców sprzątacza. – Niektórzy zdołali się oprzeć. Potrafimy się uczyć. W ten sposób ludzie stali się ludźmi.

Lu-tze obejrzał się i zobaczył kobietę wyglądającą jak dama z towarzystwa, która ma za sobą naprawdę ciężki dzień w młockarni.

– Czy moglibyśmy sobie coś wyjaśnić? – rzekł, spoglądając to na jedną kobietę, to na drugą. – Walczyłyście z szarymi ludźmi czekoladą?

– Tak. – Susan wyjrzała za róg. – Następuje eksplozja zmysłowa. Tracą panowanie nad własnym polem morficznym. Potrafisz celnie rzucać? To dobrze. Unity, daj mu tyle czekoladowych jajek, ile zdoła unieść. Sztuka polega na tym, żeby trafiać mocno; powstaje wtedy dużo odłamków...

– A gdzie jest Lobsang? – zainteresował się Lu-tze.

– On? Można powiedzieć, że duchem jest z nami.

Błękitne iskry migotały w powietrzu.

– Męki dojrzewania, jak sądzę – dodała Susan.

Wieki doświadczenia raz jeszcze przyszły Lu-tze z pomocą.

– Zawsze wyglądał mi na chłopca, który musi odnaleźć siebie – rzekł.

– Owszem – przyznała Susan. – Odnalazł. I trochę go to zaszokowało. Chodźmy.

Śmierć spojrzał w dół, na świat. Bezczasowość dotarła do Krawędzi i rozplywała się we wszechświecie z prędkością światła. Dysk stał się rzeźbą w kryształach.

To nie zwyczajna apokalipsa. Tych zawsze było sporo – małe apokalipsy,

niekompletne apokalipsy, fałszywe apokalipsy, apokryficzne apokalipsy. Większość z nich zdarzyła się za dawnych czasów. Kiedy świat – w sensie „koniec świata” – często był obiektywnie nie bardziej rozległy niż kilka wsi i polana w lesie.

Wszystkie te małe światy się skończyły. Zawsze jednak istniało jakieś „gdzie indziej”. Przede wszystkim zawsze był horyzont. Przerażeni uciekinierzy przekonywali się, że świat jest większy, niż sądzili. Parę wiosek i polana? Ha, jak mogli być tacy głupi! Teraz wiedzieli, że to cała wyspa! Oczywiście, znowu był ten horyzont...

Świat wyczerpał swoje horyzonty.

Śmierć patrzył, jak słońce nieruchomieje na orbicie, a jego światło staje się przyćmione i czerwieńsze.

Westchnął i trącił Pimpusia. Koń ruszył przed siebie w kierunku, jakiego nie ma na żadnej mapie.

A niebo pełne było szarych postaci. Fala przebiegła przez szeregi Audytorów, kiedy Błady Koń zbliżył się truchtem.

Jeden podpłynął do Śmierci i zawisł w powietrzu kilka stóp przed nim. Powiedział: *Czy nie powinienes wyruszyć?*

PRZEMAWIASZ W IMIENIU WSZYSTKICH?

Znasz obyczaj, odparł głos w jego głowie. Wśród nas jeden mówi za wszystkich.

TO, CO SIE DZIEJE, JEST NIESŁUSZNE.

To nie twoja sprawa.

MIMO TO WSZYSCY JESTEŚMY ODPOWIEDZIALNI.

Wszechświat będzie trwał wiecznie, powiedział głos. Wszystko zachowane, uporządkowane, zrozumiane, praworządne, zarejestrowane... niezmiennie. Świat doskonały. Ukończony.

NIE.

I tak przecież skończyłby się kiedyś.

ALE TERAZ JEST ZA WCZEŚNIE. SĄ NIEZAKOŃCZONE SPRAWY.

A te sprawy to...?

WSZYSTKO.

Wtedy, w rozbłysku światła, pojawiła się postać odziana w biel, trzymająca w ręku księgę. Popatrzyła na Śmierć, a potem na nieskończone, stłoczone szeregi Audytorów.

– Przepraszam... – powiedziała. – Czy dobrze trafiłem?

Dwaj Audytorzy mierzyli liczbę atomów w płycie chodnikowej. Zaalarmowani ruchem, unieśli głowy.

– Dzień dobry – powiedział Lu-tze. – Chciałbym zwrócić uwagę panów na tablicę, którą trzyma moja asystentka.

Susan podniosła tablicę. Napis na niej brzmiał: „Usta mają być otwarte. To rozkaz”.

Lu-tze zamachnął się oburącz. W dłoniach trzymał po jednej karmelowej czekoladce, a rzucał celnie.

Usta się zamknęły. Twarze zastygły. Zabrział odgłos pośredni pomiędzy mručeniem a jękiem, wzniósł się i zamilkł w paśmie ultradźwięków. Audytorzy rozplynęli się powoli, zaczynając od rozmycia konturów, a potem, kiedy proces nabrał tempa, szybko zmieniając się w rosnącą chmurę.

– Walka wust i zręcz – stwierdził Lu-tze. – Dlaczego nic takiego nie dzieje się z ludźmi?

– Prawie się dzieje – oświadczyła Susan. A kiedy spojrzeli na nią, zamrugła i dodała szybko: – W każdym razie z głupimi, folgującymi sobie ludźmi.

– Nie musicie się koncentrować, by zachować swój kształt – wyjaśniła Unity. – To były nasze ostatnie karmelowe.

– Nie – sprzeciwiła się Susan. – W Złotej Mieszance W&B jest ich sześć. Trzy mają nadzienie z kremu z białej czekolady w ciemnej czekoladzie, a trzy mają krem śmietankowy w mlecznej. To te w srebrnych pa... Słuchajcie, po prostu wiem to i owo, jasne? Lepiej już chodźmy, co? I nie wspominajmy więcej o czekoladzie.

Nie masz nad nami władzy, oświadczył Audytor. Nie jesteśmy żywi.

ALE DEMONSTRUJECIE AROGANCJĘ, ZAROZUMIAŁOŚĆ I GŁUPOTĘ. TO EMOCJE. POWIEDZIAŁBYM, ŻE TO OZNAKI ŻYCIA.

– Przepraszam... – odezwała się jaśniejąca postać w bieli.

Ale jesteś tu całkiem sam!

– Przepraszam?

TAK? – spytał Śmierć. O CO CHODZI?

– To Apokalipsa, prawda? – spytała rozdrażnionym głosem jaśniejąca postać.

ROZMAWIAMY.

– Tak, widzę, ale czy to Apokalipsa? Prawdziwy koniec prawdziwego całego świata?

Nie, odparł Audytor.

TAK, przyznał Śmierć.

– Świetnie! – ucieszyła się postać.

Co? – zdziwił się Audytor.

CO? – zdziwił się Śmierć.

Postać zawstydzila się nieco.

– No, wcale nie świetnie, naturalnie. Naturalnie nie świetnie w ścisłym sensie. Ale po to właśnie tu jestem. Po to w ogóle jestem, prawdę mówiąc. – Pokazała księgę. –

Ehm... mam tu już zaznaczone odpowiednie miejsce. O rany! To już tak długo, rozumiecie... Śmierć zerknął na księgę. Okładka i wszystkie kartki wykute były z żelaza. Nadeszło zrozumienie.

TY JESTEŚ TYM ANIOŁEM, CO MA BYĆ ODZIANY W BIEL I MIEĆ ŻELAZNĄ KSIĘGĘ? Z PROROCTW TOBRUNA, ZGADZA SIĘ?

– Tak jest! – Kartki dźwięczały, gdy anioł przerzucał je pośpiesznie. – I jestem odzian, jeśli można, nie odziany. Odzian. Wiem, to drobiazg, ale lubię, kiedy wymawia się to poprawnie.

Co to ma znaczyć? – warknął gniewnie Audytor.

SAM NIE WIEM, JAK CI TO POWIEDZIEĆ, rzekł Śmierć, nie zwracając na niego uwagi. ALE NIE JESTEŚ JUŻ OFICJALNY.

Kartki przestały dźwięczeć.

– Co masz na myśli? – spytał anioł podejrzliwie.

KSIĘGA TOBRUNA OD STU LAT NIE JEST UZNAWANA ZA OFICJALNY DOGMAT RELIGII. PROROK BRUTHA OBJAWIŁ, ŻE CAŁY TEN ROZDZIAŁ JEST METAFORĄ WALKI O WŁADZĘ WE WCZESNYM KOŚCIELE. NIE ZOSTAŁA DOŁĄCZONA DO POPRAWIONEJ WERSJI KSIĘGI OMA, O CZYM ZDECYDOWAŁ SYNOD W EE.

– Zupełnie?

PRZYKRO MI.

– Wyrzucili mnie? Jak te nieszczęsne króliki i wielkie lepkie kapanie?

TAK.

– Nawet ten fragment, kiedy dmę w trąbę?

O TAK.

– Jesteś pewien?

ZAWSZE.

– Ale jesteś Śmiercią, a to jest Apokalipsa, zgadza się? – Anioł wyglądał żałośnie.
– A zatem...

NIESTETY JEDNAK, TY NIE JESTEŚ JUŻ FORMALNIE ELEMENTEM PROCESU.

Kątem umysłu Śmierć obserwował Audytora. Audytorzy zawsze słuchali, jak inni mówią. Im więcej mówili, tym bliższa powszechnej zgody była każda decyzja, a zatem mniejsza odpowiedzialność spadała na każdego z osobna. Ale ten Audytor zdradzał oznaki zniecierpliwienia i irytacji...

Emocje. A emocje czynią żywym... Śmierć wiedział, jak sobie radzić z żywymi.

Anioł rozejrzał się po wszechświecie.

– Więc co ja niby mam teraz robić? – jęknął. – Na to przecież czekałem! Od tysięcy lat! – Spojrzał na żelazną księgę. – Tysięcy głupich, nudnych, zmarnowanych

lat... – wymamrotał.

Skończyliście już? – spytał Audytor.

– Jedna wielka scena. To wszystko, co miałem. To był mój cel. Czekasz, ćwiczysz... a potem nagle się wycinają, bo siarka wyszła z mody? – Anioł był rozgoryczony. – Oczywiście nikt mnie nawet nie uprzedził...

Spojrzał zniechęcony na pordzewiałe stronicę.

– Następny powinien być Zaraza – mruknął.

– Czyżbym się spóźnił? – zabrzmiał głos wśród nocy.

Koń podbiegł bliżej. Lśnił niezdrowo niczym zajęta gangreną rana, zanim cyrulik czy chirurg zostanie wezwany z pilą.

MYŚLAŁEM, ŻE NIE PRZYJDZIESZ, zdziwił się Śmierć.

– Nie zamierzałem – przesączył się głos Zarazy. – Ale ludzie mają takie ciekawe choroby. Chciałbym też zobaczyć, jak się rozwinię dziczek. – Jedno zaropiałe oko mrugnęło porozumiewawczo do Śmierci.

– Chodziło ci o świnkę? – upewnił się anioł.

– Niestety, o dziczka. Ludzie stają się bardzo niedbali przy tych biosztuczkach. Mówimy tu o czyrakach, które naprawdę szczypią.

Was dwóch nie wystarczy! – warknął Audytor.

Z ciemności wybiegł truchtem koń. Niektóre stojaki na talerze mają na sobie więcej ciała.

– Zastanawiałem się – zabrzmiał głos. – Może jednak znajdzie się coś, o co warto walczyć.

Zaraza się obejrzał.

– Na przykład...?

– Kanapki z sosem majonezowym. Nie do pobicia. Ten posmak dozwolonych emulgatorów... Cudowne.

– Aha... Czyli ty jesteś Głód – stwierdził Anioł Żelaznej Księgi. Znow zaczął przerzucać ciężkie kartki.

Co, co, co to za bzdura z tym sosem majonezowym?! [Jeśli mieszkacie w kraju, gdzie tradycja nakazuje użycie majonezu, nie pytajcie. Po prostu nie pytajcie.] – wrzeszczał Audytor.

Gniew, pomyślał Śmierć. Potężna emocja.

– Czy ja lubię sos majonezowy? – odezwał się kolejny głos w ciemności.

A inny, kobiecy, odpowiedział:

– Nie, kochanie. Dostajesz od niego wysypki.

Koń Wojny był potężny, czerwony, z łęku jego siodła wisały głowy poległych wojowników. Z tyłu trzymała się męża pani Wojnowa.

– Wszyscy czterej! No proszę... – ucieszył się Anioł Żelaznej Księgi. – To tyle, jeśli chodzi o synod w Ee!

Wojna miał szyję owiniętą wełnianym szalikiem. Patrzył z zakłopotaniem na pozostałych Jeźdźców.

– Ma się nie przemęczać – uprzedziła surowo pani Wojnowa. – I nie pozwalajcie mu robić nic niebezpiecznego. Nie jest już taki silny, jak mu się wydaje. I łatwo traci orientację.

Czyli mamy już cały zespół, rzekł Audytor.

POCZUCIE WYŻSZOŚCI, zauważył Śmierć. I ZADOWOLENIE Z SIEBIE.

Znowu brzęknęły metalowe kartki. Anioł Żelaznej Księgi miał zakłopotaną minę.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to stwierdzenie było całkowicie poprawne...

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

No to zaczynajcie tę swoją małą pantomimę, rzucił Audytor.

A teraz ironia i sarkazm, pomyślał Śmierć. Pewnie przechwytyją emocje od tych, którzy są na dole, w świecie. Wszystkie te drobne elementy, które razem tworzą... osobowość.

Spojrzał najeźdźców. Zauważyli to. Głód i Zaraza niemal niedostrzegalnie skinęli głowami.

Wojna odwrócił się w siodle do żony.

– W tej chwili, moja droga, orientuję się doskonale. Czy zechciałabyś zsiąść, jeśli wolno prosić?

– Przypomnij sobie, co się stało, kiedy... – zaczęła pani Wojnowa.

– Natychmiast, moja droga – przerwał jej Wojna i tym razem jego głos, choć wciąż spokojny i uprzejmy, niósł echa stali i spiżu.

– Ale... Och! – Pani Wojnowa zmieszana się nagle. – Tak właśnie zwykle mówiłeś, kiedy...

Urwała, na chwilę zarumieniła się radośnie i zsunęła z siodła.

Wojna skinął Śmierci.

A teraz musicie wszyscy wyruszyć, by nieść grozę, zniszczenie i tak dalej, i temu podobne, stwierdził Audytor. *Zgadza się”?*

Śmierć przytaknęła. Unosząc się ponad nim, Anioł Żelaznej Księgi z brzękiem przerzucał kartki tam i z powrotem, szukając właściwego fragmentu.

DOKŁADNIE. TYLE ŻE, dodał Śmierć, sięgając po miecz, CHOĆ ISTOTNIE MUSIMY WYRUSZYĆ, NIGDZIE NIE JEST NAPISANE, PRZECIWKO KOMU.

Co masz na myśli? – syknął Audytor, ale teraz w jego głosie zabrzmiał lęk. Nie rozumiał, co się dzieje.

Śmierć się uśmiechnął. Aby się bać, trzeba mieć jakieś „ja”. Nie pozwólcie, żeby cokolwiek mi się przydarzyło – taka jest pieśń strachu.

– Ma na myśli to – rzekł Wojna – że poprosił nas wszystkich, byśmy się

zastanowili, po czyjej stronie naprawdę jesteście.

Cztery miecze wysunęły się z pochew, a ich ostrza zajaśniały jak płomień. Cztery konie ruszyły galopem.

Anioł Żelaznej Księgi spojrzał na panią Wojnową.

– Przepraszam – powiedział. – Ma pani może ołówek?

Susan wyrzwała za róg na ulicę Rzemieślników i jęknęła.

– Pełno ich tam... i chyba wszyscy poszaleli.

Unity także spojrzała.

– Nie. Wcale nie poszaleli. Są Audytorami. Wykonują pomiary, szacują i standaryzują tam, gdzie to konieczne.

– Wyjmują teraz płyty chodnikowe!

– Tak. Dlatego, jak podejrzewam, że mają niewłaściwe wymiary. Nie lubimy nieregularności.

– Jaki, do wszystkich demonów, jest właściwy wymiar dla kamiennej płyty?

– Dowolny, który nie jest wymiarem przeciętnym. Przykro mi.

Powietrze wokół Susan rozbłysło błękitem. Przez moment widziała ludzką postać, przejrzystą i obracającą się wolno. Po chwili postać znów zniknęła.

Ale głos w uchu Susan, naprawdę w uchu, powiedział: *Już prawie dostatecznie silny... Czy zdołasz się przedostać na koniec ulicy?*

– Tak. Jesteś pewien? Poprzednio nic nie mogłeś zrobić z tym zegarem.

Poprzednio to nie byłem ja.

Poruszenie w górze kazało Susan unieść wzrok. Błyskawica, stojąca sztywno nad martwym miastem, teraz zniknęła. Chmury przetaczały się niby wlane do wody atrament. Wewnątrz nich widziała błyski czerwieni i siarkowej żółci.

Czterej Jeźdźcy walczą z innymi Audytorami, wyjaśnił Lobsang.

– Wygrywają?

Lobsang nie odpowiedział.

– Pytałam...

Trudno mi powiedzieć. Mogę wiedzieć... wszystko. Wszystko, co być może...

Chaos słuchał historii.

Pojawiały się nowe teorie. Magowie i filozofowie odkryli Chaos, a był on tym starym Chaosem, ale z przyczesanymi włosami i zawiązanym krawatem. I we wcieleniu nieporządku znaleźli nowy porządek, o jakim im się nie śniło. *Istnieją reguły innego rodzaju. Z prostoty wynika złożoność, a ze złożoności nowy rodzaj prostoty. Chaos to porządek w masce...*

Chaos, ale nie ten mroczny, pradawny, pozostawiony przez ewoluujący

wszechświat, ale nowy, błyszczący, tańczący w sercu wszystkiego. Idea była dziwnie atrakcyjna. I była powodem, by żyć dalej.

Ronnie Socha poprawił czapkę. A tak... Jeszcze jedno...

Mleko zawsze było świeże i smaczne. Wszyscy go za to chwalili. Oczywiście, zjawianie się wszędzie o siódmej rano nie sprawiało mu żadnych problemów. Skoro nawet Wiedźmikołaj potrafi w ciągu jednej nocy zejść do wszystkich kominów na świecie, rozwiezienie mleka do większej części miasta w ciągu sekundy nie wydawało się wielkim osiągnięciem.

Za to było nim utrzymywanie towaru w chłodzie. Tutaj jednak miał szczęście... Wszedł do chłodni, gdzie w lodowatym powietrzu jego oddech zmieniał się w mgłę. Skrzące się od zewnątrz bańki stały na podłodze, a cebry masła i śmietany na lśniących od lodu półkach. Koszyki za koszykami jajek były ledwie widoczne przez szron. Planował latem dodać do asortymentu lody – to przecież oczywiste posunięcie. Poza tym musiał jakoś zużywać zimno.

Na środku podłogi stał piecyk. Pan Socha zawsze kupował dobry węgiel od krasnoludów, więc żelazne płyty były rozpalone do czerwoności. W pomieszczeniu, zdawało się, powinno być gorąco jak w piekarniku, jednak od strony piecyka dobiegało ciche skwierczenie, gdy żar walczył ze szronem. Mimo że ogień huczał w palenisku, pokój był lodownią. Bez piecyka...

Ronnie otworzył obramowane białą drzwiami do szafki i pięścią rozbił zamrożony za nimi lód. Potem sięgnął do wnętrza.

Wyjął strzelający niebieskim płomieniem miecz.

Ten miecz był prawdziwym dziełem sztuki. Miał urojoną prędkość, ujemną energię i dodatnie zimno – zimno tak zimne, że spotykało się z ciepłem nadchodzącym z drugiej strony i przejmowało część jego natury. Płonące zimno. Nigdy, od czasów sprzed początku wszechświata, nie istniało nic równie zimnego. Prawdę mówiąc, Chaosowi wydawało się, że wszystko od tej pory jest najwyżej letnie.

– No to wróciłem – powiedział.

Piąty Jeździec wyruszył, a towarzyszył mu lekki zapach sera.

Unity obejrzała się na pozostałą dwójkę i na błękitne lśnienie, które wciąż unosiło się nad grupą. Ukryli się za dwukołowym wózkiem z owocami.

– Jeśli mogę coś zasugerować... – powiedziała. – Chodzi o to, że my... że Audytorzy nie radzą sobie z niespodziankami. Impuls każe im się konsultować. I zawsze przyjmują założenie, że jest jakiś plan.

– I co? – Susan nie rozumiała.

– Sugeruję całkowite szaleństwo. Sugeruję, żebyś ty i... i ten... młody człowiek pobiegli do sklepu, a ja ściągnę uwagę Audytorów. Sądzę, że ten stary człowiek

powinien mi towarzyszyć, ponieważ i tak już niedługo umrze.

Zapadło milczenie.

– Uwaga ścisła, aczkolwiek niekonieczna – stwierdził Lu-tze.

– To nie były właściwe maniery? – zmartwiła się.

– Mogłoby być lepiej. Jednakże czyż nie jest napisane: „Kiedy trzeba iść, to trzeba iść”? A także: „Zawsze powinieneś nosić czystą bieliznę, bo nigdy nie wiesz, czy jakiś powóz cię nie potrąci”?

– Czy to pomoże? – spytała Unity z bardzo zdumioną miną.

– To jedna z wielkich tajemnic Drogi. – Lu-tze mądrze pokiwał głową. – Jakie czekoladki jeszcze nam zostały?

– Mamy tylko te z nugatem – odparła Unity. – A jak rozumiem, nugat to straszna rzecz i obłana czekoladą może schwytać w pułapkę niczego niepodejrzewające osoby. Susan?

Susan spoglądała w głąb ulicy.

– Mmm?

– Zostały ci jakieś czekoladki?

Susan pokręciła głową.

– Mmm-mmm.

– Niosłaś chyba wiśniowe śmietankowe?

– Mmm?

Susan przełknęła, po czym odchrząknęła w sposób niezwykle zwięzłe wyrażający równocześnie zakłopotanie i irytację.

– Zjadłam tylko jedną! – burknęła. – Potrzebuję cukru!

– Na pewno nikt nie twierdzi, że zjadłaś więcej – zapewniła potulnie Unity.

– W ogóle nie liczyliśmy – dodał Lu-tze.

– Gdybyś miała chusteczkę – ciągnęła Unity, nadal dyplomatycznym tonem – mogłabyś zetrzeć sobie czekoladę z ust. Musiała dostać się tam przez nieuwagę podczas ostatniej potyczki.

Susan spojrzała na nią niechętnie i posłużyła się grzbietem dłoni.

– To tylko cukier – powtórzyła. – Nic więcej. Paliwo. I przestańcie ciągle o tym mówić! Słuchajcie, nie możemy tak po prostu pozwolić wam zginąć, żeby...

Tak, możemy, odezwał się Lobsang.

– Jak to? – spytała zaszokowana Susan.

Ponieważ widziałem wszystko.

– To może nam o tym opowiesz? – Susan odwołała się do Klasowego Sarkazmu. – Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, jak to się skończy.

Źle zrozumiałaś znaczenie słowa „wszystko”.

Lu-tze przeszukał swój worek z amunicją i wyjął dwa czekoladowe jajka oraz

papierową torebkę. Na jej widok Unity zbladła jak ściana.

– Nie wiedziałam, że takie mamy!

– Dobrze są, tak?

– Ziarna kawy oblewane czekoladą... – szepnęła Susan. – Powinny być zakazane!

Obie kobiety patrzyły ze zgrozą, jak Lu-tze wkłada jedno do ust. Spojrzał na nie zdziwiony.

– Całkiem niezłe, ale osobiście wolę lukrecję – oświadczył.

– Chcesz powiedzieć, że nie zjesz tego drugiego? – upewniła się Susan.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno?

– Tak. Ale chętnie skosztowałbym lukrecji, więc jeśli macie jakąś...

– Czy przeszedłeś jakieś specjalne szkolenie dla mnichów?

– Hm... Nie w walce na czekoladki, na pewno. Ale czyż nie jest napisane „Nie jedz tylu słodczy, bo nie będziesz chciał jeść obiadu”?

– Naprawdę nie zjesz drugiej kawy w czekoladzie?

– Nie, naprawdę nie.

Susan zerknęła na Unity, która drżała.

– Ale masz kubeczki smakowe, prawda? – spytała, choć czuła już na ramieniu ucisk, odciągający ją dalej.

– Macie się schować za ten wózek, o tam, i ruszyć biegiem, kiedy dam sygnał – rzekł Lu-tze. – Ruszajcie.

– Jaki sygnał?

Będziemy wiedzieć, zapewnił Lobsang.

Lu-tze patrzył, jak odchodzą pospiesznie. Potem chwycił w dłoń miotłę i wysunął się w pole widzenia całej ulicy szarych ludzi.

– Przepraszam bardzo! – zawołał. – Czy można zająć państwu chwilę?

– Co on wyprawia? – zdziwiła się ukryta za wózkiem Susan.

Wszyscy idą teraz w jego stronę, powiedział Lobsang. Niektórzy mają broń.

– To na pewno ci, którzy wydają rozkazy – stwierdziła Susan.

Jesteś pewna?

– Tak. Nauczyli się od ludzi. Audytorzy nie są przyzwyczajeni do słuchania rozkazów. Trzeba ich jakoś przekonać.

Właśnie mówi im o Pierwszej Zasadzie, a to znaczy, że ma plan. I ten plan chyba działa... Tak!

– Co on zrobił? Co zrobił?

Biegniemy! Nic mu nie będzie!

Susan poderwała się na nogi.

– To dobrze!

Tak, ucięli mu głowę...

Trwoga, gniew, zazdrość... Emocje czynią cię żywym, co trwa krótką chwilę, nim umrzesz. Szare kształty uciekały przed mieczami.

Ale były ich miliardy. I miały własne sposoby walki. Bierne, subtelne sposoby.

– To głupie! – wykrzyknął Zaraza. – Nawet przeziębienia nie mogą złapać!

– Żadnej duszy do potępienia ani dupy do skopania! – mruknął Wojna, tnąc szare strzępy odpływające od jego klingi.

– Mają w sobie jakiś głód – stwierdził Głód. – Ale nie mogę znaleźć sposobu, by do niego dotrzeć!

Ściągnęli wodze. Ściana szarości zatrzymała się w oddali i znów zaczęła sunąć ku nim.

ONI WALCZĄ, oświadczył Śmierć. NIE CZUJECIE TEGO?

– Ja czuję tylko, że zachowujemy się jak głupki – odparł Wojna.

A SKĄD POCHODZI TO UCZUCIE?

– Mówisz, że wpływają na nasze myśli? – zdumiał się Zaraza. – Jesteśmy Jeźdźcami! Jak mogą nam to zrobić?

STALIŚMY SIĘ NAZBYT LUDZCY.

– My? Ludzcy? Nie rozśmiejcie...

PRZYJRZYJ SIĘ MIECZOWI, KTÓRY TRZYMASZ, przerwał mu Śmierć. NICZEGO NIE ZAUWAŻASZ?

– To miecz. Mieczokształtny. I co?

POPATRZ NA DŁOŃ. CZTERY PALCE I KCIUK. LUDZKA DŁOŃ. LUDZIE NADALI CI TEN KSZTAŁT. I TO WŁAŚNIE JEST DROGA DO WNEŢRZA. WSŁUCHAJ SIĘ! CZY CZUJESZ SIĘ MAŁENKI W OGROMNYM WSZECHŚWIECIE? TAK WŁAŚNIE BRZMI ICH PIEŚŃ. ON JEST WIELKI, A TY MALUTKI, WOKÓŁ CIEBIE NIE MA NIC PRÓCZ CHŁODU PRZESTRZENI, JESTEŚ TAK BARDZO SAMOTNY...

Pozostali trzej Jeźdźcy wydawali się zaniepokojeni, nerwowi...

– To przychodzi od nich? – Wojna nie dowierzał.

TAK. TO STRACH I NIENAWIŚĆ, KTÓRE MATERIA ODCZUWA WOBEC ŻYCIA. A ONI SĄ NOSICIELAMI TEJ NIENAWIŚCI.

– Więc co możemy zrobić? – spytał Zaraza. – Ich jest zbyt wielu!

TY TO POMYŚLAŁEŚ CZY ONI? – warknął Śmierć.

– Podchodzą coraz bliżej – zauważył Wojna.

A WIĘC ZROBIMY, CO MOŻEMY.

– Cztery miecze przeciwko armii? To nie może się udać!

JESZCZE KILKA CHWIL TEMU UWAŻAŁEŚ, ŻE MOŻE. KTO TERAZ PRZEZ

CIEBIE PRZEMAWIA? LUDZIE ZAWSZE STAWALI PRZECIWKO NAM I NIE PODDAWALI SIĘ.

– No, niby tak – zgodził się Zaraza. – Ale z nami zawsze mogli mieć nadzieję na remisję.

– Albo niespodziewane zawieszenie broni – dodał Wojna.

– Albo... – zaczął Głód, zawahał się i dokończył: – Deszcz ryb z nieba? – Zauważył ich miny. – To się naprawdę raz zdarzyło – oświadczył wyzywająco.

ABY DOŚWIADCZYĆ SZCZĘŚLIWEJ ODMIANY LOSU W OSTATNIEJ CHWILI, TRZEBA SWÓJ LOS DOPROWADZIĆ DO OSTATNIEJ CHWILI, rzekł Śmierć. MUSIMY ZROBIĆ WSZYSTKO, CO MOŻEMY.

– A jeśli to nie wystarczy? – spytał Zaraza.

Śmierć mocniej chwycił wodze Pimpusia. Audytorzy byli o wiele bliżej. Mógł już rozróżnić ich pojedyncze, identyczne kształty. Usunąć jednego, a zjawi się dziesięciu następnych.

WTEDY ROBILIŚMY WSZYSTKO, CO MOGLIŚMY, powiedział. DOPÓKI MOGLIŚMY.

Na swojej chmurze Anioł w Biel Odzian zmagał się z Żelazną Księgą.

– O czym oni mówią? – spytała pani Wojnowa.

– Nie wiem, nic nie słyszę! A te dwie kartki zlepiły się razem! – odpowiedział anioł. Przez chwilę drapał je bezskutecznie.

– Wszystko dlatego, że nie chciał włożyć podkoszulka – oznajmiła pani Wojnowa stanowczo. – Właśnie przez takie...

Musiała przerwać, gdyż Anioł zerwał znad głowy aureolę i przeciągał ją po spojenej rdzą krawędzi obu kartek. Strzelały iskry i zgrzytało, jakby kot zsuwał się po tablicy.

Strony odskoczyły z brzękiem.

– Wreszcie! Zobaczmy... – Przeglądał odsłonięty tekst. – To załatwione... to też... Oj... – Uniósł głowę. – Niedobrze – powiedział. – Teraz mamy problem.

Kometa wystrzeliła ze świata w dół i rosła wyraźnie. Przemknęła płomieniem po niebie; rozpalone fragmenty odrywały się od niej i spadały, odsłaniając – kiedy zbliżyła się już do Jeźdźców – rydwan ognia.

Płomienie były błękitne. Rydwan płonął zimnem.

Stojąca w nim postać nosiła hełm zasłaniający całą twarz. Najbardziej charakterystyczną jego cechą były dwa otwory na oczy, wyglądające trochę jak skrzydła motyla, ale bardziej jak ślepiec dziwnej, obcej istoty. Ognisty koń, ledwie spocony, zwolnił do kłusa i stanął. Pozostałe wierzchowce, nie zważając na swych jeźdźców, przesunęły się, by zrobić mu miejsce.

– No nie! – jęknął Głód i z niesmakiem machnął ręką. – On też? Mówiłem

przecież: A co będzie, jeśli on wróci? Mówilem, prawda? Pamiętacie, jak wtedy wyrzucił minstrela przez okno hotelu w Zok? Czy nie powiedziałem...

ZAMKNIJ SIĘ, przerwał mu Śmierć. Skinął czaszką. WITAJ, RONNIE. MIŁO CIĘ ZNOWU WIDZIEĆ. ZASTANAWIAŁEM SIĘ, CZY PRZYBĘDZIESZ.

Ręka, wlokąca za sobą kłęby lodowatej pary, uniosła się i zdjęła hełm.

– Cześć, chłopaki – rzucił uprzejmie Chaos.

– Eee... Dawnośmy się nie widzieli – odezwał się Zaraza.

Wojna odchrząknął.

– Słyszałem, że nieźle sobie radzisz.

– Istotnie – przyznał Chaos starannie opanowanym tonem. – Handel mlekiem i przetworami mlecznymi ma prawdziwą przyszłość.

– No tak... świat zawsze będzie potrzebował sera – stwierdził desperacko Wojna. – Haha.

– Wygląda na to, że macie drobny problem – zauważył Ronnie.

– Poradzimy so... – zaczął Głód.

NIE PORADZIMY SOBIE, oznajmił Śmierć. WIESZ, JAK TO JEST, RONNIE. CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ. NIE MIAŁBYŚ OCHOTY WYSTĄPIĆ Z NAMI W TYM NUMERZE?

– Zaraz, nie rozmawialiśmy na... – zaczął znowu Głód, ale zamilkł, kiedy Wojna rzucił mu groźne spojrzenie.

Ronnie Socha włożył hełm i Chaos dobył miecza. Miecz połyskiwał i – podobnie jak szklany zegar – wyglądał raczej jak intruzja do świata czegoś o wiele bardziej skomplikowanego.

– Pewien staruszek powiedział mi: „Póki życia, póty nauki” – oświadczył. – No więc żyłem, a teraz nauczyłem się, że krawędź miecza jest nieskończenie długa. Nauczyłem się też robić wściekle dobry jogurt, ale nie jest to sztuka, jaką zamierzam dzisiaj wykorzystywać. No to jak? Załatwimy ich, chłopaki?

Daleko w głębi ulicy kilku Audytorów przesunęło się naprzód.

– Jaka jest Pierwsza Zasada? – zapytał jeden z nich.

– To bez znaczenia. Ja jestem Pierwszą Zasadą. – Audytor z wielkim toporem gestem kazał im odstąpić. – Posłuszeństwo jest konieczne!

Audytorzy zawahali się, obserwując topór. Nauczyli się już czegoś o bólu. Nigdy nie doznawali bólu, od miliardów lat. Ci, którzy teraz go odczuli, nie mieli najmniejszej ochoty na powtórzenie tego doświadczenia.

– Bardzo dobrze – powiedział pan Biały. – A teraz wracajcie wszyscy do...

Czekoladowe jajko roztrzaskało się na bruku. Tłum Audytorów zafalował i ruszył naprzód, ale pan Biały kilka razy machnął toporem w powietrzu.

– Cofnąć się! Cofnąć! – wrzasnął. – Wy trzej! Sprawdźcie, kto to rzucił! Przyleciało zza tamtego straganu! Nikomu nie wolno dotykać brązowego materiału!

Pochylił się ostrożnie i sięgnął po duży kawałek czekolady, na którym dało się jeszcze rozpoznać wizerunek uśmiechniętej kaczki z złotego lukru. Ręka mu drżała, a pot kroplami występował na czoło, ale uniósł czekoladę do góry i tryumfalnie machnął toporem. Tłum patrzących westchnął.

– Widzicie?! – krzyknął pan Biały. – Można przewyciężyć ciało! Widzicie? Możemy znaleźć sposób, jak żyć! Jeśli będziecie grzeczni, znajdzie się dla was brązowy materiał! A jeśli nie, znajdzie się ostre narzędzie! Ach...

Opuścił ręce, kiedy przywleczono do niego wyrrywającą się Unity.

– Zwiadowca – powiedział. – Renegatka... Więc jak będzie? Topór czy brązowy materiał?

– Nazywa się „czekolada” – warknęła Unity. – Nie jadam jej.

– Jeszcze zobaczymy – oświadczył pan Biały. – Twój wspólnik wołał chyba topór...

Wskazał ciało Lu-tze...

...pustą powierzchnię bruku, gdzie leżał Lu-tze.

Ktoś stuknął go w ramię.

– Dlaczego tak jest – odezwał się głos tuż przy jego uchu – że nikt nigdy nie wierzy w Pierwszą Zasadę?

W górze niebo zaczynało rozplomieniać się błękitem.

Susan pognęła ulicą do sklepu zegarmistrza.

Zerknęła w bok – Lobsang był tam i biegł obok niej. Wyglądał... jak człowiek, tyle że niewielu ludzi jarzy się tak na niebiesko.

– Wokół zegara będą szarzy ludzie! – zawołał.

– Próbują odkryć, dlaczego tyka?

– Ha! Tak jest!

– A co masz zamiar zrobić?

– Rozbić go!

– Zniszczysz historię!

– I co z tego?

Wziął ją za rękę. Poczuła, jakby wstrząs przebiegł jej wzdłuż ramienia.

– Nie musisz otwierać drzwi! Nie musisz się zatrzymywać! Biegnij prosto do zegara! – powiedział.

– Ale...

– Nic do mnie nie mów! Muszę pamiętać!

– Co pamiętać?

– Wszystko!

Odwracając się, pan Biały wznosił już topór. Ale nie można do końca ufać ciału. Ciało myśli samodzielnie. Zaskoczone, podejmuje pewne działania, zanim jeszcze poinformuje o nich mózg. Na przykład otwierają się usta.

– Ach, doskonale – stwierdził Lu-tze, unosząc dłoń. – Zjedz to!

Drzwi wydawały się nie bardziej materialne niż mgła. W warsztacie byli Audytorzy, ale Susan przechodziła przez nich niczym duch.

Zegar łśnił. A kiedy biegła w jego stronę, zaczął się odsuwać. Podłoga rozwijała się przed nią, porywając ją do tyłu. Zegar przyspieszał ku jakiemuś dalekiemu horyzontowi zdarzeń. A równocześnie rósł, lecz stawał się bardziej niematerialny, jakby ta sama ilość zegarowości próbowała rozlać się w większą przestrzeń.

Działy się też inne rzeczy. Mrugnęła, lecz nie zobaczyła mignięcia ciemności.

– Aha – powiedziała do siebie. – Nie widzę swoimi oczami. Co jeszcze? Co się ze mną dzieje? Moja ręka... wygląda normalnie, ale czy jest normalna? Czy powiększam się, czy zmniejszam? Czy...?

– Zawsze taka jesteś? – usłyszała głos Lobsanga.

– Jaka? Czuję twoją dłoń i słyszę twój głos... a przynajmniej wydaje mi się, że słyszę, choć może rozbrzmiewa tylko w mojej głowie... Ale nie czuję, że biegnę...

– Taka... analityczna?

– Oczywiście. A co powinnam myśleć? „Och, moje łapki i wąsiki”? Zresztą to całkiem proste. Zmysły opowiadają mi różne historie, ponieważ nie mogą sobie poradzić z tym, co się naprawdę dzieje...

– Nie puszczaj mojej ręki.

– W porządku, nie puszczę cię.

– Chciałem powiedzieć: nie puszczaj mojej ręki, bo w przeciwnym razie każda część twojego ciała zostanie skompresowana do przestrzeni o wiele, wiele mniejszej niż atom.

– Och!

– I nie próbuj sobie wyobrażać, jak to naprawdę wygląda z zewnątrz. A oto już zeegggaarrrrrrr...

Pan Biały zamknął usta. Zaskoczenie na jego twarzy zmieniło się w zgrozę, a potem w straszliwą, cudowną rozkosz.

Zaczął się rozpadać – niby wielka i skomplikowana układanka z maleńkich kawałeczków, które odlatywały wolno, poczynając od palców, i znikwały w powietrzu. Ostatnią częścią ciała były wargi, ale i one wyparowały.

Na bruk upadło na wpół roztopione ziarenko kawy w czekoladzie. Lu-tze schylił się szybko, podniósł topór i machnął nim w stronę Audytorów. Odchylili się wszyscy na boki, jakby zahipnotyzowani oznaką władzy.

– Do kogo teraz należy? – zapytał Lu-tze. – No mówcie, czyj jest?

– Mój! Jestem panna Grafitowa! – krzyknęła kobieta w szarym.

– Jestem pan Pomarańczowy i topór należy do mnie! – wrzasnął pan Pomarańczowy. – Nikt nawet nie ma pewności, czy grafitowy to rzeczywiście kolor.

Któryś z Audytorów w tłumie odezwał się zamyślony:

– Czy jest więc faktem, że hierarchia podlega negocjacjom?

– Absolutnie nie! – Pan Pomarańczowy aż podskakiwał z emocji.

– Musicie to rozstrzygnąć między sobą – stwierdził Lu-tze.

Rzucił topór do góry. Setki par oczu śledziły jego lot.

Pan Pomarańczowy dotarł do niego pierwszy, ale panna Grafitowa nadepnęła mu na palce. Po chwili wszystko stało się bardzo ruchliwe, bardzo zagmatwane, a sądząc po dobiegających z pola walki dźwiękach, także bardzo bolesne.

Lu-tze ujął oszołomioną Unity pod rękę.

– Pójdziemy już? – zaproponował. – Och, nie martw się o mnie. Sytuacja była dostatecznie rozpaczliwa, żeby wypróbować coś, czego nauczyłem się od yeti. Trochę szczypało...

W tłumie walczących rozległy się wrzaski.

– Demokracja w działaniu – stwierdził z satysfakcją.

Płomienie nad światem dogasały i Lu-tze zastanowił się, kto zwyciężył.

– Sprzątacze mówili, że każdy musi znaleźć nauczyciela, a potem znaleźć Drogę.

– I...? – spytała Susan.

– To jest moja Droga. Jestem w domu.

A potem, z dźwiękiem, który był mało romantycznie podobny do tego, jaki uzyskiwał Jason, brzdąkając ułożoną na brzegu ławki drewnianą linijką, podróż dobiegła końca.

Właściwie mogła się nawet nie zaczynać. Szklany zegar stał przed Susan, wielki i migotliwy. Zniknęło błękitne lśnienie w jego wnętrzu. Był zwykłym zegarem, całkiem przezroczystym i tykającym.

Susan przesunęła spojrzenie wzdłuż swojej ręki, a potem w górę jego ręki, aż do Lobsanga. Puścił jej dłoń.

– Jesteśmy – rzekł.

– Z zegarem? – zdziwiła się Susan. Z trudem chwytając oddech.

– To tylko jego część – wyjaśnił Lobsang. – Ta druga część.

– Kawałek spoza wszechświata?

– Tak. Zegar ma wiele wymiarów. Nie bój się.

– Nie wydaje mi się, żebym czegośkolwiek w życiu się bała – odparła Susan, wciąż oddychając z wysiłkiem. – Ale tak naprawdę bała. Raczej się złościła. Prawdę mówiąc, w tej chwili też zaczynam się złościć. Kim jesteś? Lobsang czy Jeremy?

– Tak.

– Owszem, spotkałam się już z czymś takim. Kim jesteś? Lobsang i Jeremy?

– Teraz o wiele lepiej. Tak. Zawsze będę pamiętał ich obu. Ale wolałbym, żebyś nazywała mnie Lobsangiem. Lobsang ma lepsze wspomnienia. Nigdy nie lubiłem imienia Jeremy, nawet kiedy byłem Jeremym.

– Naprawdę jesteś oboma naraz?

– Jestem... tym wszystkim z nich obu, czym warto być. Mam nadzieję. Bardzo się różnili, a jednak obaj byli mną, urodzonym w odstępach chwili. Żaden nie był szczęśliwy samotnie. Właściwie można by pomyśleć, że jednak jest coś w astrologii.

– Pewnie – zgodziła się Susan. – Złudzenia, myślenie życzeniowe i naiwność.

– Czy ty nigdy nie odpuszczasz?

– Jak dotąd nigdy.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się... Ponieważ w tym świecie, kiedy wszystkich innych ogarnie panika, zawsze musi się znaleźć ktoś, kto wyleje siusiu z buta.

Zegar tyknął. Zakołysało się wahadło. Ale wskazówki nie drgnęły.

– Interesujące – przyznał Lobsang. – Nie jesteś przypadkiem wyznawczynią Drogi pani Cosmopillite?

– Nie wiem nawet, co to takiego.

– Uspokoiliś już oddech?

– Tak.

– W takim razie możemy się odwrócić.

Osobisty czas popłynął znowu, a ktoś za nimi spytał:

– To twój?

Z tyłu były szklane stopnie. A na najwyższym stał mężczyzna ubrany jak mnich historii, z ogoloną głową i w sandałach. Jego oczy zdradzały jednak o wiele więcej. Młody człowiek, który żył już bardzo długo, mówiła pani Ogg, i miała rację.

Za fałdę szaty na karku trzymał wyrrywającego się Śmierć Szczurów.

– Nie. Należy do samego siebie – odparła Susan.

Lobsang się skłonił.

– W takim razie zabierz go ze sobą, proszę. Nie możemy pozwolić, żeby tu biegał. Witaj, synu.

Lobsang podszedł do niego i objęli się, krótko i oficjalnie.

– Ojciec... to jest Susan. Była bardzo... pomocna.

– Oczywiście, że była pomocna. – Mnich uśmiechnął się do Susan. – Jest wcieleniem pomocniczości. – Postawił Śmierć Szczurów na podłodze i pchnął go delikatnie naprzód.

– Tak, jestem bardzo niezawodna – zgodziła się Susan.

– A także interesująco sarkastyczna – dodał mnich. – Jestem Wen. Dziękuję, że nam pomogłaś. Oraz że pomogłaś naszemu synowi odnaleźć siebie.

Susan przyjrzała się ojcu i synowi. W słowach i ruchach wydawali się sztuczni i chłodni, jednak istniała między nimi komunikacja, w której nie mogła uczestniczyć. I to komunikacja o wiele szybsza niż mowa.

– Czy nie powinniśmy ratować świata? – spytała. – Nie chcę nikogo poganiać, oczywiście.

– Muszę coś najpierw zrobić – oświadczył Lobsang. – Spotkać się z matką.

– Mamy na to cza...? – zaczęła Susan. I dokończyła: – Mamy, prawda? Cały czas świata.

– Och, nie. O wiele więcej – zapewnił Wen. – Poza tym zawsze jest czas na ratowanie świata.

Przybyła Czas. Znowu pojawiło się wrażenie, że zawieszona w powietrzu niewyraźna postać rozpadła się na miliony cząstek materii, które zlewają się teraz i wypełniają kształt w przestrzeni, z początku wolno, a potem... Potem ktoś tam był.

Czas okazała się wysoką kobietą, młodą, ciemnowłosą, ubraną w długą czerwono-czarną suknię. Sądząc z jej twarzy, niedawno płakała. Ale teraz była uśmiechnięta.

Wen ujął Susan pod rękę i delikatnie odciągnął na bok.

– Będą chcieli porozmawiać. Przejdziemy się?

Pokój zniknął. Znaleźli się w ogrodzie z pawiami, fontannami i kamienną ławą wyścielaną mchem. Trawniki rozciągały się ku leśnym zagajnikom, które miały ten charakterystyczny przystriżony wygląd rezydencji pielęgnowanej od setek lat, tak że nie rosło tutaj nic, co nie było zaplanowane albo w niewłaściwym miejscu. Od drzewa do drzewa przefruwały ptaki z długimi ogonami, z upierzeniem czyniącym z nich żywe klejnoty. Głębiej w lesie odzywały się inne ptaki.

Susan patrzyła, jak na skraju fontanny wylądował zimorodek. Zerknął na nią i odleciał, a uderzenia skrzydeł brzmiały jak machnięcia maleńkich wachlarzy.

– Posłuchaj – zaczęła Susan. – Ja nie... nie mogę... Słuchaj, rozumiem, na czym to polega. Naprawdę. Nie jestem głupia. Mój dziadek ma ogród, gdzie wszystko jest czarne. Ale zegar zbudował Lobsang. No, w każdym razie część Lobsanga. Czyli ratuje świat i niszczy go równocześnie?

– Cecha rodzinna – odparł Wen. – Czy nie to samo robi Czas w każdym momencie?

Rzucił Susan spojrzenie nauczyciela, który staje wobec dociekliwego, ale głupiego

ucznia.

– Pomyśl o tym w taki sposób... – powiedział w końcu. – Wyobraź sobie wszystko. To całkiem zwyczajne słowo. Ale „wszystko” oznacza... wszystko. Obejmuje o wiele więcej niż „wszechświat”. Mieści w sobie to, co może się wydarzyć we wszystkich możliwych czasach i wszystkich możliwych światach. Nie szukaj pełnego rozwiązania w którymkolwiek z nich. Wcześniej czy później wszystko staje się przyczyną wszystkiego innego.

– Chcesz mnie więc przekonać, że nasz mały świat nie jest ważny?

Wen skinął ręką i na kamieniu stanęły dwa kieliszki wina.

– Wszystko jest równie ważne jak wszystko inne – oświadczył.

Susan skrzywiła się niechętnie.

– Wiesz, właśnie dlatego nigdy nie lubiłam filozofów. U nich zawsze brzmi to wspaniale i prosto, a potem człowiek przechodzi do świata pełnego komplikacji. No, rozejrzyj się tylko. Ten ogród na pewno wymaga pielienia, trzeba czyścić fontanny, pawie gubią pióra i rozgrzebują trawniki... A jeśli nie, wszystko jest fałszerstwem.

– Nie, wszystko jest prawdziwe – zapewnił Wen. – A przynajmniej tak prawdziwe, jak cokolwiek innego. Ale to moment perfekcji. – Znowu uśmiechnął się do Susan. – A o moment perfekcji stulecia rozbijają się na próżno.

– Wolę bardziej konkretną filozofię – wyznała Susan.

Skosztowała wina. Było perfekcyjne.

– Oczywiście. Spodziewałem się tego po tobie. Widzę, że trzymasz się logiki, jak mięczak trzyma się skały podczas sztormu. Pomyślmy... Bronić niewielkich przestrzeni, nie biegać z nożyczkami i pamiętać, że często nieoczekiwanie znajdzie się czekoladka. – Uśmiechnął się. – I nigdy nie opierać się momentowi perfekcji.

Dmuchał wiatr i przez jedną sekundę woda w fontannach chlusnęła lekko przez brzegi baseników. Wen wstał.

– Jak się zdaje, moja żona i syn zakończyli już rozmowę – powiedział.

Ogród się rozwiął. Kamienna ława rozpułyła się niczym mgłą, gdy tylko Susan się podniosła, choć do tej chwili była w dotyku twarda jak... no, jak kamień. Kieliszek zniknął, pozostawiając tylko wspomnienie nacisku na czubki palców i posmak wina w ustach.

Lobsang stał przed zegarem. Samej Czas nigdzie nie było widać, choć wijąca się przez komnaty pieśń miała teraz inne brzmienie.

– Jest szczęśliwsza – oznajmił Lobsang. – Jest już wolna.

Wen zniknął razem z ogrodem. Nie pozostało nic prócz nieskończonych rzędów pokojów.

– Nie chcesz porozmawiać z ojcem? – spytała.

– Później. Będzie mnóstwo czasu – odparł Lobsang. – Dopilnuję tego.

Sposób, w jaki to powiedział, starannie upuszczając słowa na miejsca, kazał Susan się zastanowić.

– Przejmujesz to wszystko? – spytała. – Ty teraz jesteś Czasem?

– Tak.

– Ale przecież jesteś prawie człowiekiem!

– I co?

Lobsang odziedziczył uśmiech po ojcu. Był to łagodny i – według Susan – doprowadzający do wściekłości uśmiech boga.

– Co jest w pozostałych pokojach? – zapytała. – Wiesz?

– Jeden moment perfekcji. W każdym. Gazylion gazylionów.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle istnieje coś takiego jak moment prawdziwej perfekcji – stwierdziła Susan. – Możemy już wracać?

Lobsang owinał dłoń brzegiem szaty i uderzył pięścią w szklany przedni panel zegara. Płyta rozsypała się i upadła na ziemię.

– Kiedy przejdziemy na drugą stronę, nie zatrzymuj się i nie oglądaj. W powietrzu będzie mnóstwo odłamków szkła.

– Spróbuję odskoczyć za któryś ze stołów...

– Prawdopodobnie ich tam nie znajdziesz.

PIP?

Śmierć Szczurów wbiegł po bocznej ścianie na zegar i teraz z zadowoleniem zaglądał na szczyt.

– Co z nim zrobimy? – spytał Lobsang.

– Sam o siebie zadba. Nie musimy się przejmować.

Lobsang skinął głową.

– Weź mnie za rękę.

Susan sięgnęła ku niemu.

Lobsang wsunął wolną rękę do wnętrza zegara i zatrzymał wahadło.

W świetle pojawił się zielononiebieski otwór.

Droga powrotna okazała się o wiele szybsza. Kiedy świat znowu zaistniał, Susan wpadała do wody. Woda była brunatna, mulista i cuchnęła gnijącymi roślinami. Susan wynurzyła się na powierzchnię i machając nogami, utrzymywała się na niej, próbując zorientować się w położeniu.

Słońce świeciło na niebie, powietrze było ciężkie i wilgotne, a para nozdrzy obserwowała ją z odległości kilku stóp.

Susan odebrała praktyczne wychowanie, a to oznaczało lekcje pływania. Quirmska Pensja dla Młodych Panien była pod tym względem bardzo postępową, a nauczycielki wyznawały pogląd, że jeśli uczennica nie potrafi w ubraniu przepłynąć dwóch długości basenu, to się zwyczajnie nie stara. Trzeba im przyznać, że Susan opuściła

szkołę, znając cztery style pływania oraz kilka technik ratowniczych, a w wodzie czuła się jak ryba. Wiedziała także, co robić, jeśli ten sam niewielki obszar wody dzieli się z hipopotamem – należy znaleźć sobie inny. Hipopotamy z daleka są wielkie i sympatyczne, ale z bliska są tylko wielkie.

Przywołała całą odziedziczoną moc śmiertelnego głosu oraz przerażający nauczycielski autorytet.

– Idź sobie! – krzyknęła.

Zwierz zamachał rozpaczliwie nogami, próbując zawrócić w miejscu, a Susan popłynęła do brzegu. Nie był to zbyt pewny brzeg – woda stawiała się lądem w płataninie piaszczystych łąch, zasysającego czarnego mułu, gnijących korzeni drzew i bagien. Wokół brzęczały owady i...

...kamienie bruku pokryte były błotem, a z mgły dobiegał tętent...

...i lód spiętrzony przy martwych drzewach...

...i Lobsang chwycił ją za rękę.

– Znalazłem cię – powiedział.

– Właśnie roztrzaskałeś historię – stwierdziła Susan. – Zniszczyłeś ją.

Hipopotam trochę ją zaszokował. Nie zdawała sobie sprawy, że jedna paszcza może mieścić tyle nieświeżego oddechu, być tak ogromna i tak głęboka.

– Wiem. Musiałem. Nie było innego wyjścia. Potrafisz znaleźć Lu-tze? Wiem, że Śmierć może zlokalizować każdą żywą istotę, a że ty...

– Dobrze, dobrze, wiem – mruknęła Susan ponuro.

Skoncentrowała się i uniosła rękę. Obraz niezwykle ciężkiego życiometera Lu-tze pojawił się nagle i nabrał ciężaru.

– Jest paręset sążni stąd, w tamtą stronę – powiedziała, wskazując zamarznąłą zaspę.

– A ja wiem, kiedy on jest – uzupełnił Lobsang. – Zaledwie sześćdziesiąt tysięcy lat stąd. A więc...

Lu-tze patrzył spokojnie na gigantycznego mamuta. Pod wielkim, kosmatym czołem oczy zezowały z wysiłku, by widzieć sprzątacza i skłonić jakoś do jednomyślności wszystkie trzy komórki mózgowe, co umożliwiłoby podjęcie decyzji, czy zdeptać tego człowieka, czy wydłubać go ze śnieżnego pejzażu. Jedna komórka mówiła „deptać”, druga „wyciągać”, ale trzecia jakoś pobłądziła i myślała o seksie.

– A więc nigdy nie słyszałeś o Pierwszej Zasadzie? – mówił Lu-tze na drugim końcu trąby.

Lobsang wyszedł z pustki obok niego.

– Musimy iść, sprzątaczu.

– Nie ma pośpiechu, cudzie natury – odparł starzec. – Panuję nad sytuacją.

– Gdzie jest lady LeJean? – zainteresowała się Susan.

– Tam, przy tej zaspie. – Lu-tze wskazał kierunek kciukiem. Wciąż starał się wygrać wzrokowy pojedynek ze stworem o pięciostopowym rozstawie oczu. – Kiedy to się stało, krzyknęła i skręciła sobie kostkę. Rozumiem, że jest zdenerwowana...

Susan przeszła po śniegu i szarpnięciem postawiła Unity na nogi.

– Idziemy! – rzuciła szorstko.

– Widziałam, jak obciął mu głowę – bełkotała Unity. – A potem nagle byliśmy tutaj...

– No, tak się zdarza...

Unity patrzyła na nią, wytrzeszczając oczy.

– Życie jest pełne niespodzianek – stwierdziła Susan.

Jednak widok lęku tego stworzenia sprawił, że się zawahała. No owszem, Unity była jedną z nich i tylko nosiła... w każdym razie zaczynała, nosząc tylko ciało niby płaszcz, ale teraz... W końcu o każdym można to powiedzieć, prawda?

Susan zastanawiała się nawet, czy ludzki umysł bez zakotwiczenia w ciele nie skończyłby jako coś w rodzaju Audytora. Sprawiedliwość kazała zatem przyznać, że Unity, z każdą chwilą mocniej zanurzona w ciele, stała się czymś w rodzaju człowieka. A to przecież całkiem niezły opis Lobsanga... i skoro już o tym mowa, Susan także. Kto może wiedzieć, gdzie zaczyna się człowieczeństwo i gdzie się kończy?

– Chodźmy – powiedziała. – Musimy trzymać się razem.

Fragmenty historii dryfowały, zderzały się i przecinały jak wirujące w powietrzu odpryski szkła.

Istniała jednak niewzruszona latarnia – w dolinie Oi Dong trwał wiecznie się powtarzający dzień. W hali stały w milczeniu prawie wszystkie gigantyczne walce – cały czas się wyczerpał. Niektóre walce pękły. Niektóre się roztopiły. Niektóre eksplodowały. Niektóre po prostu zniknęły. Ale jeden wciąż się obracał.

Wielki Thanda, najstarszy i największy, kręcił się powoli w swym bazaltowym łożysku, zwijając czas na jednym końcu i rozwijając na drugim. To on sprawiał, że – tak jak zadekretował Wen – dzień doskonały nigdy nie miał końca.

Rambut Handisides pozostał w hali całkiem sam. Siedział obok kamiennego walca przy świetle maślanej lampki i od czasu do czasu rzucał garść smaru na podstawę.

Stuk kamienia kazał mu wyteńczyć wzrok. Ciemność była ciężka od dymu przypalonej skały.

Jeszcze raz ten sam dźwięk, a potem trzask i płomyk zapalki...

– Lu-tze?! To ty?!

– Taką mam nadzieję, Rambucie, ale w tych czasach czy można być czegoś pewnym? – Lu-tze wszedł w krąg światła i usiadł. – Dużo roboty, co?

Handisides poderwał się na nogi.

– To było straszne, sprzątaczu! Wszyscy są teraz przy mandali! Gorsze niż Wielki Krach! Wszędzie są jakieś strzępy historii i straciliśmy połowę wirników! Nigdy nam się nie uda tego poukładać...

– Spokojnie, spokojnie... Wyglądasz mi na człowieka, który ma za sobą ciężki dzień. Nie spałeś za wiele, co? Mam pomysł: ja się zajmę tym tutaj, a ty idź i trochę się zdrzemnij. Dobrze?

– Myśleliśmy, że zaginałeś gdzieś w świecie i...

– Ale teraz wróciłem. – Lu-tze poklepał mnicha po ramieniu. – Jest jeszcze ta mała wnęka za rogiem, gdzie naprawiacie mniejsze wirniki? I te nieoficjalne posłania na nocne zmiany, kiedy trzeba tylko paru chłopaków, żeby mieli oko na wszystko?

Handisides przytaknął, mocno zakłopotany. Lu-tze nie powinien wiedzieć o tych posłaniach.

– No to ruszaj. – Lu-tze przez chwilę obserwował oddalające się plecy mnicha, po czym dodał półgłosem: – A gdybyś się obudził, może się okazać, że jesteś najszcześliwszym idiotą na świecie. No więc, cudzie natury? Co teraz?

– Poskładamy wszystko z powrotem – oświadczył Lobsang, wynurzając się z mroku.

– Wiesz, ile nam to zajęło ostatnim razem?

– Tak. – Lobsang skierował się w stronę podestu. – Wiem. I nie sędzę, żeby teraz trwało tak długo.

– Wolałabym, żebyś mówił z większą pewnością – odezwała się Susan.

– Jestem... prawie pewien. – Lobsang ostrożnie przesunął palcami nad szpulkami na tablicy.

Lu-tze zamachał ostrzegawczo do Susan. Umysł Lobsanga zmierzał już gdzie indziej, a ona zastanawiała się, jak wielką przestrzeń zajmuje. Oczy miał zamknięte.

– Te... wirniki, które zostały... Możecie przedstawiać zwory? – zapytał.

– Mogę pokazać paniom, jak się to robi – zapewnił Lu-tze.

– Czy nie ma mnichów, którzy to potrafią? – zapytała Unity.

– To by za długo trwało. Jestem uczniem sprzątacza. Biegaliby w kółko i zadawali pytania – odparł Lobsang. – Wy nie będziecie tacy.

– Chłopak ma rację, nie ma co – zgodził się Lu-tze. – Ludzie zaczną wołać „Co to ma znaczyć?” albo „Ciaściečko!” i nigdy niczego nie załatwimy.

Lobsang spojrział na tablicę ze szpulkami, a potem dalej, na Susan.

– Wyobraź sobie... że jest taka układanka, cała w kawałeczkach. Ale ja dobrze potrafię dostrzegać krawędzie i kształty. Bardzo dobrze. Wszystkie kawałki się poruszają. Ponieważ jednak były kiedyś połączone, z samej swej natury zachowują pamięć tego połączenia. Ich kształt jest pamięcią. Kiedy już kilka znajdzie się na

właściwych pozycjach, reszta pójdzie łatwiej. Aha, i wyobraź sobie, że wszystkie kawałki porozrzucane są po całej przestrzeni zdarzeń i mieszają się losowo z kawałkami innych historii. Zdołasz to objąć?

– Tak, chyba tak.

– Dobrze. Wszystko, co przed chwilą powiedziałem, to nonsens. Nie ma żadnego podobieństwa do prawdy, w żaden sposób. Ale jest to kłamstwo, które możesz... zrozumieć. Chyba. Potem...

– Zamierzasz odejść – przerwała mu Susan.

To nie było pytanie.

– Nie będę miał dość sił, żeby zostać.

– Potrzebujesz sił, żeby zostać człowiekiem?

Susan nie zdawała sobie sprawy z uniesień własnego serca, ale teraz zamarło.

– Tak. Nawet próba myślenia w zaledwie czterech wymiarach to straszliwy wysiłek. Przykro mi. Nawet utrzymanie w umyśle koncepcji czegoś takiego jak „teraz” jest trudne. Uważałaś, że jestem prawie człowiekiem. Ale prawie wcale nie jestem. – Lobsang westchnął. – Gdybym tylko mógł ci opowiedzieć, jak wszystko dla mnie wygląda... Jest takie piękne...

Popatrzył w przestrzeń nad drewnianymi szpulkami. Coś tam zamigotało. Pojawiły się złożone krzywe i spirale, jaskrawe na tle ciemności.

To jakby patrzeć na rozłożony zegar: każde kółko i sprężyna starannie rozłożone w ciemności przed nim. Zdemontowany, opanowany, każda część zrozumiała... Jednak pewna liczba niewielkich, ale ważnych elementów zrobiła „ping!” w kąty bardzo dużego pokoju. Jeśli człowiek naprawdę był dobry, mógł wyliczyć, gdzie upadły.

– Masz tylko około jednej trzeciej wirników – odezwał się Lu-tze. – Reszta jest rozbita.

Lobsang go nie widział. Przed oczami miał tylko migotliwy pokaz.

– To prawda, ale kiedyś były całe – odpowiedział.

Uniósł dłonie i opuścił je na szpulki.

Susan rozejrzała się, słysząc nagle głośny zgrzyt. Zobaczyła, że z pyłu i odłamków wyrastają kolejne rzędy kolumn. Stały jak szeregi żołnierzy, a gruz osypywał się z nich na ziemię.

– Niezła sztuczka! – krzyknął jej Lu-tze wprost do ucha. – Wpuszcza czas bezpośrednio do wirników! Teoretycznie możliwe, ale nigdy się nam to nie udało!

– Co on właściwie chce zrobić?! – odkrzyknęła Susan.

– Wyrwać dodatkowy czas z tych kawałków historii, które są za daleko z przodu, i przerzucić je do tych, które zostały z tyłu!

– Brzmi całkiem prosto!

– Jest pewien problem!

– Jaki?

– Tak się nie da! Straty! – Lu-tze pstryknął palcami, usiłując wyjaśnić niewtajemniczonemu dynamikę czasu. – Tarcie! Odchylenie! Różne opory! Nie można stwarzać czasu na wirnikach, można go tylko przesuwąć...

Wokół Lobsanga powietrze rozbłysło błękitem. Blask zamigotał nad tablicą, a potem przeskoczył, formując łuki światła prowadzące do wszystkich prokrastynatorów. Przelewało się między rzeźbionymi symbolami i przylegało do nich coraz grubsza warstwa, niczym przędza na szpulkach.

Lu-tze spojrzał na wirujące blaski i na cień wśród nich, niemal niewidoczny przy świetle.

– ...przynajmniej do teraz – dodał.

Wirniki rozpedziły się do prędkości roboczej, a potem ruszyły jeszcze szybciej, popędzane batem światła, które przelewało się przez grootę ciągłym, rwącym strumieniem.

Płomienie zaczęły lizać spód najbliższego cylindra. Podstawa żarzyła się, a zgrzyt kamiennego łożyska włączał się w narastający, wypełniający całą grootę wrzask udręczonego kamienia.

Lu-tze pokręcił głową.

– Ty, Susan, wiadra wody ze studni! Ty, panno Unity, biegnij za nią z cebrażkiem na smar.

– A co ty będziesz robić? – spytała Susan, chwytając wiadra.

– Będę się martwił jak demon, a wierz mi, nie jest to łatwe zadanie.

Para gęstniała, w powietrzu rozszedł się zapach palonego masła. Nie było już czasu na nic prócz biegania od studni do najbliższego skwierczącego łożyska, a potem nawet i na to nie.

Wirniki przesuwwały się tam i z powrotem. Zwory nie były już potrzebne. Kryształowe pręty, które przetrwały katastrofę, wisiały bezużytecznie na hakach. Czas przeskakiwał w górze od jednego prokrastynatora do drugiego, widoczny w powietrzu jako czerwone i niebieskie pasma. Był to widok, od którego każdy przeszkolony operator wirników zgubiłby ze strachu własne *knoptas*. Lu-tze zdawał sobie z tego sprawę. Wyglądało to jak uwolniona kaskada, chociaż wyraźnie istniała jakaś kontrola, spletał się jakiś ogromny wzór.

Łożyska rzeżyły. Masło bulgotało. Podstawy niektórych wirników dymiły. Ale wszystko jakoś się trzymało. Ktoś trzymał, myślał Lu-tze. Spojrzał na rejestry. Przesłony zatrzaśkiwały się i otwierały, kreśląc pod stropem linie czerwieni, błękitu albo nagiego drewna. One również otoczone były obłokami białego dymu – ich łożyska także powoli się zwęglały.

Przeszłość i przyszłość falowały w powietrzu. Sprzątacze wyczuwał.

Lobsanga spowijał blask. Szpulki nie były już przesuwane. To, co się działo, odbywało się na innym poziomie, gdyż nie była wymagana interwencja prymitywnych mechanizmów.

Treser lwów, pomyślał Lu-tze. Na początku potrzebuje stołków i batów, ale pewnego dnia, jeśli jest naprawdę dobry, może wejść do klatki i zrealizować cały występ, korzystając tylko ze wzroku i głosu. Ale tylko wtedy, kiedy jest naprawdę dobry, a wiadomo, że jest dobry, ponieważ potem wychodzi z klatki...

Zatrzymał się w swej wędrówce między grzmiącymi szeregami cylindrów, ponieważ zauważył jakąś zmianę dźwięku.

Jeden z największych walców zwalniał. Zatrzymał się całkiem, kiedy Lu-tze na niego patrzył. I już się nie ruszył.

Lu-tze popędził wokół jaskini, aż znalazł Susan i Unity. Zanim do nich dotarł, znieruchomiały jeszcze trzy wirniki.

– On tego dokonuje! Udaje mu się! Chodźcie stąd! – zawołał.

Z szarpnięciem, które wstrząsnęło całą jaskinią, zatrzymał się kolejny walec.

We troje pobiegli na koniec jaskini, gdzie wciąż warczały mniejsze prokrastynatory, jednak bezruch sięgał coraz dalej wzdłuż szeregów. Wirnik po wirniku hamował i stawał – efekt domina wyprzedzał ludzi, aż dotarli do małych kredowych wirników akurat na czas, by zobaczyć, jak ostatnie grzechoczą cicho i nieruchomieją.

Zapadła cisza, zakłócana tylko skwierczeniem smaru i trzeszczeniem stygnących kamieni.

– To już koniec? – spytała Unity. Otarła twarz brzegiem sukni, pozostawiając na skórze smugę cekinów.

Lu-tze i Susan spojrzeli na lśnienie po drugiej stronie hali, a potem na siebie nawzajem.

– Nie... wydaje... mi... się – stwierdziła Susan.

Lu-tze skinął głową.

– Myślę, że to dopiero...

Promienie zielonego światła przeskoczyły od wirnika do wirnika i zawisły pod stropem sztywne jak stal. Zapalały się i gasły pomiędzy kolumnami, wypełniając powietrze hukami piorunów. Fale przełączeń sunęły tam i z powrotem po całej grocie.

Tempo narastało. Trzaski piorunów stały się jednym ciągłym grzmotem przytłaczającego hałasu. Promienie rozjaśniały się i poszerzały, aż całe wnętrze jaskini wypełniło się jaskrawym światłem.

Które zgasło. Huk ucichł tak nagle, że cisza aż zadźwięczała.

Wolno podnieśli się na nogi.

– Co to było? – zapytała Unity.

– Myślę, że dokonał pewnych zmian – odparł Lu-tze.

Wirniki milczały. Było gorąco. Para i dym unosiły się pod sklepieniem.

Potem, reagując na rutynę wiecznej ludzkiej walki z czasem, prokrastynatory zaczęły przejmować obciążenie.

Stało się to delikatnie, jakby dmuchnął zefirek. Wirniki podejmowały pracę, od najmniejszego do największego, by w końcu spokojnie wykonywać swe łagodne, ociążałe piruety.

– Idealnie – ocenił Lu-tze. – Przyznaję, że chłopak jest prawie tak dobry, jak ja byłem.

– Tylko prawie? – spytała Susan, ścierając z twarzy masło.

– No cóż, jest w części człowiekiem – mruknął sprzątac.

Wrócili do platformy... pustej. Susan wcale to nie zdziwiło. Jest teraz słaby, oczywiście. Oczywiście, coś takiego każdego może zmęczyć. Oczywiście, musi odpocząć. Oczywiście.

– Nie ma go – oznajmiła spokojnie.

– Kto wie... – rzekł Lu-tze. – Czyż bowiem nie jest napisane: „Nigdy nie wiadomo, co się trafi”?

Jaskinię wypełniał teraz uspokajający łoskot prokrastynatorów. Lu-tze wyczuwał w powietrzu strumień czasu. To orzeźwiało, jak zapach morza. Powinienem spędzać tu więcej czasu, pomyślał.

– On rozbił historię, a potem ją naprawił – odezwała się Susan. – Przyczyna i lekarstwo... To przecież nie ma sensu!

– Nie tylko w czterech wymiarach – zauważyła Unity. – W osiemnastu. Wszystko jest całkiem wyczyszczone.

– Teraz, jeśli wolno, chciałbym zasugerować, byście, drogie panie, opuściły tę halę tylnym wyjściem – rzekł Lu-tze. – Za chwilę wpadną tu ludzie i wszyscy będą bardzo rozgorączkowani. Lepiej żeby was nie zastali.

– A ty co zrobisz? – zainteresowała się Susan.

– Skłamię – wyjaśnił z zadowoleniem sprzątac. – Zadziwiające, jak często jest to skuteczne.

...ik

Susan i Unity przeszły przez drzwiczki w skale. Ścieżka za nimi prowadziła przez gaje rododendronów do wyjścia z doliny. Słońce dotykało horyzontu, było ciepło, choć niedaleko rozciągały się zaśnieżone zbocza.

U ujścia doliny woda ze strumienia spadała z urwiska tak wysokiego, że docierała

na dół jako coś podobnego do deszczu. Susan podciągnęła się na gład i usiadła, by tutaj zaczekać.

– Daleko stąd do Ankh-Morpork – stwierdziła Unity.

– Ktoś nas podwiezie – zapewniła Susan.

Na niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy.

– Gwiazdy są bardzo ładne – zauważyła Unity.

– Tak myślisz?

– Uczę się tego. Ludzie uznają je za ładne.

– Chodzi o to, rozumiesz, że są takie chwile, kiedy patrzysz na wszechświat i myślisz: „A co ze mną?”. I możesz usłyszeć, jak wszechświat odpowiada: „No a co z tobą?”.

Unity zastanowiła się nad tym przez moment.

– No a co z tobą? – spytała.

Susan westchnęła.

– No właśnie. – Westchnęła znowu. – Nie można myśleć o jednej osobie, kiedy ratuje się świat. Trzeba być zimnym, wyrachowanym draniem.

– To zabrzmiało, jakbyś kogoś cytowała. Kto to powiedział?

– Pewien absolutny idiota. – Susan spróbowała pomyśleć o innych sprawach. – Nie pozbyliśmy się wszystkich – dodała. – Gdzieś tam w dole jeszcze są Audytorzy.

– To nie ma znaczenia – stwierdziła Unity chłodno. – Popatrz na słońce.

– I co?

– Zachodzi.

– I...?

– To znaczy, że czas płynie przez świat. Ciało daje się we znaki, Susan. Już wkrótce moi... moi byli koledzy, oszołomieni i uciekający, poczują zmęczenie. Będą musieli zasnąć.

– To rozumiem, lecz...

– Jestem obłąkana. Wiem o tym. Ale za pierwszym razem, kiedy mi się to zdarzyło, napotkałam grozę, jakiej nie potrafię ująć w słowa. Czy możesz sobie wyobrazić to uczucie? Dla intelektu mającego już miliony lat, w ciele będącym małpą na grzbiecie szczura, który wyrósł z jaszczurki? Czy wyobrażasz sobie, co wypełza z mrocznych zakątków pozbawionych kontroli?

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– Oni umrą w swoich snach.

Susan próbowała to sobie wyobrazić. Miliony lat myślenia precyzyjnych, logicznych myśli, a potem nagle człowieczeństwo za jednym zamachem zrzuca na kogoś całą swą mroczną przeszłość. Prawie współczuła Audytorom. Prawie...

– Ale ty nie umarłaś – zauważyła.

– Nie. Wydaje mi się, że muszę być... inna. To straszna rzecz, kiedy jest się innym, Susan. Czy miałaś romantyczne nadzieje w związku z tym chłopcem?

Pytanie padło znikąd i nie było przed nim obrony. Twarz Unity zdradzała jedynie coś w rodzaju nerwowej troski.

– Nie – zapewniła Susan.

Na nieszczęście Unity nie opanowała chyba pewnych subtelności ludzkiej konwersacji – na przykład kiedy ton głosu oznacza: „Zostaw tę sprawę natychmiast albo niech wielkie szczury pożerają cię dniem i nocą”.

– Muszę się przyznać do dziwnych uczuć wobec niego... tej jego jaźni, która była zegarmistrzem. Czasami, kiedy się uśmiechał, był normalny. Chciałam mu pomóc, bo wydawał się taki zamknięty w sobie i smutny.

– Nie musisz się do tego przyznawać – burknęła Susan. – A w ogóle to skąd znasz słowo „romantyczny”? – dodała.

– Znalazłam kilka tomów poezji. – Unity naprawdę wyglądała na zakłopotaną.

– Naprawdę? Nigdy nie ufałam poezjom – odparła Susan.

Wielkie, ogromne, bardzo głodne szczury.

– Przekonałam się, że jest niezwykle interesująca. Jak to możliwe, że zapisane słowa mają taką moc? Nie ma wątpliwości, że bycie człowiekiem jest niesamowicie trudne i nie da się opanować w czasie jednego życia – oświadczyła ze smutkiem Unity.

Susan poczuła wyrzuty sumienia. Przecież to nie Unity wina. Ludzie uczą się pewnych rzeczy, dorastając. Rzeczy, które nigdzie nie są zapisane. A Unity nigdy nie dorastała.

– Co masz zamiar teraz robić? – spytała.

– Mam takie dość ludzkie pragnienie – odparła Unity.

– Cóż, jeśli mogę jakoś pomóc...

Była to – jak zrozumiała później – jedna z fraz podobnych do „Co słyszać?”. Ludzie powinni zdawać sobie sprawę z faktu, że nie jest to prawdziwe pytanie. Ale Unity tego także się nie nauczyła.

– Dziękuję. Istotnie, możesz pomóc.

– Ehm, świetnie, o ile...

– Chciałabym umrzeć.

Od zachodzącego słońca zbliżało się paru jeźdźców.

Tik

Niewielkie ogniska płonęły wśród gruzów, rozjaśniając noc. Większość domów

została całkowicie zniszczona, chociaż, jak uważał Soto, słowo „poszatkowana” byłoby bardziej odpowiednie.

Siedział na poboczu ulicy, trzymając przed sobą żebraczą miseczkę, i obserwował wszystko uważnie. Istniały oczywiście o wiele bardziej interesujące metody, gwarantujące, że mnich historii nie zostanie zauważony. On jednak stosował technikę żebraczej miseczki, odkąd Lu-tze pokazał mu, że ludzie nigdy nie widzą kogoś, kto chce, żeby dali mu pieniądze.

Obserwował, jak ratownicy wyciągają z domu ciała. Początkowo sądzili, że jedno z nich zostało straszliwie okaleczone przez wybuch, do chwili kiedy usiadło i wyjaśniło, że jest Igorem, i to w doskonałej formie – jak na Igora. Drugie rozpoznano jako doktora Hopkinsa z Gildii Zegarmistrzów, który w cudowny sposób nie odniósł żadnych obrażeń.

Soto jednak nie wierzył w cuda. Jego podejrzenia wzbudził również fakt, że w zniszczonym budynku było pełno pomarańczy, doktor Hopkins bełkotał o wydobywaniu z nich słonecznego światła, a błyszczący mały abakus zdradzał, że wydarzyło się coś niezwykle wielkiego.

Postanowił złożyć raport i zobaczyć, co powiedzą na to chłopcy z Oi Dong.

Podniósł żebraczą miseczkę i przez labirynt zaułków ruszył z powrotem do bazy. Teraz nie przejmował się już zbytnio maskowaniem – czas, jaki Lu-tze spędził w mieście, okazał się okresem przyspieszonej edukacji dla wielu mieszkańców z odmiany czającej się w mroku. Obywatele Ankh-Morpork poznali już Pierwszą Zasadę.

W każdym razie znali ją aż do teraz. Trzy postacie wyszły niepewnym krokiem spośród cieni, a jedna z nich machnęła ciężkim toporem. Trafiłaby Soto w głowę, gdyby się nie uchylił.

Oczywiście, był przyzwyczajony do takich przypadków. Zawsze mógł się trafić jakiś opóźniony w nauce, ale zwykle nie stanowił zagrożenia, któremu nie mogłoby zaradzić szybkie rozkrojenie.

Wyprostował się, gotów się wycofać, kiedy gruby kosmyk czarnych włosów opadł mu na ramię i ześliznął się po materiale szaty na ziemię. Soto nie powiedział nic – ale napastnicy przestraszyli się wyrazu jego twarzy.

Przez czerwoną mgłę wściekłości widział, że wszyscy trzej mają na sobie poplamione szare szaty i wyglądają na jeszcze bardziej szalonych niż zwykle mieszkańcy zaułków. Przypominali dotkniętych obłędem księgowych.

Jeden z nich sięgnął do jego żebraczej miseczki.

Każdy ma w życiu pewne warunkowe zastrzeżenia, jakieś niewypowiedziane i drobne uzupełnienia reguł, na przykład „o ile naprawdę nie będę musiał”, „chyba że nikt nie widzi” czy „chyba że pierwsza była z nugatem”. Soto od stuleci pielęgnował

przekonanie o świętości wszelkiego życia i całkowitym bezsensie przemocy, ale tym osobistym warunkowym zastrzeżeniem było „ale nie włosy; nikomu nie wolno dotykać moich włosów, jasne?”.

Mimo to każdemu trzeba dać szansę.

Napastnicy odskoczyli, kiedy cisnął miseczką w ścianę, a ukryte ostrza wbiły się w drewno.

Potem miseczka zaczęła tykać.

Soto pognał do wyjścia z zaułka, skręcił za róg i wtedy krzyknął:

– Kryć się!

Na nieszczęście dla Audytorów okrzyk okazał się o maleńki ułamek sekundy spóźniony...

Tik

Lu-tze przebywał w Ogrodzie Pięciu Niespodzianek, kiedy powietrze przed nim zaskrzyło się, rozpadło, a z wiru powstała sylwetka.

Uniósł głowę znad jodłującego patyczaka, który stęsknił się już za pożywieniem.

Na ścieżce stał Lobsang. Miał na sobie czarną szatę nakrapianą gwiazdami. Rozwiewała się, aż w bezwietrznym poranku trzepotały jej poły, jak gdyby chłopak stał wśród wichury... a Lu-tze przypuszczał, że mniej więcej tak właśnie było.

– Znowu wróciłeś, cudzie natury?

– W pewnym sensie nigdy nie odchodziłem – odparł Lobsang. – Wszystko u ciebie dobrze się ułożyło?

– A nie wiesz?

– Mógłbym wiedzieć. Ale pewna część mnie musi to załatwić tradycyjnym sposobem.

– No więc opat jest strasznie podejrzliwy. I krążą tu naprawdę zadziwiające pogłoski. Ja mówię niewiele. Co ja mogę wiedzieć o czymkolwiek? Jestem tylko sprzątaczem.

Po tych słowach Lu-tze powrócił do jodłującego patyczaka. Zdążył doliczyć bezgłośnie do czterech, zanim Lobsang znów się odezwał.

– Proszę... Muszę się tego dowiedzieć. Uważam, że piątą niespodzianką jesteś ty. Mam rację?

Lu-tze przechylił głowę. Niski szum, który słyszał od tak dawna, że przestał go świadomie zauważać, zmienił ton.

– Wszystkie wirniki rozwijają czas – stwierdził. – Wiedzą, że tu jesteś, chłopcze.

– Nie zostanę długo, sprzątaczu. Proszę...

– Chciałbyś tylko poznać moją małą niespodziankę?

– Tak. Wiem już prawie wszystko inne – oświadczył Lobsang.

– Ale jesteś Czasem. Cokolwiek powiem ci w przyszłości, wiesz już teraz, zgadza się?

– Ale jestem w części człowiekiem. I chcę pozostać w części człowiekiem. To oznacza robienie pewnych rzeczy we właściwej kolejności. Proszę...

Lu-tze westchnął i przez chwilę spoglądał wzdłuż alei kwitnących wiśni.

– Kiedy uczeń zdoła pokonać mistrza, mistrz już niczego więcej nie może go nauczyć – rzekł. – Pamiętasz?

– Tak.

– To dobrze. Żelazne Dojo powinno być teraz wolne.

Lobsang się zdziwił.

– Ehm... Żelazne Dojo... To z żelaznymi kolcami na ścianach?

– I na suficie. Tak. To, które wygląda jak ogromny jeżozwierz wywrócony na lewą stronę.

Lobsang był wstrząśnięty.

– Ale ono nie służy do ćwiczeń. Reguły nakazują...

– Właśnie ono. I proponuję, żebyśmy je wykorzystali.

– Och...

– Dobrze. Żadnych dyskusji – pochwalił Lu-tze. – Tędy, mój chłopcze.

Szli wśród płatków spływających kaskadami z drzew. Wkroczyli do klasztoru i ruszyli drogą, która doprowadziła ich do pomieszczenia mandali. Piasek uniósł się niczym pies witający pana, krążąc spiralami daleko pod sandałami Lobsanga. Lu-tze słyszał za sobą krzyki pracujących tu mnichów.

Takie wieści rozprzestrzeniają się po dolinie niby atrament w wodzie. Kiedy więc przecinali wewnętrzne dziedzińce, setki mnichów, uczniów i sprzątaczy ciągnęło za nimi jak ogon za kometa.

A nad nimi płatki kwiatów wiśni przez cały czas opadały niczym śnieg. W końcu Lu-tze stanął przed wielkimi, okrągłymi, metalowymi wrotami do Żelaznego Dojo. Zamek znajdował się na wysokości piętnastu stóp. Nikt, kto nie był godny, nie powinien otwierać tych drzwi.

Sprzątaczk skinął na swego ucznia.

– Ty to zrób – polecił. – Ja nie dam rady.

Lobsang zerknął na niego, a potem przycisnął dłoń do metalu.

Rdza popłynęła spod jego palców. Czerwone plamy pokryły starożytną powierzchnię. Wrota zgrzytnęły i zaczęły się rozsypywać. Lu-tze na próbę szturchnął je palcem, a blok twardego jak herbatnik metalu wypadł i rozkruszył się na kamieniach.

– Imponu... – zaczął.

Piszczący gumowy słoń trafił go w głowę.

– *Ciaściecko!*

Tłum się rozstąpił. Główny akolita wybiegł naprzód, niosąc opata.

– Co to ma *ciem ciaściecko CIUCIU* znaczyć? Kim jest *śmieszny ciowiek* ten człowiek, sprzątaczu? Wirniki *tańczą* w swojej hali!

Lu-tze się skłonił.

– On jest Czasem, świątobliwy, tak jak przypuszczałeś – wyjaśnił.

I wciąż zgięty w pokłonie, spojrzał z ukosa na Lobsanga.

– Ukłoń się – syknął.

Lobsang zdziwił się wyraźnie.

– Powinienem? Nawet teraz?

– Ukłoń się, mały *stonga*, bo inaczej nauczę cię dyscypliny! Okaż należny szacunek! Wciąż jesteś moim uczniem, dopóki cię nie zwolnię!

Zaszokowany Lobsang skłonił się nisko.

– A w jakim celu odwiedziłeś nas w naszej beczasowej dolinie? – zainteresował się opat.

– Powiedz opatowi! – rzucił Lu-tze.

– Ja... chciałbym poznać Piątą Niespodziankę – oświadczył Lobsang.

– ...świątobliwy – odpowiedział Lu-tze.

– ...świątobliwy – powtórzył Lobsang.

– Odwiedzasz nas tylko po to, by poznać kaprysy naszego sprytnego sprzątacza? – zdziwił się opat.

– Tak, ehm... świątobliwy.

– Ze wszystkich rzeczy, które mógłby robić Czas, ty chcesz zobaczyć sztuczkę starca? *Ciaściecko!*

– Tak, świątobliwy.

Mnisi przyglądali się Lobsangowi. Jego szatę wciąż szarpał niewyczuwalny huragan, a gwiazdy migotały, kiedy chwyciły światło.

Opat uśmiechnął się anielsko.

– Wszyscy byśmy tego chcieli – rzekł. – Żaden z nas, jak sędzę, nie miał okazji jej oglądać. Żaden z nas nigdy nie zdołał go skłonić, by o niej opowiedział. Żelazne Dojo ma swoje reguły. Wchodzą dwaj, ale tylko jeden może wyjść. To dojo nie służy do ćwiczeń. *Ciem sonika!* Rozumiesz?

– Przecież ja nie chcę... – zaczął Lobsang, lecz sprzątaczu wbił mu łokieć pod żebra.

– Mówisz: „Tak, świątobliwy” – mruknął.

– Ale nie zamierzałem...

Tym razem cios trafił go w tył głowy.

– Nie ma czasu, żeby się cofać – oznajmił Lu-tze. – Jesteś spóźniony, cudzie natury. – Skinął opatowi. – Mój uczeń rozumie, świątobliwy.

– Twój uczeń, sprzątaczu?

– O tak, świątobliwy. Mój uczeń, dopóki nie powiem, że nim nie jest.

– Doprawdy? *Ciaściecko!* A zatem może wejść. Ty również, Lu-tze.

– Ale ja tylko chciałem... – protestował Lobsang.

– Do środka! – huknął Lu-tze. – Czy chcesz okryć mnie wstydem? Czy ludzie mają uważać, że uczyłem cię na próżno?

Wnętrze Żelaznego Dojo okazało się istotnie mroczną kopułą z kolcami. Były ich dziesiątki tysięcy, cienkich jak igły i pokrywających wszystkie koszmarne ściany.

– Kto mógł zbudować coś takiego? – Lobsang spoglądał na lśniące ostrza sterczące nawet z sufitu.

– Uczy cnoty myślenia i dyscypliny. – Lu-tze zacisnął palce, aż strzeliły stawy. – Porywczosć i szybkość mogą się okazać równie niebezpieczne dla atakowanego, co dla atakującego, o czym być może się przekonasz. Jeden warunek: wszyscy tutaj jesteście ludźmi. Zgoda?

– Oczywiście, sprzątaczu. Tutaj jesteście ludźmi.

– I zgodzimy się, że żadnych sztuczek?

– Żadnych sztuczek – potwierdził Lobsang. – Ale...

– Walczymy czy gadamy?

– Ale słuchaj, jeśli tylko jeden może wyjść, to znaczy, że muszę cię zabić!

– Albo na odwrót, oczywiście – odparł Lu-tze. – Takie są reguły, owszem. Możemy zaczynać?

– Ale ja tego nie wiedziałem!

– W życiu, jak i w trakcie szykowania owsianki na śniadanie, zawsze warto przeczytać instrukcję na pudełku. To jest Żelazne Dojo, cudzie natury! – odstepił o krok i skłonił się nisko.

Lobsang wzruszył ramionami i także się uklonił.

Lu-tze cofnął się jeszcze o kilka kroków. Na moment zamknął oczy, a następnie wykonał serię prostych gestów, by się rozruszać. Lobsang skrzywił się, słysząc trzeszczenie stawów.

Wokół rozległy się trzaski i chłopiec przez chwilę myślał, że ten dźwięk wydają kości sprzątacza. Ale to otwierały się maleńkie klapki w całej zakrzywionej ścianie. Słyszał szepty, kiedy ludzie przepychali się, by zająć jak najlepsze miejsca. Sądząc po szeptach, było tych ludzi bardzo wielu.

Rozłożył ręce na boki i unióś się wolno w górę.

– Myślałem, że się umówiliśmy: żadnych sztuczek – przypomniał Lu-tze.

– Tak, sprzątaczu – zgodził się zawieszony w powietrzu Lobsang. – Ale potem

pomyślałem: nigdy nie zapominaj o Pierwszej Zasadzie.

– Aha! Dobrze! Czegoś się jednak nauczyłeś.

Lobsang podpłynął bliżej.

– Nie mógłbyś uwierzyć we wszystko, co widziałem od naszego ostatniego spotkania – powiedział. – Słowa nie zdołają tego opisać. Widziałem światy zagnieżdżone w światach, jak te lalki, które rzeźbią w Überwaldzie. Słyszałem muzykę lat. Wiem więcej, niż kiedykolwiek zdołam zrozumieć. Ale nie znam Piątej Niespodzianki. To sztuczka, zagadka... próba.

– Wszystko jest próbą – oświadczył Lu-tze.

– Pokaż mi więc Piątą Niespodziankę, a obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

– Obiecujesz, że nie zrobisz mi krzywdy?

– Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy – powtórzył Lobsang z powagą.

– Świetnie. Wystarczyło zapytać. – Lu-tze uśmiechnął się szeroko.

– Co? Przecież już pytałem i nie chciałeś odpowiedzieć!

– Wystarczyło zapytać w odpowiedniej chwili, cudzie natury.

– A czy teraz jest odpowiednia chwila?

– Zostało napisane: „Nie masz chwili nad teraźniejszą” – rzekł Lu-tze. – Zatem...
oto Piątą Niespodzianka!

Sięgnął pod szatę.

Lobsang podpłynął bliżej.

Sprzątacze wyjął tanią maskę karnawałową. Nic szczególnego – para fałszywych okularów nad dużym różowym nosem zakończonym czarnym wąsem.

Przyłożył maskę do twarzy i raz czy dwa poruszył uszami.

– Buu! – powiedział.

– Co? – zdumiał się Lobsang.

– Buu! – powtórzył Lu-tze. – Nigdy nie twierdziłem, że to jakaś wymyślna niespodzianka, prawda?

Raz jeszcze poruszył uszami, a potem brwiami.

– Niezłe, prawda? – zapytał uśmiechnięty.

Lobsang roześmiał się. Lu-tze uśmiechnął się szerzej. Wtedy Lobsang roześmiał się głośniejsze i opadł na matę.

Ciosy spadły znikąd. Trafiły go w brzuch, w tył głowy, w kark, wybiły spod niego nogi. Wylądował na brzuchu, a Lu-tze przyciskał go do maty w Dosiadzie Ryby. Jedynym sposobem wyrwania się z niego było wywichnięcie własnych ramion.

Ukryci widzowie wydali z siebie coś w rodzaju chóralnego westchnienia.

– *Deja-fu!*

– Co? – wykrztusił w matę Lobsang. – Mówiłeś, że żaden z mnichów nie zna *deja-fu!*

– Bo nigdy ich nie nauczyłem. Obiecałeś, że nie zrobisz mi krzywdy? No cóż, bardzo serdecznie ci dziękuję! Poddajesz się?

– Nie powiedziałeś mi, że ty je znasz!

Kolana Lu-tze, wbite w tajemne punkty na ciele, zmieniały mięśnie Lobsanga w bezużyteczne bryły mięsa.

– Może i jestem stary, ale nie jestem głupi! – zawołał sprzątac. – Nie sądzisz chyba, że zdradziłbym komuś taką sztuczkę!

– To nieuczciwe...

Lu-tze pochylił się, aż jego usta zbliżyły się na cal do ucha chłopca.

– Na pudełku nie było nigdzie napisu „uczciwie”, mój chłopcze. Ale wiesz przecież, że możesz wygrać. Możesz zmienić mnie w pył, tak po prostu. Jak zdołałbym powstrzymać Czas?

– Nie mogę tego zrobić!

– Chodzi ci o to, że nie chcesz. Obaj to wiemy. Poddajesz się?

Lobsang czuł, jak rozmaite części jego ciała usiłują się wyłączyć. Ramiona płonęły. Mogę wyrwać się z ciała, pomyślał. Tak. Mogę jedną myślą zmienić go w pył. I przegram. Wyjdę stąd, on będzie martwy, a ja i tak przegram.

– Nie masz się czym przejmować, mój chłopcze – powiedział spokojny już Lu-tze.

– Po prostu zapomniawszy o Zasadzie Dziewiętnastej. Poddajesz się?

– Zasada Dziewiętnasta? – Lobsang uniósł się niemal z maty, dopóki przeraźliwy ból nie pchnął go z powrotem. – Do demona, co to za Zasada Dziewiętnasta? Tak, tak, poddaję się, poddaję!

– „Pamiętaj, by nigdy nie zapominać o Pierwszej Zasadzie” – wyjaśnił Lu-tze i rozluźnił uścisk. – I zawsze pytaj sam siebie: Jak w ogóle doszło do tego, że powstała?

Podniósł się i mówił dalej:

– Ale dobrze walczyłeś, a zatem, jako twój nauczyciel, bez wahania rekomenduję cię do otrzymania żółtej szaty. Poza tym... – Zniżył głos do szeptu. – Wszyscy, którzy patrzyli, widzieli, jak pokonałem Czas, a coś takiego naprawdę będzie dobrze wyglądać w moich referencjach, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Na pewno zareklamuje Pierwszą Zasadę. Daj rękę, pomogę ci wstać.

Wyciągnął dłoń.

Lobsang zawahał się nagle. Lu-tze uśmiechnął się i wolno postawił go na nogi.

– Przecież tylko jeden z nas może stąd wyjść! – Lobsang roztarł sobie ramiona.

– Doprawdy? Ale stoczenie rozgrywki zmienia jej reguły. Do demona z tym.

Resztki wrót zostały rozepchnięte rękami wielu mnichów. Zabrzmiało dźwięk uderzania kogoś gumowym jakim.

– *Ciaściecko!*

– Opat natomiast, jak się zdaje, gotów jest przyznać ci szatę – zauważył Lu-tze. –

Powstrzymaj się od komentarzy, gdyby ją zaślinił, dobrze?

Wyszli z dojo. Każda żywa dusza w Oi Dong podążyła za nimi na długi taras.

Jak wspominał później Lu-tze, była to nietypowa ceremonia. Opat nie wydawał się zalekniony, ponieważ małe dzieci się nie boją i mogą zwymiotować na każdego. Poza tym Lobsang był może panem otchłani czasu, ale opat był panem doliny, więc obu należał się wzajemny szacunek.

Jednak wręczenie szaty doprowadziło do trudnego momentu.

Lobsang odmówił jej przyjęcia. I pierwszy akolita musiał zapytać dlaczego. Tymczasem fala zdumienia popłynęła przez tłum.

– Nie jestem godny, panie.

– Lu-tze oświadczył, że zakończyłeś już naukę, pa... Lobsangu Luddzie.

Lobsang się skłonił.

– Przyjmę zatem miotłę i szaty sprzątacza, panie.

Tym razem fala przypominała tsunami. Rozbiła się na publiczności. Odwracały się głowy. Słysząc było okrzyki zaskoczenia. A spośród rzędów sprzątaczy, którym pozwolono przerwać pracę, by mogli oglądać ceremonię, dobiegało czujne, skupione milczenie.

Główny akolita oblizwał zaschnięte wargi.

– Ale... jesteś przecież wcieleniem Czasu!

– W tej dolinie, panie – odparł stanowczo Lobsang – jestem wart tyle, ile sprzątacza.

Główny akolita rozejrzał się, ale znikąd nie nadchodziła pomoc. Inni starsi mnisi z klasztoru nie mieli ochoty zanurzać się w wielkiej różowej chmurze zakłopotania. Opat jedynie puszczał bąbelki i uśmiechał się tym zadumany, mądrym uśmiechem wszystkich dzieci na całym świecie.

– Czy mamy jakieś... ehm... czy wręczamy sprzątacjom... czy w ogóle coś? – mamrotał akolita.

Lu-tze stanął za nim.

– Może byłbym w stanie jakoś pomóc, wasza akolityczność – odezwał się z jakąś obłąkaną, surową pokorą, całkowicie obcą jego zwykłemu zachowaniu.

– Lu-tze? Ach... no... tak... tego...

– Mógłbym przynieść prawie nową szatę, panie, i chłopak mógłby dostać moją miotłę, jeśli zechcesz, panie, podpisać dla mnie kwit, żebym mógł odebrać z magazynu nową – zaproponował, każdym porem skóry wypacając chęć niesienia pomocy.

Główny akolita, tonący w głębinach zmieszania, pochwycił tę propozycję jak rzucone koło ratunkowe.

– Och, gdybyś był tak dobry, Lu-tze... To bardzo uprzejme z twojej strony.

Lu-tze posłusznie zniknął z szybkością znowu zaskakującą tych, co sądzili, że go znają.

Pojawił się zaraz z miotłą oraz szatą, którą częste pranie na szorstkich kamieniach przy rzece uczyniły białą i cienką. Z powagą wręczył je głównemu akolicie.

– Ach... bardzo dziękuję. Czy jest, no, jakaś szczególna ceremonia dla... no, dla... ehm... – bełkotał akolita.

– Bardzo prosta, panie – odparł Lu-tze, wciąż promieniejąc zapalem. – Sformułowania są dość dowolne, ale na ogół mówimy: „To jest twoja szata, pilnuj jej, należy do klasztoru”, panie, a przy miotle mówimy: „Oto twoja miotła, dbaj o nią, jest twoim przyjacielem, stracisz tę pracę, jeśli ją zgubisz, pamiętaj, że miotły nie rosną na drzewach”.

– Ehm, um, no... – mruzczał główny akolita. – Czy opat...?

– Nie, nie, opat nie nominuje sprzątaczy – wtrącił pospiesznie Lobsang.

– Lu-tze, kto dokonuje... tego... kto, no...

– Zwykle należy to do starszego sprzątacza, wasza akolityczność.

– Tak? A czy, no, szczęśliwym przypadkiem, nie jesteś, no...?

Lu-tze skłonił się nisko.

– Ależ tak, panie.

Dla głównego akolity, który wciąż grzązał w fali przypływu, była to wiadomość tak radosna, jak bliska perspektywa suchego lądu. Rozpromienił się maniakalnie.

– Myślę sobie... tak się zastanawiam... przeszło mi przez myśl, czy w takim razie, no, czy byłbyś tak miły, tego, byłbyś, aby...

– Z radością, wasza akolityczność – zapewnił Lu-tze. – Natychmiast?

– O tak, proszę.

– Robi się. Wystąp, Lobsangu Luddzie!

– Tak jest, sprzątaczu.

Lu-tze podał mu wytartą szatę i zużytą miotłę.

– Miotła! Szata! Nie zgub ich, nie śpimy tu na pieniądzach – rzekł.

– Dziękuję – odrzekł Lobsang. – Jestem zaszczycony.

Pokłonił się. Lu-tze także się pokłonił. Kiedy ich głowy zbliżyły się do siebie i znalazły na tej samej wysokości, Lu-tze szepnął:

– Bardzo zaskakujące.

– Dziękuję.

– Przyjemnie mityczna historia, stanowczo dobrze się nada do zapisania w zwojach, ale na granicy zarozumiałości. Nie próbuj robić tego znowu.

– Jasne.

Wyprostowali się obaj.

– A... co dzieje się teraz? – zapytał główny akolita.

Był człowiekiem złamanym i wiedział o tym. Od dzisiaj nic już nie będzie takie samo.

– Właściwie nic – przyznał Lu-tze. – Sprzątacze wracają do sprzątania. Ty weźmiesz tę stronę, chłopcze, a ja tamtą.

– Ale on jest Czasem! – zaprotestował główny akolita. – Synem Wena! O tak wiele spraw musimy go zapytać!

– O tak wielu sprawach nic nie powiem – odparł Lobsang z uśmiechem.

Opat pochylił się i naślinił akolicie do ucha.

Akolita zrezygnował.

– Oczywiście, nie do nas należy kwestionowanie twych decyzji – zapewnił, wycofując się nerwowo.

– Rzeczywiście, nie do was – zgodził się Lobsang. – Proponuję teraz, byście powrócili do swych niezwykle ważnych zajęć, albowiem ten rejon będzie wymagał ode mnie pełnego skupienia.

Pośród starszych mnichów nastąpiła gorączkowa wymiana sygnałów dłońmi, po czym wolno, z ociąganiem, zarząd klasztoru się oddalił.

– Będą nas obserwować z każdego miejsca, gdzie można się ukryć – mruknął Lu-tze, kiedy sprzątacze zostali sami.

– O tak – zgodził się Lobsang.

– No więc, jak ci się tam powodzi?

– Doskonale. Moja matka jest szczęśliwa i chce się wycofać, razem z moim ojcem.

– Co? Jakiś domek na wsi czy coś w tym rodzaju?

– Niezupełnie. Ale dość podobnie.

Przez chwilę słysząc było jedynie szuranie dwóch mioteł. Potem odezwał się Lobsang.

– Zdaję sobie sprawę, Lu-tze, że uczeń zwyczajowo daje swojemu mistrzowi jakiś niewielki prezent na zakończenie nauki.

– Być może. – Lu-tze się wyprostował. – Ale ja niczego nie potrzebuję. Mam swoją matę, swoją miseczkę i swoją Drogę.

– Każdy człowiek czegoś pragnie.

– Ha! I tu się mylisz, cudzie natury! Mam już osiemset lat i bardzo dawno zaliczyłem wszystkie swoje pragnienia.

– Ojoj... To fatalnie. Miałem nadzieję, że coś jednak znajdę. – Teraz Lobsang także się wyprostował i zarzucił sobie miotłę na ramię. – W każdym razie muszę stąd odejść. Tak wiele mam jeszcze do zrobienia.

– Jestem tego pewien. Jestem pewien. Został na przykład cały ten kawałek pod drzewami. A skoro już o tym mowa, cudzie natury, to czy oddałeś miotłę czarownicy?

Lobsang kiwnął głową.

– Powiedzmy tyle: zwróciłem wszystko. I jest o wiele nowsza, niż była.

– Ha! – Lu-tze zmiotł jeszcze kilka płatków. – Tak po prostu... Całkiem zwyczajnie... Jak łatwo złodziej czasu spłaca swoje długi!

Lobsang musiał usłyszeć wyrzut w jego głosie.

– Cóż, może nie wszystkie długi, przyznaję – rzekł, patrząc na własne stopy.

– Och... – rzucił Lu-tze, na pozór zafascynowany czubkiem swojej miotły.

– Ale kiedy musisz ratować świat, nie możesz się przejmować jedną osobą, rozumiesz, ponieważ ta osoba jest też częścią tego świata.

– Doprawdy? Tak sądzisz? Rozmawiałeś chyba z bardzo dziwnymi ludźmi, mój chłopcze.

– Ale teraz mam czas – zapewnił Lobsang żarliwie. – I mam nadzieję, że ona zrozumie.

– Zadziwiające, co może zrozumieć dama, jeśli znajdziesz odpowiedni sposób wyrażenia tego – stwierdził Lu-tze. – Powodzenia, chłopcze. Ogólnie biorąc, całkiem nieźle sobie poradziłeś. A czy nie zostało napisane: „Nie masz chwili nad teraźniejszą”?

Lobsang uśmiechnął się do niego i zniknął.

Lu-tze wrócił do zmiatania. Po chwili uśmiechnął się do wspomnienia. Uczeń daje mistrzowi prezent, tak? Jak gdyby Lu-tze mógł chcieć czegokolwiek, co może podarować mu Czas...

I zatrzymał się, i uniósł głowę, i zaśmiał się głośno. Nad nim, nabrzmiewając pod jego wzrokiem, dojrzewały wiśnie.

Tik

W pewnym miejscu, które nie istniało wcześniej, a teraz istniało jedynie w tym szczególnym celu, stała wielka błyszcząca kadź.

– Dziesięć tysięcy garnców karmelowej śmietanki z dodatkiem esencji fiołkowej i wmieszanej do ciemnej czekolady – powiedział Chaos. – Są także warstwy masy orzechowej w gęstej polewie śmietankowej oraz obszary miękkiego karmelu, dającego owo muśnięcie rozkoszy.

CZYLI... TWIERDZISZ, ŻE TA KADŹ MOŻE ISTNIEĆ GDZIEŚ W PRAWDZIWIE NIESKOŃCZONYM WSZĘDZIE, A ZATEM MOŻE ISTNIEĆ TUTAJ? – zapytał śmierć.

– Zgadza się – potwierdził Chaos.

ZATEM NIE ISTNIEJE W MIEJSCU, GDZIE ISTNIEĆ POWINNA.

– Nie. Powinna teraz istnieć tutaj. Matematyka tego zjawiska jest całkiem prosta.

ACH, TAK, MATEMATYKA, mruknął niechętnie Śmierć. NIGDY NIE DOSZEDŁEM DALEJ NIŻ DO ODEJMOWANIA.

– W każdym razie czekolada nie jest specjalnie rzadkim materiałem – przypomniał Chaos. – Istnieją całe planety, które są nią pokryte.

NAPRAWDĘ?

– Tak.

BYŁOBY CHYBA LEPIEJ, uznał Śmierć, GDYBY TAKIE WIADOMOŚCI NIE STAŁY SIĘ POWSZECHNIE ZNANE.

Przeszedł do miejsca, gdzie w ciemności czekała Unity.

NIE MUSISZ TEGO ROBIĆ, powiedział.

– Co jeszcze mi pozostało? – odparła. – Zdradziłam własną rasę. I jestem przeraźliwie obłąkana. Nigdzie nie będę się czuła u siebie. A pozostawanie tutaj to straszne cierpienie.

Wpatrzyła się w czekoladową otchłań. Na powierzchni migotał cukier.

Potem zrzuciła z siebie suknię. Ku swemu zaskoczeniu, poczuła przy tym zakłopotanie. Mimo to wyprostowała się z godnością.

– Łyżkę – rozkazała i władczo wyciągnęła rękę.

Chaos teatralnym gestem raz jeszcze przetarł srebrną chochlę i jej wręczył.

– Żegnajcie – powiedziała Unity. – Przekaż wnuczce moje najlepsze życzenia.

Odeszła na kilka kroków do tyłu, odwróciła się, ruszyła biegiem, wybiła się i zanurkowała piękną, klasyczną jaskółką.

Czekolada zamknęła się nad nią niemal bezdźwięcznie. Obaj patrzący zaczęli, aż uspokoją się tłuste, leniwe fale.

– Trzeba przyznać, że miała styl – stwierdził Chaos. – Co za strata.

TAK. TEŻ TAK SĄDZĘ.

– Cóż, niezłą mieliśmy zabawę. W każdym razie aż do teraz. Ale muszę już zniknąć – oświadczył Chaos.

WRACASZ DO ROZWOŻENIA MLEKA?

– Ludzie na mnie polegają.

Śmierci wyraźnie to zaimponowało.

BĘDZIE... CIEKAWIE MIEĆ CIĘ Z POWROTEM, stwierdził.

– Owszem – zgodził się Chaos. – Ty nie idziesz?

ZACZEKAM TU JESZCZE CHWILĘ.

– Po co?

NA WSZELKI WYPADEK.

– Aha.

Tak.

Minęło kilka minut, nim Śmierć sięgnął w fałdy swej szaty i wyjął życiomierz, tak

mały i lekki, jakby został stworzony dla lalki. Odwrócił się.

– Ale... ja umarłam – odezwał się cień Unity.

TAK, przyznał śmierć. TO JEST NASTĘPNA CZĘŚĆ...

Tik

Emma Robertson siedziała w ławce i ze zmarszczonym czołem przygryzała ołówkę. Potem, dość wolno, ale z miną kogoś zdradzającego wielkie tajemnice, wzięła się do pracy.

Pojechaliśmy do Lanker i tam są takie czarownice co chodują ziola. Poznaliśmy taką co była bardzo wesola i zaśpiewała nam piosenkę o jeżu i miała trudne słowa. Jason chciał kopnąć jej kota ale kot go pogonił na dzewo. Wiem już dużo o czarownicach one nie mają kurzajek i nie jedzą dzieci są całkiem podobne do babci tylko że babcia nie zna trudnych słów.

Susan odpoczywała przy swoim biurku na katedrze. Nie ma nic lepszego niż klasa pełna pochylonych głów. Dobry nauczyciel wykorzystuje wszelkie dostępne materiały, a zabranie dzieci do niani Ogg było edukacją samą w sobie. Nawet podwójną.

Pracująca płynnie klasa miała swój szczególny zapach: sugestię zastruganych ołówków, farbek plakatowych, dawno zmarłego patyczaka, kleju oraz, oczywiście, lekki aromat Billy'ego.

Susan odbyła już trudne spotkanie z dziadkiem. Złościła się, że nie powiedział jej o pewnych sprawach. A on odparł, że oczywiście nie powiedział. Jeśli zdradzić ludziom, co kryje przyszłość, przyszłość przestanie kryć. To miało sens. Oczywiście miało. Całkiem dobra logika. Kłopot polegał na tym, że Susan była logiczna tylko w znacznej części. A zatem teraz wszystko wróciło do tego chaotycznego, dość chłodnego stanu, w jakim zwykle się znajdowało w tej małej rodzinie, którą napędzała dysfunkcyjność.

A może, myślała, to właśnie jest stan normalny dla rodziny. Kiedy parcie przejdzie w pchanie – dzięki, pani Ogg, teraz już zawsze będę pamiętała to powiedzonko – wspierają siebie nawzajem odruchowo. Poza tym starają się nie wchodzić sobie w drogę.

Nie widziała ostatnio Śmierci Szczurów. Nie śmiała nawet marzyć o tym, że jest martwy, zresztą do tej pory specjalnie mu to nie przeszkadzało. To skojarzenie sprowadziło tęskne myśli o zawartości biurka. Była zawsze bardzo surowa w kwestii

jedzenia na lekcji i wyznawała pogląd, że jeśli istnieją już jakieś reguły, powinny stosować się do wszystkich, nawet do niej. W przeciwnym razie ma się do czynienia z tyranią. Ale może być tak, że reguły istnieją po to, by człowiek dobrze się zastanowił, zanim je złamie.

Wciąż było tam, ukryte wśród książek i papierów, pół najtańszego pudełka Higgsa & Meakinsa.

Dyskretne otwarcie wieczka i wsunięcie dłoni do środka było łatwe, podobnie jak zachowanie w tym czasie odpowiednio nauczycielskiej miny. Badawcze palce natrafiły na czekoladkę między pustymi papierkami, ale też przekazały jej, że to znowu ten nieszczęsny nugat. Jednak Susan była stanowcza. Życie jest ciężkie – czasem trafia się na nugat.

Potem chwyciła klucze i podeszła do Komórki z Przyborami Piśmiennymi. Szła – miała nadzieję – zdecydowanym krokiem kogoś, kto zamierza sprawdzić zapas ołówków. W końcu przecież z ołówkami nigdy nic nie wiadomo.

Drzwi stuknęły za nią, pozostawiając tylko blade światło padające przez matową szybę. Susan wsunęła czekoladkę do ust i zamknęła oczy.

Słabe szuranie tektury kazało jej znów unieść powieki. Na pudełkach z gwiazdkami wolno uchylały się wieczka.

Gwiazdki wysypały się i jasnymi smugami wzniosły w cienie pod sufitem, jaskrawe na tle ciemności – wirująca powoli galaktyka w miniaturze.

Susan przyglądała im się przez chwilę.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Zwróciłeś moją uwagę, kimkolwiek jesteś.

A przynajmniej zamierzała to powiedzieć. Szczególna lepkość nugatu sprawiła, że zabrzmiało to raczej jak „Ło dołrze, frósiłes oją ułagę, kikoliek jetch”. A niech to!

Spirale gwiazd oplatały ją, a wewnątrz komórki pociemniało do międzygwiazdnej czerni.

– Efli to ty, Fmierchi Chfuróf... – zaczęła.

– To ja – powiedział Lobsang.

Tik

Nawet z nugatem można osiągnąć moment całkowitej perfekcji.